



ERNEST HELLO



Z Życia i ze Sztuki

STUDYA I SZKICE

W PRZEKŁADZIE I Z PRZEDMOWĄ

WALEREGO GOSTOMSKIEGO



WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1901



74

KRAKÓW. — Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

X.
R. 233
14/2.46m

PRZEDMOWA.

Zdarzało się nieraz za lat dawnych, że ludzie pełni zasługi, talentu, nawet gieniuszu, żyli nieznanymi prawie ogółowi współczesnemu, bez wpływu i znaczenia, i dopiero sława pośmiertna w odległej potomości przyszła jako spóźniona nagroda ich czynów i dzieł znamienitych.

We wszystkich podobnych wypadkach obojętność lub zła wola ludzka niemało zawiniły, ale w epokach słabo wyrobionej cywilizacji znaczna część winy spada też na okoliczności zewnętrzne, od woli ludzkiej niezależne, mianowicie na brak środków porozumiewania się między ludźmi, brak odpowiednich po temu organów życia publicznego. Dante otoczony był powszechną cziłą współczesnych, a jednak tak mało był im znany; dowodem owe skąpe i niedokładne wiadomości, jakie nam o nim przekazali.

Za naszych czasów, w epoce dzienników, reportery i interview'ów, nikt chyba nie może się uskarżać na brak wiadomości o znakomitościach

współczesnych. Toż żadna z nich nie zdoła uczynić ważniejszego kroku w życiu, ani powiedzieć głosięniejszego słowa, aby fama o tem nie rozeszła się natychmiast po świecie za pomocą czyhających wciąż na nią, jak na swą zdobycz, reporterów i interview'erów dziennikarskich.

A jednak, rzecz dziwna, owa wszystkowidząca i wszystkowiedząca reporterya naszych czasów niekiedy nie wie nic o działaczach współczesnych pierwszorzędno znaczenia i nie widzi bijącego w oczy blasku znamienitych ich zasług.

Oddaję tutaj do rąk czytelników polskich przekład utworów jednego z najznakomitszych pisarzy i myślicieli francuzkich naszego wieku, który umarł lat temu piętnaście, a żył i działał w Paryżu przez lat blisko trzydzieści. Los postawił go zatem w samym centrum życia społecznego i umysłowego, które posiada wyjątkowy przywilej wzbudzania zająćcia w całej ucywilizowanej Europie. Owóż ów znamienity pisarz myśliciel, w owem uprzywilejowaniu ognisku wszechświatowego rozgłosu żył i umarł zupełnie prawie nieznany szerszemu ogółowi, i od niedawnego dopiero czasu i, jak dotąd, w niezbyt szerokim zakresie poczyną zjednywać sobie gorliwych czytelników i wielbicieli.

Ale może ktoś przypuścić, że Ernest Hello nie pragnął i unikał rozgłosu, że chciał działać i tworzyć zdala od rozgwaru życia współczesnego, „sobie śpiewać, nie komu“, jak się wyraża nasz poeta.

Byłoby to przypuszczenie zupełnie mylne, pozostające w sprzeczności z naturą i powołaniem owego myśliciela.

Jak każdy umysł wyższy, pogardzał on wprawdzie krzykliwą reklamą, ale nie gardził wcale sławą, owszem pragnął jej i poszukiwał, a dlaczego pragnął, najlepiej objaśni następująca cytata z jednej jego rozprawy, noszącej znamienity tytuł „Miłość intelektualna — *La charité intellectuelle*“: „Ewangelia mówi często o tych, co są głodni i spragnieni; ostrzega nas przytem, że te wyrazy wzięte tu są w znaczeniu najszerszem i najogólniejszem. Spragnieni sprawiedliwości wspomniani są wśród błogosławionych. Owóż w głębi wielu dusz ludzkich jest uczucie głodu i pragnienia, które może być zaspokojone tylko przez słowo pisane. Między spragnionymi czytelnikami i pisarzem, który również pragnie, powinien istnieć prąd wzajemnej miłości, przez którą wszyscy dają i wszyscy otrzymują. Czytelnik daje piszącemu bezmiernie wiele, — piszący sam nie wie, jak wiele otrzymuje od czytelnika. „Zrozumieć, to wyrównać“, mówił Rafael. Ten, co rozumie, wyświadcza temu, co mówi, ogromne, pełne miłości dobrodziejstwo. A ten, co by miał słowo życia, a nie rozdawał go bliźnim, podobny byłby okrutnikowi, który wśród panującego głodu przechowuje chleb w swej spiżarni, nie jedząc go, ani udzielając innym“.

Słowa te wyrażają jedno z zasadniczych prze-

konań zajmującego nas tu autora i stanowią krańcowe przeciwieństwo starej teorii sztuki dla sztuki, która tak szerokie znalazła zastosowanie we współczesnym dyletantyzmie, poczytującym wszelką działalność ludzką za swobodną, bezcelową grę sił indywidualnych, ku własnej przyjemności działającego wyłącznie zwróconą. Hello zawziętym był przeciwnikiem wszelkich teorii tego rodzaju i przez całe życie zaciekle z niemi walczył. Działalność ludzką poczytywał on nie za igraszkę dyletancką, lecz za obowiązek moralny, za służbę społeczną, której wartość mierzy się ilością osiągniętych skutków i spełnionego dobra. Chcąc te skutki osiągnąć, chcąc spełnić to dobro, mówił, aby być słyszany, pisał, aby być czytany. Musiał tedy pragnąć rozgłosu dla swych słów, bo w ten sposób tylko mógł zbudzić w sercach ludzkich te uczucia i dążności, w których pełnem rozwinięciu uznawał istotne przeznaczenie człowieka. A wierzył niezłomnie, że słowa zdolne są wyrzec podobne działanie, że ludzie mogą i powinni oddziaływać na siebie wzajemnie, wspierać się, pomagać sobie przy współudziale wszelkich sił i środków swej dwoistej, duchowo-cielesnej natury, za podstawę zaś tego stosunku wszechludzkiej solidarności uznawał jedynie i bezwzględnie powszechną miłość chrześcijańską.

I oto napotykamy tu główny, najwybitniejszy rys, mogący posłużyć do charakterystyki Ernesta

Hello, a zarazem pono jeden z istotnych powodów jego niepopularności i zapoznania.

Hello jest w najgłębszem, najszerszem i najzupełniejszym znaczeniu pisarzem i myślicielem chrześcijańskim i nie tylko chrześcijańskim, lecz także prawowiernie i gorliwie katolickim. Czyż to nie dostateczny powód zapoznania ze strony nadającej główny ton współczesnemu życiu umysłowemu wolnomyślności antireligijnej? Wszakże niektórzy jej przedstawiciele z właściwą sobie logiką za najsilniejszą podstawę lekceważących sądów o pisarzach religijnych poczytują zupełną nieznamość ich dzieł, podobnie jak nieznamość katechizmu służy im za wystarczającą rację odrzucenia zawartych w nim zasad wiary. Istnieje nie tylko kościelny Indeks ksiąg zakazanych; jest też podobny Indeks wolnomyślny. Ten ostatni nigdzie wprawdzie nie został wyraźnie spisany, lecz zawiera się całkowicie w zasadzie, nakazującej lekceważenie wszystkiego, co się sprzeciwia poglądom patentowanych powag liberalizmu.

Wszelako pomimo owego Indeksu, utrudniającego ogromnie pisarzom szczerze katolickim zdobyć sobie szerszego wpływu na umysły, niektórzy z nich, dzięki swym znamienitym zdolnościom, zdołali jednak wybić się na wierzch i zajęli pierwszorzędne w literaturze stanowisko. Szczególnie pisarze religijni francuscy, jak Lacordaire, Laménais,

Montalembert, Veuillot, Didon i inni, znani i czytani są w całej Europie.

Owóż ośmielam się twierdzić, że Hello siłą talentu i polotem myśli przewyższa wszystkich wymienionych i wobec tego zapytuję: skąd to lekceważenie i zapoznanie, które stało się jego udziałem?

Wyczerpująca odpowiedź na to pytanie niełatwa jest zaiste lub zgoła niemożliwa. Któż zdoła wyrozumieć wszystkie kaprysy i fantazyje opinii publicznej? Może jednak obojętność jej dla naszego autora znajdzie niejakię wyjaśnienie w jego charakterystyce, którą zamierzam rozwinąć tu w krótkim zarysie.

Przedtem kilka danych biograficznych. Nie potrzebujemy zatrzymywać się dłużej nad niemi, gdyż żywot naszego myśliciela nie obfitował w zdarzenia; streszczał się całkowicie w obrębie jego dążeń duchowych i w doskonałej z nimi pozostawał harmonii.

Ernest Hello urodził się w r. 1828 w Bretanii, jako syn wysokiego urzędnika sądowego. Otrzymał bardzo staranne wykształcenie, oraz bardzo moralne i religijne wychowanie. Skoro następnie pojął małżonkę, znalazł w niej osobę, zdolną zrozumieć należycie i umiejącą popierać skutecznie jego dążenia i aspiracje, w których zawarł całą treść moralnej swej istoty.

O ile jednak doznawał silnego dla nich popar-

cia w życiu domowym i rodzinnem, o tyle w życiu publicznem napotykał na swej drodze same zawody i niepowodzenia. Czasopismo p. t. *Le croisé*, którego wydawnictwo rozpoczął w r. 1858 wspólnie z jednym ze swych przyjaciół, po krótkiem bardzo istnieniu upadło; rozliczne artykuły i rozprawy, które następnie zamieszczał w dziennikach paryskich, przechodziły niepostrzeżenie, a wskutek tego zawarte w nich idee nie wywoływały żadnego odgłosu u szerszej publiczności i żadnego na nią wpływu wyrzucić nie mogły. Pomimo tego Hello nie przestawał działać w obranym kierunku, powodowany wrodzonym poczuciem swego posłannictwa pisarskiego, które występowało u niego z rzadką wyrazistością i siłą.

Zresztą żywot jego upływał cicho i spokojnie. Wśród wrzawy paryzkiej, wśród zamętu otaczających go realnych stosunków, żył w idealnym świecie swych myśli i uczuć, ani na chwilę nie zniżając wysokiego ich polotu. Wątpliwie niezmiernie jego zdrowie, zagrożone już we wczesnej młodości zupełną ruiną, a następnie wyczerpywane wciąż w ogromnie natężonem życiu duszy, jedynie dzięki gorliwym, pełnym poświęcenia staraniom kochającej żony, mogło się utrzymać w stanie umożliwiającym wytrwałą i usilną pracę myśliciela. Niemalże też do podtrzymania podupadających ciągle sił Ernesta przyczyniało się morskie powietrze ojczyzny jego Bretanii, gdzie przepędzał stale miesiące

letnie w pozostawionej mu przez ojca niewielkiej posiadłości Keroman. W ostatnich latach życia wyjeżdżał też chętnie do pewnej miejscowości w Ardenach, zwanej Rubigny, i wiódł tu cichy, prawdziwie idylliczny żywot wpośród włościan miejscowych, otoczony powszechną ich miłością. Tutaj też zmarł po krótkiej chorobie, w maju 1885 r.

Tak się przedstawia typowy żywot myśliciela-moralisty, żywot, oddany całkowicie rozmyślaniu, pracy, modlitwie i dobrym uczynom. Hello należy do tych nielicznych bardzo ludzi, u których teoria życia zgadza się z jego praktyką, a idealne aspiracje znajdują stwierdzenie w czynach realnych.

Bezpośredniem tego następstwem jest wyjątkowa jednolitość i zupełność objawiającej się w jego pismach szczerzo-ludzkiej indywidualności. Sam on z właściwą sobie dobitną zwięzłością określił ten charakter swój w następującej zasadniczej regule życia: „Człowiek powinien: żyć w prawdzie, myśleć tak jak żyje, mówić tak jak myśli“. W całej działalności Ernesta Hello człowiek, myśliciel i pisarz tworzą nierozdzielłą jedność psychiczną i moralną. Jest to zjawisko bardzo niezwykle po wszystkie czasy, a w czasach obecnych niezwykłejsze niż kiedykolwiek. Jakże rzadko prawdziwe człowieczeństwo objawia się w życiu człowieka! Jak często ludzie, ulegając oddziaływaniom zawodowej pracy, stanowiska społecznego i sprzecznych prądów cywilizacyjnych, tracą stopniowo jednolitą

harmonię swej czysto ludzkiej natury, szczególnie w naszych czasach, gdy podział pracy i specjalizacja zajęć tak przeważnie osiągnęły znaczenie, a przyspieszony niezmiernie pęd rozwoju takie zamieszanie wywołuje nieraz w duszach ludzkich. Niewiele tylko wyższych natur zdołało uniknąć tych skutków ujemnych nowożytnego rozwoju i osiągnąć pełne, harmonijne wyrobienie swego człowieczeństwa. Do liczby tych niewielu wybranych należy niewątpliwie Ernest Hello.

Ażeby wyjaśnić należycie jego stanowisko, trzeba przedewszystkiem zaznaczyć, że nie był to zawodowy literat, uczony lub filozof, nie występuje z gotowymi teoryami, wysnutymi z oderwanych od życia dążeń umysłu. Staje on przed nami poprostu jako człowiek, mający nam dużo do powiedzenia, przemawiający z pełni serca i myśli o rzeczach niezmiernej wagi i wielkiego znaczenia, których zaniedbanie lub lekceważenie nieobliczone szkody ludziom przynieść musi. A oto, żywiąc takie przekonanie, musi on patrzeć na to, jak ludzie z lekkim sercem zapominają zupełnie o tych najważniejszych rzeczach i nie nawet wiedzieć o nich nie chcą, zajęci całkowicie powszednimi drobiazgami i błahostkami. Łatwo sobie wystawić, jakie wstrząsające wrażenie taki widok wywierać musi na człowieku o gorącym sercu i niezłomnej sile przekonania. Wyobraźmy sobie podróżnika, odbywającego w gronie licznych towarzyszy daleką

i niebezpieczną wędrówkę do celu, którego osiągnięcie w oznaczonym czasie dla wszystkich jest kwestią życia i śmierci. Zna on dobrze drogę i wszystkie jej niebezpieczeństwa, śmiało podąża naprzód, pewny że we właściwym idzie kierunku. A tymczasem widzi swych towarzyszy, jak pełni wahania i niepewności zbaczają ciągle z drogi, błędzą po manowcach i ponad przepaściami i zamiast zbliżać się do celu, coraz bardziej od niego się oddalają. Żywiąc szczerą dla nich życzliwość, ostrzega ich i napomina, słowem i gestem wskazuje im drogę prawdziwą, a skoro słuchać nie chcą, pełen trwogi o nich, oburzony dobrowolnem ich zaślepieniem, podnosi głos, wybucha gniewem, nie przestaje błagać, wzywać, nawoływać.

Oto jest stosunek Ernesta Hello do jego czytelników. Przemawia do nich nie dlatego, aby ich zająć, zaciekawić i dostarczyć im pewnej sumy oderwanych wiadomości, lecz dlatego, aby ich pouczać o drogach i celach życia, zwrócić uwagę na najpoważniejsze jego sprawy i najpilniejsze potrzeby; przemawia, bo widzi, że drogi właściwe są opuszczone, że sprawy najważniejsze poszły w zapomnienie, a najpilniejsze potrzeby zostały zaniebane. Z tego stosunku naszego autora do czytelników wynika istotne znaczenie jego pism, ich charakter ogólny, nastrój zasadniczy, układ i styl odrębny; stąd też wynikają rozliczne ich zalety i wady, te i tamte przeceniane przez jednych, niedoceniane

przez innych, a zapoznavane przez ogół. Zadaniem mojem jest tu możliwie jasne i wyczerpujące ich oświecenie.

Przedewszystkiem z tego, co wyżej o nim powiedziano, można wnosić, że mamy tu przed sobą pisarza wielce oryginalnego. Istotnie posiada on własny, odrębny sposób rozpatrywania i oceniania zjawisk życiowych. Patrzy na nie nie wzrokiem uczonego badacza, który zestawia, porównywa i wyciąga wnioski, lecz wzrokiem intuicyjnego psychologa-moralisty, który bezpośrednio wnika do głębi dusz i serc ludzkich, chwytą w lot najniepochwytniejsze ich objawy, odczuwa i odgaduje najskrytsze ich drgnienia. Często jednym rzutem oka ogarnia on niezmierzone widnokręgi życia wewnętrznego i błyskawicznym odbłaskiem swej zdumiewająco potężnej intuicji rozjaśnia nagle jakieś ciemne jego obszary i tajne zakątki.

Oczywistem jest, że wyniki podobnych spostrzeżeń, zdobyte wyniesione z tak szybkich wycieczek w wewnętrzny stan duszy, nie mogły dostarczyć materiału dla obszernych dzieł i ścisłych rozpraw naukowych. Jakoż nie spotykamy ich wcale w literackim dorobku Ernesta Hello. Pisywał on wyłącznie nieomal krótkie artykuły, studia i szkice, umieszczane we współczesnych czasopismach francuzkich i, jak już wyżej wspomniałem, niedostrzeżone i nieocenione należycie przez ogół czytelników. Tutaj miejsce wyjaśnić bliżej przyczyny tego

zapoznania. Niezależnie od wzmiankowanych przyczyn ogólnych, było ono skutkiem szczególnej natury owych utworów i warunków, wśród których one się pojawiały. Te błyskawiczne rzuty myśli, tak bogatą treść obejmujące, i w tak zwięzłej, iście lakonicznej wyrażone formie, z natury swojej wymagają pilnej uwagi i głębokiego zastanowienia. Stanowią one nie tyle materiał do czytania, ile raczej zbiór tematów do rozmyślenia. Owóż dawać tego rodzaju rzeczy dzisiejszej czytającej publiczności znaczyło to nie liczyć się wcale z jej usposobieniem i skłonnościami. Dzisiejsi czytelnicy są nie od myślenia, lecz od czytania. Bo i gdzież tu znaleźć czas na myślenie wobec tej powodzi drukowanego słowa, przelewającej się nieustannie przez strudzone nasze głowy? Wobec tego nie nie pozostaje, jak tylko czytać, czytać i czytać, osobiście pisma czasowe, stanowiące główny i najbardziej rozgałęziony system kanałów i kanalików, którymi niewyczerpane masy wody literackiej napływają wciąż do umysłów ludzkich. Jeśli wśród tych wodnistych potoków znajdzie się niespodzianie jakiś strumień wyborowego wina, pełnego treści pożywnej, to któż będzie miał czas i możliwość, aby go rozpoznać? Zostanie on pochłonięty przez organizm duchowy czytelnika, który ani smaku jego nie poczuje, ani dobroczynnych jego skutków nie będzie mógł doznać i dalej chłonać będzie napływające wciąż bez miary i końca świeże potoki wody dzien-

nikarskiej. I oto jakim sposobem owo przewyborne wino genialnych myśli, którem Hello napelniał swoje utwory, przeszło niepostrzeżenie przez kanały i kanaliki prasy czasowej.

Bez wrażenia również przeminęła pierwsza oddzielnie ogłoszona (w r. 1858) praca naszego autora, zwrócona przeciwko Renanowi i zatytułowana: *Renan, Niemcy i ateizm XIX wieku*. Słynny sofista znajdował się wtedy u szczytu swej wziętości; szczupła broszura młodego nieznanego pisarza żadnej mu nie wyrządziła szkody i nawet cienia drobnego nie rzuciła na świetny blask jego sławy. A jednak gdyby wielbiciele mistrza sceptycyzmu nowoczesnego z uwagą należytą i bez uprzedzeń chcieli przeczytać wywody jego przeciwnika, możeby przyznali, że ten śmiały bojownik wiary i prawdy dotkliwy jednak zadał cios ich bożyszczu i dorównał mu, a może je nawet przewyższył siłą talentu, potęgą słowa, świetnością stylu i subtelnością ironii, w której Renan tak niezrównanym był mistrzem.

Ale cóż? Książka Ernesta Hello przeniknięta była nawskróś duchem katolickim, więc nieodzwrotnie dostać się musiała na ów wspomniany poprzednio liberalny Indeks ksiąg zakazanych, a co za tem idzie, nie mogła być czytana przez prawowiernych wyznawców liberalizmu.

Z tem samem zapoznaniem i lekceważeniem spotkało się ogłoszone w r. 1871 pierwsze obszer-

Z ŻYCIA I ZE SZTUKI.



niejsze, a zarazem najznakomitsze dzieło Ernesta Hello, zatytułowane *Człowiek*, a złożone z trzech części pod tytułami: Życie, Wiedza i Sztuka, pod którymi autor rozpatruje kolejno objawy trzech głównych dziedzin działań i dążeń ludzkich: praktyczno-życiowej, naukowej i artystycznej. Ale osnowa dzieła nie rozwija się w jednym ciągu rozumowania i systematycznym układzie. Całość składa się z mniejszych i większych rozdziałów, zawierających treść dość rozmaitą, różnymi czasy powstałych, a związanych wspólnością zasadniczych swych dążeń.

Wkrótce pojawiły się inne dzieła Ernesta Hello, zbliżone charakterem i układem do wyżej wspomnianego. Najprzód *Fizyognomie świętych* (1875) czyli zbiór krótkich, dosadnych charakterystyk różnych bohaterów chrześcijaństwa; następnie *Słowa Boże* (1878), szereg myśli i uwag, stanowiących rozwinięcie poszczególnych tekstów Pisma Świętego. W następnych zaraz latach ogłosił Hello *Opowieści nadzwyczajne* (1879 r.), będące niejako ucieleśnieniem w konkretnych faktach prawd duchowych, głoszonych przezeń wielokrotnie; oraz *Szalewagi* (1880 r.), ostatnie za życia jego wydane dzieło, zbiór studyów i szkiców krytycznych, dotyczących różnych tematów z życia i z literatury. Po śmierci autora ogłoszono jeszcze dwa dzieła: *Filozofia i ateizm*, w którym pomieszczono kilka mniejszych prac poprzednio wydanych, oraz *Wiek*, w którym znalazły pomieszczenie rzeczy, nigdy

przedtem nie drukowane i zebrane z papierów zmarłego przez jego małżonkę.

Te kilka książek średniej wielkości, oto cała pozostałość literacka po Erneście Hello, niezbyt imponująca objętością, ale przepelniona większym bogactwem treści i wspanialszymi pięknosciami formy, aniżeli liczne dziesiątki tomów wielu innych pisarzy dawniejszych lub nowoczesnych.

Wszelako na pierwszy rzut oka treść wszystkich wymienionych pism wydaje się pozbawioną zupełnie jednolitego wątku, a ich forma dziwnie porozrywaną i fragmentaryczną. Właściwości te wynikają z określonego powyżej sposobu tworzenia Ernesta Hello i jego stosunku do czytelników, ale dotyczą one bardziej pozoru, aniżeli istoty rzeczy i nie wykluczają wcale zasadniczej jedności dążeń duchowych.

Ażeby sobie wyjaśnić tę sprawę, wrócimy do pierwszego i najważniejszego z dzieł wymienionych.

Na czele książki *O człowieku* pomieścił autor krótką przedmowę, w której ze zwykłą sobie dobitną zwięzłością określa cel swej pracy i podnosi istotną, imo przeciwnych pozorów, jednolitość jej osnowy.

„Książka ta — mówi Hello — jednolita jest istotowo, a różnolita przypadkowo. Jedność jej polega na przedstawieniu wszędzie zastosowań tej samej zasadniczej prawdy i na śledzeniu w życiu, w wiedzy i w sztuce za jej rozlicznymi odbiciami

i symbolami. Chciałem tu pokazać życie, wiedzę i sztukę jako trzy zwierciadła, w których to samo odbiło się oblicze, jako trzy gałęzie tego samego drzewa, jako trzy artykuły tego samego prawa:

Jedność w porządku przyrodzonym.

Jedność w porządku nadprzyrodzonym“.

Słowa te określają doskonale ogólny charakter dzieła. Istotnie, jednolitość jego jest niewątpliwą dla każdego, kto wniknie głębiej w jego ośnowę i z właściwego nań spojrzy punktu widzenia. Punkt ten oznaczyłem poprzednio, podnosząc bezpośrednie odbicie w pismach Ernesta Hello czysto ludzkiej jego indywidualności. Tem on się wyróżnia wybitnie od ogółu uczonych, abstrakcyjnych myślicieli, którzy z oderwanych swych idei tylko przez odpowiedni ich układ i logiczne połączenie tworzyć mogą jednolite konstrukcje umysłowe. Hello mógł się doskonale obejść bez tej pracy konstrukcyjnej, gdyż jego idee miały organiczną między sobą łączność, wynikłą z jedności dążeń życiowych, z których się poczęły. A jedność ta wyjątkowa jest prawdziwie, nieomal bezprzykładna we współczesnym rozwoju duchowym, rozerwany i zamąconym przez niezliczone sprzeczne prądy. Za podstawę tej jedności służy niewzruszona wierność zasadzie chrześcijańsko-katolickiej. Z jej wysokości rozważa Hello cały ogół roztaczającego się dokoła życia: ocenia wszystkie jego zjawiska, oznacza wszystkie jego kierunki.

Tutaj przewiduję nieuchronny zarzut ze strony bezwzględnych wyznawców antichrześcijańskiego liberalizmu. „Jeżeli — powiedzą oni zapewne — będący w mowie autor zajmuje tak wyłącznie katolickie stanowisko, to musi być niewątpliwie zagorzałym reakcjonistą, chwalcą średnich wieków, wrogiem nowożytnego postępu, człowiekiem jednostronnych i ciasnych poglądów“. Nie miejsce tu na zasadniczą w tej kwestyi dyskusję, zauważę tylko, że w danym wypadku przynajmniej wspomniane zarzuty najzupełniej są bezpodstawne. Ci, co je stosują do wszystkich pisarzy katolickich, niechby przeczytali dzieła Ernesta Hello. Choćby się wzięli do tego z największym nawet uprzedzeniem, przekonają się niewątpliwie, że autorowi książki „O człowieku“ wszystko prędzej można zarzucać, aniżeli reakcyjność lub ciasnotę poglądów. W następstwie przekona nas o tem dowodnie bliższe wniknięcie w niektóre zasadnicze jego idee; obecnie rozważmy tę sprawę ze stanowiska ogólnej charakterystyki naszego autora.

Owóż myliłby się bezwzględnie ten, ktoby przypuszczał, że jest on obcy dążeniom współczesnego życia, że jest to jakiś Epimeteusz, jakiś duch przeszłości, zabłąkany przypadkiem w naszym stuleciu. Zdarzają się po wszystkie czasy takie duchy na świecie i często mogą być zaliczone do najlepszych i najszlachetniejszych w danej epoce. Ale nasz autor nie należał do ich liczby. Pomimo swej pra-

wowitości katolickiej, Hello w całym znaczeniu tego słowa jest pisarzem i myślicielem nowoczesnym. Chociaż natchnienia czerpie bardzo często u wielkich duchów chrześcijańskich dawno minionych wieków, żyje całkowicie w teraźniejszości i światłem okiem w przyszłość spogląda. Jest to prędzej Prometeusz, aniżeli Epimeteusz, człowiek przyszłości, nie przeszłości. Daremnie szukalibyśmy w jego dziełach tęsknych spojrzeń ku dawnym czasom, żalonych za nimi westchnień. A już najmniej skłonności okazuje on dla średnich wieków. Owszem zadziwiającą jest nawet jego obojętność dla tej epoki. Zdaje mi się, że literalnie ani razu nie wspomina o niej w swych pismach, a już z pewnością nigdy nie poświęca jej baczniejszej uwagi. Jest to nawet rażący niedostatek jego pism. I tak np. znajdujemy w nich krytyczne poglądy na wszystkich prawie znamienitszych poetów epoki nowoczesnej, nie napotykamy zaś ani jednej uwagi o genialnym twórcy „Boskiej Komedyi“. Przyznam się, że przez czas długi nie umiałem sobie wytłumaczyć tej obojętności tak wybitnie chrześcijańskiego pisarza dla największego z chrześcijańskich wieszczów; dopiero po wielokrotnem zastanowieniu doszedłem do zrozumienia istotnej jej przyczyny. Zawiera się ona w stosunku naszego myśliciela do życia nowoczesnego. Hello tak pochłonięty jest przez bieżące jego sprawy, tak zapatrzony w przyszłe jego drogi i kierunki, iż zjawiska przeszłości,

same przez się, nie mogą obudzić jego zajęcia. Jeżeli zwróci ku nim oczy, to jedynie w zamiarze odnalezienia w nich jakichś wskazówek, mogących posłużyć do rozwiązania zagadnień doby obecnej lub mającej nadejść. To też zwraca się przeważnie ku bliższej nam przeszłości, w której poczęły się i rozwinęły wszystkie główne prądy naszych czasów. Średnie wieki zbyt są odległe i odosobnione od spraw bieżących, aby mogły żywiej go zajmować, dlatego też i wielki ich rzecznik w poezyi, choć tak bliski mu duchem i dążnościami, nie znalazł miejsca w jego pismach. Gdyby Hello powodował się osobistem upodobaniem, gdyby pisał dla zaspokojenia własnych skłonności, z pewnością nie pominąłby Dantego, którego wzniosłą poezję tak bardzo zdolny był odczuwać. Ale, jak wyżej rzeczono, przemawiał on do swoich czytelników nie jako zawodowy literat, lub literacki dyletant, lecz jako człowiek, mający im wiele do powiedzenia o sprawach niezmiernie ważnych, a bezpośrednio ich obchodzących. A te sprawy tak były liczne, pilne i tak straszliwie zamięszone! Gdzież wobec tego możność zajęcia się zjawiskami przeszłości, choćby najdonioślejszemi w swej istocie zewnętrzej lub w swem historycznym znaczeniu?

Wszelako jeśli Hello oddany jest przeważnie zagadnieniom epoki bieżącej, lub mającej nadejść, nie znaczy to, aby on miał coś wspólnego z tak zwanymi dzisiaj modernistami, upędzającymi się

zapamiętałe za tem, co najnowsze i najosobliwsze we współczesnych dążeniach życiowych. Z takim upodobaniem związane jest namiętne pożądanie zmian, gdy tymczasem Hello tó tylko ceni istotnie, co jest niezmiennie i wieczne. Można powiedzieć, że patrzy on zawsze na świat pod kątem wieczności i poczytuje go za jedynie słuszną miarę zjawisk. Na tem polega niezmienna szerokość jego poglądów, będących krańcowem przeciwieństwem wszelkich sądów ciasnych i jednostronnych. A przyczyną tego rozległego widzenia rzeczy jest zasada chrześcijańsko-katolicka, której Hello tak wiernym był wyznawcą i tak wymownym rzecznikiem. Pojmował on ją w najczystszej, a zatem w najwznioślejszej jej treści, jako zasadę jedności dążeń wszechludzkich, jako ich ideał najwyższy i cel ostateczny. Wierzył, że jeśli ona nie osiągnęła dotąd pełnej realizacyi w zbiorowem życiu społecznem, jeśli tak często była wykrzywiana i tak wielu liczy odstępów, to dowód, że zepsuta przez grzech pierwotny natura ludzka okazała się dotąd niezdolną do przyjęcia i przyswojenia sobie jej treści istotnej. Zasada nie poniosła dotąd żadnego uszczerbku, stoi zawsze w całej swej prawdzie i wzniosłości, ale praktyka ubiegłego życia nie zdołała jej osiągnąć i tylko w przyszłości podnieść się do niej może i podnieść się musi, jeśli nie ma pozostać na zawsze straszliwą, nierozwiązalną zagadką lub zaprzeczeniem swej własnej naistotniejszej

szej treści. Tak więc dziedzina idei chrześcijańskiej zawiera się nie w przeszłości, jak chcą zaślepieni jej przeciwnicy, lecz w przyszłości, w przyszłym rozwoju i postępie całego człowieczeństwa.

Oto jest zasadnicza myśl Ernesta Hello, przewijająca się we wszystkich jego pismach i wyznaczająca właściwy mu punkt widzenia, z którego on się zapatruje na wszelkie sprawy, zjawiska i stosunki świata ludzkiego. Jest to punkt widzenia niezmiennie wyniosły, wzniesiony nieskończenie ponad rzeczywistość powszedniego bytu ludzkości do szczytu idealnych, duchowych jej dążeń. Z takiego stanowiska dopiero byt jej ziemski ukazuje się w całym swym przebiegu i we właściwym swym kierunku, jako poczęty z nadziemskich, Bożych przeznaczeń i przez pełne ich rozwinięcie do Boga dążący. Jak rzeka w głębinach ziemi czerpie swe wody z górnych sfer opadłe i przez obszary ziemskie niesie je do morza, skąd one w postaci pary ku górnym wznoszą się znów strefom — podobnie rozwój ludzkości, poczęty w głębinach doczesnego bytu, zawiera w sobie pierwiastki duchowe wiecznego, niebiańskiego pochodzenia, z nich czerpie odżywczą swą siłę i przez nie uniesiony zostaje ku górnym bezmiarom Boskiego świata.

Ale ten strumień wszechludzkiego rozwoju różnym ludziom różnie się przedstawia. Są tacy (i ci są najliczniejsi), co na nizinach zawsze przebywa-

jąc, ogarniają wzrokiem tylko maleńki jego kawałek i nie troszcząc się o źródła i ujście wód jego, widzą w nich tylko motor do poruszania swych młynów i młynków życiowych, lub środek do użyczenia swych doczesnych ogrodów lub ogródków. Wszelako i ci, co na wyżynach mieszkają, nie zawsze jasno widzą cały przebieg strumienia. Niektórzy ludzie, jak trafnie powiedział pewien autor francuzki, noszą ze sobą swój widnokrąg. Postawcie ich na najwyższej górze, oni zawsze będą widzieli zakres swego biurka lub swego gospodarstwa. Inni widzą daleko, ale niedokładnie lub fałszywie, bądź dlatego, że patrzą przez szkła fałszywych doktryn, bądź też dlatego, że mają zawsze przed oczyma ciężkie opary ziemskie, lub lotne mgły abstrakcyi. Ażeby widzieć daleko, dużo i jasno, trzeba stać na bardzo wysokich szczytach w bardzo czystej atmosferze, trzeba patrzeć okiem szczero ludzkiej duszy przy słonecznem świetle wiekuistej prawdy Bożej.

Tak patrzył na świat Ernest Hello, to też widział go z przedziwną jasnością i w całej rozciągłości bezmiernych jego obszarów.

Jakież to wzloty myśli i porywy serca, jakież gienialne błyski natchnienia, rozjaśniające tajniki spraw Boskich i ludzkich!

Niezrównaną plastykę w oddaniu swoich myśli Hello osiąga wcale nie przez właściwą twórczość artystyczną lub poetycką. Daremnie szukalibyśmy

w jego pismach obszernie rozwiniętych obrazów, sytuacji, charakterów, rzadko kiedy nawet zdarza się w nich jakaś dłuższa przenośnia lub porównanie szerzej przeprowadzone. Składają się one przeważnie z oddzielnych, dość luźno połączonych zdań, orzeczeń o przysłowiowej dosadności i zwięzłości iście lapidarnej. Gdzież tajemnica ich siły? Zawiera się ona całkowicie w bezprzykładnej, fenomenalnej intuicji. Hello to intuicyjny psycholog-moralista, jakiemu równego niełatwo znaleźć na świecie. Przy pomocy tej zagadkowej władzy duszy przenika on nawskróś charaktery ludzkie i zagłębia się w najskrytsze zakątki życia; dostrzega także niedostępne jego zjawiska i odgaduje niekiedy takie tajemnice, jakich nikt pono przed nim nie dostrzegł i nie odgadnął. Stąd wynika szczególny urok jego pism. Ich znaczenie doniosłe polega na wysokiem stanowisku moralno-religijnem, jakie w nich autor zajmuje.

Patrzącemu z bardzo wyniosłych szczytów świat wydaje się dość marnym w swych szczegółach, nieskończenie pięknym i wzniosłym w obejmującym je ogólnym widnokręgu. W taki sposób widzi też Hello moralny świat ludzkości z wyżyn idei chrześcijańskiej. Nikt nie odczuł potężniej całej wzniosłości istotnych zadań życia i nikt nie uwzględnił dobitniej całej marności jego drobiazgowych zabiegów, samolubnych pragnień i niskich pożądań. Czasami nawet okazuje się Hello zbyt bezwzględ-

nym w swych surowych sądach o wszystkim, co małe, drobne i pospolite, w swych gromowych potępieniach, rzucanych na wszelką płaskość i nikczemność życiową. Nie uwzględnia przyrodzonej ułomności rzeczy ludzkich i wynikających z niej nieuchronnie zboczeń ludzkiej natury. Unoszony jest gwałtownym porywem ku absolutnym ideałom prawdy i dobra, oraz pragnieniem doskonałej harmonii bytu, którą określił tak dobitnie jako: jedność w porządku przyrodzonym i jedność w porządku nadprzyrodzonym. Ta bezwzględna i gniewna niewyrozumiałość jest niewątpliwie słabą stroną moralisty, niezdolnego wznieść się do spokoju mędrca i wszechmiłości świętego, ale ta wybujała energia dążeń, pragnień i wierzeń jest może najsilniejszą stroną gienialnego pisarza, występującego w epoce, w której ludzie tak słabo pragną rzeczy prawdziwie wielkich, tak mało wierzą w nadprzyrodzone zadania życia i tak rzadko dążą do zjednoczenia się w ideale miłości chrześcijańskiej.

Może więc nie bez pożytku będzie obznajomienie szerszego ogółu polskiego z ważniejszymi utworami owego zapoznanego bojownika tych wszystkich tak zapoznanych i zaniedbanych rzeczy. W tem przekonaniu niżej podpisany wedle swych sił i możliwości dokonał niniejszego przekładu i oddaje go obecnie do rąk czytelników polskich, z nadzieją, że będą oni umieli ocenić należycie skupione w nim

uczucia i myśli jednego z najlepszych i najsłachetniejszych ludzi naszego wieku.

Na zakończenie jeszcze słów kilka o wyborze i układzie utworów, wchodzących w skład obecnego przekładu.

Jak wyżej rzeczono, Ernest Hello pisywał poważnie krótkie, niekiedy fragmentaryczne szkice i studia, które kilkakrotnie ogłaszane bywały w zbiorowych wydaniach za życia i po śmierci autora. Główny i najbardziej znany z tych zbiorów, noszący tytuł „*L'homme*” wydawał się zrazu najodpowiedniejszym do przełożenia w całości na język polski. Przy bliższej jednak rozwadze okazało się, że jakkolwiek większość zawartych w nim utworów pełna jest głębokiej, zasadniczej treści o niespożytem i wszechludzkiem znaczeniu, to jednak niektóre z nich bądź to dotyczą zagadnień zbyt wyłącznych, bądź nie posiadają należytego wykończenia i ugruntowania, bądź wreszcie grzeszą zaznaczoną powyżej, jako ujemny rys naszego autora, zacieklą i niewyrozumiałą bezwzględnością poglądów. Natomiast w dwóch innych zbiorach utworów Ernesta Hello: „*Le siècle*” i „*Les plateaux de la balance*” znalazły się rzeczy, będące objawem najwyższych i najszcześliwszych jego natchnień. Wobec tego tłómacz, zasiągnawszy jeszcze rady osób światłych, a z pismami Hello gruntownie obznajomionych, doszedł do przekonania, że chcąc o ile można dokładnie i wszechstronnie zapoznać czytelników pol-

skich z genialnym myślicielem francuskim, należy wybrać i przełożyć z trzech wspomnianych zbiorów utwory, w których ujawniają się najbardziej zasadnicze i charakterystyczne strony czysto ludzkiej jego indywidualności.

Wedle tej zasady dokonany został wybór zebranych w niniejszym przekładzie pism Ernesta Hello, przyczem oczywiście dzieło „O człowieku“, jako skupiające w sobie najistotniejsze myśli i dążenia autora, dostarczyło największej liczby rozdziałów; nieliczne stosunkowo rozdziały wzięte z dwóch pozostałych dzieł zaznaczone zostały w odpowiednich odnośnikach.

Walery Gostomski.

CZEŚĆ I.

—♦—
Ż Y C I E

Jedyna rzecz potrzebna.¹⁾

I.

Są okoliczności zmuszające człowieka do zagłębienia się w siebie. Czuje on wtedy, jak rozwiewają się utopie, w których położył całą swą ufność, a rzeczywistość surowa widomie przed nim staje.

Ale zdrowy rozum tak głębokiemu uległ zamąceniu, iż często rzeczy tracą właściwe swe imiona. Co to jest utopia? Co to jest rzeczywistość? Jakie rzeczy należą do dziedziny snów? Jakie do dziedziny jawu?

Pewnego dnia młoda dziewczyna przygotowywała posiłek dla gościa, który przyszedł u niej spocząć. „Mistrzu“, rzekła, „siostra moja odmawia mi swej pomocy“. A gość odpowiedział: „Jedyna tylko rzecz jest potrzebna“. Marta zrozumiała w pewnej mierze przynajmniej słowa nieskończenie głębokie, przez

¹⁾ *Le siècle.*

które Chrystus ustanowił wyższość Maryi nad nią, Marta zrozumiała, ale świat, do którego Bóg przemawiał, dotąd nie zrozumiał.

Świat sądzi do dziś dnia, że chrystyanizm jest specyalnością tych, którzy myślą o życiu przyszłym, specyalnością mistyków. I mistycyzm uznany został za marę senną, godną szacunku może, ale nie użyteczną z pewnością.

Dlatego świat, który ma potrzeby rzeczywiste, praktyczne i pilne, całą ufność swoją położył w sile swej i zręczności.

II.

Ale oto ludy nie wiedzą jak stawić czoło trudnościom rozlicznym swego położenia, chociaż posiadły to, czego pragnęły. Pragnęły zgłębić materię, zbadać ją, opanować i osiągnąć to.

Widzą one, że materya nie rozwiązuje zagadnień występujących w życiu, przeciwnie czyni te zagadnienia jeszcze zawilszemi. Odkrycia ich nie zawierają żadnej odpowiedzi; przemyśl ich pozostaje niemy. Ich oręż śmierć roznoszą, żadne ich narzędzie nie daje życia. Narody postępują naprzód, podnosząc coraz to nowe zagadnienia, podobnie jak wojska w pochodzie podnoszą tumany kurzawy, i w tej pomroce stracili swą drogę właściwą.

Dano było wiekowi XIX roztoczyć dokoła człowieka cuda przemysłu, usadowić zwycięzcę wśród jego zdobyczy i rzec mu: Położyłeś swą

ufność w tych wynalazkach, więc umrzesz wpośród nich, umrzesz na nich, umrzesz przez nie!

W wiekach poprzednich ludzkość doznawała utrapień poszczególnych, obecnie doznaje utrapienia ogólnego. Miota się w zamęcie, nic nie mogąc przywieść do ładu. Mimo wszelkich starań, osiąga zawsze ten sam skutek: powiększa wciąż nieład.

W czasach dawniejszych człowiek poruszany był przez pewne namiętności, jak: miłość, nienawiść, zazdrość, skąpstwo; wśród obecnego społeczeństwa powstała literatura, która stwierdza, że zamęt przeniknął do samego dna duszy i powiększył zamieszanie dawniejszego nieładu. Poza namiętnościami znanymi i nieznanymi widzimy powracającą ową namiętność, która obca była z imienia wiekom chrześcijańskim. a którą poganie zwali: *toedium vitae*.

Owóż, to *toedium vitae* nie jest niczem innym, jak niezmierną potrzebą Boga.

Podczas gdy literatura w niepokojach współczesnej duszy ludzkiej widziała tylko środek wzbudzenia nowych wrażeń, społeczeństwo rzeczywistością swoich wstrząśnień stwierdzało całą grozę zła.

Wiek nasz dotąd był wiekiem trzęsień ziemi. Żadna rzecz nie jest dzisiaj zdolna rozwijać się własną mocą; wiedza tonie w materyalizmie, sztuka w realizmie. Doszedłszy do tego kresu sztuka poczytuje

swe rany za ozdoby i zdobywszy trumnę, sądzi, że zdobyła tron.

Ta sama choroba, która opanowała sztukę, opanowała i społeczeństwem. Społeczeństwo sądzi, że stało się bardziej rzeczywistym, dlatego że położyło swą ufność w rzeczach materialnych. Skoro realizm zapanował w społeczeństwie, cywilizacja wpadła w utopię straszną i płaską: uwierzyła w zbawienie przez przemysł.

Człowiek współczesny, stosując materię do coraz nowych użytków, uwierzył, że wśród tysiąca postaci, które ona przybiera, przybierze postać Zbawcy.

Poczytał za marzycieli tych, co mówili o wierze, nadziei, miłości i uwielbieniu; uwierzył, że nie był człowiekiem praktycznym. Ten, który rzekł: „Szukajcie najprzód Królestwa bożego i jego sprawiedliwości, a reszta będzie wam przydana“.

I dlatego człowiek współczesny doszedł do kresu. Porzucił on zdobycz istotną dla jej pozorów.

Ów mędrzec „pozytywny“ nie domyśla się jeszcze, że opuścił dziedzinę tego, co pozytywne. Posługuje się on swymi zdobyczami, aby się pograć w utopii. W miarę jak coraz głębiej zapadał w sen, marzenia senne wydawały mu się coraz prawdopodobniejszymi. Tak samo jak w zwyczajach życia zewnętrznego, człowiek nawykł robić z nocy dzień, a z dnia noc, tak i w wewnętrznym swym życiu usiłował uczynić z marzenia

rzeczywistość, a z rzeczywistości marzenie. Ale natura rzeczy oparła się tej przemianie; marzenie pozostało marzeniem, rzeczywistość pozostała rzeczywistością.

Jezus Chrystus pozostał tem, czem był: kamieniem węgielnym świata i światów!

Pozostał potrzebą powszechną. Ludzie nie chcą Go, mówią, że jest marzeniem, ale On jest rzeczywistością i żaden ład realny bez niego powstać nie może.

III.

Historia opowiada nam o usiłowaniach człowieka, by osiągnąć zbawienie bez Boga. Człowiek próbował zawsze wynaleść na swoje cierpienia środki uśmierzające.

Woli on środki uśmierzające od leczniczych, gdyż pierwsze sam wynalazł, drugie pochodzą od Boga. Pozostawiając rzeczy duchowe tym, których nazywał marzycielami, człowiek zamknął się w swej własnej dziedzinie i uważał ją za twierdzę niezdobytą. A imię tej twierdzy: Wieża Babel. Niezgoda zapanowała w samym środku owej twierdzy. Społeczeństwo, rozdzielone w sobie, poczęło ginąć. Prawda je przygniatała, a nie oświecała go i człowiek umierał nie pojmując jej. Umierał, a synowie prowadzili dalej dzieło ojców, pozostawiali Boga kobietom i szukali zbawienia sami w sobie.

Niekiedy wspaniałomyślnie usprawiedliwiali tych,

którzy poszukiwali życia w istotnych jego źródłach, przyznawali marzycielom pewne przymioty umysłu i serca, na które w wolnych chwilach warto zwrócić uwagę, ale powracając niebawem do myśli poważniejszych, powracali do swoich interesów. Dostarczywszy im przez pewien czas zabawy i zajęcia, przedsięwzięcie ich upadało, jak niegdyś przedsięwzięcie ich ojców. Jak ojcowie i oni umierali, nie pojmując, a podobni do nich synowie usiłowali znowu wydoskonalić jakąś maszynę, przypisując niepowodzenie dzieciństwu przemysłu, nieudolności początkowych usiłowań. I zachodzili dalej w pogardzie marzycieli, składając hołdy uwielbienia przemysłowi.

Tymczasem oto wiek XIX, najuczestniejszy wśród wszystkich wieków i najdumniejszy ze swej wiedzy, powtarza sam, iż nie wie, co począć.

Pod względem zabiegliwości przemysłowej, pod względem interesów materialnych uczynił wszystko co mógł, więcej nawet, niż się mógł spodziewać, a jednak nie wie co począć; a ponieważ przywykł szczyścić się wszystkim, szczyści się swą rozpaczą. Rozpacz ta zaś nikczemna jest i bezpłodna.

IV.

Ponieważ materya, przyparta do muru, zgłębiona w swej istocie, wyznaje swą niemoc, jest tylko jedna droga: droga nawrócenia.

Najwyższa potrzeba ducha, którą jest prawda

i sprawiedliwość, staje się najwyższą potrzebą życia; nieodzowna potrzeba Chrystusa zstąpiła z dziedziny kontemplacji do dziedziny faktów. Chrześcijaństwo nie tylko jest koniecznością moralną świata, lecz stało się też koniecznością jego materialną; jest ono tak nieodzowne, że śmiało poczytywać je można za jedyny środek zbawienia. Półśrodki są już wyczerpane, tylko prawda może tu znaleźć zastosowanie. Niema dwóch różnych Zbawicieli dla tego świata i dla tamtego; jest tylko jeden Zbawiciel: Ten, który przed dziewiętnastu wiekami przemawiał do Marty i Maryi.

Gdy majtek jest na stałym lądzie, bluźni i upija się; ale pewnego dnia wsiada na okręt i w chwili pożegnania żona lub siostra zawiesza mu na szyi medalik Matki Boskiej. Skoro burza się zrywa, majtek przypomina sobie o nim. Burza oznajmia mu swym głosem strasliwym, jak dalece nie wystarczającą jest umiejętność kapitana i zwinność załogi i wpośród manewrów okrętu czoła marynarzy pochylają się w modlitwie.

Wśród najmaterialniejszych zajęć, najmaterialniejsze ze wszystkich niebezpieczeństw przypominało im najbardziej duchową i najbardziej mistyczną z potrzeb ludzkich: potrzebę modlitwy. Majtek, który przed chwilą pil i przeklinał, postępuje zgodnie z Karmelitanką, pogrążoną w modlitwie o wiele mil od niego.

Przez gwałtowność wyuzdanych żywiołów materialnych wprowadzony on jest do dziedziny ducha i kto wie, jak wysoko w niej sięga; być może, iż jednym skokiem prześciga tych, którzy go niegdyś nauczali, często bowiem chwile starczą za wieki. Świst wichru jest przeraźliwy, okręt jest kruchy, morze jest głębokie, a wieczność bardzo nieznana.

Tę potrzebę duchową, która marynarzom objawia się w burzy, objawia dzisiaj wszystkim wszystko.

Unum est necessarium.

Jedyna rzecz potrzebna, jedyna rzecz, której nie chcieliście, jedyna rzecz, którą uznaliście za zbyt czną i śmieszną, jest to rzecz, której wszystkie rzeczy pożądata, jako swej zasady, jako swego łącznika, jako swego światła; inaczej wszystko się zapadnie, a wy umrzecie.

Niewiedomość religijna.

Nic bardziej nie pociąga ludzi ku sobie i nie oddala ich od siebie, jak mniemanie, które mają o swej wiedzy, lub o swem nieuctwie.

Uczucie, skłaniające człowieka otaczać się tymi, których uważa za wykształconych, a oddalać od siebie tych, których uważa za nieuków, uczucie to tak jest głębokie, że kieruje ludźmi mimo ich wiedzy. Jest ono tak potężne, że aby mu się oprzeć, potrzeba pobudki nadzwyczajnej, najczęściej pobudki pochodzenia nadprzyrodzonego. Człowiek wykształcony, pozostawiony samemu sobie, pogardza człowiekiem niewykształconym. A człowiek ów, pogardzający bliźnim ze szczytu swej wiedzy, nie domyśla się, jak wielka jest jego własna niewiedomość.

Ludzie łapią się na słowa. Jest to tak prawdziwe, że staje się aż dziwne, a przynajmniej powinno zadziwiać. Nie trudno jest wzbudzić szalony gniew człowieka, zowiąc rzecz jakąś pewnem mianem i na odwrót wzbudzić jego zadowolenie,

zowiąc tę samą rzecz innem mianem. Kościół katolicki ma wielu wrogów, a nazwa jego nie podoba się wielu ludziom. Gdyby im mówiono o Zgromadzeniu powszechnem, być może, iż doznałoby uczucia sympatycznego zaciekawienia i w sposób nieokreślony odczulioby wrażenie jedności i wielkości. Ażeby osiągnąć taki skutek, dość nazwać tę samą rzecz nie powszechnie używaną nazwą grecką, lecz mniej używaną nazwą polską.

Zgromadzenie powszechne tłumacząc po polsku, albo Kościół katolicki, mówiąc po grecku, jest jedną z instytucyj najmniej znanych na świecie.

Nieuctwo wtedy szczególniejszej osiąga rozpowszechnienie, gdy się kryje pod cudzoziemskimi nazwami, nawet rozumianemi powszechnie; występuje ono najczęściej w sprawach, dotyczących teraźniejszości, skoro ta teraźniejszość jest zarazem wiecznością.

Ludzie wielbią przeszłość. Żywią oni dla tego fałszywego a martwego bożyszcza cześć najwierniejszą, poświęcają mu najchętniej najwspanialsze ofiary, jak przyszłość i Wieczność. Oni tak skąpi zazwyczaj stają się hojnymi, skoro mają składać przeszłości swe ofiary; oni tak zazdrośni, stają się wtedy bezinteresownymi; oni tak pyszni padają na twarz przed starodawnymi postaciami, przed którymi zwyczaj schyla ich głowy i radziły niekiedy unicestwić się przed niemi. Dość, że rzecz

jakaś należy do czasów starożytnych, aby zasłużyć na uwagę, na badanie i uwielbienie ludzkie. Nie jeden uczony szczyciłby się zapewne, gdyby odkrył jakiś nieznany szczegół o Julianie Apostacie, nazwisko jego kucharza n. p. Uczony za nic liczy pracę dnia i nocy, skoro żywi nadzieję, iż będzie mógł świat obdarzyć nową wiadomością o jakimś starożytnym Greku lub Rzymianinie. Aby pobudzić ludzi do tej ofiary, ów Grek lub Rzymianin musi być bardzo starożytny. Gdyby człowiek nowożytny i żyjący potrzebował pomocy uczonego w jakiejś żywotnej sprawie teraźniejszości, uczony odpowiedziałby, iż nie ma czasu. Należy on całkowicie do tych, którzy go nie potrzebują i których on nie potrzebuje.

Wiedza ludzka tak pojęta, sama martwa i przeznaczona dla martwych, nie posiada ani życia, ani miłości.

Teraźniejszość jest o wiele mniej znana niż przeszłość, historia współczesna jest najmniej głośna ze wszystkich historii. Wszelako jeśli chodzi o rzeczy teraźniejsze i przemijające, znaleźć można nie mało dokładnie z niemi obznajomionych erudytów, ale jeśli chodzi o rzeczy teraźniejsze a wieczne, liczba znawców zmniejsza się nadzwyczajnie.

Ludzie wykształceni wstydziłiby się, gdyby nie wiedzieli o bitwie pod Maratonem, a jeszcze więcej o owej walce Termopilskiej, która znalazła

tylu wielbicieli wśród niezliczonych pokoleń ludzkich.

Ale ci sami ludzie wykształceni bez rumieńca wstydu mogą nie wiedzieć co to jest Kościół katolicki. Znajomość nawet względna dotyczących go rzeczy i spraw, nie wchodzi w zakres wiedzy człowieka wykształconego. Nie wolno zapomnieć konjugacji, ale zupełnie dozwolone jest zapomnieć katechizmu.

Zapomnienie to objawia się w tysiąc różnych sposobów, bo Kościół katolicki złączony jest ze wszelkimi możliwymi stosunkami bytu ludzkiego.

Mam tutaj na względzie tylko stronę doktrynalną i filozoficzną. Bardzo rozpowszechniony przesąd utrzymuje, że *Credo* katolickie należy do przeszłości i że filozofia nowożytna zastępuje go obecnie.

Osobliwem jest, że ów przesąd znalazł przyjęcie i rozpowszechnienie u ludzi przeszłości, u tych samych, którzy zupełnie słusznie zasługują na zarzut, czyniony przez nich bezzasadnie Kościołowi wiecznemu. Ten lub ów uległy niewolnik Cyserona, Platona, Wirgiliusza, lub Horacyusza wyrzuca Kościołowi katolickiemu, że mu nie wskazał dróg przyszłości.

Poczytywać naukę katolicką za przeszkodę w natchnieniu artystycznym, oto błąd osobliwy. Poczytywać ją jako proste tylko rozwinięcie inteligencji ludzkiej, jest to tego samego rodzaju nedoręczna przeciw niej wycieczka. A jednak tysiąc przykładów, wszystkie najświeższej daty, okazują, że po-

dobne wycieczki nie są niemożliwe. Zdarzają się śmiałkowie, którzy niczego się nie zleknią.

Jeżeli rzucimy okiem na mapę ziemi, przedstawia się nam ona odrazu podzieloną na dwie odmienne części: świat cywilizowany i pozbawiony cywilizacji, świat cywilizowany i barbarzyński. Owóż świat cywilizowany, to świat chrześcijański; barbarzyństwo jest wszędzie, gdzie niema chrześcijaństwa. Ta uwaga jest tak naiwna, że przez to samo staje się uderzającą.

Ale skoro chodzi o sprawy boże, rzeczy najprostsze nie są brane w sposób prosty. Człowiek rozliczne ma wagi i miary, a zasady uznane za niewątpliwe, skoro chodzi o rzeczy ludzkie, nie powodują jego słowami, skoro chodzi o rzeczy boskie.

Oto przykład:

Niewiadomość istotna, lub choćby tylko pozorna, jest jednym z niedostatków, których człowiek najbardziej się wstydzi. Wstyd przez nią wzbudzony jest dość osobliwy. Zdaje się przewyższać to, czem być powinien, gdyż w oczach ludzi jest on większym z powodu pewnych niewiadomości, aniżeli z powodu pewnych występków. Człowiek, który czuje się grzesznikiem, nie doznaje żadnego niepokoju wobec innych ludzi. Patrzy im prosto w oczy, poczytując ich za podobnych sobie braci, lub, jeżeli chcecie, za podobnych sobie wrogów, zbliża się do nich i jest z nimi poufały.

Czuje się u nich jak u siebie. Ale człowiek, poczuwający się do nieuctwa, doznaje wpośród ludzi, których uznaje za wykształconych, szczególnego zawstydzenia. Ma minę jakby należał do jakiejś niższej rasy. Jest o wiele więcej zawstydzony, aniżeli winowajca, nie śmie głowy podnieść, otwiera usta z trwogą. Lęka się tego, co ma powiedzieć. Podejrzewa o złośliwość najniewinniejsze spojrzenia i uśmiechy otaczających, nawet okazywaną mu przez nich życzliwość i serdeczność.

Człowiek, który nie zna chemii, wystrzega się rozmowy o niej; człowiek, który nie zna historii, unika starannie tematów historycznych w rozmowie. Sława uczonego, osobliwie gdy chodzi o nauki specjalne, zapewnia względy innych ludzi, o wiele nawet przewyższające zasługi. Obawa mówienia o rzeczach nieznanych porusza w człowieku tak dobre jak i złe skłonności: miłość własna i skromność zarówno lękają się tego niebezpieczeństwa. Tak się rzeczy mają, dopóki nie wchodzi w grę Prawda chrześcijańska.

Ale jeżeli o nią chodzi, prawo, które zaznaczyłem wyżej, przestaje istnieć: pierwszy lepszy prawnik chybił trafił, co mu tylko do głowy przyjdzie. Nietylko, że wspomniane prawo przestaje istnieć, ale występuje prawo wprost odwrotne. Im głębsza niewiedomość, tem większa pewność siebie. Skoro niewiedomość jest mniej głęboka, krytyka staje się

względniejszą. Skoro człowiek wygłaszający ją naprawdę jest uczonym, mówi z drżeniem trwogi w głosie.

„W miarę jak człowiek wznosi się ku niebiosom, powiedział św. Dyonizy, pogląd jego na świat ma więcej prostoty, a mowa staje się zwięźlejszą; podobnie gdy przenikamy w święty mrok mistyki, nietylko słów poczyną nam braknąć, ale nawet język i myśl odmawiają nam w końcu posłuszeństwa“.

Pewną jest rzeczą, że człowiek wstydi się niewiadomości, a wstyd ten dotyczy wszystkiego za wyjątkiem chrześcijaństwa.

Niewiedomość w tym ostatnim względzie w tyśiącznych objawia się postaciach, ale najczęściej przyobleka się w jedną z nich. Ma pewną ulubioną metodę, pewien gust, pewne upodobanie, pewną namiętność i manię. Manię łączenia Chrześcijaństwa z przeszłością.

Powiedzieć, że Chrześcijaństwo dobre było niegdyś, a dziś przestało być dobrem, łączyć je w myśli ze wszelką starzyzną, z wszelkimi nadużyciami, przesadami, z tem wszystkim, czego ludzkość zupełnie słusznie nie cierpi: oto szczyt niewiadomości.

Albowiem zważmy to dobrze: taż sama ludzkość, bałwochwalczyni przeszłości, uznaje jednocześnie, skoro się wznosi na wyższe stanowisko du-

chowe, że przeszłość owa zawiera wiele rzeczy nienawistnych, że jest ona przebrzmiała, przeżyta, a zatem ktokolwiek do niej się przywiązuje, musi być martwy i to najzupełniej martwy.

Ludzkość czuje to głęboko, że ten, co przyłożył rękę do pługa, a patrzy poza siebie, nie jest go-dzien Królestwa bożego.

Ludzkość, jakkolwiek bałwochwalczo uwielbia swych zmarłych, przez jedno z tych przeciwieństw, które aż nadto często jej się zdarzają, domaga się gwałtownie życia, a zostawia zmarłym pogrzebanie zmarłych. Czuje ona, że każda doktryna, naznaczona wyłącznem znamieniem przeszłości, nosiłaby znamię przeciwne znamionom Bożym, gdyż Bóg zowie się Jehowa, Ten, który był, który jest i który będzie.

To też nieuctwo, nienawidzące chrześcijaństwa i chcące je zgubić w opinii publicznej, przedstawia je ludziom jako przynależne do przeszłości.

Skoro nieuctwo dokazało tej sztuki, oto co następuje:

Człowiek, który wielbi przeszłość, nienawidząc jej zarazem, nienawidzi chrześcijaństwa całą nienawiścią, którą ma dla przeszłości, ale nie wielbi go zarazem całem uwielbieniem, jakie żywi dla tejże przeszłości. Chrześcijaństwo dzieli z przeszłością nienawiść człowieka, ale nie dzieli z nią jego ubóstwienia.

Chrześcijaństwo w umyśle ludzkim złączone jest z przeszłością, nie o ile ona zawiera w sobie zaród przyszłości, lecz o ile jest tylko przeszłością.

Jeden ze sposobów umysłu ludzkiego, używanych przeciwko chrześcijaństwu, polega na odsyłaniu go do dziedzin, o których się nie myśli, gdy się mówi o rzeczach obecnych.

Człowiek, będąc środkowym punktem świata, wystawiony jest na ciosy całego stworzenia, wystawiony jest sercem, umysłem, duszą i ciałem. Złe słowo może go zepsuć, dachówka, spadająca mu na głowę, może go zabić. Powszechność stosunków, w jakich pozostaje do wszelkich istot stworzonych, staje się dlań źródłem niezliczonych niebezpieczeństw. Zwierzęta mogą mu szkodzić, bo mają po temu środki; powietrze, którem oddycha, może go zatruć; przyjaciel może go zdradzić; książka, którą czyta, pokarm, który przyjmuje, mogą wprowadzić do jego wnętrza zaród śmierci. Jego stanowisko środkowe we wszechświecie wystawia go na te wszystkie ciosy.

Coś podobnego, chociaż w odmiennem znaczeniu, dzieje się z chrześcijaństwem.

Księgi święte mówią o wielu rzeczach. Chrześcijaństwo, przywracając stosunek Boga do człowieka, porusza całe stworzenie. Niewiedomość może czynić tysiąc różnorodnych wysiłków i z tysiąca stron uderzać może na wroga. Niewiedomość nau-

kowa i niewiadomość filozoficzna mogą niezliczone rzucać pociski, które pośrednio lub bezpośrednio zwrócić się przeciw chrześcijaństwu.

Przez długi czas sądzono z powodu braku dokładnej znajomości stworzenia, a w szczególności geologii, że opowiadanie Mojżesza nie daje się pogodzić z odkryciami wiedzy. Skoro jednak odkrycia owe osiągnęły wyższe rozwinięcie i zostały należycie rozjaśnione, okazało się, że oddają one wymowne świadectwo prawdziwości opowiadania Mojżeszowego. Wiedza zawsze sprzeciwia się Pismu świętemu, gdy sama nie ma jeszcze silnych podstaw, a buntuje się już, chcąc wzbudzić wiarę w swe siły. Podobnie czyni dziecko zbyt słabe, aby się zdobyć na samoistne postęпки, a zbyt odporne, aby ulegać kierunkowi starszych. Skoro wiedza ukształtuje się i wyrobi, skoro istnieje w całej pełni, powraca do Pisma św. Co powinno być więc jej zabezpieczeniem, jej obowiązkiem przed osiągnięciem należytego wyrobienia?

Powinna to być Wiara.

Wiara byłaby jej zbawieniem, nawet w porządku przyrodzonym. W ten sposób sprawdziłyby się słowa Chrystusa:

„Szukajcie najprzód Królestwa bożego i jego sprawiedliwości, a reszta będzie wam przydana“.

Są w życiu człowieka i w życiu ludzkości chwile, w których rozum ulega zamęceniu.

Niewiadomość filozoficzna występuje wtedy i ro-

śnie w takim stopniu, iż wzbudza zdumienie nieuctwa pospolitego. Niewiadomość filozoficzna przybiera rozmiary nieprawdopodobne i na chwilę ludzkość jest jak ten człowiek, co w wielkiem zmieszaniu umysłem zapomina swego własnego imienia. W naszej epoce znany jest dobrze ten stan chorobliwy. On to wyssał soki żywotne krajów niemieckich, a skoro przekroczył Ren, tracąc swą wielkość pozorną, nie utracił nic z tkwiącego w nim rzeczywistego niebezpieczeństwa. Rozum ludzki, zamącony do głębi, wściekły przeciw sobie samemu i przeciwko Wierze, próbował naprzemian i apoteozy i samobójstwa. Skoro powróci do stanu normalnego, odnajdzie właściwe swoje miejsce i rozpoznając swe zbrodnie, wkroczy w dziedzinę światła. Ale tymczasem co mogłoby się było stać jego zbawieniem i ocaleniem wśród burzy?

Wiara.

Gdy Rozum zapada się w ruinę, jaki środek mu pozostaje?

Wiara.

W ten sposób spełniłyby się słowa Chrystusa:

„Szukajcie najprzód Królestwa bożego i jego sprawiedliwości, a reszta będzie wam przydana“.

Jest wiara przyrodzona. Ta służy za podstawę Wiedzy. Niedorzeczność zwątpień Kartezjusza jest tryumfem niewiadomości.

Skoro wiara pozostaje w tak ścisłym stosunku i w tak blizkiej poufności z wiedzą, czy nie jest

to szczególne i uderzające, gdy słyszymy, jak nieuctwo co chwila napada na Chrzęścijaństwo, w imię Wiedzy? Czy nie jest to szczególne słyszeć, jak ludzie nie mający pojęcia o porządku przyrodzonym, ani o porządku nadprzyrodzonym, przeciwstawiają je sobie i wzywają pierwszego na pomoc przeciw drugiemu, jak gdyby z obu stron wniknęli we wszelkie możliwe głębie.

Człowiek, nie znający zupełnie Chrzęścijaństwa i nie wstydzący się tej niewiedomości, zarumienilby się ze wstydu, gdyby w równym stopniu nie znał historii Scypiona, a zarumienilby się jeszcze bardziej, gdyby nie znał wieści krążących w jego otoczeniu i faktów, będących przedmiotem rozmowy jego sąsiadów; a te fakty zazwyczaj nieskończenie są mniej ważne od historii Scypiona. Rzekłbyś, że jest pewna odpowiedniość między próżnią osób i próżnią rzeczy, odpowiedniość, na mocy której człowiek próżny tembardziej szczyci się swą wiedzą, im przedmiot jej mniej jest znaczący. Miłość własna lubi rzeczy małe, żyje drobnymi ofiarami. Im bardziej jest znikomy pokarm, który jej podają, tem smaczniejszym jej się wydaje. Miłość własna karmi się wiatrem.

Skoro chodzi o rzeczy istotne, zasadnicze, miłość własna już nie cierpi z powodu swego nieuctwa, a skoro chodzi o rzeczy wzniosłe, miłość

własna szczyci się swem nieuctwem. Człowiek próżny stara się poznać pierwszy plotkę, będącą w obiegu, nowinę pustą i błahą; natomiast nie dba wcale o poznanie prawdy, a im ta prawda wyższa, tem mniej mu o nią chodzi.

Jedność.

Śmierć pod wszystkimi swemi postaciami jest rozdziałem. Śmierć moralna rozdziela człowieka z prawdą będącą jego środowiskiem przyrodzonym. Śmierć fizyczna rozdziela duszę z ciałem. Ten, który upodobał sobie śmierć — jej wynalazca, szatan — jest tym, który rozdziela i który się odłączył. Nieszczęśliwy bo nie kocha! Nieszczęśliwy bo rozłącza! mogłaby powiedzieć św. Teresa, i te dwa wykrzykniki byłyby synonimami.

Czemże jest miłość jeżeli nie życiem, jeżeli nie Jednością? Bóg jest jeden, Kościół jeden. *Unum baptisma, una fides*, ludzkość jest Jednością; każdy naród jest jednością, bo każdy przedstawia jedną ze stron ludzkości.

Ten, który żyje, jest tym, który kocha; jest on złączony i łączy.

Ten, który nie żyje, jest tym, który nie kocha; jest on rozłączony i rozłącza.

Życie, Miłość, Jedność łączą się ze sobą, a wła-

ściwie tworzą jedno. Śmierć, obojętność i rozdział są to trzy wyrazy jednoznaczne.

Cóż to więc znaczy dzielić? Co czyni ten, który dzieli, to jest Szatan, który nie kocha?

Kusi on każdego wedle jego charakteru, jego zwyczajów, jego temperamentu; to też pobudza on nienawiści gwałtowne tylko w pewnych wyjątkowych naturach.

Zazwyczaj puka on do drzwi, które się najłatwiej otwierają: do drzwi lenistwa. Skoro te drzwi się otworzą, człowiek pospolity nie zadaje sobie trudu nienawiści, bo nienawiść jest trudem, ale nie usiłuje też miłować, bo miłość jest spoczynkiem pracowitym.

Dochodzi tedy do przekonania, że dobro jest stanem ujemnym; że aby czynić dobrze, nic nie trzeba czynić; że ci tylko są winni, co mają energię zła i namiętną jego inicjatywę.

Wynika stąd ostateczny, choć niewypowiedziany wyrażnie wniosek, że zło jest działaniem, a dobro jest bezczynnością, snem, praktycznem przeczeniem, krótko mówiąc, granicą zła.

Tak to szatan sztydzi z ludzi aż do wmówienia im, że on jest Czynem doskonałym, a Bóg jest ograniczeniem Czynu.

Człowiek, któremu dyabeł zaszczerpił ten sposób widzenia, a raczej to zaślepienie, to szaleństwo

spokojne, pozwalające śmierci wejść bez łoskotu, przez drzwi otwarte, pod postacią ujmującą dobrej znajomej, która nie zamąci obyczajów domowych, nie zażąda żadnych poświęceń i nie wypowie żadnego zastraszającego słowa — taki człowiek najzupełniej pozbawiony jest życia i miłości, najzupełniej jest odłączony, gdyż odłącza się spokojnie, bez wstrząśnień, bez trwogi, bez wyrzutów; ma on ciszę grobu, będącą parodią pokoju.

Ta śmierć cicha, spokojna, głęboka i niezwalczona, jest szczególnym tryumfem dyabła w naszych czasach, w tym wieku zbrojnym, w którym duch dobry i duch zły stoją naprzeciw siebie na polu walki w uroczystej postawie chwil stanowiących, zwołując i licząc swych żołnierzy. Zwołują ich, liczą i przemawiają do nich, ale duch dobry rozbudza ich, duch zły ich usypia.

Duch dobry mówi: „Niech zmarli grzebią swych zmarłych, weź swoje łoże, powstań i chodź“.

Duch zły mówi: „Odpocznij sobie. Po co się masz mieszać do walki? bez ciebie dosyć jest walczących. Ty, co masz rozsądek, nie zakłócaj swoich obyczajów. Zło, ciągnie dalej dyabeł, było zawsze i będzie zawsze w tych samych rozmiarach. Szaleńcy chcący je zwalczać nic nie osiągną i tracą czas nadaremnie. Ty, co masz rozsądek, oddaj kaźdemu, co mu się należy, nie wojuj przeciw nikomu. Niepodobieństwem jest oświecić ludzi, po

cóż się kusić o to? Zawrzyj pokój z zasadami, których nie uznajesz. Czyż wszystkie one nie są jednakowo prawowite?“

Tak mówi dyabeł, a człowiek rozłączony z prawdą, ponieważ w lenistwie swoim obawia się jej jako czynu doskonałego, człowiek ów niepostrzeżenie i bezwiednie łączy się z błędem, który niczego nie żąda, niczego prócz nicości, i obejmuje go swem pieszczotliwym i martwym ramieniem. Mówi on doń: „Daj się ukołysać, nie czyn nic, nie kochaj nic, a będziesz złączony ze mną, bo ja jestem Nicością“.

I człowiek, który nie chciał związać się węzłem żywym z tymi, co przebywają w miłości, zsuwa się powoli, pogrążony we śnie, na łono owej obojętności mroźnej, spokojnej i bezdusznej, która niczem się nie oburza, bo nie kocha i wy daje się spokojną, gdyż jest martwą.

A dyabeł, widząc człowieka nieruchomym, mówi mu: Używasz spokoju mędrca; widząc go neutralnym między prawdą i błędem mówi mu: Panujesz nad obojgiem zarówno; — widząc zaś go bezczynnym, mówi mu: Wszakże nie czynisz nic złego; widząc go bez oporu i bez woli przeciw kłamstwu i złu, widząc go pozbawionym gniewu Miłości (jak powiedział de Maistre), mówi mu: Dałem ci filozofię mądrą, tolerancję łagodną, zna-

laześ spokój we wszechmiłości, — bo dyabeł wymawia często nazwy tolerancyi i miłości.

Człowiek żywy, człowiek czynu, który kocha i jednoczy, ogarnia stosunki między rzeczami i łączy prawdy między sobą.

Człowiek martwy utracił uczucie jedności. Nie zdolny już łączyć prawd między sobą, nie umie pogodzić w harmonii wyższej rzeczy, które powinny być w zgodzie, rzeczy prawdziwych, dobrych i pięknych.

Ale w zamian za to wymyśla on sobie szatańską parodię jedności, usiłuje miłować jednocześnie prawdę i fałsz, dobro i zło, piękność i brzydotę, nie zawsze się gniewa, przynajmniej na pozór, skoro usłyszy twierdzenie dogmatów, ale przekłada zawsze ich przeczenie.

Ponieważ nie chciał jednoczyć tego, co jest jednolite, godzić tego, co jest zgodne, wierzyć we wszelką prawdę, usiłuje jednoczyć to, co konieczne i wiecznie sprzeczne z sobą, pogodzić Tak i Nie, wierzyć zarazem w prawdę i w błąd; ponieważ nie chciał miłować Boga całkowicie, usiłuje miłować jednocześnie Boga i dyabła, ale tego ostatniego miłuje więcej.

Taka jest teoria; a oto praktyka: Człowiek ów zjednoczony w ten sposób z niejednością, której jest twórcą i współdziałaczem, z niej bierze upoważnienie do powstrzymania się od wszelkiej pracy dla sprawy jedności. Czyni tę ostatnią niemożliwą

dla siebie samego i uznaje za niemożliwą dla ogółu. Ponieważ nie chce, więc sądzi, że nie może; stwarza sam niemożliwość, którą stwierdza w sobie. Niekiedy sądzi on, że dusze i umysły ludzkie same przez się dostatecznie są zjednoczone. I mówi wtedy: na cóż więc dogmaty poszczególne? Czasem znów przyznaje, że po za katolicyzmem nie ma Jedności, ale zrzeka się urzeczywistnienia tej jedności w sobie i w innych.

Zrzeka się! Oto wielkie słowo, słowo dyabelskie, do którego zmierzałem, oto słowo, które szatan szepnął do ucha Judaszowi! oto słowo samobójstwa, słowo nudy, słowo rozpacz, słowo piekła! Bóg nie zrzeka się nigdy! Dyabeł zrzeka się zawsze, nawet wtedy, gdy zdaje się działać. Jest on tym, który się zrzeka. Człowiek, który się zrzeka, niczego nie może dokonać i przeszkadza wszystkiemu. Człowiek, który się nie zrzeka, góry zdolny jest poruszyć.

Któż ma prawo wypowiedzieć słowo niemożności, skoro Bóg przyobiecał, że nie opuści i wesprze? Niech więc zjednoczą się ci, którzy nie rzekli się dążeń do prawdy, niech zjednoczą się w nadziei żywej, płomiennej i płodnej. W godzinę bitwy żołnierz nie wymaga, aby jego towarzysz był doskonałym, nie dopatruje w nim wad, wie, że to jego towarzysz, że walczą razem, że mają wspólną ojczyznę i o niczem innem wiedzieć nie chce.

Jeżeli kiedykolwiek zapomnienie drobnych niezgod osobistych godne jest człowieka i chrześcijanina, na polu bitwy najsilniej daje się to uczuć. Zjednoczyć się we wspólnej nadziei, oto hasło zwycięstwa; należy ono do tego, co ten sztandar podniesie. Nadzieja, którą Schlegel nazwał znamieniem charakterystycznym człowieka na ziemi, nadzieja jest siłą nadającą możliwość rzeczom i faktom, podobnie jak wola nadaje im rzeczywistość. Uznając za niemożliwe postępy prawdy i zdobycze piękna, czynimy je istotnie niemożliwymi. Skoro nie spodziewamy się ich, temsamem ich nie chcemy.

Człowiek tego tylko chce czego się spodziewa; śmiejmy spodziewać się zwycięstwa, a stanie się ono możliwe; śmiejmy go chcieć, a stanie się rzeczywistością. Trzeba, żeby wszyscy, którzy chcą mieć nadzieję i śmia chcieć, podali sobie ręce. Jest jeszcze inny warunek: niech każdy uczuwa konieczną potrzebę pomagania osobiście tym, którzy mają nadzieję i wolę, a nie składa na innych obowiązku płacenia tej części daniny, którą on sam winien spłacić. W co by się obrócił świat, w którym każdy liczyłby na działalność innych a nikt nie działałby w rzeczywistości?

Śmieć ufać, że postęp prawdy i dobra nieureczywistniony dotąd jest jednak możliwy, śmieć pragnąć jego urzeczywistnienia, śmieć zjednoczyć się i żyć śmiało (rzecz tak prosta, że zdaje się nie wymagać żadnej odwagi, a wymaga jej jednak

wiele) — oto jest obowiązek tych wszystkich, co mają duszę. Wszelki wysiłek odosobniony dotknięty jest bezpłodnością. Potęga jest nagrodą dokonanego zjednoczenia... Nie tylko do ludzi żyjących tysiąc osiemset lat temu, lecz także do ludzi dzisiejszych przemawiało Słowo wiekuiste, skoro, podając ludziom za napój krew swoją, nakazało im zjednoczyć się na wzór jedności boskiej. Polecilo ono swojemu orłowi, temu, który w owym dniu spoczywał na piersi Zbawiciela — przekazać nam tę bezmierną modlitwę, obejmującą niebo i ziemię: Niech będą dopełnione w jedności.

Niechże ten głos powtarzany będzie we wszelkich dziedzinach myśli, niechaj będzie wzniesiony do szczytów świata!

Tajemnica ¹⁾.

Ludzie mieszają często dwa wyrazy, które oznaczają nie tylko różne, ale nawet wprost sobie przeciwne pojęcia.

Są to dwa bardzo często używane przymiotniki: niepojęty i niezrozumiały.

Niepojęte jest to, co wznosi się ponad inteligencję ludzką, niezrozumiały to, co niższe od niej. Niepojęte — to tajemnica, niezrozumiały — to niedorzeczność.

Niepojęte — zbyt wielkie dla nas, nie mieści się całkowicie w naszym umyśle z powodu swego ogromu, a zwłaszcza, gdy mówimy o Nieskończonym, z powodu, że ono przekracza wszelkie rozmiary.

Niezrozumiały, przeciwnie, nie daje się objąć naszemu umysłowi, bo nasz umysł jest dla niego nadto wielki, czyli nadto prawdziwy. Niezrozumiały jest nam nieprzystępny, bo niema w nim pra-

¹⁾ *Le siècle.*

wdy, a umysł nasz stworzony jest do przyjmowania prawdy, przynajmniej w pewnym jej zakresie.

Inteligencja nasza jest siłą dającą się zastosowywać w dziedzinie Bytu.

Gdy chodzi o Byt absolutny, Nieskończony, Niezmierzony, inteligencja nasza powołana jest do zrzeczenia się swych roszczeń, zrzeczenia się, które nie jest wcale śmiercią, ani ograniczeniem, ani zmniejszeniem, lecz przeciwnie jest aktem najpłodniejszym, najżywszym i najpotężniejszym, na jaki wogóle może się ona zdobyć.

Inteligencja jest siłą, która z natury swej może być czynna jedynie w pewnym, oznaczonym zakresie. Poniżej tego zakresu nie ma ona nic do czynienia — i oto niezrozumiały. Powyżej czynność jej uderza o Dziedzinę, którą Bóg sobie zastrzegł — i oto Niepojęte.

Niepojęte jest to, czego rozum pojąć, czyli objąć nie może; niezrozumiały to, co jest zaprzeczeniem rozumu.

Etymologia tych dwóch wyrazów dokładnie wyjaśnia różnice ich znaczenia. Człowiek buntujący się przeciw niepojętemu, wpada zazwyczaj w niezrozumiały; jest to kara, która zwykle nie daje na siebie czekać.

Inteligencja, unoszona pychą wobec rzeczy niepojętych, doznaje tego upokorzenia, że się łamie i zniża do rzeczy niezrozumiałych.

Kto odrzuca tajemnicę, wpada nieuchronnie w zabobon.

Owóż zabobon jest wrogiem i zabójcą ducha; tajemnica jest dobroczynną jego przyjaciółką: ona go podnieca i unosi ponad ziemski poziom, zabobon gnębi go i przygniata do ziemi.

W dziedzinie zabobonu, to jest rzeczy niezrozumiałych dla naszej inteligencji, brak jej odpowiedniego przedmiotu — w dziedzinie niepojętych tajemnic, odwrotnie, brak nam inteligencji, zdolnej przedmiot ogarnąć.

Człowiek nie zawsze kroczy po równinie, gdzieby inteligencja jego jasno mogła widzieć właściwe swe drogi i kierunki; zazwyczaj bądź zstępuje ku przepaściom zabobonu, bądź wznosi się ku wyżynom tajemnicy.

Upojenie pociąga go ku otchłaniom, które są zgubą jego inteligencji; ekstaza porywa go ku szczytom, gdzie inteligencja jego abdykuje w pełni swej chwały.

Tajemnica odpowiada jednej z najgłębszych potrzeb natury ludzkiej — potrzebie uwielbienia.

Człowiek nie uwielbia nigdy tego, co całkowicie pojmuje, i ma słuszość, gdyż to, co w całości dostępne jest jego pojęciu, nie jest nieskończone, a uwielbienie zwraca się zawsze ku nieskończoności, jak igła magnesowa ku biegunowi.

Człowiek ma pragnienie tajemnicy, bo jest w nim

pragnienie nieskończoności. Ono popycha duchy wyższe na drogę, która nie ma końca.

Idą czynić odkrycia z tą wzniosłą pewnością, że nigdy nie odkryją wszystkiego.

Przedmiot ich poszukiwania, jako nieskończony, przechodzi zawsze wszystko, co może być odkryte; jednocześnie zaspakaja i pobudza wciąż pragnienie ducha.

„Ni głodu, ni sytości!“ — woła św. Augustyn — i dodaje: „Nie umiem nazwać stanu, którego pożądam; ale wszakże Bóg mocen jest zaspokoić nawet pragnienia, nie umiejące się wypowiedzieć, byle tylko ożywione były wiarą i nadzieją“.

Tak jest. Ni głodu! ni sytości!

Oto jest właściwe pożądanie natury ludzkiej. Gdybyśmy wszystko pojęli, doznalibyśmy sytości; gdybyśmy nic nie pojmowali, cierpielibyśmy głód.

Prawda, podnosząc i spuszczaając naprzemian okrywające ją zasłony, chroni nas od głodu przez Objawienie — od sytości przez Tajemnicę.

Eliasz na szczycie Horebu widział burzę, trzęsienie ziemi i piorun. Ale skoro lekkie owionęło go tchnienie, głowę sobie płaszczem zasłonił, gdyż poznał zbliżenie się Pana; Tajemnica była przed nim. Serafini, których ujrzał w widzeniu Izajasza przed tronem Pana, skrzydłami oblicza swe zasłaniali. Sześć mieli skrzydeł, a skrzydła te służyły im zarazem jako narzędzia lotu i jako zasłony; do lotu dwóch używali, czterech na zasłone. Skrzy-

dla unosiły ich w przestwory Światła, skrzydła kryły im oblicza. Zasłony, które są skrzydłami, są pełne chwały, jak lot, który im towarzyszy. By mogli wzlatywać i zasłonić się, trzeba im było skrzydeł i niczego innego, jeno skrzydeł.

O Światło Niepojęte, przy którym blaski zachodzącego słońca są jako plamy ciemne! O Światło Niepojęte! jesteś nasyceniem pragnień wypowiedzieć się niezdolnych.

Są chwile, kiedy milczenie nawet ustępuje, jak ustąpiło słowo. Milczenie wzywa wtedy lzy na pomoc swej słabości.

O Światło bez cienia, o Światło Niepokalane! jesteś nasyceniem pragnień, wypowiedzieć się niezdolnych, jesteś nasyceniem milczenia, wzywającego lez pomocy!

Czemże bez ciebie stałby się człowiek? czemu stałby się człowiek, skazany na krążenie w swym ciasnym przyrodzonym zakresie?

O Światło niezniszczalne, ty jesteś Obietnicą i jesteś Wyzwoleniem!

O Światło Wiekuiste, skoro myśleć o tobie usiłujemy, przekraczamy granice wszechświata; ponad gwiazdy się wznosimy, pożeramy przestrzeń, pożeramy bezmiar; słońca, mgławice depcemy, jako Arab depce żdźbło trawy, gdy na koniu wiatronogim pędzi przez pustynię, wrzący i płomienny, spragniony uniesień samotności!

Tak czyni żądza duchowa, gdy na swą nie-

skończoną rzuca się ofiarę; tak czyni żądza duchowa i dobrze czyni. I chwałą jej będzie umrzeć z pragnienia wśród piasków pustyni, zanim kres swej drogi osiągnąć zdoła; a pragnienie, co śmierć jej zadaje, życie w niej nowe obudza, bo ono nową jest żądzą. Nienasycone jest; samo siebie przechodzi w uwielbień zachwycie.

Lecz ty, o Światło Wiekuiste, co na wyżynach wyżyn niebiańskich zamieszkujesz, przebywasz też w głębinach wszystkich głębin i w istocie istot wszelakich!

Wyniosłe są Twe przybytki — głębokie są Twe przybytki!

Obojętność.

Oto prawda i fałsz stają naprzeciw siebie.

Jakże często ludzie zarzucają prawdzie brak tolerancyi. Porozumiejmy się w tym względzie.

Słyszac podobne opinie, możnaby mniemać, że prawda i fałsz są to dwie rzeczy sobie równe, niby dwie królowe jednakowo prawowite, które powinny żyć w pokoju, każda w swoim królestwie, lub dwa bóstwa, dzielące się panowaniem nad światem, z których żadne nie ma prawa wkraczać w dziedzinę drugiego.

Wynikiem takich mniemań jest obojętność, tryumf szatana; nienawiść jest mu miłą, ale mu nie wystarcza; potrzebuje on obojętności.

Obojętność jest szczególnym rodzajem nienawiści; jest nienawiścią zimną i wytrwałą, która pod maską tolerancyi kryje się przed innymi i sama przed sobą; bo obojętność nigdy nie jest szczerą; jest to nienawiść, pomnożona przez kłamstwo.

Ażeby wyrzucić codziennie cały potok obelg przeciw prawdzie, potrzeba pewnego zasobu sta-

nowczej energii, obcej ogółowi ludzi. Najbardziej stanowczą cechą ich charakteru jest właśnie brak wszelkiej stanowczości. A jednak nienawiść wyraźna i głośna, ze względu na grzech pierworodny, prędzej może być zrozumiana, aniżeli nienawiść milcząca. Błuźnierstwo, wychodzące z ust ludzkich, nie jest rzeczą najdziwniejszą. Oto grzech pierworodny, oto wolna wola człowieka, — i błuźnierstwo jest wyjaśnione. Ale co w najwyższe wprawia mnie zdumienie, to neutralna obojętność wobec zła i dobra.

Chodzi tu o przyszłość doczesną i o przyszłość wieczną wszelkich istot, obdarzonych rozumem i wolnością. Chodzi o nas samych, o naszych bliźnich, o ludzkość całą. Jeżeli więc dbasz choć trochę o los własny i o los innych ludzi, jakże wielkie, jak święte masz przed sobą zadanie! Jeżeli żywy jesteś, podniecaj w sobie życie! Weź własną duszę i nieś ją w bój! Weź swe pragnienia, myśl swoją, modlitwę swoją, miłość swoją! Chwytaj za narzędzia, jakich użyć umiesz i całą swą istotą, ze wszystkim, co posiadasz, rzucaj się na szalę, na której każda rzecz ma swoją wagę!

Jeśli jesteś śpiący, obudź się!

Jeśli jesteś martwy, powstań z martwych! Szukaj w twym życiu przeszłem, w twym życiu zagasłem najlepszych wspomnień. Wspomnij świeżą woń rosy porannej, którą niegdyś musiałeś oddy-

chać i zobacz, czy będziesz miał siłę powiedzieć:
Co mi tam!

Postawiony między płomieniem miłości i płomieniem nienawiści, musisz się skłonić ku tej lub ku tamtej stronie.

Wiedz o tem! — nie do człowieka wogóle, lecz do ciebie w szczególności zwraca się to wezwanie, bo wszystkie siły moralne, umysłowe i materyalne, pozostające w twojej mocy, są to oręża, które Bóg złożył w twoje dłonie, dając ci wolność użycia ich dla Niego, lub przeciw Niemu. Jesteś więc nieodzownie do walki zniewolony; chcesz, czy nie chcesz, walczyć musisz, pozostawiono ci tylko możliwość wyboru między obozami.

Gdy Chrystus na świat przyszedł, musiał się wszystkiego u ludzi dopraszać, uczyniwszy się najuboższym z ubogich. Prosił o miejsce, gdzieby się mógł narodzić, odmówiono Mu — zajazdy były przepełnione: tylko uboga stajenka dla Niego się otwarła. Prosił o miejsce, gdzieby mógł żyć, odmówiono Mu; Syn Człowieczy nie miał gdzie głowy złożyć. A gdy godzina śmierci wybiła, nie znalazł na ziemi miejsca, gdzieby mógł skonać; zawisł między niebem i ziemią — na krzyżu.

Owóż ten, co prosił niegdyś, i dzisiaj prosi. Doprasza się miejsca dla swego narodzenia. Ludzie, co zapelniali zajazdy, nie ustępując miejsca Jezusowi, i odesłali Go, by się rodził między wołem i osłem, jakże doskonale wyobrażają niewysłowioną

ślabość i pospolitość drobnostek, którym rodzaj ludzki wciąż się poświęca w ofierze całopalnej!

Człowiek, który pisze książkę i ma drukarnię na swe usługi, rozporządza potęgą nieobliczalną. Nikt nie zdoła przewidzieć, ani wymierzyć zjawisk zewnętrznych i wewnętrznych, wywołanych lub powstrzymanych przez niego. Owóż, gdybyśmy zapytali jakiegoś wędrowca z obcego świata, nieświadomego obyczajów ziemskich i ludzkiej głupoty, co sądzi o użytku, jaki czynią z siły, będącej w ich ręku ci, którzy słowo pomiędzy ludzi niosą?

Wyobraźmy sobie jego zdumienie i jego odpowiedź, jeśliby otworzył przypadkiem któryś z naszych dzienników, lub jakąś książkę współczesną. Ale jakież rozmiary przybrałoby owo zdumienie, gdyby usłyszał szczere wyznanie autora tej książki: „Istotnie, mówiłem, aby nic nie powiedzieć, ale to w najszczerzej chęci zabawienia mych czytelników, wszyscy bowiem głęboko jesteśmy przeświadczeni, iż rzeczy blahe, nic nie mówiące ani o Bogu, ani o człowieku, najwięcej zajmują publiczność, a prawda jest nudna“.

Z pośród wszystkich szaleństw ludzkich, natchnionych przez dyabła, oto najpotworniejsze: Prawda jest nudna. Jakto, prawda? Ależ ona jest źródłem wszelkich uniesień! jest tem, co wszelkie znane nam blaski i światła usiłują symbolicznie odtworzyć! Jej to słabe promyki budzą nieznane zachwyty!

Ona to wpośród pustyni roztopiała poczuciem szczęścia wzniosłą duszę św. Afanazego, podczas gdy ci, co go tam wygnali, nudzili się śmiertelnie w swych pałacach...

Dusza ludzka do boskiego stworzona jest pokarmu tak w czasie, jak w wieczności. Jedno jest tylko źródło szczęścia, ale to nigdy nie wyschnie i wodą jego wszyscy pragnienie ugasić mogą. Jeśli milujesz nudę, szukaj jej w nicości; — jeśli milujesz życie, szczęście, kochasz się w miłości, — zwróć się do Istnienia.

Cóżbyście powiedzieli o lekarzu, który wezwany do waszej chorej małżonki, wzbraniałby się ją leczyć przez wzgląd na jej chorobę?

„Bo widzisz, rzekłby ów lekarz, między chorobą a zdrowiem chcę bezstronne zająć stanowisko. Jestem eklektykiem. I nie wiem, dla jakiej dobrej racji choroba miałaby być gorsza od zdrowia. Cholera może dać ci poznać pewnego rodzaju kurcze, które bez niej pozostałyby ci nieznane. Trzeba wszystkiego spróbować; dlaczegóż nie spróbować cholery? Sądzisz o niej wedle obcych powag — postępowanie niegodne prawdziwego filozofa. Musisz ją sam ocenić, aby twa ocena była rozsądną. Angina może ozdobić twoje gardło bujną rośliną, której zdrowie ci nie daje. Wszakże to swego rodzaju bogactwo i postęp. Zapewne owa roślinność niezupełnie jest prawowita, ale czyż to

racya, aby potępiać ją bezwzględnie? Czyżby to nie zakrawało trochę na fanatyzm?”

Czujecie potworność i śmieszność tych sofizmów, skoro chodzi o rzeczy widzialne. Wiedzieć wszakże, że choroby i chorobliwe rośliny ciała ludzkiego są następstwem owych potworności niewidzialnych, które Apostoł zowie dodatkowymi wytworami grzechu. Pomyślcie, że cierpienie fizyczne, którego okropności bezpośrednio odczuwacie, jest skutkiem i odbiciem błędów i zła niewidzialnego.

Czemże więc jest błąd, skoro takie płodzi potomstwo?

A teraz osądź, czym jest obojętność, która żąda istnienia błędu. Ja nie śmiem o tem myśleć.

Szatan jest księciem nudy, rozpaczy i wszelkiej boleści. Bóg jest panem radości. Niechże obojętność przyjrzy się sobie i niech się osądzi.

Oto obojętność teoretyczna i dogmatyczna.

Co do obojętności praktycznej, ta mniej więcej w taki sposób przemawia:

„Tak, mam w sobie zarazę. Bardzo to jest możliwe, że owa zaraza jest skutkiem błędu i grzechu. Pewnem jest, że znajduję się na drodze do śmierci; być może, iż kroczę prostą drogą do piekła i że to wszystko z grzechu pochodzi.

„Prawda, nudzę się, wrażliwość moja przytępia się z wiekiem i śmierć niebawem nadejdzie. Jest to myśl bardzo niemiła. A jednak gdyby Bóg żądał, abym porzucił te rzeczy nudne, jednostajne, kłam-

liwe, zamierające i martwe, prowadzące mnie do rozpaczyny doczesnej i do rozpaczyny wiecznej; gdyby żądał, abym je zamienił na życie, radość i szczęście, odmówiłbym niewątpliwie; nie chciałbym nawet słyszeć tego wezwania. Wolę moje zajęcia i rozrywki, które mnie nudzą śmiertelnie. A więc idź precz, mistrzu zachwyków, władco radości! Idź precz, słońce, wschodzące w falach purpury i złota! Precz majestacie! Precz blasku promienny! Idź precz Ty, który w ogrodzie Oliwnym krwawym oblałeś się potem! Idź precz Ty, który przemieniłeś się na Taborze! Precz! precz odemnie! Idę do klubu, gdzie nudzę się zwykle“.

— Dlaczegoż tam idziesz?

— Idę, bom przywykł.

Słaba strona wiedzy współczesnej¹⁾.

Wiedza w dziewiętnastym wieku pracowała niezmiernie, poczyniła niezliczone odkrycia. Nie myślę wcale zmniejszać znaczenia tych odkryć, ale sądzę, że wielka zachodzi potrzeba określić bliżej ich naturę.

Mają one jeden charakter ogólny, charakter przygotowania; nigdy, ale to nigdy, nie noszą cech wyniku.

Zmierzają one wszystkie do zmniejszenia odległości, dążą do jedności fizycznej.

A tymczasem nigdy, nigdy, rozdział między ludźmi nie był tak wielki, tak wyraźny, tak ostry, tak krzyczący.

Para i elektryczność czynią wszystko co mogą, aby nas zjednoczyć, a nigdy nie byliśmy bardziej, nie byliśmy głębiej rozerwani.

Mikroskop i teleskop czynią cuda prawdziwe. Bieg planet i kropla wody, pole walk niewidzial-

¹⁾ *Le siècle.*

nych żyłatek, odkryły nam swe tajemnice. Dzięki zastosowaniu szkła człowiek ujrzał to, czego oczy jego dotąd dostrzedz nie mogły, odnosi tryumf nad nieskończeniem wielkiem i nieskończeniem małym.

Widzi on, mówi Józef de Maistre, miłość i nienawiść stworzeń.

A co by powiedział de Maistre, gdyby żył dzisiaj?

Coby powiedział wobec mikrobów, ich wpływów i działań, ich tajemnic odkrytych?

Podziwiałby zapewne przygotowania, ale pozostałby niemniej zdziwiony wobec małości skutków.

Analiza promieni gwiazd przynosi człowiekowi nieprawdopodobne iście wieści o ciałach niebieskich. Ale wiedza tak silna, tak śmiała i tak dumna wobec przestworów olbrzymich, które wymierza, które określa, o których rozprawia, wiedza ta zatrzymuje się drżąca i zawstydzona, nietylko wobec wielkich, ale nawet wobec najmniejszych uszkodzeń naszych tkanek lub naszych organów.

Wiedza rozprawia o mikrobach, ale niemniej przeto ludzie umierają na gorączkę tyfoidalną.

Straszliwa ironia! Ludzie nawiedzają się nawzajem, obcują, rozmawiają ze sobą; kolej żelazna zbliża ciała, telefon zbliża głosy. I człowiek dotyka człowieka, by nań uderzyć, i człowiek ociera się o człowieka, by go zbliżyć; tembardziej nienawidzieć. Ludzie ściskają się i duszą się w uściskach.

Wiedza ułatwia i przyspiesza tworzenie się

zbiorowisk ludzkich, ale nie ma sposobu pogodzić dwóch nieprzyjaciół, ani zbliżyć dwóch przyjaciół. Narzędzia śmierci liczniejsze są stokrotnie i bardziej udoskonalone, aniżeli narzędzia życia. Sztuka zabijania stokroć pewniejsza jest swych skutków aniżeli sztuka leczenia. Prawdziwe współzawodnictwo i prawdziwe braterstwo, to braterstwo artylerji. Artylerja może się obejść bez chrześcijaństwa, to też powodzenie jej jest niewątpliwe.

Wszelako w innych dziedzinach, braterstwo po za obrębem chrześcijaństwa jest to wyraz kryjący w sobie zasadzkę. Po za chrześcijaństwem braterstwo jest poprostu czemś, czego się żąda od innych; zamiast być darem, staje się wymaganiem. Jest wyuzdaniem samolubstwa, które woła: Poświęć się dla mnie, albo biada ci!

Zdrowie ciała i pewność wiedzy, te dwa wielkie żądania natury ludzkiej, nie są to moce ujarzmione, — wiedza nie ma ich dotąd w swym ręku.

Nie mówię, aby wiedza traciła czas, bo nie dzieje się bez pożytku i każde odkrycie przynosi nam jakąś korzyść. Z tem wszystkiem pożytek ma swoje stopnie. Są wymagania mniej lub więcej pilne. Między najpilniejszymi zdrowie człowieka i pewność jego wiedzy jedno z naczelných zajmują miejsce.

Tymczasem wiedza zdaje się być tem dumniejszą, im przedmiot jej bardziej jest oddalony.

Na odwrót wydaje się tem mniej pewną siebie, tem bardziej wahającą się, im przedmiot jej jest bliższy, pilniejszy, bardziej współczesny i bardziej drgający życiem.

Im więcej pomoc jej jest nam potrzebna i nieodzowna, tem mniej jest w naszej mocy.

Pożyteczniej jest przecież pomódz człowiekowi, aniżeli odkryć gwiazdę. Owóż łatwiej jest odkryć gwiazdę, aniżeli pomódz człowiekowi. Możnaby rzec, że doniosłość praktyczna odkrycia stoi na przeszkodzie jego urzeczywistnieniu.

Łatwiej jest odkrywać planety, aniżeli środki lecznicze, mikroby, aniżeli skarby. Wiedza jest bardziej ciekawa, aniżeli płodna, bardziej subtelna aniżeli zbawienna, bardziej pomysłowa, aniżeli potężna.

Oto jest fakt niewątpliwy. Skąd on pochodzi?

Tutaj napotykam na mej drodze wielkiego badacza przyczyn Józefa de Maistre.

„Rozważcie, mówi on, wspaniałe prawo Opatrzności. Od czasów pierwotnych, o których w tej chwili nie mówię, tylko ludom chrześcijańskim dała ona poznanie fizyki doświadczalnej.

„Fizyka starożytnych była prawie bez wartości, gdyż nie tylko nie przywiązywali oni żadnej wagi do doświadczeń fizycznych, ale pogardzali nimi i łączyli z nimi pewną nieokreśloną ideą bezbożności.

„Skoro cała Europa stała się chrześcijańską, skoro teologia zajęła naczelne miejsce w hierar-

chii nauk, rodzaj ludzki osiągnął dostateczne przygotowanie do nauki o przyrodzie“.

Nauki są promieniami, religia ich ogniskiem. Religia katolicka dała ludziom upoważnienie, którego odmawiali sobie poganie, do opanowania natury. Chrystyanizm oddał świat na pastwę ludzkich rozpraw, ale zatrzymał sobie klucz życia i śmierci.

To też wiedza odosobniona, wiedza nieprzyjemna lub obojętna może posiadać olbrzymią siłę badawczą, ale nie będzie nigdy siłą ożywczą. Trzeba, aby Prometeusz przyjął odkupienie, trzeba, by wiedza oddychała właściwą sobie atmosferą świątyni. Coby się stało, gdyby zwrócona do owych źródeł, które są źródłami życia, pogrążyła się w chrześcijaństwie, aby się napoić jego potęgą?

Wieża Babel.

I.

Gdy rzucę okiem dokoła siebie na wiedzę filozoficzną lub na to, co taką nazwę nosi, spostrzegam, że ogólny stan umysłów daje się streścić w jednym wyrazie: zamęt.

Prawda jest rozwiązaniem zagadnień.

Co się tyczy błędu, ma on wobec danych zagadnień rozliczne sposoby postępowania. Przybiera różne postawy, bo na drodze do nicości wiele znajduje się stacyj. Rozróżniam trzy główne. Na pierwszej stacyi błąd mówi: Oto jest rozwiązanie zagadnienia, — i daje rozwiązanie fałszywe. Na drugiej stacyi błąd nie próbuje nawet rozwiązać zagadnienia, ale stara się je sformułować i mówi: Oto zagadnienie, ale jest ono nierozwiązalne. Na trzeciej stacyi, nie zdolny ani postawić, ani rozwiązać zagadnienia, wygłasza tylko puste słowa bez związku.

Na pierwszej stacyi napotykamy system, przybierający pozory zasadniczości, udający niewzruszoność, aby przedrzeźniać postawę prawdy.

Na drugiej stacyi napotykamy jawną niemoc. Na trzeciej stacyi słyszymy bredzenie gorączkowe. Rzućmy okiem na dzieje świata, ujrzymy w nich postęp tego, co piętnujemy.

Przedewszystkiem człowiek musi cześć oddawać, człowiek zaczyna zawsze od czci i uwielbienia.

Atoli, podczas gdy dziedzictwo święte przechowywało się nietknięte tylko u ludu wybranego, ku czemu zwróciła ludzkość swoje uwielbienie?

Wiecie, co mówi historia: oto wskazuje nam palcem wołu Apisa.

Ludzkość poczęła wielbić przyrodę i to jest istotą poganizmu.

Człowiek uczuł się słabym i zagrożonym wobec przyrody, widział działalność, której nie był sprawcą i cześć jej począł oddawać, aby ją sobie przejednać.

Przypisywać przedmiotom widzialnym i zewnętrznym własną wolę i osobistość potężną, czcić te twory, jak gdyby one same w sobie miały źródło życia — oto jest pogaństwo.

Pogaństwo czci rzeczy zewnętrzne, królestwo zwierzęce, królestwo roślinne, wszelkie nie — ja człowieka. Nagle człowiek, który bił pokłony przed cebulą, podnosi się i, zmieniając przedmiot swego bałwochwalstwa, gardzi rzeczami widzialnymi i zaczyna wielbić siebie samego w swem życiu intelektualnem i w swej myśli własnej, jak gdyby

sam w sobie miał źródło życia. I oto jest racjonalizm. Racjonalizm, którego Fichte najzupełniejszym jest przedstawicielem, polega na wielbieniu własnego ja, czyli intelektualnego i moralnego życia człowieka. Jest to wyższa forma bałwochwalstwa.

Ale człowiek, uwielbiający samego siebie, nie jest zadowolony ze swego bóstwa. Nie jest zadowolony ani z bóstwa greckiego, którem jest natura, ani z bóstwa racjonalistycznego, którem jest człowiek; wytwarza sobie przeto jeszcze jedno bóstwo, będące połączeniem obu wyżej wymienionych.

Racjonalizm i poganizm zespolone ze sobą, dają panteizm.

Panteizm jest jednoczesnem uwielbieniem życia zwierzęcego i moralnego życia człowieka, jednoczesnem uwielbieniem człowieka i natury, jako potęg identycznych w swej istocie i w swem rozwinięciu, jako różnych objawów jedynej substancji, w sobie samej mającej źródło życia.

Panteizm przedstawia nam błąd w jego formie najwyższej i absolutnej: jest to szczyt nicości.

Poganizm, racjonalizm, panteizm — oto błędy, z których umysł nasz może sobie zdać sprawę, błędy usystematyzowane, błędy mające swoje imię (zwracam szczególną uwagę na tę ostatnią okoliczność). Poganizm, racjonalizm, panteizm usiłują zarówno rozwiązać zagadnienie.

Weźmy teraz pod uwagę drugi rodzaj błędu. Przybyliśmy na drugą stację.

II.

Poganizm ma wrogiego sąsiada, racjonalizm ma wrogiego sąsiada, panteizm ma wrogiego sąsiada. Ten sąsiad wspólny, ten wróg wspólny: to sceptycyzm.

Trzy wymienione wyżej doktryny mają w sobie ziarno, z którego wyrasta sceptycyzm.

Mitologia grecka, Fichte, Spinoza, Plato i Schelling noszą w swem łonie Pyrrona, który prędzej czy później musi się z nich narodzić.

Gdy błąd nosi miano sceptycyzmu, nie rości już żadnej pretensji do chwały rozwiązania, chce tylko stawiać zagadnienia i na każde pytanie ducha ludzkiego odpowiada pytaniem: cóż mogę wiedzieć?

Wszelako sceptycyzm ma jeszcze imię, zowie się sceptycyzmem. Ma jeszcze świadomość swego jestestwa; wie, że nic nie wie. Jest zatem pod nim jakaś podstawa.

Bossuet, aby śledzić za postępem wypadków rozkładu, wystawia sobie ciało ludzkie w trumnie. Przez pewien czas wiadomo co to jest: jest to trup. Trup ma nazwę, ale po upływie tego czasu słowo ludzkie staje zakłopotane wobec nie-wiedzieć czegoś, co nie ma już nazwy w żadnym

języku. Niema już trupa: pozostaje jakieś nic, czy też jakieś niewiedzieć co.

Sledźmy podobnie za postępem rozkładu w świecie niewidzialnym. Widzieliśmy wyżej i nazwaliśmy właściwemi nazwami różne trupy.

Atoli teraz, gdy Schelling umarł, gdy Niemcy pogrążone w śnie śmiertelnym, oczekują zmartwychwstania, co robi błąd? gdzie się znajduje?

Znajduje się na trzeciej stacyi.

Weźcie mikroskop. Czy widzicie tam w dole uwijające się wciąż te nieskończenie małe istoty? To są mali ludzie dzisiejsi, którzy już nawet czytać zapomnieli. Wy, którzy moglibyście być wielcy, gdybyście byli chcieli zgnać kolana, Fichte, Schellingu, Heglu, o! jakże jesteście ukarani! Buntowaliście się na wyżynach, a oto kara dotknęła was nawet w tych, co się tam na dole uwijają. Co to za jedni? co robią? co mówią? Mówią coś, ale nic nie oznajmniają. Niepodobna ani określić, ani nazwać nawet ich błędu. Wstąpili w dziedzinę owego niewiedzieć czegoś, o którym wyżej mowa.

A jednak trzej ludzie genialni powstali ongi w Niemczech. Fichte, Schelling, Hegel głosili swe poglądy.

Jakże się stało, że stąd nietylko nie wynikła prawda, ani nawet żadna szkoła błędu, żadna szkoła, mogąca nosić to miano? Dlaczego ci, którzy wymieniają imię Hegla, jako imię swęgo ojca

duchowego, są tylko śmiesznymi szkolarzami? A przede wszystkim dlaczego Niemcy nie uwięczyły się prawdą? Co takiego stało się tam na wyżynach? Na wyżynach, gdzie tak dobrze byłoby modlić się, Niemcy znieważały Kościół, przed którym cedry na szczytach Libanu, pod grozą śmierci zniżać muszą najwynosiejsze swe wierzchołki. I Niemcy dotknięte zostały karą: pozostały bezpłodne. Bunt dokonał się w świecie niewidzialnym: kara uderza nasze oczy. Mamy ją przed sobą jako naukę. Fichte, Schelling, Hegel niczego nie dokonali.

Bóg, który nie pozbywa się nigdy swej niezawisłości ni swej chwały, odmówił im swoich tajemnic.

Dlaczegoż więc dał im geniusz, skoro mieli go zmarnować bezpłodnie? Może dlatego, aby świat ujrzał, dokąd zachodzi geniusz ludzki, gdy o własnych tylko idzie siłach.

Inne jeszcze pytanie. Pojmujemy, że nie znaleźli prawdy, ale dlaczego nie pozostawili jakiegś pomnikowej szkoły błędu?

Przyczyna tego bardzo prosta i bardzo głęboka. Wyczerpali błąd. Hegel dał ostateczny wyciąg błędu i zawarł go całkowicie w jednym słowie. Jego formuła wypisana jest na drzwiach szkoły szatana, który teraz wyśmiewa się z naśladowców i wzywa ich, aby prześcignęli mistrza. Szatan rozpoznał siebie w formule heglowskiej, uczcił ją jako

rzecz sobie przynależną, bo Pycha, Szatan i Hegel ten sam dają okrzyk: *Byt i Nicość są tożsamością*.

Ponieważ mistrzowie niemieccy nie schylili się dość nisko, aby być słyszanyymi od uczniów francuskich, którzy wogóle niewysokiego są wzrostu i tępego słuchu, więc biedni uczniowie w okrutnym znaleźli się kłopotcie. Ażeby powtórzyć lekcję, trzeba było ją słyszeć. Owóż jeden pochwycił taki wyraz, inny owaki, ten zapamiętał przymiotnik, tamten rzeczownik. I cóż z tego wynikło? Zeszli jakoś te strzępy porozrywane; ale owe urywki zdań, obok siebie umieszczone, nie miały sensu, a uczniowie nie spostrzegli tego wcale.

Uczniowie uczniów, tworzący pewną część publiczności francuskiej, zawołali jak w molierowskim *Lekarzu mimo woli*: To tak piękne, że nie tego nie rozumiemy!...

Jakoż istotnie, odgrywając komedię w języku niezrozumiałym tak dla publiczności, jak i dla siebie samych, aktorowie bez obawy mogli wygłaszać wszelkie wyrazy, jakie tylko ślina im do ust przyniosła.

Charakterystyczną cechą wielu tych, co we Francji plotą o filozofii, jest nieuctwo, nieomal że cudowne.

Ponieważ fundamenty gmachu nie zostały założone, więc każdy na chybił trafił rzuca kamień na kupę w przypuszczeniu, że z tych wszystkich kamieni może sam przez się powstanie budynek.

Niepodobieństwem byłoby tym ludziom ani porozumieć się, ani też zwalczać się nawzajem; nie mogą oni ani zawrzeć pokoju, ani prowadzić wojny.

Spytajcie ich, co to jest Bóg.

Nie mają o Nim żadnego pojęcia, bądź prawdziwego, bądź fałszywego, a jeśli chcecie sięgnąć do głębi ich myśli lub tego, co oni nazywają swą myślą, zobaczycie, że Bóg jest dla nich abstrakcją: — ale sami oni o tem nie wiedzą, bo z niczego nie zdają sobie sprawy w sposób dokładny. Spytajcie ich, czy uznają Boga katechizmu będącego zarazem Bogiem wiedzy?

— Niezupełnie.

Spytajcie ich, czy Go odrzucają?

— Niezupełnie.

Czy chcą innego?

— Niekoniecznie.

Czy nie chcą żadnego?

— I to nie.

Istota, którą sobie wyobrażają, jeśli wogóle do czegokolwiek jest podobna, jest jakimś uroczystym kształtem nicości.

Ciągnijmy dalej ich katechizm, którym zastąpili katechizm właściwy.

— Czy Jezus Chrystus jest Bogiem?

— Niezupełnie.

— Więc nie jest Bogiem?

— Nie mówię tego zupełnie; posuwasz się za

daleko. Chrystus jest czemś podobnem nieco do Boga; ponieważ jednak nie wiem, czym jest Bóg, nie mogę więc powiedzieć dokładnie, czy Chrystus jest zupełnie tem samem co Bóg; z tem wszystkim jestem chrześcijaninem.

— Więc czy Chrystus jest Bogiem tak jak Kościół naucza?

— Niezupełnie; zresztą nie biorę tego wyrażenia w tem samem znaczeniu, co ty.

— Jakiego wyrażenia?

— Wyrażenia: Chrystus jest Bogiem.

— W jakimże znaczeniu więc je bierzesz?

— W znaczeniu nowoczesnem, w znaczeniu szerokiem, w znaczeniu filozoficznem.

— Jakież to jest owo znaczenie nowoczesne, znaczenie szerokie, znaczenie filozoficzne?

— Zbyt mię do muru przypierasz. Jestem chrześcijaninem, ale nie katolikiem.

— Więc jesteś protestantem?

— Niekoniecznie.

— Czemże więc jesteś? Każdy człowiek, głoszący się chrześcijaninem, jeśli nie jest katolikiem, musi być uznany za protestanta.

— Ja wyznaję religię przyszłości.

— Czyż myślisz, że Bóg ulegnie zmianie lub ustąpi miejsca innemu bogu?

— Niezupełnie tak. Idziesz znowu zadaleko.

Podobny dyalog możecie zawsze usłyszeć, gdy zechcecie, wyjąwszy tylko zawartą w nim dobro-

duszną naiwność, którą tu przypisuję przeciwnikowi, a która zastąpiona będzie przez uroczystą pedanteryę. Istota rzeczy jednak pozostanie ta sama.

Przeciwnik wasz zaprzeczać będzie sobie samemu w tej samej prawie mierze, co i wam zaprzecza. Daremnie szukać będziecie jego doktryny, nie znajdziecie jej. Gdy będzie wam się zdawało, że już ją trzymacie, wymknie się wam, zmieni swą postać, jeżeli wogóle to, co nie istnieje, może ulegać zmianom.

Chcecie osiąść tajemnicę tej rzeczy, która nie powinna mieć imienia, ponieważ nie ma bytu, posiadającego jedynie prawo do imienia — rzeczy, która uchodzi za filozofię u czytelników *Przeglądu dwóch światów*? Chcecie wiedzieć, co to jest za doktryna?

Jest to drobna moneta formuły heglowskiej, przeznaczona na użytek tych, którzy nie mogą znieść całkowitej sumy jej wyników.

Jest to praktyka teorii heglowskiej, przeznaczona na użytek tych, którzy nie mają siły spojrzeć wprost w oblicze teorii.

Był i Nicość są tożsamością, powiedział mistrz.

Mówmy cokolwiek na chybi trafi, powtarzają uczniowie.

A nie sądzicie, że rozumieją oni związek, łączący ich z Heglem.

Oni absolutnie nic nie rozumieją.

Posłuszni są prawu, które ich na dół popycha,

ale nie rozumieją ani tego prawa, ani wogóle żadnej rzeczy.

A jednak publiczność współczesna patrzy i zachwyca się; należy powiedzieć raczej: zachwycała się, gdyż obecnie przestała się już zachwycać, i zobojętniawszy zupełnie tak dla Bytu jak i dla Nicości, zapadła w sen. Ale to postępek wątpliwej wartości.

Czas już, aby zrozumiała, że sobie z niej zadrwiono; czas powiedzieć trupom, zawałającym drogę: Ustąpcie przed życiem! ustąpcie przed światłem! ludzkość nie chce gnąć razem z wami. Oto głowa potężna znalazła formułę i syntezę błędu. Odtąd wszelki błąd jest tylko powtórzeniem.

Idźcie precz! idźcie precz niefortunni uczniowie, niezdolni wydać należycie lekcji źle wyuczonej w języku, którego sami nie rozumiecie. Idźcie precz, i starajcie się, aby o was zapomniano, bo jeśli przypadkiem jakiś erudyta przypomni sobie o was za lat dziesięć, trudno powiedzieć, z jak potężnym wybuchem śmiechu wymieni wasze imiona. Liczyliście na noc wiecznotrwałą, a oto dzień już świta; idźcie precz! jesteście umarli. Z licznego zastępu słuchaczy pozostała wam tylko garstka dobroduszyńskich mieszczuchów, słuchających was z otwartymi ustami; są to ci, co nie dosłyszeli jeszcze odzywającej się zdala pobudki przebudzenia. Jesteście umarli, zupełnie umarli i łaska Boża nie wskrzesi was dnia trzeciego. Dotykam pulsu Europy i czuję, że

ona pragnie żyć: a zatem jesteście umarli. Wasz kamień grobowy nie należy do tych, które mogą być podniesione; myśl ludzka musiałaby zagasnąć, gdyby nie zastąpiła próżni pełnią, a Hegla — prawdą.

Jedna tylko jest rzecz młoda na ziemi, a tą jest: chrześcijaństwo.

Jego wrogowie obecni przez swoją mierność pozwalają nam widzieć dokładnie próżnię błędu. Okazują go takim, jakim jest: zawiłą nicością.

Korzystajmyż z ich uczynności. Jeśli nie słuchaliśmy świadectwa prawdy, posłuchajmy świadectwa błędu, posłuchajmy głosu zgnilizny: ma ona właściwą sobie wymowę.

Jeśli nie chce być podobną do robaka mogilnego, który umiera, gdy go oddalą od trupów, niechże wiedza uczyni wysiłek, jaki czynią kwiaty: niech szuka słońca! Niech idzie do Galilei! Tam oczekuje ją wieczna młodość; tam anioł na nią czeka, aby ją poprowadzić ku Temu, którego poszukuje, a który jest Nieśmiertelny Zmartwychwstały.

Stan zagadnienia.

I.

Jeśli zapytacie, o jakim zagadnieniu mowa, odpowiem: Jedno jest tylko zagadnienie.

To zagadnienie, od którego ludzie są zależni, ale które samo też w części od ludzi zależy, dotyczy nasienia, powierzonego łonu ziemi. Co się stanie z tem nasieniem? Jest to zagadnienie o ziarnku gorczycy.

Każda rzecz, mająca kiedyś stać się wielką, w początkach swoich bywa małą, lub, jeśli chcecie, wydaje się małą.

Prawda nie lubi wrzawy. Przypomnijcie sobie jej zachowanie, gdy się stała człowiekiem; a jeśli sobie tego dobrze nie przypominacie, przyjrzyjcie się, jak wygląda drobne ziarnko, złożone w ziemi. Tak słabe napozór i zagrożone zewsząd, ma ono przebijać grubą warstwę ziemi, aby stać się wielkiem drzewem; ale przedtem pogrzebione, obumarłe, opuszczone, jak to mówią, od Boga i od ludzi, biedne, małe ziarnko do czegoż jest podobne?

Do niczego pono więcej, jak do Królestwa niebieskiego. Widzieliśmy je, owo królestwo niebieskie, jak narodziło się i zakwitło. Dziką wrzawę podnieśli przeciw niemu jego wrogowie, a ono odwzajemniło im się najczystsza harmonią. Oprawcy wydawali groźne okrzyki; męczennicy śpiewali pieśni pokoju. Męczennicy zwyciężyli; oprawcy zostali nawróceni. Kościół katolicki ma *Credo*, które się śpiewa.

Ale zechciejcie to rozważyć: Owo małe ziarnko, które z taką zdumiewającą siłą przezwycięża olbrzymie przeszkody, jakie zawsze napotyka, ta rzecz delikatna, droga i drogocenna, tak skromna i tak potężna, przezwyciężająca trudności i stająca się wielkiem drzewem — przez rękę dziecka może być zgnieciona.

Owóż ty, który to czytasz, a który jesteś słabą i wielką zarazem osobą, możesz uśmiercić nasienie boże, nie w ludzkości, bo Bóg przyobiecał jej nieśmiertelność, lecz w sobie samym. Możesz mu śmierć zadać, a możesz mu też dać życie.

Jaki jest stosunek świata do ziarnka gorczycy? Jak się z niem świat obszedł? Jak się obchodzi? Oto zagadnienie, które jest zagadnieniem naszej doskonałości i naszego szczęścia.

O droga prawdo, która nie mogąc rosnąć w sobie, bo jesteś nieskończona, w nas rosnąć raczysz, przez miłość dla samej siebie żyj niezmierną a słodką na tej naszej biednej ziemi i pozwól nam

podziwiać twe poruszenia wspaniałe, tak ogromne, że wszystko ogarniają, a tak harmonijne, że ich nie czujemy wcale.

II.

Człowiek może zachować słowo otrzymane i stwierdzać je czynem, może je też gwałcić i zaprzeczać czynem. Ale skoro przez czas pewien je zaprzeczał, znosić musi skutki swego zaprzeczenia i musi przyjąć jako karę prawo, które odrzącił jako zbawienie, tak, iż dla widza, patrzącego z zewnątrz, dla tego, który widzi i pojmuję, zaprzeczenie owo staje się twierdzeniem niekiedy bardziej jeszcze od tamtego uderzającym.

Kain zaprzeczył prawo miłości, ponieważ zabił brata. Ale skoro tulał się od miasta do miasta, nosząc na swem czole znamię gniewu bożego, obwieścił głosem strasliwym i brzmiącym potężniej pono, aniżeli mógłby brzmieć głos Abła: *Non occides* — Nie zabijaj.

Ten, który wszystko wie, oznajmia nam, co trzeba czynić. Ojciec podaje pokarm dziecku. Kto w prostocie serca przyjmuje podany sobie pokarm święty, uwalnia się od cierpień szczególnych, które chowa dla swych ofiar kłamca, co oszukał Adama.

Oto chleb, oto trucizna. Ale dyabeł wmawia swoim ofiarom, że jest daleko piękniej, szlachetniej, wznioślej otruć się, aniżeli spożyć chleb, śmieje się, szydzi z tych, co mu zawierzyli, podczas gdy ich

porywają bóle konania; posuwa swą ironię i złość swoją tak daleko, że rozbudza w nich pogardę dla tych, którzy wierni Prawdzie i Miłości usłuchali, uwierzyli, zrozumieli i spożyli chleb. Brakłoby czegoś temu strasliwemu szyderstwu, gdyby ofiary je rozumiały, ale ofiary dyabła dumne są ze swej roli i oszczędzając mu trudu, same wieńczą się kwiatami.

III.

W stuleciu szesnastem Europa z miną dumną i swobodną odrząciła chleb, a spożyła truciznę, aby zobaczyć, jak jej to posłuży. Oczywiście posłużyło jej to bardzo źle; ale złe skutki stąd wynikłe przypisała nie truciznie, którą pochłonęła, lecz pokarmowi, którego nie spożyła.

Wiek szesnasty otworzył drzwi rozdziałowi, wiek osiemnasty wprowadził wszelkie rodzaje rozdziału, stał się uosobieniem rozdziału. Póki ludzie zjednoczeni są, odnajdują też związek zachodzący między ideami; skoro zapomną o związku, który z wszystkich ludzi czyni jedną ludzkość, zapominają zarazem o związku, który z prawd wszelkich czyni jedną prawdę powszechną, albowiem ten, który nie miłuje, przez to samo, że nie miłuje, wstępuje w dziedzinę ciemności. Owóż światło nadaje jedność rzeczom, a to prawo, jak wszystkie prawa fizyczne, jest odbiciem prawa metafizycznego i z niego wynika.

Wiek osiemnasty stracił tedy z oczu naturę

rzeczy, którą jest światło i jedność. Ludzie przestali trzymać się razem, idee przestały łączyć się ze sobą; Wiedza nie łączyła się ze sztuką, a Sztuka nie miała łączności sama w sobie. Sztuka! Nawet to imię czcigodne poszło w zapomnienie i mówiono już tylko o sztukach. Nietylko różne objawy Sztuki, które zresztą przestały objawiać cokolwiek, bo w nich zabrakło Idei, nietylko różne objawy Sztuki, jak Muzyka, lub Poezya na przykład, stały się sobie obcemi, ale nawet każdy poszczególny objaw rozdzielił się sam w sobie. Poeta liryczny i poeta satyryczny poczęli uprawiać oddzielnie swoje rzemiosła, z których jedno nie miało nic wspólnego z drugim. Promieniowanie życia zastąpione zostało przez głupi konwencyonalizm mroźnej retoryki. Retoryka owa przeniknęła nawskróś życie i w biegu jego spraw zmieszała się z filozofią o tyle okrutną, o ile niedorzeczną. Krótko mówiąc, wiek ów poprowadziły frazesy napuszyste a puste do szynku i do gilotyny. Wieża Babel, która nie jest czem innem, jak rozdziałem absolutnym, powróciła teraz w swej śmiesznej potworności. Skoro człowiek o własnych siłach chce się wdrapać do nieba, spada zazwyczaj w błoto. Wiek osiemnasty był zapomnieniem prawdy, zepsuciem formy, był bałwochwalstwem miłości i śmierci w najokropniejszym znaczeniu, jakie mogą przybrać te dwa wyrazy; była to orgia i rzeź, szynk i szafot. Była to śmiertelna walka pijanych żołnierzy, zabijających się w ciemnościach

wśród potoków krwi zmieszanej z winem. A podczas gdy ludzie cofali się tak daleko wstecz ku nicości, dyabeł, który śmieje się zawsze dlatego zapewne, że zawsze się nudzi, nazwał ten wiek wiekiem postępu, wiekiem oświecenia; prawda, że nie nazwał go wiekiem Światła. Cóż dziwnego? On tak nie cierpi jedności!

Wszystko uosabia się na tym świecie. Każda myśl, każda epoka, każda forma ma swego przedstawiciela. Wiek osiemnasty nie mógł się obejść bez niego. To długie i potworne wykrzywienie oblicza ludzkości, zbrukane krwią i błotem miało pozostawić swój typ w wykrzywieniu żywem... i Wolter przyszedł na świat. Gdyby ten zły człowiek doznał losu, na jaki zasłużył, nie wywłóczyłbym tu jego baniebnego imienia; Wolter byłby tem, czem być powinien: zapomnianym ulicznikiem. Ale nie. Ta małpa znalazła wielbicieli, a ponieważ i obecnie ich znajduje, ponieważ zmuszony jestem o niej pisać, podczas gdy dawno powinna być zapomniana — niech to nikogo nie dziwi, że pióro drży w mojej ręce. Określiłem na innem miejscu Woltera jako brudnego głupca. Obstawę przy tem określeniu, którego słuszność, gdyby potrzebowala udowodnienia, znalazłaby je w napaściach, jakie wywołało. Gdyby było fałszywe, oddałoby usługę Wolterowi i zadowoliliby wolterianów, gdyż wszelkie kłamstwo obraca się na chwałę prawdy, której zaprzecza. Owoż moje określenie nie zado-

woliło wcale wolterianów. Zobaczymy, czy zadowoli ich wyjaśnienie bliższe, jakie tu dać zamierzam.

Co do brudów sądę, że są one widoczne i nie będę się niemi więcej zajmował; nie śmiałbym nawet czynić odnośnych przytoczeń przez szacunek dla idei i dla słów, dla rzeczy i dla osób, dla was, czytelnicy, i dla siebie samego.

Zwróćmy się tedy do głupstwa. Zobowiązuję się je udowodnić. Zobowiążcie się tylko ze swej strony zgodzić się, jeśli to istotnie uczynię, zgodzić się na to, co jest prawdą, zamiast powtarzać wyuczoną lekcję. Nie przywykliście słyszeć, że Wolter jest głupcem. Tem większa racja, aby wam to powiedzieć, ponieważ prawda owa jest wam obca. Nienawidzę zarówno paradoksów i przesądów. Miejmy odwagę mówić wszelką prawdę, lękajmy się wszelkiego fałszu.

Co rozumiemy przez wyraz głupiec? Głupcem nazywamy człowieka, który nie pojmuje, który jest nieinteligentny.

Owóż co to znaczy pojmować? — pojmować znaczy to samo, co obejmować jedność, mieć poczucie jedności: *cumprendere*.

Co to znaczy być inteligentnym? Być inteligentnym to znaczy (*intus legere*) czytać w idei i w fakcie.

Owóż te dwie zdolności, mianowicie: poczucie jedności i dar czytania w idei i w fakcie, czyli dar przenikania istoty rzeczy, te dwie zdolności stanowią właśnie krańcowe przeciwieństwo Woltera:

brakło mu ich nie częściowo tylko, lecz całkowicie i bezwzględnie.

Wolter nie przypuszczał wcale, żeby Sztuka i Filozofia mogły mieć coś wspólnego ze sobą, sądził nawet, że te dwie idee wykluczają się nawzajem. Zresztą nie wiedział, że to są dwie idee; następnie nie wiedział, że te dwie idee się spotykają; tem mniej mógł wiedzieć, gdzie się spotykają.

W fakcie Wolter nie widział nic innego, jak tylko sam fakt, a właściwie i samego faktu nie widział dokładnie, dostrzegał jedynie jego stronę małą, to jest stronę pozorną. Był on urodzonym wrogiem światła; rajem dla niego było zawsze zmniejszać, przyćmiewać, zaciemniać. Usuwać światło, usuwać wielkość, usuwać jedność, usuwać radość i uwielbienie, oto było dzieło jego życia.

Mówią niekiedy o zdrowym rozsądku Woltera. Oto co było owym zdrowym rozsądkiem: była to zdolność niedostrzegania rzeczy wyższych. Ażebym pogardzać Wolterem, nie potrzeba koniecznie patrzeć na niego z wyżyn Chrześcijaństwa; ten samozwańczy filozof jest zarówno ślepy wobec człowieka, jak i wobec Człowieka-Boga.

Jeśli małpa ze wszystkich zwierząt najpodobniejsza jest do człowieka, w rzeczywistości ze wszystkich najmniej jest do niego podobna. Owóż Wolter zapoznaje człowieczeństwo w człowieku, jak zapoznaje bóstwo w Chrystusie; małpę tylko uznaje, jej poszukuje, ją widzi wszędzie. Porządek

przyrodzony w tej samej mierze jest mu nienawistny, co porządek nadprzyrodzony; gardzi wszelkimi wyższymi pragnieniami, wyszydza wszystko, co się wznosi, uznaniem darzy wszystko, co pęłza. Gdyby był dobrym człowiekiem, zajmowałby jedno z ostatnich miejsc w dziedzinie dobra, gdyż trudno o głowę bardziej niską; będąc złym wzbudzać chyba musi odrazę nawet w złych, o ile zachowali w swem wspomnieniu jakiś ślad prawdy, dobra i piękna. Ażebym znosić jego widok. trzeba zerwać wszelki związek z myślą prawdziwą, trzeba powiedzieć blotu rynsztoków: Będiesz moją ojczyzną. Rzeczy wyższe, aby mogły być przyswojone przez nas, wymagają zawsze pewnego poświęcenia, tem większego, im wyżej się wznoszą; są one ciężarem, który dźwigamy — a głupiec, gdy cię widzi zgiętym do ziemi, nie widząc (ba! na to trzeba wzniesć głowę) jakiego rodzaju jest twoje brzemie — głupiec wyśmiewa cię — i oto masz Woltera!

Niezdolny cię zrozumieć, ani cię poznać, ani cię doścignąć, mając zawsze jeden tylko sposób zwracania na siebie uwagi — usiłuje cię opluć i oto masz owego wielkiego filozofa! Ze swej niemożności zupełnej czerpie on tę korzyść, że nie ma nic do dźwigania w sobie, ani na sobie. Nie dostrzegając nigdy żadnej idei, przez żadną ideę nie jest kępowany: oto tajemnica lekkich ruchów jego umysłu. Nigdy on się nie zagłębia. Bierze koncept

zabawny za wniosek. Zaprzecza przyczynom niewidzialnym, stosunkom odległym, prawom ukrytym: nie wie nawet, czy jest gdziekolwiek jakie zagadnienie. Za przyczynę jednego faktu podaje inny fakt, najbliższy, mający okolicznościowe tylko znaczenie; sposób o tyle głupi, o ile przewrotny, a o tyle przewrotny, o ile głupi. Sam będąc krótkowidzem duchowym i nie dostrzegając dalszych widnokręgów, chciałby wszystkim nam je zasłonić.

Mówią, że Wolter wzbudza śmiech. Nie wiem tego, lecz twierdzą stanowczo, że w nikim nigdy nie wywołał ani jednego poruszenia radości lub choćby nawet wesołości. Powołuję się na świadectwo wszystkich mających duszę; nikt nie zaprzeczy mi chyba. Kupletem wodewilowym usiłuje on znieść stosunek skończoności do nieskończoności, modlitwę i odkupienie. Zwalnia nas od refleksji, pozwala odpocząć od wszelkiej wielkości i zaprzestać wszelkich dążeń, idących w nieskończoność. Stąd wdzięczność okazywana mu przez wielu ludzi. Poniża on wszystko, czego się dotknie; upadla człowieka, aby nie mógł się czuć nieśmiertelnym i wierzyć w Boga nad sobą opiekę. Obcy mu jest dar uwielbienia.

Patrząc na rzeczy nieco z wysoka, widzimy, że uwielbić coś znaczy to oddawać się, wyjść z siebie. Uwielbienie, będące nie czem innym, jak jednym z objawów miłości, pragnie dwa życia złączyć w jednym życiu.

Wolter tak zupełnie i bezwzględnie jest niski, że nigdy nie wznosi się, ani nawet w wyobraźni, co jest jednak dość rzadką rzeczą u człowieka. Nigdy nie podnosi oczu ku górze, ani nawet we śnie. Niema na świecie kwiatu, któryby nie został przezeń oplwany. Błądzi on z rozkoszą. Ostatni z ludzi po tych, którzy się w nim lubują, powiedział o nim de Maistre. De Maistre się myli: nikt nie lubi Woltera. Po tym znaku go poznać: nikt nie będzie go lubił. Po niemożności kochania, co jest nieszczęściem szatana, następuje bezpośrednio niemożność wzbudzenia miłości. co jest nieszczęściem Woltera. Przestając z nim w jego książkach doznajemy wstydu, jak w miejscu rozpusty. Jego słowo jestto świst żmii syczący i zatruty. Ma ono właściwość zarażania i zatruwania wszystkiego, w co wnikać zdoła. Jego maską — miłość ludzkości, jego twarzą — pogarda Boga i człowieka.

Niepodobna tu nieprzytoczyć prawdziwie genialnych słów Szekspira. Czarownice w „Makbecie“ przyrządziwszy swój napój piekielny, przypominający dzieło osiemnastego wieku, dodają doń przyprawę, która ma uzupełnić mieszaninę, a przypomina bardzo Woltera. Mówią one: Ochłódźmy wszystko krwią małpy. Człowiek, którym się tu zajmujemy, scharakteryzowany jest wybornie przez słowa powyższe.

Przytoczony wiersz Szekspira, jak wszystko, co nosi znamię geniuszu, nie może być ograniczony

do poszczególnego faktu, do jakiego autor go stosuje. Ma on zastosowanie powszechne. Jest częścią skarbcza ludzkości. Należy do nas wszystkich. Możemy się nim posługiwać jako naszą własnością.

I śmia nam mówić o zasługach Woltera! Jest to chyba tylko wtedy słusznem, jeśli się chce przez to powiedzieć, że Wolter służył postępowi świata, albowiem w zamiarach przedwiecznych wszelka przeszkoda jest środkiem; bo przyspieszać ruiny zmurzonego gmachu, znaczy to przyczyniać się do odbudowania go; bo Judasz nawet działał dla sprawy odkupienia świata, gdy złożył pocałunek na twarzy Jezusa, by go wydać żołnierzom rzymskim.

Uczta, na którą Wolter zaprosił pokolenia ludzkie, aby w wyuzdaniu błuźnierczej wesołości, piły z naczyń świętych — uczta owa zamacona została przez odwiedziny z wyżyn nadziemskich: *Apparuerunt digiti...* Ręka tajemnicza wypisała słowa na murze. Rok 93 wybuchnął. My wszyscy, którzy nie wyrzekliśmy się duszy swej, odwróćmy przeciw niemu jego słynny okrzyk: „Przyjaciele, zgniećmy niegodziwca!“

Francya zwołała mędrców, aby jej wyjaśnili jej cierpienia. Mędrcy nie mogli powiedzieć: dzisiaj, jak za czasów Baltazara, słowo zagadki znane jest tylko Danielowi. Ziemia cała domaga się wyjaśnienia.

IV.

Przerażeni samymi sobą, tem czem jesteśmy, tem, co czynimy, tem, czego pragniemy, tem, czego zdziałać nie możemy, domagamy się, jak nigdy jeszcze się nie domagano, słowa zagadki; i sama siła naszych pragnień pozwala nam spostrzedz nareszcie, że oddawna już zostało ono wyrzeczone.

W czasie haniebnych orgii i okropności osiemnastego wieku znajdowało się zawsze na świecie niezniszczalne nasienie gorczycy. Kościół głosił zawsze to, co głosi od osiemnastu stuleci, równie pełen prostoty na tronie jak w katakombach, a równie tryumfujący w katakombach, jak i na tronie.

Oczekiwał godziny, mającej wybić. Na dnie zła kielkuje środek przeciwko niemu: to prawo powszechne. Chrześcijaństwo zdawało się zgubione; a jednak bliższe było zwycięstwa, niż kiedykolwiek.

Wiek szesnasty chciał rozerwać jedność dusz, zniweczyć wiarę powszechną.

Później próbowano usunąć wszelką prawdę nadprzyrodzoną, a później jeszcze próbowano usunąć wszelką prawdę przyrodzoną. Doszedłszy do tego kresu, chcąc nie chcąc, musiano się zatrzymać; dno otchłani ma tę zaletę, że zmusza do zwrócenia się napowrót ku górze.

A wskutek szlachetnego zwyczaju, który ludzie powzięli pod natchnieniem wyż pochodzącem,

skoro dotknęliśmy dna otchłani, nietylko wznosimy się z powrotem na równinę, lecz szukamy wyżyny możliwie wyniosłej, aby powetować nasze poniżenie.

Doznaliśmy okropności nocy, zmierzch poranny nie może nas zadowolić; słońca nam potrzeba. Ale między wiekiem osiemnastym i wiekiem, który nazywam dwudziestym, kiedykolwiek się on rozpocznie, zegar ziemi wybija powolną i strasliwą godzinę przejścia: to pełen zgrozy wiek dziewiętnasty. Z oczami przez pół otwartymi, niezupełnie zbudzony ze swych snów dręczących, nie wie on jeszcze, nie pojmuje, nie posiada prawdy, ale pragnie jej, pragnie, pragnie, mój Boże! jak nigdy dotąd świat nie pragnął. Przeszedł niewysłowioną szkołę boleści; poznał nicość człowieka, poczuł grzech pierworodny głębiej, aniżeli którykolwiek z jego poprzedników; cierpiał do szpiku kości i uznał się zbyt słabym, aby własnymi wyleczyć się siłami. Poczuł w głębi duszy pokusę najcięższą, ostatnią pokusę Hioba; został dotknięty przez rękę strasliwą, przenikającą do wnętrza, ujrzał, że bez Boga nic nie może.

Cóż pozostaje mu czynić? Pozostaje mu przebyć drugie doświadczenie, o tyle słodkie, o ile tamto było okrutne. Pozostaje mu napawać się w czynie słowem potęgi: Wszystko mogę w Tym, który mię umacnia.

Nic nie może bez Boga, to wie dobrze; ale wszystko może z Bogiem; o tem się dowie. Bóg

pozwoił mu iść samopas, aby mu pokazać, dokąd zachodzi się bez Boga.

Odwoła go jeszcze, aby mu wskazać, dokąd się zachodzi z Bogiem.

Świat zagrał w grę okropną: grę zniszczenia. Uczynił próżnię w całym zakresie swej mocy. Ze wszystkich sił swoich dążył do nicości.

Okropność nie przyszła sama; pociągnęła za sobą śmieszność. Rozum ludzki pokazał nam, jaką przybiera postać, gdy zostanie ubóstwiony. Cudowna, przedziwna, niewysłowiona ironia! Nie wiem, jakim innym sposobem prawda mogłaby zajaśnieć widoczniej. Owa prostytutka z 93-ego roku, która pod nazwą bogini Rozumu wstąpiła na ołtarz i tam, na tronie Bożym zajęła miejsce Boże — to najgłębszy z żartów historii i zdumiewać się trzeba, że wobec podobnego widoku opaska, zakrywająca wszystko przed nami, raz na zawsze nie spadła z naszych oczu. Skoro człowiek zaprzeczy Bogu, wydaje się, że pilno mu coprędzej zaprzeczyc sobie samemu, jako wyobrażeniu Boga, a następnie zaprzeczyc wszystkim rzeczom, aby nie mu o Bogu nie mówiło. Bez wątpienia Rozum, we właściwym znaczeniu tego wyrazu, ma prawa swoje i potęgę, ale skoro zwróci się przeciwko wierze, zamiast jej służyć, staje się pośmiewiskiem namiętności.

Zapewne Rozum może przemawiać wtedy nawet, gdy zamilknie Wiara chrześcijańska; ale czy nie słyszycie głosu otchłani, który wzywa tego czło-

wieka, i człowiek nakazuje milczenie rozumowi, a idzie posłuszny za owym głosem. Nie zadawałając się błędami logicznymi, które pierwszy jego błąd za sobą pociąga, człowiek zwraca się jeszcze do swego serca zbuntowanego, aby przy jego pomocy przeczyć temu, czemu rozum, sam sobie pozostawiony, nigdyby nie zaprzeczył; zwraca akt wiary ku nicości i rzuca się na oślep tam, kędy zawrót głowy go pociąga.

Nie opowiadam tu jakichś przywidzeń; piszę historię. Wiek, który ubóstwił potęgę rozumu ludzkiego, miał za zadanie okazać nam, jak pojmował to ubóstwienie. A jednak ziarnko gorczycy żyło zawsze. Historia, w samej rzeczy, dwojakim sposobem udowadnia Chrześcijaństwo.

Najprzód przez dzieje Kościoła, przez dzieje prawdy, zawsze zagrożonej, zawsze tryumfującej, zawsze słabej pozornie, jak dziecię, zawsze niezwykłej, jak Bóg; jest to dowód bezpośredni; następnie przez dzieje herezyi, czyli dzieje błędu. zła, zbrodni: jest to dowód pośredni, dowód przez sprowadzenie do nedorzecznosci.

Oba dowody zostały przeprowadzone. Chrystus zwyciężył świat. Świat próbował zwyciężyć Chrystusa. Bóg oznajmiający się nawet swą nieobecnością, wskazał nam, gdzie jest, pokazując nam nie tylko, gdzie jest, lecz także, gdzie Go niema. Nam dzieciom dziewiętnastego wieku pozostawiono jest

rozwijać z pełną świadomością jeden lub drugi z tych dowodów.

Wiemy, w którą stronę wzywają nas Wiara, Rozum, Prawda, Piękno, Dobro; wiemy też dokąd chcą nas zaprowadzić potworności kłamstwa. Jedność wzywa nas naprzód, rozdział chce zatrzymać nas w tyle.

Wiek osiemnasty i wiek dwudziesty walczą w naszych duszach, jak w łonie matki owe bliźnięta w Piśmie św. wspomniane.

Stwierdzimy chrześcijaństwo, wyznając je lub odrzucając, przez naszą miłość czy przez nienawiść, stawianiem kościołów lub ich burzeniem. Oddamy mu w każdym wypadku zbawieniem naszym, czy zgubą, hołd nieunikniony, który mu wszystko oddaje. Wierni lub niewierni złączymy nasze głosy z głosami pokoleń, wyznających Tego, który jest; przeminiemy, a Krzyż pozostanie na chwałę naszą lub na wstyd nasz. Światło jest; ale my możemy otworzyć oczy lub je zamknąć. Wybierajmy między okropnemi ciemnościami kończącej się nocy i boskimi blaskami dnia, który chce zajaśnieć. Trudno przypuścić, abyście w życiu waszem nie mieli choćby jednej godziny miłości dla prawdy. W imię tej godziny wybierajcie. Ziarnko gorczycy chce wzrastać.

Wiedza i Sztuka — te dwie córki marnotrawne umierały z głodu na swem dobrowolnem wygnaniu. Powracają zgłodniałe do domu rodzinnego, gdzie są oczekiwane. Ojciec rodziny każe zabić tłu-

stego cielca. Weźmy udział w radości Niebios. W walce, która się toczy między Wiarą i Przeczeniem, między Nicością i Bytem, każdy ma naznaczone sobie miejsce, wielkie lub małe w naszych oczach, niezmierne zawsze w oczach aniołów. Niebo oczekuje od nas stanowczego słowa: tak albo nie. Wobec tego oczekiwania obojętność jest najbardziej niewytłumaczonym i zdumiewającym szaleństwem.

Do was, którzy to czytacie, ziarno gorczycy zwraca się z prośbą, do was osobiście i bezpośrednio zwraca się, abyście je podlewali i pobudzali wzrost jego. Wspierajcie więc wszelkiemi narzędziami, jakie znajdują się w waszych rękach, tych, którzy pracują nad tryumfem Kościoła w duszach ludzkich; a jeśli narzędzia w rodzaju pióra lub dłuta nie są w waszej mocy, pomóżcie walczącym wybuchem modlitw, któreby przebiły ciemności ziemi, podobnie jak piorun przebija chmurę.

S f i n k s .

I.

Starożytność pogańska, która wszędzie wyciskała piętno swego zepsucia, mogłaby nam udzielać szczególnych nauk, gdybyśmy nie ulegali ułudnym jej urokom. Uwielbienie dlań, które nam nakazują, zwodzi nas dwojako. Naprzód każe ono czcić co jest godne pogardy. Następnie przeszkadza odkryć w głębi kłamstwa prawdę w nim zawartą. Aby odnieść korzyść z kłamstwa, trzeba je znać do głębi, trzeba je nawskróś przeniknąć, trzeba być chemikiem, wydobywającym z trucizny ukrytą w niej drogocenną substancję.

W trojaki sposób można postąpić z trucizną.

Pierwszy polega na tem, aby ją pochłoniąć. Jest to sposób ogólnie praktykowany. Ludzie wielbią starożytność, pochłaniają truciznę i umierają.

Drugi sposób polega na odrzuceniu trującej substancji, bez zbadania onej. Staje się ona wtedy

nieużyteczną. Tak postępują ci, którzy w ostatnich czasach potępili wogóle całą starożytność.

Trzeci sposób polega na tem, aby poddać truciznę rozbiorowi, przyswoić sobie jej tajemnicę, wydrzeć jej serce. Wtedy można znaleźć drogocenną substancję w truciznie, a prawdę w historii.

II.

„Jakaż prawda nie da się odnaleźć w pogaństwie“, mówił de Maistre.

I na poparcie swego zdania cytuje mnóstwo przykładów. Wylicza tajemnice, które starożytność zdradziła. Bo starożytność zdradza powierzone sobie tajemnice, zdradza dwojakim sposobem: ujawnia je i psuje.

Owóż do liczby tajemnic, zdradzonych przez starożytność, de Maistre mógłby zaliczyć Sfinksa.

Sfinks jest to potwór, który daje do odgadnięcia zagadkę Przeznaczenia; kto nie odgadnie zagadki, ten zostanie pożarty. Cóż bardziej niedorzeczniejszego? Ale coś głębszego, jeżeliby ludzie umieli w tem czytać!

„Zgadywać!“ — Jest to jedno z osobliwszych słów w języku ludzkim. Albowiem rzecz, którą wyraża, zdaje się nie zależeć od woli ludzkiej. A jednak rzecz ta posiada dla człowieka przejmującą dreszczem doniosłość. Dla dokonania jej niema znanego sposobu, a jednakowoż nikt nie

zdoła wyrazić, na jak ciężki żal naraża się ten, który jej nie dokona.

Dzieje prawdy i dzieje błędu pełne są spotkań dziwnych i wydarzeń, wydających się przypadkowymi.

Życie miesza razem osoby, rzeczy, dobro i zło, mierność, wielkie dobro, wielkie zło, wzniosłość, potworność: wszystko to płacze się ze sobą, ociera się o siebie. Ziemia, która jest szarą, zdaje się wszystko pokrywać swym szarym płaszczem. Ludzie na pozór bardzo są do siebie podobni. Ubranie wytwarza sztuczne między nimi różniące rysy, zwyczaje wytwarzają inne różnice, lekliwość wytwarza jeszcze inne, udawanie jeszcze inne, nieucztwo jeszcze inne: ludzie żyją pozorami.

Niezliczone zasłony kryją przed nami rzeczywistość, treść ludzi. Nie wyjawiają oni swych tajemnic; dla oka innych zachowują swój mundur.

Człowiek, patrzący z okna na ludną ulicę, mógłby się przerazić, gdyby pomyślał o wspaniałych lub straszliwych rzeczywistościach, które przechodzą przed jego oczami, nie wyjawiając swych imion, przebrane, ukryte, utajone głęboko — podobne jedne do drugich, jeśli polegać na pozorach.

Ale przerażenie patrzącego na ten tłum bez głosu wzmogłoby się jeszcze, gdyby sobie w duszy powiedział:

— Życie moje zależy może od jednego z tych

ludzi, przechodzących przed memi oknami. Być może, człowiek, którego potrzebuję, być może, człowiek, któremu ja jestem potrzebny, stoi tam u drzwi moich. Ale mnóstwo ludzi stoi u drzwi moich. Jeśli ten, o którym mówię, znajduje się między nimi, po jakim znaku go rozpoznam?

Życie prywatne ludzi, życie publiczne narodów, instynkt tajemny, literatura, romans, historia, wspomnienia przeszłości, potrzeby teraźniejszości, oczekiwania przyszłości: wszystko ostrzega człowieka, że może być potrzeba zgadywać, a nie ma prawidła, aby dobrze zgadywać.

Stąd zagadka sfinksowa.

III.

Widok rzeczy, które odgadnąć należy, a które nie dają się odgadnąć, zawiódł starożytność na brzeg otchłani, a otchlań pociągnęła swą ofiarę. Ta otchlań, to fatalizm. Na brzegu fatalizmu, nachylony nad przepaścią, leży Sfinks w postaci tajemniczej i straszliwej.

Gdyby fatalizm był prawdą, wszystkie zagadnienia byłyby nierozwiązalne, a jedyną na nie odpowiedzią stałaby się rozpacz.

Ale naogół zagadnienia, zdające się wywoływać odpowiedź rozpaczliwą, są to zagadnienia źle postawione, a odpowiedzi rozpaczliwe są często o tyle powierzchowne, o ile wydają się głębokimi.

IV.

W każdej chwili jest na tym świecie ilość nieznana do wynalezienia, jakieś X, wielkie X, które sztydzi z wszelkich środków algebry.

Sfinks starożytny chciał, aby nie było odpowiedzi.

Ale odpowiedź jest i możemy zabić sfinksa.

Co czynić, aby odgadnąć?

Oto zbliża się nędzarz i prosi o jałmużnę.

A gdyby to był Anioł boży?

A gdyby to był morderca?

Co czynić, aby odgadnąć? Czy potrzeba wysiłku myśli, nadzwyczajnego aktu inteligencji?

Wcale nie. Oto jest tajemnica:

Odgadnąć, to kochać!

Zapytajcie tych wszystkich, którzy umieli zgadywać, co czynili. Kochali, oto wszystko!

Inteligencya, pozostawiona sama sobie, puszcza się na ocean myśli. Problem życia staje przed nią, a jeżeli igła magnesowa nie wskazuje północy, jeśli busola ulega perturbacyom, inteligencya może łatwo dojść w praktyce do zwątpienia — w teorii do fatalizmu. Sfinks starożytny to inteligencya bezsilna, dochodząca do rozpacz i rzucająca się w otchłań śmierci.

Miłość lepiej zna swą drogę. Dochodzi w praktyce do światła, w teorii do sprawiedliwości.

V.

Oto prawda godna podziwu: nagroda udzielona temu, który zgaduje, odmówiona temu, który nie zgaduje, nagroda niedostępna wahającej się myśli wspomnianego wyżej widza, patrzącego z okna, owa nagroda udzielona lub odmówiona zawiera najwyższą sprawiedliwość, przewyższającą o wiele tę, która głośno oznajmia swe zasady.

Ten, który zgaduje, jest nagrodzony, ponieważ zgaduje ten, kto kocha.

Ten, który nie zgaduje, nie jest nagrodzony, ponieważ nie zgaduje ten, kto nie kocha.

Ten, który miłuje wielkość i który miłuje opuszczonych, skoro przejdzie koło jednego z nich, rozpozna w nim wielkość, jeśli ta znajduje się w nim istotnie.

Ten, który przechodzi obok człowieka potrzebującego, pozna jego potrzeby, jeśli go kocha. Ten, który przechodzi obok człowieka, którego potrzebuje, rozpozna tego, którego szukał, jeśli ma dosyć miłości, by nie zazdrościć mu zajmowanego przezeń stanowiska, stanowiska pozwalającego mu dawać i przebaczać.

Ludzie praktyczni.¹⁾

Sądźmy, że wyzwoliliśmy się ze wszystkich przesądów; tymczasem gnębią nas one, cisną i duszą. Oto jeden z nich, który zamierzam tu wziąć pod uwagę. Dotyczy on ludzi praktycznych.

Wypytajcie starannie wszystkich, co was otaczają. Znajdziecie w ich umysłach, bądź to w określonej, bądź to w nieokreślonej postaci, bądź w sferze świadomości, bądź w sferze nieświadomości pewne przekonanie, które gdyby chciało przemówić, mówiłoby mniej więcej w ten sposób:

„Nie dowierzajcie ludziom wyższego umysłu. Nie są to ludzie praktyczni. Są to ludzie niebezpieczni: są to poeci, marzyciele. Nie umieją oni działać rozsądnie w zwykłych sprawach ludzkich. Nie pojmują rzeczywistości“.

Wśród błędów rozpowszechnionych w świecie, nie wiele jest równie potwornych i mało równie szkodliwych.

¹⁾ *Le siècle.*

Idee nie są i nie mogą być oddzielone od faktów. Idee i fakty łączą się i wytwarzają się nawzajem. Niema dwóch prawd przeciwnych sobie.

Przesąd, o którym mowa, chciałby pozostawić teorye ludziom wyższym, praktykę ludziom pospolitym. Chciałby rozgraniczyć dwie dziedziny; skazać ludzi wyższych na odosobnioną teoryę, ludzi pospolitych na odosobnioną praktykę.

Owóz wszelkie odosobnienie jest wygnaniem i więzieniem. Teorya bez praktyki jest cierpieniem bezpłodnem.

Praktyka bez teoryi jest niedorzecznością płodną w katastrofy.

Zasady, skoro są prawdziwe, mają tylko jedno zadanie: znaleźć zastosowanie w życiu.

Sprawy ludzkie, skoro są słuszne, mają tylko jedno zadanie: urzeczywistnienie zasad.

Co to jest zasada? Zasada jest podstawą wszelkiej działalności zewnętrznej. *Principium* znaczy początek. Wszelka działalność, nie mająca zasady za punkt wyjścia, jest gmachem bez fundamentu, skazanym z góry na zagładę.

Ludzie wyższego umysłu żyją w blizkiem obcowaniu z zasadami. Przesąd chce, żeby na tem się zatrzymywali nie troszcząc się o zastosowanie praktyczne. Dlaczego tak ma być? — Człowiek dany umie dopatrzeć się zasad, obcuje z niemi. Dlaczegoż nie ma umieć objąć wzrokiem ich następstw? Dla-

czego przyznajecie tę umiejętność tym, którzy zasad dostrzedz nie potrafią?

W naturze, skoro chcecie widzieć daleko, wchodzicie na wieżę, lub na jakąś wyniosłość.

W sprawach moralnych przeciwnie, skoro chodzi o widzenie z oddali, o zbadanie i przygotowanie pola walki, o organizację i kierunek bitwy, nie dowierzacie temu, który stoi wysoko i widzi daleko. Pokładacie całą ufność w tym, który siedzi zamknięty w piwnicy i jest krótkowidzem.

Lornetka Napoleona słynna była i straszliwa na polach bitew. Europa drżała przed nią.

Ale skoro chodzi o walkę życia, w której tak potrzeba widzieć daleko, przewidywać, przygotowywać, usuwać niebezpieczeństwa, darzyć zaufaniem tego, który nie ma ani lornetki, ani dobrego wzroku.

Ludzie, gdy mają sądzić o doniosłości wzroku, okazują nieufność orłom, a ufają kretom.

A przecież, jeśli gdzie jest prawda w życiu, to niewątpliwie w tem, że kto patrzy z wysoka, ten sięga wzrokiem do głębi. Ten tylko może widzieć koniec i cel, kto widział początek, to jest zasadę.

Ten tylko może wydawać sąd o stosunkach i rzeczach, kto zdolny jest sądzić o ludziach, od których one zależą. Aby kierować sprawami ludzkiemi, znajomość ludzi jest nieodzowna. A ten tylko zna ludzi, kto umie patrzeć w głąb.

Jeśli mamy kierować sprawami tego świata, musimy mieć na względzie cnoty i wady ludzkie, musimy liczyć się z namiętnościami, ze słabościami, z upadkami. Omal nie powiedziałem: musimy liczyć na słabości i upadki.

Aby prowadzić sprawy tego świata, należy znać całą głębię upadku ludzkiego.

Aby zaś poznać tę głębię upadku, trzeba ją widzieć z bardzo wysoka. Trzeba patrzeć na człowieka z bardzo wysoka, aby widzieć, jak nisko człowiek zejść może.

Trzeba patrzeć z bardzo wysoka i z bardzo daleka, aby umieć wybrać przedmioty zaufania swego lub nieufności. Chcąc dobrze sądzić o skutkach, trzeba dobrze znać przyczyny. Ten tylko zdolny jest obliczyć prawdopodobieństwa upadku błędu i kłamstwa, kto żyje w sferze światła i prawdy.

Wzrok zaciemniony nie przenika ciemności.

Przenika ciemności tylko wzrok, zbrojny strzałami światła.

Rozproszyc ciemności może tylko wzrok, padający z dość wysoka, aby zgnieść, przebić, roztrącić przeszkody.

Z tej to przyczyny starożytni, mający często tyle głębi w swej mowie, zwali tem samem mianem poetę i proroka.¹⁾

¹⁾ Łacińskie *vates* odpowiada polskiemu wieszczek, wieszcz, prorok, poeta. (*Przyp. tłóm.*)

Owóż w kierownictwie spraw ludzkich jaki dar byłby najużyteczniejszy i najpraktyczniejszy?

Byłby to niewątpliwie dar prorocstwa, pozwolił by on nam rozpoznać, kto nam pomoże, a kto nas zdradzi.

Owóż są prorocstwa naturalne (gdyż nie znajdujemy się tu na gruncie mistycznym), na mocy których człowiek wyższego umysłu, człowiek teoretyk, wieszcz, jeśli można użyć tu tej nazwy, przewiduje zwroty nagle, zawody niespodziewane, katastrofy gwałtowne, których oprócz niego nikt nie przewidywał. Widziałem to nie raz, ale wiele razy.

W pewnego rodzaju katastrofach ludzie praktyczni bywają zaskoczeni niespodziewanie, podczas gdy myśliciele byli na nie przygotowani.

Widziałem nieraz działaczy praktycznych, oddanych interesom i mylących się grubo w zakresie tychże interesów, gdyż nie znając i nie pojmując ludzi, nie mogli poznać rzeczy zależnych od ludzi, którymi się posługiwali.

Widziałem ludzi wyższego umysłu, ludzi szerokiego spojrzenia, ostrzegających tych, którzy powszechnie uznani byli za praktycznych i ostrzegających nadaremnie.

Ich charakter, jako ludzi wyższego, teoretycznego umysłu, który powinienby dodać powagi ich słowom, osłabiał owszem ich doniosłość, gdyż przesąd mówił: Nie jesteście ludźmi praktycznymi. Tym-

czasem bieg wypadków usprawiedliwiał przewidywania człowieka wyższego umysłu i teoretyka.

W życiu praktycznym wiele zawsze trzeba zgadywać. Intuicyja gra w niem wielką rolę.

Wyrachowanie bez intuicyi często w błąd wprowadza.

Na wszystkich polach bitwy zwycięstwo słucha częściej rozkazów intuicyi, aniżeli wyrachowania.

Zwycięstwo jest zdobyczą. Jest to zdobycz jednego rzutu oka.

Owóż sędzę, że ludzie praktyczni, którym nie zaprzeczam żadnego z istotnych i rzeczywistych ich przymiotów, najwyższą okazują przezorność, kiedy uznają i darzą prawem obywatelstwa wpływ człowieka intuicyi i szerokiego spojrzenia.

Człowiek, oddany interesom, często bywa przez nie pochłonięty. Potrzebuje rady człowieka, mającego czas do namyslenia się.

Człowiek, mający czas rozmyślać, potrzebuje ramienia człowieka nawykłego do działania.

Jeden potrzebuje drugiego. Każdy poszczególnie potrzebuje wszystkich.

Odosobnienie jednego i odosobnienie drugiego doprowadza do zguby obu odosobnionych.

Zjednoczenie jednego z drugim zbawiłoby mogło obu zjednoczonych.

Człowiek praktyczny często żywi pogardę dla myśliciela. Myśliciel często żywi pogardę dla człowieka praktycznego.

Ta podwójna pogarda ma jako przyczynę i jako następstwo niezmierną liczbę sofizmów teoretycznych, błędów umysłowych i katastrof faktycznych.

Gdyby ludzie wiedzieli jak bardzo potrzebują siebie nawzajem, miłość wzajemna nie przychodziłaby im z taką trudnością.

Zasada: „miłujcie jedni drugich“ na razie wydawać się może nakazem czysto moralnym i religijnym. Ale spojrzycie w głąb. Zobaczycie, że z punktu widzenia czysto praktycznego pożytku jest to najlepsza rada, jaką dać można nawet ludziom, oddanym interesom materyalnym.

Rzeczy najwznioślejsze są zarazem najpotrzebniejsze.

Potrzebne są one na wyżynach, potrzebne na najniższych poziomach, potrzebne zawsze i wszędzie. Ponieważ są powszechne, są też niezbędne powszechnie. Prawda i miłość nieodzownie potrzebne misjonarzowi, przelewającemu krew w krajach pogańskich, potrzebne kaznodziei, głoszącemu słowo święte tłumom zgromadzonym w kościele, potrzebne teologowi, wyjaśniającemu najwyższe zagadnienia przeznaczeń ludzkich — są też potrzebne mężowi stanu, przygotowującemu projekt do prawa, potrzebne temu, który w swoim gabinecie rozmyśla nad najlepszym rozwiązaniem jakiejś trudnej sprawy.

Prawda i miłość winny być stosowane przed wszystkimi środkami ludzkimi i po użyciu wszel-

kich możliwych środków. Szukajcie jak chcecie, nigdzie nie znajdziecie innego wybiegu.

Bo jest tylko jeden Bóg.

Dwóch nie ma. Jest tylko jeden.

Imię poety, które znaczy po łacinie prorok, po grecku znaczy twórca.

Poeta jest ten, który czyni; przekład tej nazwy greckiej brzmieć będzie: człowiek czynu, *człowiek praktyczny*.

Jeśli mowa starożytności jest piękna, mowa chrześcijańska piękniejsza jest jeszcze jako bliższa źródła Wzniosłości.

Owóż skoro chrześcijaństwo chce nam mówić o człowieku bardzo wysoko wzniesionym przez dary Boże, zowie go człowiekiem *budującym*. Budujący, to znaczy ten, który coś buduje, to jest człowiek czynu.

Wiem, że ten przymiotnik „budujący“ bywał często używany niegodnie i stosowany do drobnostek. Mniejsza o to. Przywróćmy wyrazom ich znaczenie podniosłe.

Dla chrześcijaństwa wszelkie cnoty, nawet wewnętrzne, są czynami płodnymi w skutki praktyczne.

Czy zauważyliście to wzniosłe wyrażenie: akt skruchy? Człowiekowi, który nie zwykł głębiej się zastanawiać, skrucha, oznaczająca *skruszenie*, może się wydać jakimś zmniejszeniem, utratą sił, rozkładem.

Owóż akt skruchy w oczach chrześcijaństwa jest aktem szczególnej siły, siły, która niebo otwiera.

Mowa ludzka i mowa chrześcijańska zbudziłyby zdumienie swoją pięknnością, gdyby przyzwyczajenie nie zamykało nam oczu.

Człowiek prawdziwie praktyczny, to człowiek *budujący*. Ma on w swym ręku cement, co spaja.

Co zaś do robotników poza nim stojących, ci, gdy zdają się budować, w istocie rzeczy burzą; zamki i grody zapadają się w ruinę, skoro oni ich się dotkną.

Wielcy ludzie ¹⁾.

Jest na ziemi klasa ludzi zasługujących na szczególne współczucie, a bardziej od innych pozbawiona go zazwyczaj. Jest to klasa tych, których zowią wielkimi ludźmi.

Wielcy ludzie są to ubodzy osobliwego rodzaju, ubożsi od innych ubogich. Człowiek tem jest uboższy, im więcej braków odczuwa. Ptaki niebieskie nie mają obligów państwowych, ale nie są ubogie, ponieważ nie odczuwają żadnego braku; dość im rozpostrzeć skrzydła, aby z łatwością i bez troski osiągnąć zaspokojenie swych potrzeb.

Człowiek jest najuboższem ze wszystkich stworzeń. Człowiek jest przytłoczony potrzebami.

Ale wielki człowiek jest tak ubogi, jak żaden z ludzi.

Wielki człowiek ma naprzód wszystkie potrzeby

¹⁾ *Le siècle.*

człowieka zwykłego i odczuwa je silniej niż ktokolwiek.

Nadto ma on inne potrzeby zarazem wyższe i bardziej palące, które głośniejsz wolać, a mniej są słuchane, bo nie są zrozumiałe, a dla których prośba o pomoc jest rzeczą prawie niedostępną, bo ogół nie ma zmysłu, któryby mógł głos ich pochwycić.

Gdyby Krzysztof Kolumb chodził od domu do domu, żebrząc chleba, chleba, którego potrzebują wszyscy ludzie pospolici i wielcy, byłby lepiej wysłuchany, ale on prosił o chleb jemu tylko potrzebny: potrzebował okrętów do odkrycia Ameryki. To był jego chleb. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj! — naszego! tego, którego nam potrzeba.

Owóż chleb wielkich Ludzi nieskończenie rzadszy jest od chleba ludzi zwykłych. Oto dlaczego wielcy Ludzie są ubodzy zwykłym ubóstwem ludzkim, ponieważ odczuwają wszystkie ludzkie potrzeby, a zarazem ubodzy ubóstwem własnym, szczególnym, wyjątkowym, ubodzy ubóstwem wynikającym z pragnień olbrzymich a niezwykłych, na mocy których są oni wielkimi Ludźmi.

Czem jest w istocie rzeczy ów nędzarz, którego zowią straszliwym imieniem: wielki Człowiek.

Spróbuję odpowiedzieć na to pytanie.

Kiedy w okolicznościach uroczystych monarcha wyprawia swego posła do innego monarchy,

powierza mu ważny sekret, który poseł tylko samemu monarsze ma prawo powiedzieć.

Kiedy w okolicznościach uroczystych Bóg posyła człowieka wybranego do ludzkości, człowiek ten obarczony jest poselstwem, tylko że w tym razie sekret zowie się Tajemnicą i na mocy tej Tajemnicy wielki Człowiek jest wielkim Człowiekiem.

Ludzie mali całe swoje znaczenie biorą od czynów, których dopełniają.

Bez tych czynów byłiby niczem. Niekiedy podnoszą się na tych czynach swoich jak na szczudłach i zwracają na siebie uwagę tłumów. Żyją oni owymi czynami, wyzyskują je na wszelki sposób, uderzają w wielki bęben i niekiedy są zdolni narobić wiele hałasu.

Ale nie mają treści sami w sobie. Są oni jak widma rozwiewające się w przestworzu. Okazują się zawsze mniejszymi od miejsc, które zajmują i od skutków, które osiągają. Przytłaczają ich własne dzieła. Skoro te dzieła są dokończone, ich autorowie pograżają się znów w swej pospolitości. Fala przypadku, która ich wyniosła, odnosi ich napowrót. Skoro sposobność pozwalająca im być czemś przejdzie, ludzie ci stają się niczem.

Wielki Człowiek przeciwnie wyższy jest od swoich czynów, wzruszenie, które wzbudza jego imię, bardziej jest nieśmiertelne, niż fakta z jego historii.

Wzruszenie to jest dzieckiem Tajemnicy, którą on w sobie nosi. Tajemnica jest znakiem jego, godnością jego, mianem jego.

Oto dlaczego tak trudno sąd wydać o Wielkim Człowieku. Działa on bowiem z mocy czegoś, co nam jest nieznane.

Ludzie zwyczajni mogą mu czynić mnóstwo zarzutów, prawdziwych lub fałszywych, słusznych lub niesłusznych. Ale powinni by zachowywać się zawsze względem niego z szacunkiem, jakiego wymaga obecność wielkiego Nieznanego.

W przeciwnym razie kompromitują sami siebie a nie tego, którego chcą osiągnąć. Wielki Człowiek unika ich pocisków a oni sami siebie ranią niemi dotkliwie.

* * *

Ludzie zwykli a szczególnie ludzie bardzo mali, uczuwają pewien pociąg do napadania na Ludzi wielkich i mają w tem pewną przyjemność. Jest wiele mściwego w tej przyjemności. Te napaści osiągają szczególnego rodzaju powodzenie. Ale nie dajcie się w błąd wprowadzić, powodzenie owo przypisać należy wielkiemu Człowiekowi zelżonemu. Ciekawość, którą on wzbudza, zjednywa rozgłos temu, który nań napada. Ale ten marny rozgłos będzie krótkotrwały i skoro napastnik przejdzie, Człowiek wielki pozostaje na swem miejscu, niewzruszony na swej skale nieśmiertelnej, a jego

wróg mały uniesie znamiona ran, które chciał jemu zadać.

Kule, które były dlań przeznaczone, nie dosięgają jego wyniosłego czoła. Spadają na tego, który je wypuszcza.

Nie chcę z pewnością wzbronić krytyce historycznej poważnego badania życiorysów wielkich Ludzi. Ma ona prawo a nawet obowiązek żądać od nich zdawania liczby z ich czynów. Ale musi ona mieć zawsze na uwadze odrębny a niepojęty żywioł ich bytu. Powinna stanąć na wysokości Tajemnicy, do której się zbliża.

Napastnicy wielkich Ludzi czynią im nieraz zarzuty słuszne, częściej jednak takie zarzuty, które wydają się tylko słusznymi. Czegóż im braknie do wzniesienia się na stanowisko sprawiedliwe? Braknie im czci dla uświęconej Idei, która czyni, że wielki Człowiek jest wielkim. Napadają na pojedyncze jego czyny, nie dostrzegając, co jest ich łącznikiem i natchnieniem ich.

Zazwyczaj mali ludzie zarzucają wielkim Ludziom, że nie uczynili tego, co oni sami, mali ludzie, uczyniliby na ich miejscu.

Istotnie gdyby Wielki Człowiek postępował tak jak mali ludzie, uniknąłby wiele błędów, które być może popełnił.

Jako wielki Człowiek miał on tysiąc wad. Gdyby

postępował jak mali ludzie, miałby jedną wadę zamiast tysiąca. Ale owa wada byłaby właśnie brakiem wielkości.

Czy przypominasz sobie tego sławnego konia, który posiadał wszystkie przymioty za wyjątkiem życia, miał ten jeden brak, że był nieżywy?

Wielki Człowiek, który stałby się takim, jakim go chcą mieć mali ludzie. miałby tylko ten jeden brak, że byłby do nich podobny.

Gdyby Krzysztof Kolumb był mniej uparty, nie odkryłby Ameryki.

Słyszę stąd przeróżne rady, które mu dawano.

„Ale mój drogi, bądźże rozsądny, bądź jakim jest każdy z nas. Dlaczego wyróżniać się koniecznie? Dlaczego nie być podobnym do innych? Czy takie przykłady dawaliśmy ci? Czyż kiedykolwiek twoi bracia, twoi krewni, twoi przyjaciele, twoi koledzy, twoi znajomi, twoi wujowie, twoi dziadkowie, puszczali się na pełne morze, nie wiedząc dokąd mają płynąć? Oto jednakże do czego zarozumiałość może doprowadzić człowieka!“

Co tajemnic w tym wyrazie: Sprawiedliwość! Trzebaby umieć ważyć góry, aby zmierzyć tego, który być może, dźwiga je na swoich ramionach.

Tajemnicą Kolumba była może Równowaga. Stary ład nakazywał mu poszukiwanie Nowego ładu.

Człowiek mierny.

Powiedzcie w tym lub owym salonie, że ten lub ów człowiek sławny jest człowiekiem miernym: wszyscy się zdziwią i powiedzą, że mówicie paradoksy; ale bo nie wiedzą, co to jest człowiek mierny.

Czy człowiek mierny jest ograniczonym, głupcem, idyotą? Broń Boże! Głupstwo jest na jednym końcu świata, geniusz na drugim, mierność znajduje się pośrodku. Nie mówię, że zajmuje punkt centralny świata duchowego, byłoby to zupełnie co innego; zajmuje ona w nim miejsce pośrednie.

Czy człowiek mierny należy do tej sfery, która w filozofii, w polityce i w literaturze zowie się złotym środkiem? Czy podziela panujące w tej sferze przekonania?

I to nie.

Ten co należy do złotego środka wie o tem i chce być takim. Człowiek mierny należy do złotego środka bezwiednie. Należy doń z natury, nie z przekonania; z charakteru, nie z przypadku.

Niech będzie gwałtownym, krańcowym, skłonnym do uniesień, niech się oddala jak chce od opinii pośrednich, niemniej przeto, pozostanie zawsze miernym. Nawet jego gwałtowność będzie mierna.

Rysem charakterystycznym, bezwzględnie charakterystycznym, człowieka miernego, jest uległość względem opinii publicznej. Nie mówi on nigdy, zawsze tylko powtarza. Sądzi on człowieka wedle jego wieku, wedle stanowiska, powodzenia i fortuny. Ma głęboki szacunek dla ludzi znanych z jakiegobądź względu, dla tych, którzy wiele drukowali np. Będzie on starał się o względy swego największego wroga, jeżeli ten stanie się głośnym, ale za nic miałby swego najlepszego przyjaciela, gdyby nikt go przed nim nie wysławiał. Nie pojmuje on, aby człowiek jeszcze nieznan, biedny, którego zowią po imieniu, z którym obchodzą się lekceważąco, mógł być człowiekiem genialnym.

Choćbyś był największym z ludzi, jeżeli cię znał dzieckiem, sądzi, że będziesz aż nadto zaszczycony, gdy cię porówna z Marmontelem. Nie ośmiela się w niczem wziąć inicjatywy. Jego uwielbienia są przezorne, jego zachwyty urzędowe. Pogardza młodymi. Tylko, gdy jakaś wielkość zostanie uznana, zawoła: „Czy nie przeczuwałem tego?“ Ale nie powie nigdy wobec wschodzącej zorzy człowieka nieznanego: „Oto chwała i przyszłość!“ Kto jest w stanie rzec do pracownika nieznanego: Dziecię,

ty masz geniusz! sam wart jest chwały, którą obiecuje. Rozumieć, to wyrównać, mówił Rafael.

Człowiek mierny może mieć jakieś specyalne uzdolnienia, może mieć talent. Ale intuicja zupełnie mu jest odjęta. Nie ma i nigdy nie będzie miał drugiego wzroku. Może się czegoś nauczyć, nie może odgadnąć. Uznaje on niekiedy jaką ideę, ale nie dostrzeże i nie zrozumie jej zastosowań rozlicznych, a jeśli przedstawi mu ją w odmiennej postaci, nie pozna jej i odrąci ją.

Przyznaje niekiedy jakąś zasadę; jeśli wszakże zwrócić się do następstw owej zasady, powie, że przesadzacie.

Gdyby wyraz przesada nie istniał, człowiek mierny wynalazłby go.

Człowiek mierny sądzi, że chrześcijaństwo jest użytecznym środkiem ostrożności i byłoby nieroztropnie odrzucić je. Niemniej przeto nienawidzi on go w głębi duszy; niekiedy żywi znów dlań pewien szacunek konwencyonalny, taki sam, jak dla książek mających powodzenie. Ale żywi szczególną odrazę do katolicyzmu, zarzuca mu przesadę, woli o wiele protestantyzm, który poczytuje za umiarkowany. Jest on zwolennikiem wszelkich zasad i wszelkich ich przeciwieństw.

Człowiek mierny może mieć pewien szacunek dla ludzi cnotliwych i dla ludzi utalentowanych.

Czuje zawsze obawę i wstręt wobec świętych i ludzi genialnych; uważa ich za przesadzonych.

Zapytuje on, na co zakony religijne, szczególnie zakony kontemplacyjne. Uznaje siostry miłosierdzia, bo ich działalność rozwija się przynajmniej częściowo w świecie widzialnym. Ale zapytuje, co komu przyjdzie z Karmelitanek?

Jeśli człowiek z natury mierny, stanie się prawdziwym chrześcijaninem, nieodszownie przestaje być miernym. Może nie stać się człowiekiem wyższym, ale wyzwolony jest z mierności przez rękę mieczem władnącą. Człowiek, który miłuje, nigdy nie jest mierny.

Człowiek prawdziwie mierny uwielbia wszystko potrosze, ale nic całkowicie i z zapalem. Jeżeli mu powtórzy się jego własne myśli i własne uczucia, oddane z pewnym entuzjazmem, będzie niezadowolony. Powie, że przesadzacie; będzie wołał swych wrogów, jeśli są ziemni, aniżeli przyjaciół, jeśli są gorącego ducha. Najwięcej ze wszystkiego nie cierpi zapalu.

Człowiek mierny ma jedną tylko namiętność: nienawiść dla piękna. Będzie on może powtarzał w tonie banalnym jakąś prawdę banalną. Wypowiedzcie jednak tę samą prawdę w świetnej formie, wyprze się jej, bo napotka piękno, swego wroga osobistego.

Człowiek mierny lubi pisarzy, którzy w żadnej kwestyi nie mówią tak ani nie, którzy nic nie twierdzą i oszczędzają wszelkie sprzeczne mniema-

nia. Łączy on w swych upodobaniach jednocześnie Voltaire'a, Rousseau i Bossueta. Zgadza się on chętnie, żeby zaprzeczano chrześcijaństwu, ale chce, by to czyniono uprzejmie, z pewnem umiarkowaniem. Ma on szczególną miłość dla racjonalizmu i rzecz dziwna, także dla jansenizmu. Zachwyca się wyznaniem wiary Wikarego Sabaudzkiego.

Poczytuje za zuchwalstwo wszelkie twierdzenie, gdyż wyklucza ono zdanie przeciwne. Ale jeśli jesteście trochę zwolennikiem i trochę przeciwnikiem wszelkich twierdzeń, przyzna ci rozum i umiarkowanie. Będzie się unosił nad delikatnością twego umysłu i powie, że znasz się na subtelnych odzieniach.

Chcąc uniknąć zarzutu nietolerancyi, który człowiek mierny stawia wszystkim, posiadającym siłę przekonania, należałoby uciec się do zupełnego zwątpienia, ale nie trzeba przytem nazywać zwątpienia po imieniu. Trzeba mu nadać postać opinii umiarkowanej i mającej wzgląd na opinie bieżące, lub opinie przeciwne i trzeba udawać, że się coś mówi, podczas gdy w istocie rzeczy nie mówi się nic. Należy do każdego zdania dodawać różne łagodzące omówienia: być może, jeśli wolno się tak wyrazić i t. p.

W chwili działania, gdy ma coś do spełnienia, człowiek mierny trapiiony bywa jedną obawą, obawą kompromitacyi. Wygłasza on też wówczas najbardziej oklepane ogólne okazy z ostrożnością i skrom-

nością człowieka, który się lęka, by jego słowa zbyt śmiało nie wywołały groźnych wstrząśnień.

Gdy sądzi jaką książkę, pierwsze słowo jego dotyczy zawsze drobnych szczegółów, zazwyczaj właściwości stylu. To jest dobrze napisane, mówi on, gdy styl jest płynny, letni, bezbarwny i lekliwy. I przeciwnie uważa, iż rzecz twoja źle jest napisana, gdy życie w niej krąży, kiedy pisząc tworzysz język, kiedy wygłaszasz swe myśli w owym stylu jednolitym, po którym poznać można szczerść pisarza. Lubi on literaturę bezosobistą, nie cierpi książek wymagających myślenia. Lubi te, które podobne są do wszystkich, te, co się zgadzają z jego zwyczajami, nie psują mu jego formulek, które mieszczą się w jego szematach, te, które się umie na pamięć, zanim się je przeczytało, bo podobne są do wszystkich, które się czytało od dzieciństwa.

Człowiek mierny utrzymuje, że Chrystus powinien był poprzestać na zalecaniu miłości, a wstrzymać się od czynienia cudów; ale większą jeszcze odrazę budzą w nim cudy, czynione przez świętych, szczególnie przez świętych nowożytnych. Jeśli przy nim wspomnieć o zdarzeniu nadprzyrodzonym a współczesnym, odpowie, że legendy mogą bardzo dobrze wyglądać w Żywotach świętych, ale że lepiej tam je pozostawić; jeśli zaś zwrócicie mu

uwagę, że potęga boża ta sama jest dzisiaj, co niegdyś, odpowie, że przesadzacie.

Człowiek mierny utrzymuje, że we wszystkich rzeczach jest troszkę złego i troszkę dobrego, że nie trzeba być absolutnym w swych sądach itp.

Jeśli obstajesz silnie przy prawdzie, człowiek mierny powie, że zbyt sobie ufasz. On tak pyszny, nie wie co to pycha! Jest on skromny i pyszny zarazem, uległy wobec Woltera, a zbuntowany przeciw Kościołowi. Hasłem jego okrzyk Joaba: Śmiały jedynie przeciw Bogu!

Człowiek mierny, powodowany obawą rzeczy wyższych, mówi, że ceni nadewszystko zdrowy rozum, ale nie wie, co to jest zdrowy rozum. Rozumie on pod tym wyrazem zaprzeczenie tego wszystkiego, co wielkie.

Człowiek mierny może posiadać w wysokim nawet stopniu to, co nazywają sprytem, ale nie może posiadać inteligencji, która jest zdolnością odczytywania idei w faktach.

Człowiek inteligentny wznosi głowę, aby wielbić i czczyć; człowiek mierny wznosi głowę, aby szydzić; wszystko co jest ponad nim, wydaje mu się śmiesznym, nieskończoność wydaje mu się niestwem.

Człowiek mierny nie wierzy w dyabła.

Człowiek mierny ubolewa, że religia chrześcijańska posiada dogmaty; wolałby, żeby głosiła tylko czystą moralność; a jeżeli mu powie-

cie, że moralność jej wynika z jej dogmatów, jak wniosek wynika z zasady, odpowie, że wpadacie w przesadę.

Miesza on fałszywą skromność, która jest kłamstwem urzędowym pospolitych pyszałków, z pokorą, która jest boską i naiwną cnotą świętych.

Między pokorą i skromnością oto jaka zachodzi różnica:

Człowiek fałszywie skromny poczytuje swój rozum za wyższy od prawdy bożej i niezależny od niej, ale uznaje chętnie swą niższość przed rozumem Woltera. Uważa się za niższego od najbardziej płaskich głupców osiemnastego wieku, ale wyśmiewa się ze św. Teresy.

Człowiek pokorny pogardza wszelkiem kłamstwem, choćby było wielbione na całej ziemi, a klęka przed wszelką prawdą.

Człowiek mierny wydaje się zazwyczaj skromnym, nie może zaś być pokornym, a jeżeli się nim staje, przestaje być miernym.

Człowiek mierny wielbi Cicerona na ślepo i bez zastrzeżeń; nie zowie go po imieniu, lecz nazywa go „wielkim mówcą rzymskim“. Przytacza od czasu do czasu: *ubinam gentium vivimus?*

Człowiek mierny jest najzawziętym a zarazem najzimniejszym wrogiem człowieka genialnego.

Przeciwstawia mu siłę bezwładności, siłę w opozycji okrutną, przeciwstawia mu swe przyzwyczajenia machinalne i niezwalczane, twierdzą swoich starych

przesądów, swoją obojętność niechętną, swój sceptycyzm złośliwy, ową nienawiść głęboką, która podobna jest do bezstronności, przeciwstawia mu oręż ludzi bez serca, twardość głupoty.

Geniusz liczy na entuzjazm, żąda, aby mu się całkowicie oddano. Człowiek mierny nie oddaje się nigdy całkowicie. Nie ma on entuzjazmu ani litości — te dwie rzeczy idą zawsze w parze.

Skoro człowiek genialny jest zniechęcony i sądzi się bliskim śmierci, człowiek mierny patrzy nań z zadowoleniem; rad jest temu konaniu. Mówi wtedy: Czyż nie przewidywałem tego? ten człowiek po złej kroczył drodze, zbyt wiele miał zaufania w sobie. Jeżeli człowiek genialny odnosi tryumfy, człowiek mierny pełen zawiści i niechęci przeciwstawi mu przynajmniej *wielkie wzory klasyczne*, jak się wyraża, to jest ludzi sławnych wieku przeszłego i będzie się starał pocieszyć nadzieją, że przyszłość sprostuje błędy dzisiejsze.

Człowiek mierny ma o wiele więcej złości, aniżeli sądzi sam, aniżeli sądzą inni; złość jego maskuje właściwa mu oziębłość. Nie unosi się on nigdy. W gruncie rzeczy chciałby zgładzić ród ludzi wyższych, a nie mogąc tego dokonać, drażni ich przez zemstę. Popelnia drobne niegodziwości, które dzięki swej małości nie wydają się niegodziwymi. Kłuje szpilkami i cieszy się patrząc na krew płynącą, podczas gdy zabójcę przeraża często widok

krwi. Człowiek mierny nigdy się nie przeraża. Czuje poparcie w sile liczebnej podobnych sobie.

Człowiek mierny jako literat należy zazwyczaj do liczby szczęśliwców, o których mówią, że się w czepku urodzili. Łatwe powodzenia są zwykłym jego udziałem. Nie pomnąc na stronę istotną, a chwytając strony przypadkowe każdej rzeczy, płynie z prądem zdarzeń i czatuje na każdą dobrą sposobność, a skoro mu się powiodło, staje się dziesięćkroć bardziej miernym. Sądzi siebie, podobnie jak i wszystkich, wedle powodzenia. Podczas gdy człowiek wyższy czuje swą siłę wewnętrzną i czuje ją szczególnie wtedy, gdy inni ją zapoznają, człowiek mierny poczytywałby się za głupca, gdyby za takiego uchodził, a naodwrot czerpie on pewność siebie z pochwał, jakie odbiera; jego mierność wzmaga się w stosunku jego wziętości.

Ale zapytacie może, skąd się bierze jego powodzenie?

Czy nie zdarzyło wam się kiedy przy czytaniu książki słynnego autora, uchodzącej powszechnie za dzieło znakomite, czy nie zdarzyło wam się zamknąć ową książkę z niechęcią i powiedzieć sobie: Jakim sposobem te stronicę mogły zjednać rozgłos autorowi, gdy powinny raczej skazać go na zapomnienie? I jakim sposobem pewne nazwiska, które powinnyby się znajdować między najbardziej znanymi, zupełnie są obce ogółowi ludzi? Dlaczego nieliczni przyjaciele tego, o którym my-

śle w tej chwili, lękliwie szepczą między sobą jego imię, nie ośmielając się publicznie go wymienić, gdyż nie ma ogólnego uznania? Czy sława ma swe tajemnice, czy też miewa kaprysy?

Oto odpowiedź: Sława i powodzenie nie są do siebie podobne; sława ma tajemnice, powodzenie ma kaprysy.

Człowiek mierny nie walczy. Może mu się powodzić na razie, ale zawsze w końcu dozna klęski.

Człowiek wyższy walczy zrazu, a osiąga powodzenie później.

Człowiekowi miernemu powodzi się, gdyż płynie z prądem; człowiek wyższy odnosi tryumfy, gdyż płynie przeciw prądowi.

Powodzenie osiąga się, idąc za innymi; sławę zdobywa się, idąc przeciw innym.

Każdy człowiek, który staje się głośnym, osiąga to wtedy, gdy jest przedstawicielem pewnej części rodzaju ludzkiego.

Oto rozwiązanie wszelkich zagadnień.

Natury wyższe mają za przedstawicieli ludzi wielkich, natury niższe są wyobrażone przez ludzi małych.

Obie grupy mają swoich delegatów w zgromadzeniu powszechnem.

Ale jedna zapewnia swym delegatom powodzenie, druga zapewnia swoim sławę.

Ci, co schlebiają przesądom i przyzwyczajeniom

współczesnych, idą wprost do powodzenia: to są ludzie swego czasu.

Ci, którzy zwalczają przesady i przyzwyczajenia, ci, co oddychają w wieku obecnym powietrzem wieku przyszłego, prowadzą innych i idą sami wprost do sławy: to są ludzie wieczności.

Oto dlaczego odwaga, nie potrzebna do zdobycia powodzenia, jest nieodzownym warunkiem sławy. Ci tylko są wielcy, którzy ludziom rozkazują, zamiast słuchać ich rozkazów, którzy rozkazują samym sobie, a nie ulegają swoim słabościom, którzy przez ten sam wysiłek tłumią swe własne zniechęcenie i opór świata zewnętrznego. To co zwiemy wielkością jest promieniowaniem władztwa duchowego.

Człowiek mierny, mający powodzenie, odpowiada obecnym pragnieniom innych ludzi.

Człowiek wyższy, osiągający tryumf, odpowiada nieznanym przeczuciom ludzkości.

Człowiek mierny może okazać innym ludziom te ich strony, które im są znane.

Człowiek wyższy objawia ludziom te ich strony, których zupełnie nie znają.

Człowiek wyższy wstępuje w nasze wnętrza głębiej, aniżeli my sami zwykliśmy weń wstępować; daje mowę naszym myślom; bliżej jest obznajomiony z nami, aniżeli my sami.

Wzbudza w nas zarazem gniew i radość, jak człowiek, któryby nas budził, by nam ukazać wschód słońca. Wyciągając nas z domów naszych, aby

nas wprowadzić do własnych swych dziedzin, wstrząsa, niepokoi nas, a wprowadza nas jednocześnie do sfery wyższego pokoju.

Człowiek mierny, pozostawiając nas tam, gdzie nas zastał, daje nam martwą spokojność, która nie jest tem samem, co pokój.

Człowiek wyższy nieustannie dręczony, rozdzielany wewnątrz przez przeciwieństwo ideału i rzeczywistości, odczuwa lepiej niż ktokolwiek wielkość ludzką i dotkliwiej niż ktokolwiek nędzę ludzką. Czuje się on silniej porwany ku dziedzinom wzniosłości idealnej, będącej ostatecznym celem naszym i śmiertelniej ugodzony przez odwieczny upadek naszej biednej natury. Zaraża on nas temi sprzecznymi uczuciami, których sam doznaje. Zapala w nas miłość Bytu i budzi w nas nieustannie świadomość naszej nicości.

Człowiek mierny nie odczuwa ani wielkości, ani nędzy, ani Bytu, ani nicości. Nie jest ani unoszony, ani strącany, zatrzymuje się na przedostatnim stopniu drabiny, niezdolny wstąpić wyżej, zbyt leniwy, ażeby zstępować niżej. W sądach swoich i w dziełach swoich zastępuje on rzeczywistość przez konwenans, uznaje to tylko za słuszne, co znajduje miejsca w przegródkach jego pojęć, potępia to, co się usuwa z pod określeń i z kategorii dobrze mu znanych, jak ognia lęka się zdumienia i nigdy nie zbliżając się do straszliwej ta-

jemnicy życia, unika starannie szczytów i otchłani, wśród których wodzi ona swych przyjaciół.

Człowiek genialny wyższy jest od tego, czego dokonywa. Myśl jego przewyższa jego dzieła.

Człowiek mierny niższy jest od tego, czego dokonywa. Dzieło jego nie jest urzeczywistnieniem jego myśli: jest to praca wykonana wedle pewnych regul.

Człowiek genialny uważa zawsze swe dzieło za nieskończone.

Człowiek mierny jest pełen swego dzieła, pełen siebie samego, pełen marności, pełen próżni, pełen próżności; ta wstrętna osobistość zawiera się całkowicie w tych dwóch wyrazach: Oziębłość i Próżność.

List,

który pewien bardzo poważny uczony miał napisać do Krzysztofa Kolumba w chwili, gdy ten odpływał do Ameryki.¹⁾

Dowiaduję się, że zamierzasz odkryć świat nowy. Powiem ci bez ogródek, że nie mogę ci powinszować tego projektu; niepokoi on mnie i daje mi poznać, szczerze ci to wyznam, niepomierną twą pychę. Jakto, czyż ziemia dla ciebie nie jest dość wielka? Wspomnij ludzi z dawnych czasów. Czyż kiedykolwiek przyszło im do głowy odkrywać światy nowe? A ty młodzieńcze bez doświadczenia, bez powagi żadnej, powzięłeś taką myśl szaloną! Jakto? Ani rady wszystkich twych przyjaciół, ani groźby nieprzyjaznych ci losów, nic nie może cię skłonić do spokojnego życia w Europie, na podobieństwo każdego z nas? Zdaje ci się, że przewyższasz innych ludzi, ponieważ to, co im wystarcza, tobie wystarczyć nie może. Wszyscy ludzie świata powtórzą ci to samo, młodzieńcze: pycha zgubi cię.

¹⁾ *Le siècle.*

Tembardziej jestem stroskany twoim niewczesnym uporem, że zawsze ku tobie szczerą żywiłem przyjaźń. Jako dziecko jeszcze zaskarbiłeś sobie moje względy, lubiłem twą zapalczywość młodzieńczą, twa żywa wyobraźnia pociągała mnie. Cenię wyobraźnię w młodych ludziach, byle nie zbyt wybujałą. Mawiałeś mi nieraz: Uwielbiam Ocean, a ja cię zachęcałem moje dziecko, byś o nim napisał dla wprawy jaki piękny poemacik. Czyż mogłem przypuszczać, że weźmiesz poezję na seryo? Zresztą jeśli miałeś takie szczególne upodobanie do żeglugi, nie byłbym temu przeciwny, abyś od czasu do czasu odbył niewielką podróż. Podróże kształcą i wyrabiają młodzież. Ale mój drogi, pozwól sobie powiedzieć: czy nie jest to zapędzać się za daleko, chcieć odkrywać nowe światy?

I dlaczego nie zadawałaś się starym światem, skoro my wszyscy dotąd umieliśmy się nim zadowolić, dlaczego nie obierzesz sobie po prostu jednego z tych zawodów, do których twe wykształcenie otwiera ci drogę? Na co ta szalona, a śmieszna ambicja? O gdybyś miał doświadczenie mego wieku!

Odpowiedziałeś mi na moje przełożenia, że tam żyją ludzie, którzy są twoimi braćmi, których chcesz połączyć z ludźmi starego ładu.

Wiem na pamięć wszystkie twoje szumne słowa. Wszak prawda? — myślisz, że skoro prze-

plyniesz Ocean, który światy rozdziela, będziesz mógł wzniesć krzyż na ziemi nowej.

Zważ moje dziecko, że to są puste słowa, pozwól to powiedzieć człowiekowi starszemu. Wiesz, że lubię sztuki i szanuję religię, ale nie lubię świętych, ani ludzi genialnych; jedni i drudzy idą za daleko i przesadzają nieustannie. Europa dotąd wydała ich już nie mało, a nawet o wiele nadto. Dobrzy oni tylko do wywoływania zamieszkań na świecie. Co za szaleństwo puszczać się tam na złamanie karku, aby powiększać liczbę takich marzycieli! Zważ moje dziecko, możesz się stać śmiesznym. Zawierz szczerości uczuć dyktujących słowa, które do ciebie piszę. Nie mogę ukryć przed tobą żalu, jakiego doznaję, gdy widzę pogrążającego się w pustych marzeniach duma niedorzecznej młodzieńca pełnego nadziei, dla którego zawsze roilem o jak najświetniejszej przyszłości.

Tak moje dziecko, serce mi się ściska, gdy widzę, jak wędrujesz od drzwi do drzwi, żebrząc pomocy, której ci odmawiają. Gdzie podziałeś swą godność osobistą? honor twego domu do dziś dnia bez skazy?

Czyż nie masz już żadnej miłości własnej?

Miłość własna, moje dziecko, jest strażnicą godności, a dla człowieka z porządnej rodziny godność jest rzeczą najcenniejszą. Niewątpliwie (bo nie chcę przesadzać) nie trzeba mieć nadto miłości własnej, — nadmiar we wszystkim jest wielką

wadą, — ale trzeba ją posiadać w pewnej mierze, a jeśli będziesz postępował tak jak dotąd; zmuszony będę sądzić, iż nie posiadasz jej wcale. Obejmij wpośród nas jeden z wielu zaszczytnych zawodów, do których godnego wypełnienia usposabiają cię twe zdolności. Wtedy nie będziesz zasnucał swoich przyjaciół. Wszyscy z tobą się pogodzimy, będziemy cię zachęcać, popierać w twoich usiłowaniach i zabijemy tłustego cielca, widząc powracającego syna marnotrawnego.

Złoty cielec.

I.

Morze Czerwone rozstąpiło się i szczyt Synaju okrył się dymem. Wpośród ras zwyrodniałych jeden lud tylko zachował Jedność Boga. Lud ów przez to samó już pozostał odosobniony na ziemi. Nadzwyczajne jego dzieje zawiodły go do Egiptu; w ojczyźnie bałwochwalstwa zachował swą rację bytu; oparł się wpływowi wszelkim i nieustannie świadczył o swem posłannictwie. Pełna prostoty i majestatu postać Mojżesza wzniosła się wśród tego ludu, aby zwiastować i urzeczywistnić jego wyzwolenie. Podczas gdy pał stada swoje, ujrzał Mojżesz krzak płonący: tam, u stóp góry Horebu zapytał o Imię Pana; tam Pan oznajmił mu swe Imię i Mojżesz uniósł je ze sobą, jako wojownik unoszący swój oręż. Przed imieniem, które niósł Mojżesz, Morze Czerwone w trwodze się rozstąpiło; i Mojżesz unosił ze sobą przez pustynię Tetragrammaton, a stworzenia wszystkie, które na drodze swej napotykał, pokłon mu oddawały, jak

gdyby rozpoznając w nim Anioła Stróża Imienia Pańskiego.

Ale na tem nie skończyło się jeszcze jego posłannictwo. Synaj zapłonął. Mojżesz wstąpił w dziedzinę chwały i pozostawał tam na szczycie góry.

A w tejże chwili bałwochwalstwo w samo serce ukąsiło lud żydowski, lud, który przebywał u stóp Synaju, lud, który oczekiwał Mojżesza, podczas gdy on z Bogiem przestawał.

I złoty cielec pozostał jako typ bałwochwalstwa, jego imię, jego symbol. Złoty cielec, to samo bałwochwalstwo w swej najwyuzdańszej wściekłości, w swem kłamstwie najprzewrotniejszem, na jakie dotąd się zdobyło.

II.

Ludzie przyzwyczaili się uważać za rzecz bardzo prostą istnienie bałwochwalstwa na ziemi; kult demonów zamiast budzić zgrozę, dla większości ludzi graniczy z przedmiotami najżywszych zachwy-
tów. Dowiadujemy się w dzieciństwie, że były niegdyś ludy bałchowalcze. Otrzymujemy tę nowinę w wieku, w którym nie jesteśmy jeszcze zdolni odczuwać zdziwienia, jakiby jej się słusznie należało, a przypominamy ją sobie w wieku, w którym nie jesteśmy już zdolni ulegać osłupieniu, jakie ona sprawiać powinna. Między temi dwiema epokami życia dla wielu ludzi niema wcale epoki pośredniej i nieliczne są istoty ludzkie, które w czasie

swej krótkiej ziemskiej pielgrzymki znajdują dosyć czasu, aby pomyśleć o bałwochwalstwie, zdumieć się nad jego możliwością, a zwłaszcza odczuć zgrozę wobec jego istnienia. Tyle mamy do czynienia na świecie, a dni nasze tak krótkie!

Wpółśród tych, którzy się zdumiewają, są tacy, co wznosząc swe głowy podczas nocy letnich, u gwiazd szukają schronienia: te gwiazdy odległe, ścigane w głębinach niebios przez nasze narzędzia i nasze wyliczania, przez szkła nasze i liczby, zdają się obiecywać odpoczynek strudzonemu wzrokowi. Lecz oto zdarzyło się to, czego niepodobnaby przewidzieć: ziemia dała gwiazdom imiona, a te imiona są nazwami demonów.

Przelećmy ponad wiekami. Oto jesteśmy w Judei i rybak Piotr zarzuca swe sieci; bałwochwalstwo świat cały pokrywa. I w osiemnaście stuleci po rybaku Piotrze nie powiem: patrzcie na Chiny i bóstwa ich z kamienia lub z metalu, lecz powiem raczej: spojrzymy gdziekolwiek na ziemię, wszędzie zobaczymy to, co widzieliśmy u stóp Synaju, wszędzie rozpoznamy Cielca złotego.

III.

Święty Paweł w zwieżłej głębokości swych słów, pełnych treści, wskazał go tam, gdzie on się istotnie znajduje. Święty Paweł, który w sposób najbardziej nieprzewidziany łączy rzeczywistości najwi-

docześniejsze z tajemnicami najskrytszemi; święty Paweł, który zamyka dany punkt w jednym słowie i wraz podąża do następnego punktu, nie zatrzymując się dłużej, niż potrzeba innemu człowiekowi, aby postawić przecinek między dwiema częściami zdania, święty Paweł jednym wyrazem oznacza bałwochwalstwo nowoczesne: nazywa się ono — Skąpstwo.

Miłość pieniędzy jest rodzajem bałwochwalstwa, które tem więcej zasługuje na zaznaczenie, iż zjawia się zawsze w przebraniu.

To bałwochwalstwo występuje w dwóch postaciach: jako chciwość i jako skąpstwo. Mówi się dużo o chciwości, rzadziej o skąpstwie właściwym a oto przyczyna tej różnicy:

Chciwość łatwo budzi trwogę, gdyż jest niepokojna i hałaśliwa. Ma ona namiętności zewnętrzne; czegoś pożąda, do czegoś dąży. Chce mieć więcej niż ma, a potem jeszcze więcej i jeszcze więcej, bez końca! w ten sposób zwraca na siebie uwagę ludzi, którzy się jej nieraz lękają, bo są przez nią zagrożeni. Człowiek, który świat porusza, aby mieć dużo, czy to dużo pieniędzy, czy dużo zaszczytów, groźny jest dla siebie samego i dla innych, bądź w istotnym ich spoczynku, bądź w drzemce kłamliwej. To też człowiek taki zwraca na siebie powszechną uwagę i inni ludzie, przekonani, że mądrość na tem polega, aby nie nie robić, zamiast zarzucać mu nadużycie działalności, z samej działalności czynią mu zarzut. Przez to okry-

wają mimowoli występki urokiem prawowitego czynu.

Chciwość, podobnie jak ambicya, głośno się oznamia; skąpstwo kryje się ze swym sekretem. Może nie bez pożytku będzie wydrzeć mu ten sekret.

Wszystkie prawie namiętności posiadają wyrazistą fizyonomię; wskutek tego nie mogą często przejść niepostrzeżone. Dają się poznać i temu, który ich doznaje i temu, który na nie patrzy, dają się poznać przez akcenty i ruchy, głośno oznajmijące ich imiona. Niewątpliwie omyłka jest możliwa i zdarza się nieraz. Jednakże skoro gniew gwałtowny opanuje człowieka, człowiek ten i ci co go otaczają, nazwą z łatwością ogarniającą go namiętność. Namiętności lubią pozostawiać po sobie ruiny, a na ruinach przez nie pozostawionych wypisane są ich imiona. Ambicya, gdy się jej powodzi, nie umie pozostać ukrytą.

Skąpstwo inaczej się zachowuje.

Skryte w swej istocie, skrytem pozostaje też w swych skutkach. Nie wymaga ani uniesień, ani wybuchów zewnętrznych; podobnie jak enoty nie-które, szuka ciemności. Unika zgiełku, dąży do skupienia, kryje, gromadzi, zachowuje, zamiast rozpraszać, pragnie pomnażać, nie niszczyć. Przybiera postacie i imiona przezorności, oszczędności, zabiegliwości rozumnej, może nawet mówi o rodzinie, o dzieciach, dla których ograniczać się potrzeba

ze względu na przyszłość niepewną. Niekiedy nawet skąpstwo zdolne jest przebaczyć coś o miłości. Boć ostatecznie, jeśli oszczędza, to przecież zawsze dla kogoś.

Inne namiętności przez same swe objawy zewnętrzne okazują, że dążą do katastrofy. Objawy zewnętrzne skąpstwa zdają się zapowiadać byt trwały i pewny, zdobyty przez cierpliwość i mądrą przezorność. Ale skoro katastrofa nadejdzie, ten, kto dobrze uważa, usłyszy śmiech potwora, ukrytego wśród ruin. Skąpstwo tam było, a nikt go nie widział.

Człowiek, który uważnie się bada, rozpoznaje z łatwością w swej duszy występki o znanych powszechnie imionach. Niektóre z grzechów głównych więcej od innych zwracają na siebie uwagę. Ale o skąpstwie mało się myśli. Człowiek dany mógł być skąpcem przez całe życie i mógł umrzeć nie spostrzegłszy tego wcale.

Są występki, z których ludzie się śmieją, są inne, którymi się szczyją. Nikt nie śmieje się ze skąpstwa i nikt zeń nie jest dumny, ale niejeden karmi je długo swą krwią, póki z tego nie umrze.

Bożyszcze owo ukryte z natury swej smutne jest, mroczne, ponure, ale trzeba wnikać w najskrytsze tajniki, w najciemniejsze zaułki życia, aby ujrzeć posępne jego oblicze. Bożyszcze to domaga się od swego czciciela nieustającej ofiary z życia.

Nie poprzestaje na słowach, domaga się ofiary rzeczywistej, istotnej.

Twardy to władca, nadużywający swej władzy i obcy wszelkiej litości.

IV.

Skąpiec żywi ciągłą troskę głęboko ukrytą i tajemną, do której wszystko odnosi.

Oto człowiek słodki, zgodny, ugrzeczniony, lekający się zaprzeczyć komuś, lub nawet zbyt głośno się odezwać. Trzeba wnikać w sprawy bardzo poufne, aby schwytać chwilę, w której jego bożyszcze na jaw wystąpi. Ale tę chwilę czuje on już zdaleka i pogodny wyraz jego twarzy, ożywiony pewnego rodzaju zdawkową życzliwością, ulega lekkiemu zamąceniu, jak u człowieka dotkniętego nieostrożnie w miejsce świeżo zabliźnionej rany. Potwór, ukryty w duszy, poruszył się i człowiek zadrżał. Jeżeli zbliżymy się do niego, potwór czyni ruch ponowny, ruch szybki, choć ciężki i oczy skąpca stają się posępne, chociaż na pozór nic posępnego go nie porusza. Rozmowa nie ma zbyt poważnego charakteru, dotyczy rzeczy czysto zewnętrznych, ale skąpiec dostrzegł gdzieś w drobnym słówku, w technieniu ulotnem bliskość niebezpieczeństwa, dostrzegł je tam, gdzie ktoś inny nic zgola nie widzi i poczuł wstrząśnienie ukrytego w duszy potwora. Potwór ten czasem śpi, czasem

się odżywia; gdy śpi, skąpiec zamyka się w sobie, gdy pożera, skąpiec pelen jest niepokoju.

V.

Inne namiętności lubią rozpowiadać o osobie lub rzeczy, będącej ich przedmiotem. Skąpiec lubi milczenie. Zaledwie ośmiela się wspomnieć pieniądze, a jeśli je wspomni, to nie dlatego, aby mówić o swej miłości dla nich.

Wyżyny lubią słowa — głębie lubią milczenie. Namiętności po większej części przedrzeźniają wyżyny i są gadatliwe.

Skąpstwo przedrzeźnia głębie i milczy namiętnie.

Skąpiec kryje swą tajemnicę nie tylko przed innymi, lecz i przed sobą samym. Sam przed sobą nieledwie chciałby ukryć miejsce, gdzie skarb swój zagrzebał.

Nic by nie było dziwnego, gdyby skąpiec doszedł do tego, iżby się lękał samego siebie jako współzawodnika, jako złodzieja. Tak dalece uczucie czci bywa zazdrosne!

Być może, że w duszy skąpca tkwi dwóch ludzi, z których jeden ma tajemnice przed drugim. Skąpiec liczy często sztuki złota, których liczbę zna od dawna; niekiedy być może, nie odchodząc nawet od sztuk liczonych, lęka się, aby jedne z nich nie znikły, podczas gdy patrzy na inne.

Skąpiec odczuwa jednocześnie trwogi powszednie,

mieszczańskie i bardzo fantastyczne. Pieniądze, zapelniające dni jego, zapelniają też jego noce. Pieniądze ogarniają dziedzinę jego snów i skąpiec śni na jawie. Jestto prawdziwie rzeczą okropną widzieć, jak grosze, związane z najpospolitszymi potrzebami i z drobiazgami najzwyczajniejszymi życia zewnętrznego, przenikają do życia wewnętrznego, przesiekają w krew duszy, zapalają w oku ognie ponure, zabarwiają policzki i w drżenie wprawiają wargi. Świątynia duszy ogarnięta jest przez nie.

Wtedy wszystko staje się możliwem, nawet skupienie.

Skąpiec wielbi wpośród ciszy nocnej to, co skryte jest przed wszelkim wzrokiem ludzkim.

VI.

Każda religia prawdziwa, czy fałszywa, domaga się ofiar. Skąpiec składa ofiary swemu bożyszczu; poświęca mu bardzo wiele, poświęca mu wszystko: rodzinę, własne przyjemności, zdrowie, życie. Jeśli inne namiętności w nim się obudzą i wejdą w starcie ze skąpstwem, ograniczając je, lub zgola zaprzeczając mu, prawdopodobnie skąpstwo weźmie górę.

Ofiary skąpca przez to szczególnie są haniebne, iż prowadzą do poświęcenia wszelkich celów, dla tego, co celem nigdy nie jest, lecz zawsze tylko środkiem.

Jawnem jest, iż pieniądze mają tylko wartość zamienną, odpowiadającą wartości przedmiotów, które za nie można otrzymać. Same w sobie są niczem. Ten, coby posiadał srebro i złoto świata całego bez możności wydania ich, byłby ostatnim nędzarzem.

Skąpiec dobrowolnie skazuje się na podobną nędzę. Pieniądzom poświęca bogactwo. Gdyż bogactwo i pieniądze nie tylko, że nie jednoczą się w tym razie, lecz stanowią nawet zasadnicze przeciwieństwa. Im więcej człowiek miłuje pieniądze, tem większym staje się nędzarzem, tem bardziej ograniczać musi swe potrzeby. Bogactwo jest ofiarą, którą skąpiec zarzyna na ołtarzu swego bożyszcza. Ponieważ rzecz, będąca środkiem, staje się dlań celem, więc wszystko, co jest celem, staje się środkiem.

Poczytuje on wszelkie istoty żywe i martwe za promienie, zmierzające do wspólnego centrum, a centrem tym pieniądz nieruchomy, zimny, bezużyteczny.

Pieniądz to dla niego serce świata, a serce to jest bez ruchu i bez życia.

Skąpiec nie tylko poświęca dla pieniędzy bogactwo, lecz nadto same pieniądze dla pieniędzy. Jeśli dla pozyskania znacznej ich ilości, na razie trzeba wydać drobną kwotę, skąpiec, skoro jest całkowicie przez swą namiętność owładnięty, wyrzeka się tej korzyści; wyrzeka się pieniędzy przyszłych,

choćby najobfitszych, dla obecnych, choćby o wiele mniej licznych i porzuca pieniądze, których nie widzi, dla pieniędzy, które widzi.

Ten ostatni wyraz wprowadza nas w samą istotę skąpstwa. Skąpiec żywi miłość fizyczną dla metalu, kocha pieniądze w nich samych i dla nich samych, pociągany jest ku nim, dotknięcie metalu sprawia mu rozkosz fizyczną.

Im więcej zapomina o bogactwie, tem więcej skupia swą namiętność na pieniądzach, tem straszliwiej działa na niego fizyczny urok metalu.

Jeśli ma wybierać między pewną ilością sztuk złota, które widzi i posiada i znacznieszą ilością sztuk złota, których jeszcze nie posiada i nie widzi, skąpiec uczuwa w swej duszy wewnętrzne rozdarcie. Złoto, którego pożąda, pociąga go zdala, ale być może, iż przekłada ilość mniejszą już znaną i widzianą nad większą jeszcze niewidzianą. Sztuki złota, które posiada i których dotykał, wzbudzają w nim namiętność osobistą; sztuki złota, o których tylko myśli, a których się jeszcze nie dotknął, nie dostarczyły mu dotąd żadnej przyjemności. Przez jakąś potworną wdzięczność przekłada te, którym już winien pewne rozkosze znane. Być może, skąpiec doznaje szczególnej przyjemności, ożywiając w myśli sztuki złota; czasami nadaje im imiona i pieści się z niemi. Dźwięk, który wydają, uderzając o siebie, sprawia mu rozkoszne dreszcze.

VII.

Ten, co kocha, uczuwa potrzebę skupiania wszelkich miłości w jednej jedynej miłości. Pieniądz wyświadcza skąpcowi okropną przysługę, dając mu niejako streszczenie wszech rzeczy.

Kochanek sądzi, że wszystko posiada, skoro posiada przedmiot ukochany. Owóż pieniądze nadają się szczególnie do wywołania podobnego złudzenia, gdyż wyobrażają one nie wszystkie rzeczy wprawdzie, ale jednak mnóstwo rzeczy. Skąpiec posiada w myśli owe rzeczy, gdy się pieści ze swem złotem, w którym widzi istotę wszelkich możliwych przyjemności, skupioną w jednej przyjemności rzeczywiście, — i takim sposobem karmi marzeniem bałwochwalczą swą adorację.

Gdyby posiadał wszystkie te rzeczy, które za złoto można dostać, posiadałby je pojedynczo jako ograniczające i wykluczające się nawzajem. Może wyobraża sobie, że trzyma je wszystkie razem i jednocześnie, gdy dotyka ukochanych sztuk złota. A gdy skończył, może zacząć i powtórzyć swój przegląd. Sztuki złota mniej się zużywają, aniżeli rzeczy, których się dla nich wyrzeka. Może przedstawiają one skąpcowi strasliwą parodję tego, co trwa niezmiennie.

Ale jeśli złoto zużywa się powoli, skąpiec zużywa się prędko. Śmierć nadchodzi i wtedy to skąpstwo najwyraźniej oznajmia prawdziwe swe

imię. Miłość pieniędzy zdwaja się w tej chwili i powiększa ich nieużyteczność. W chwili śmierci bałwochwalstwo skąpca, uwielbiającego pieniądze bez nadziei używania ich, ukazuje się w całej swej śmiesznej wierności i bezinteresowności potwornej.

Gdyby złoto zdolne było wywzajemnić się za miłość, którą wzbudza, musiałoby być do głębi wzruszone widokiem człowieka, który, poświęciwszy mu życie całe i śmierć swoją mu poświęca i nie doznając żadnych złudzeń co do pożytku, jaki z niego mieć może, wielbi je oczami, które go już dojrzeć nie mogą i rękoma, które wkrótce nie będzie go mógł już dotknąć.

Skąpiec mógłby służyć za symbol wierności: umiera on przy swem złocie, jak pies przy swym panu.

VIII.

Z pośród różnych przywidzeń skąpca najlichniesze dotyczą złodzieja. Złodziej wydaje mu się jakąś istotą fantastyczną, ponieważ jego zamachy mają na celu nie przedmiot określony, lecz samo bożyszcze.

Skąpiec i złodziej żyją w stosunku poufnym. Skąpiec myśli o złodzieju, jako o współwynawcy, myśli z trwogą, a zarazem z pewnem uszanowaniem, bo przecież złodziej jest człowiekiem, który umie wielbić Bóstwo i umie odgadnąć miejsce ukryte, gdzie Bóstwo przebywa.

Skąpiec i złodziej są współbraćmi: obaj porzucili rzeczy światowe, aby całkowicie się poświęcić kultowi Bóstwa. Skąpiec odosobniony jest od ogółu ludzi; obojętny na ich sprawy, nigdy przed nimi uczuć swych nie wylewa. Złodziej, tj. złodziej nie rzeczywisty, lecz wymarzony i widziany z oddali na widnokręgu myśli, jest dla skąpca czemś podobnem nieomal do zaufanego powiernika.

Wszelako między skąpcem i złodziejem zachodzą głębsze jeszcze i bardziej tajemnicze stosunki. Dla skąpca złodziej jest pewnym rodzajem realnego widma, którego zamachy zwracają się przeciw wielbionemu przedmiotowi. Złodziej nie jest przestępcą, wywierającym na rzeczach ziemskich występny swój przemysł — to raczej potwór, którego zachwalstwo ma charakter świętokradztwa, który rzuca się na rzeczy nietykalne.

Skąpiec w praktyce swego kultu zawiera ze swem Bożyszczem różne potajemne stosunki. Ma swoje skryte przybytki. W tych przybytkach, w których serce własne złożył, gwałci z upodobaniem istotne prawa życia, gdyż trzyma na uwięzi metal, który powinien krążyć. Skupia na jednym miejscu rzecz, która powinna być wydana. Powstrzymuje o ile może naturalne krążenie krwi. Skryty przybytek skąpca jest okropną parodią przybytku świętego. Owóż uwielbienie bywa zazdrośnem i skąpiec widzi wciąż groźbę wiszącą nad tajemnicą swego przybytku.

Czuje strach, ale strach ten, ponieważ pochodzi z uwielbienia, nie jest podobny do strachu, wzbudzonego przez rzeczy widzialne. Ma postać fantastyczną, przypomina strach, którego doznajemy we śnie. Lęka się on bez przyczyny, bez groźby żadnej, bez niebezpieczeństwa. Lęka się, ponieważ się lęka. Lęka się obecnych, lęka się nieobecnych. Jak gdyby bałwochwalstwo jego przeniosło jego Bożyszcze w świat rzeczy niewidzialnych, skąpiec lęka się, aby jakaś ręka bez ramienia, lub ramię bez ciała nie dokonało w ciemnościach przeciw uwielbionej rzeczy niematerialnego zamachu. Złodziej staje się dla skąpca tą istotą bez imienia i formy, której boją się dzieci, gdy są same w ciemnościach.

IX.

Rzeczą do Skąpstwa najpodobniejszą jest Marnotrawstwo.

Ojciec skąpy może umrzeć, ukrywszy swój skarb przed dziećmi. Ojciec marnotrawny może umrzeć, straciwszy cały majątek swych dzieci. Jeśli skutki są podobne, to dlatego, że są podobne i przyczyny.

Skąpiec pozbawia życie ruchu na zewnątrz, pozbawia je dążności odśrodkowej; chce tylko dośrodkowego skupienia, bo odnosi wszystko do siebie samego, a takie skupienie jest jego pożądaniem.

Marnotrawca pozbawia życie ruchu na we-

wnątrz, pozbawia je skupienia dośrodkowego, chce tylko odśrodkowego rozpostarcia, bo odnosi wszystko do siebie, a takie rozpostarcie jest jego pożądanem.

Skąpstwo i marnotrawstwo są to dwie postacie samolubstwa.

Ojcowie skąpi miewają synów rozrzutnych. Jeśli tak jest, to dlatego, że syn, uchodząc przed ojcem, powrócił do punktu, z którego wyszedł.

Ojciec jest skąpy, syn cierpi z powodu tego występku. Ojciec odmawia mu warunków życia. Syn nabiera wstrętu do ojca i ucieka na przeciwną krawędź. Stał się rozrzutnym. Ale oto, co się zdarza. Unoszony przez swój wstręt, syn nie zatrzymuje się w drodze. Przebiega cały okrąg i zatoczywszy go dookoła wszech rzeczy, znajduje się w punkcie wyjścia, wobec swego ojca. Ojciec chciał wszystko ściągnąć do siebie: był skąpy; na tem polegał właściwy mu sposób używania przyjemności. Syn, pozbawiony przyjemności życia przez skąpstwo, w rozrzutności znajduje swój odwet i dochodzi do tej samej nędzy, do tej samej śmierci, pod inną postacią.

X.

Na początku tego szkicu mówiłem o Złotym Cielcu. Mówiłem o jednej z najgłośniejszych zbrodni, którą popełniła ludzkość w jednym z najsłynniejszych momentów dziejowych. Można by sądzić,

że rozważanie Skąpstwa w jego szczegółach spowodowało nasz umysł z wyniosłości górskiej na dolinę.

Wcale jednak tak nie jest: to znizenie się jest więcej pozorne, niż rzeczywiste.

Kiedy rzecz jakąś rozważamy w jej postaci typowej, zjawia się nam ona w uroczystym charakterze całej swej piękności, lub całej swej brzydoty. Kiedy tę samą rzecz rozpatrujemy w drobnych jej szczegółach, w zastosowaniach bieżących, jakie mieć może, kiedy ją uchwycimy w historii, aby ją przenieść do życia domowego, można by sądzić, że coś utraciła ze swej istoty: nie poznamy jej wcale. Wydaje się mniej piękną, lub mniej szpetną, gdy przyjrzymy się jej zbliska. Można by sądzić, że skoro obeszlśmy ją dookoła, utraciła te wymiary, które posiadała, gdyśmy na nią spoglądali z odległości. Ale wrażenie to jest uludne. Rzecz pozostaje niezmienna, czy ją rozpatrzymy w jej postaci typowej, czy też w powszednim zastosowaniu.

Nie jeden człowiek zadrzałby, jeśliby zbrodnie jego ogniska domowego ukazane mu były z oddali w uroczystem oświetleniu historii. Nie drży on, bo zbrodnie jego popełnione zostały w szczupłym zakresie i na małej scenie. Małość jego osoby i małość jego życia zmniejszają w jego oczach rozmiary spełnionych występków. A jednakże i karzeł może popełnić wielką zbrodnię. Bo wielka zbrodnia

nie jestto zbrodnia, mająca wielkość w sobie: jestto zbrodnia naruszająca wielkie rzeczy. Zbrodnia posiadać może tylko ujemną wielkość. Zło z natury swej jest ujemnością.

Owóż skąpstwo w swoich objawach codziennych, powszednich, narusza to, co najważniejsze jest w życiu, narusza uczucie czei. Synaj zawsze niedaleki jest od nas. Głos, który przemówił wśród gromów, w odległą sięgał przestrzeń. Zwracał się nietylko do szczupłej gromadki ludzi zebranych u stóp góry. Dziesięcioro przykazań rozbrzmiewa od stulecia do stulecia i ręka starości nie spoczęła nigdy na obliczu Tego, który przemawiał do Mojżesza na szczycie Synaju. Synagoga się zestarzała; Kościół przejął dziesięcioro przykazań i uniósł je przez obszary świata. Czas i przestrzeń przynoszą je do stóp Tego, od którego je wzięły, a ich siła ukaże się na dolinie Jozafata.

Kult bałwanów pozostał tem, czem był, stał się nawet potworniejszym w ciągu osiemnastu stuleci, a przyzwyczajenie nie zmniejsza potworności czei, oddawanej Złotemu cielcowi.

4 Pozory i rzeczywistość.¹⁾

Czy pozwolicie mi zrobić jedno przypuszczenie?

Oto mamy do czynienia z jakimś wędrowcem z innego świata, któremu obce są zupełnie stosunki naszej ziemi; i chcemy mu ukazać niektóre z widowisk, jakich nam żywot na tym padole dostarcza.

Prowadzimy go naprzód na pole bitwy. Jakiż zamęt straszny! Huk wystrzałów, świst kul, wybuchy kartaczy! Wszędzie ranni, umierający! Krwawy bezład, który Châteaubriand nazywa ciżbą śmierci.

Obcy wędrowiec odwraca się od tego widoku i mówi: „Nie wiedziałem, co to jest nienawiść; poznaję ją teraz. Jakże okropnie wygląda! Nienawiść! Oto straszliwy wynalazek mieszkańców ziemi. Więc nie dość byli we własnych oczach śmiertelni; wezwali nienawiść na pomoc śmierci!“

¹⁾ *Le siècle.*

Ażeby uspokoić naszego wędrowca i urozmaicić jego ziemskie wrażenia, ukażmy inne obrazy jego oczom.

Oto wchodzimy z nim razem do jednego z najświetniejszych salonów. Zamiast dzikich wrzasków i świstu kartaczy, spotka tu tylko ukłony i uśmiechy. Tutaj cywilizacya kwitnie i rozciąga swe panowanie; słodkie słówka płyną w powietrzu.

W tym salonie niema ani mężczyzn ani kobiet, są tylko panowie i panie. Rozmowa ich jest szczerem delikatnej wytworności. Nikt nie wygłasza swoich mniemań z naciskiem, nikt nie używa wyrażań żywych i stanowczych. Wszystkie wymienione zdania i opinie utrzymują się w okolicach złotego środka.

Nikt nie jest bardzo religijny: byłoby to trochę przesadne. Nikt nie jest bardzo niereligijny: byłoby to trochę niewłaściwe. Nikt nie żywi opinij bardzo arystokratycznych: byłoby to rażące. Nikt nie podziela idei bardzo rewolucyjnych: byłoby to gorszące.

Nikt nie wyznaje wiary pozytywnej: byłoby to pewnem zacołaniem. Ale powszechna jest na to zgoda, że należy tolerować, a nawet podtrzymywać wierzenia starodawne, gdyż ich usunięcie zpośród ludu mogłoby zrzucić pewne szkody, a szczególnie zupełne ich wytępienie; bo należy unikać wszystkiego, co zupełne. Nie wynika stąd, aby lud miał zachować wiarę żywą i silną. Bynajmniej!

Pożądanem jest wszakże, aby pozostały mu jakieś resztki ufności i resztki bojaźni. Dobrze jest, kiedy lud spodziewa się pewnych nagród i lęka się pewnych kar w życiu przysłym. Ułatwia mu to znoszenie różnych cierpień i dolegliwości życia doczesnego, a w tym względzie trzeba być bardzo przezornym.

Nasz gość z obcego świata poczyną godzić się z ludźmi. Jacy mili! jacy kochani! Jakie w nich umiarkowanie! Jakże to daleko jesteśmy od owego okropnego pola bitwy!

Zwracam uwagę wędrowca na grono panów z prawej strony i na grono pań z lewej.

Panowie rozmawiają o polityce i literaturze. Nie słyszę dobrze wszystkich ich słów; patrzę i słucham z pewnej odległości, dowiaduję się jednak, że mówią o pisarzach współczesnych. Rzucają potępienie na ludzi surowych i ścisłych, którzy wierzą w to wszystko, w co trzeba wierzyć. „Należy niekiedy — mówi jeden z panów — poświęcić wspaniałomyślnie swoje przekonania na rzecz innych, a sprawę prawdy dla miłej zgody“. Ostatnie zdanie ogólny pozyskuje poklask. Jakiś oponent ośmiela się jednak zapytać: „Czyż zgoda może istnieć poza obrębem prawdy?“

Dostrzegam uśmiechy, zarysowujące się na twarzach. Niektórzy panowie mają w oczach jakiś zimny odbłysek, rzekłbyś, stalowy.

A w gronie dam, czyż te kwiaty, te dyamenty,

te twarze uśmiechnięte i promieniejące nie wykluczają wszelkiego wyobrażenia uczuć nieprzyjaznych lub mściwych? Wachlarze, poruszane z niewysłowionym wdziękiem, czynią na wszystkie strony jakieś ukłony i znaki uprzejme, grzeczność najwyższą widnieje w ich każdym ruchu. Lekkie ich gesta akcentują subtelnie wymawiane zdania i wyrazy. Ale czyż można przypuszczać, że to wyrażenie „droga pani“, zaprawione pewną szczególną intonacją, staje się impertynencyą swojego rodzaju? Wszakże to niemożliwe i nieprawdopodobne! Jednem badawczem spojrzeniem te wytworne damy starają się śledzić wzajemnie; odgadują lub usiłują odgadnąć się nawzajem i tysiącnych domyślają się sekretów. Kto nie przeszedł długich i bolesnych doświadczeń w sprawach światowych — jakżeby mógł przypuszczać obecność żmii w koszyku kwiatów?

Żądło zjadliwe, które przenika i mrozi serce, czyżby tam miało się ukrywać? Nie, nigdy podobne podejrzenie nie postanie w szlachetnym umyśle naszego wędrowca.

Przerażony okropnościami pola bitwy, znajduje on ukojenie w tych wdzięcznych obrazkach naszej milej i słodkiej cywilizacji. Sądzi, że przedtem widział nienawiść, a teraz serdeczna życzliwość ludzka rozlacza przed nim swoje nroki.

Owóż, gdyby mi polecono obznajomić go ze

sprawami ziemskimi i ukazać mu ich treść ukrytą, takbym do niego przemówił:

— Jesteś w zasadniczym błędzie. W kurzu pola bitwy nie znajdziesz ani atomu nienawiści. Wojna kruszy narody, by je z sobą mieszać — mówił de Maistre — ale te zapalczywe starcia nie mają nic wspólnego ze złą wolą wzajemną. Ci ludzie, co się zabijają nawzajem, gotowi będą za chwilę nieść sobie pomoc zobopólną. Narażają swe życie, aby nieść śmierć, a może za chwilę byliby zdolni złożyć je w ofierze, aby ocalić nieprzyjaciela od śmierci. Wyraz „nieprzyjaciół“ ma tu znaczenie szczególne i tajemnicze.

Nieprzyjacielem jest ten, którego masz przed sobą. Zwalczając go, jesteś posłuszny nakazom, których sam nie pojmujesz, jesteś powodowany uniesieniem gniewu, którego nie doznajesz i który pochodzi ze sfer, wznoszących się wysoko ponad osobistemi twemi uczuciami.

— Ale — przerywa wędrowiec — gdzież jest nienawiść, jeśli jej niema w tych walkach na śmierć i życie?

— Gdzie jest nienawiść? Może w owym salonie, gdzie przed chwilą podziwiałeś wytworność i łagodność naszych obyczajów. Może zawiera się w owych uśmiechach i ukłonach, w owych subtelnościach i odcieniach, a szczególnie w owych przemilczeniach dyskretnych.

„Gniewasz się, więc nie masz słuszności“. To

zdanie pewnego autora starożytnego więcej jest słynne, aniżeli słuszne. Człowiek, który się gniewa, często bardzo ma słuszość. Powiedziałbym chętniej: „Gniewasz się, więc kochasz“. Człowiek, który się unosi, zawsze prawie jest człowiekiem, który kocha. Jestto gniew miłości, jak się wyraził Józef de Maistre.

Ten, kto rozprawia w sposób gwałtowny, kto napada porywczo na przeciwnika, ściga go zawzięcie swemi zarzutami, usiłuje go zwyciężyć, przekonać, nawrócić — ten zazwyczaj pełen jest uczuć serdecznych. Zapalczywość, którą pozornie przeciw wam zwraca, świadczy o gorącym pragnieniu duchowego zespolenia się z wami i uniesienia was we wspólnym locie ku sferom pokoju i zwycięstwa. Jeżeli go odtrącicie bezwzględnie, wtedy zamilknie i wtedy dopiero przestanie kochać. W rozprawach między ludźmi dobrze wychowanymi ten, który musi wciąż hamować swe uniesienia, bywa często pomawiany o nienawiść, — a w istocie rzeczy jest tym, który kocha.

Ten, kto zawsze umie zachować miarę właściwą, komu nigdy nie wyrwie się słowo nieobliczone i nieprzewidziane, kto zawsze nieposzlakowany jest w pozorach i formach — ten zazwyczaj nie ma w sercu prawdziwej miłości dla ludzi. Tamten oddawał się ludziom, ten żyje dla siebie — wydaje się łagodnym i spokojnym, bo jest obojętnym.

Nienawiść nie jest wybuchem gwałtownym, lecz raczej skupioną w sobie złością wewnętrzną; nie jest zapalem, lecz chłodem. Jest wielkością ujemną, nie jest uniesieniem, lecz wstrzemięźliwością.

Ten, kto kocha, mówi z pełni serca, podobnie jak ten, kto wierzy. „Przemówilem, bom uwierzył“. Kto nie kocha — milczy. Ten, kto żyje nienawiścią — żyje milczeniem. Pewne subtelne odcienie w spojrzeniu i w gestach są niejako akcentami milczenia: dają poznać, o ile stopni poniżej zera spada ziarno rozdziału. Bo oto jest istotne miano nienawiści. Nie jest ona prześladowaniem, ani wymówką, ani gniewem, ani wściekłością; — jest ona rozdziałem.

Zawiść.¹⁾

Zawiść jest parodią pragnienia. *Optimi corruptio pessima*. Pragnienie jest tem, co najwyższe w człowieku; zawiść tem, co najniższe. Pragnienie to orzeł; zawiść to płaz. Te dwie przeciwne sobie potęgi występują obecnie ze szczególną siłą: pragnienie unosi się w górnych strefach; zawiść pełza w strefach najniższych.

Dwa światy są poruszone: świat niewidzialny przez pragnienie, świat widzialny przez zawiść. Dzieje XIX w. są jakby wzywaniem nieustannem. Stąd wynika ruch ciągły, a pełen uroczystego znaczenia: Każda dusza ludzka wzywana jest i pociągana ku górze przez pragnienie, lub ku dołowi przez nieruchomość, która zdawała się możliwą niegdyś, niemożliwą staje się dzisiaj.

Ludzie przyzwyczajeni zajmować dawniej pewne określone środowiska w świecie

¹⁾ *Les plateaux de la balance.*

intelektualnym, dzisiaj zdają się uczuwać wciąż potrzebę gwałtownego rwania się ku górze lub ku dołowi, na prawo lub na lewo.

Nigdy, w żadnej epoce nie było takiego przeciwieństwa między rzeczami pożądanymi a osiągniętymi, między ideałem ludzkim a rzeczywistością ludzką. Nigdy człowiek nie mówił więcej o sławie i nigdy tak się nie poił hańbą. Nigdy człowiek nie był tak pełen sam siebie i nigdy nie był tak próżen szczęścia. Nigdy człowiek nie wysławiał tak człowieczeństwa, nie szczycił się więcej jego potęgą i nigdy niemoc jego nie objawiała się w sposób bardziej uroczysty. Postęp artylerji staje się straszliwą ironią, zwróconą przeciw próżności ludzkiej. Ludzie więcej się zabijają, ale nie umieją lepiej leczyć ran swoich.

Potęga artylerji a niemoc medycyny są to obelgi rzucone w twarz samochwalstwu, charakteryzującemu człowieka nowożytnego. Ze wszystkich stron ludzie mówią o wzlotach w górę, o wdzieraniu się na szczyty; ale skoro od słów przejdą do czynu, widzimy same upadki i przepaści. Wszędzie pretensje do wzniosłości, wszędzie rzeczywistość ohydna, a w dodatku często śmieszna. To przeciwieństwo olbrzymie i niesłychane w rocznikach ludzkości, to przeciwieństwo potworne między dążeniami i rzeczywistością, między nadzieją a powodzeniem, między ideą a faktem, między zamiarem a wykonaniem, to pożądanie szczytów, a zstęp-

wanie ciągle ku nizinom, ta pretensja w teorii, ta próżność w praktyce, wszystko to musi podtrzymywać, karmić, umacniać i podniecać w duszach wyższych — Pragnienie, w duszach niższych — Zawieść.

Miedzy bratem a bratem, między przyjaciółmi a wrogami, między narodowościami i klasami społecznymi, między talentami, umiejętnościami i inteligencyami ciągle wymiana Zawieści jest jakby oddechem rodzaju ludzkiego.

Rewolucye, córki i matki Zawieści, wieńczą ją i wytwarzają, uświęcają i zdwajają. Rzecz uderzająca! pokora, która uchodzi ogólnie za cnotę czysto wewnętrzną, pożyteczną jedynie wobec Boga i w stosunku do innego świata, stała się cnotą społeczną, a raczej okazało się dzisiaj, że była nią zawsze. Dała się poznać, jako prawo braterstwa i ludzkości, któremu ludzie powinni ulegać, jeśli nie chcą pożerać się nawzajem.

W epokach spokojnych każdy zajmuje miejsce wyznaczone mu przez stanowisko jego rodziny, rzadziej — określone przez uzdolnienie osobiste lub zasługi, ale w każdym razie uwarunkowane przez coś znanego. W epokach niespokojnych i zamąconych każdy dąży do wszystkiego, obawia się wszystkiego, spodziewa się wszystkiego. Ilu ludzi na ziemi, tylu pretendentów do najwyższych godności.

Wreszcie w epoce szczególnie niespokojnej,

w epoce obecnej, będącej samym niepokojem, zamętem powszechnym i umęczeniem nieustannem, kiedy solidarność wszechludzka głębiej odczuta i przestrzeń lepiej ujarzmiona czynią z ziemi całość jedno wspólne pomieszkowanie, — ilu ludzi żyjących na świecie, tylu kandydatów do tronu świata.

W czasach spokojnych, za dni minionych, różne rodzaje prac rozdzielone były i ściśle określone; każdy pełnił swój obowiązek, nie dbając o sąsiada.

Poeta, gdy ukończył swój dramat, sądził, że spełnił swe zadanie i nie marzył o rządzeniu krajem. Droga, którą postępował, miała wprowadzić niedostatki płaszczyzny, wśród której krocząc, człowiek nie wznosi się ku górze; ale za to przedstawiała też jej zalety. Nie spotykał on orłów, ale też niedźwiedzi uścisk mu nie groził.

Dzisiaj dla poety słowo niewiodące do czynu jest pustą igraszką. Ruch, wspaniały w sobie, ale prawie zawsze błędnie skierowany, rwie go ku pragnieniu porywania drugich za sobą i poeta chce prowadzić, bo mu się zdaje, że ma tchnienie ducha. Kto ma wiedzę, lub sądzi, że ją ma, chce być silniejszym od innych; kto czuje, chce działać; kto pojmuje, chce wydawać prawa; kto ma wyobraźnię i umie jej twory wyrazić, chce przewodzić. Stąd pojęcie wszelkich rzeczy zarazem wyższe i niebezpieczniejsze. Kto między tymi niezliczonymi poetami wskaże, który rzeczywiście powinienby drugim przewodzić? Każdy wierzy w wyższość własną i nie

poddaje się niczyjemu sądowi. Powszechne współzawodnictwo jest dla każdego po szczególe i dla wszystkich razem zaporą w wykonaniu zadania. Zdawałoby się, że nad poetami unosi się wciąż wspomnienie Dawida, wieszczą, proroka i króla zarazem; ale brak im świętości, a wraz z nią podobieństwa do wzoru tego.

Z tego wszystkiego wynika zjawisko niesłychane w rocznikach świata: społeczeństwo, w którem każdy pożąda koniecznie miejsca drugiego, a nikt nie wykonywa swojej roboty, — w którem czas i siły wyczerpują się w jałowych zapasach współzawodnictwa zamiast się zużywać w owocodajnej walce wytwórczej. Owóż, współzawodnicze zapasy obniżają człowieka, bo wzrok jego zwracają ku niemu samemu, a nie rozszerzają jego widnokręgu wśród wszechrzeczy. Walka zaś wytwórcza podniosłaby człowieka, prowadząc spojrzenie jego i rękę w stronę, gdzie zdolalby stracić z oczu sam siebie.

W społeczeństwie zdrowem każdy człowiek wykonywałby swoją pracę dla niej samej i w zjednoczeniu z pracami innych ludzi, a zadowolenie z dokonania własnego dzieła rozciągałoby się na widok dzieł, dokonanych przez innych. Każdy kamień cieszyłby się całą budowlą, a budowla cieszyłaby się każdym kamieniem. Piękność i trwałość całości zwiększałaby piękność i trwałość szczegółów. Byłoby wtedy współdziałanie, czyli harmonia.

W społeczeństwie rozstrojonem występuje współdziałanie jako współzawodnictwo. Pierwsze współdziałanie potęgowałoby siły zbiorowe, drugie — wyczerpuje je. W pierwszym jednostki cieszyłyby się powodzeniem ogółu, a ogół znajdowałby szczęście w powodzeniu jednostek; w drugim — powodzenie jednego człowieka staje się cierpieniem innego. Skoro Paweł zostanie obdarzony, Gaweł sądzi, że mu coś odjęto. Ludzie, zamiast uważać się za członków jednego organizmu, w którym każdy korzysta z wszystkich, a wszyscy z każdego, patrzą na siebie, jakby każdy z nich stanowił odrębną rasę, obcą i wroga wszystkim innym rasom. Ten duch, który nosi nazwę Zawieści, tak jest subtelny, że wśliznie się przez każdą szparę, a tak rozpowszechniony, że świat cały ogarnia. Występuje on we wszystkich szczegółach i w całym ogóle życia ludzkiego. Możnaby sądzić, że dla niego przyszliśmy na świat. Jest tak pospolity, iż przechodzi niepostrzeżony, podobnie jak skąpstwo. Nie jeden człowiek, sumienny zresztą, pracowity, rozumny, pełen różnych przymiotów, ale pozbawiony światła duchowego, przechowuje bez walki w swej duszy Zawieść i Skąpstwo, jak gdyby one miały w niej prawo obywatelstwa.

Przypatrzcie się tylko szczegółowo każdej rodzinie, każdemu domowi.

Zawieść żyje w sercach braci, zanim jeszcze poznają jej imię. Gdy wzrastają i zawieść w nich

wzrasta. Podobna do robaka, żyjącego w wnętrzu organizmu ludzkiego, pożera ona pokarm, przeznaczony dla człowieka.

Zdobycze umysłowe i moralne człowieka zawistnego, zamiast wzbogacać jego duszę, wzbogacają jego zawiść. Zawiść, która przedrzeźniała pragnienie, przedrzeźnia też pokorę. Zawistnik zapomina o swych przymiotach rzeczywistych, o swoich własnych zaletach i myśli tylko o tych, które posiadają inni. Zaniedbuje on, poświęca, traci, lekceważy dary, które otrzymał, które posiada na własność, ażeby wielbić ze złością a bezużytecznie dary udzielone innym, a te ostatnie tem mniej zdobywa, im bardziej ich pożąda. Im więcej za nimi biegnie, tem szybciej one od niego uciekają. Przez nadmiar chytrości zawistnik sam siebie krzywdzi; przypomina on człowieka, który będąc w posiadaniu dyplomów szlacheckich, pragnie spalić dyplomy swych sąsiadów, a mimowoli pali swoje własne.

Patrzcie na ludzi dzisiejszych: wojna między nimi tak jest w serca wszczepiona, że od razu poznać można walczących braci, a sięga tak głęboko, że nie potrzebuje być wypowiedaną. Wypowiedziana jest ona stale i bezwiednie, raz na zawsze, między wszystkimi żyjącymi ludźmi, przez sam fakt ich istnienia.

Oczywistem jest, że uznaję liczne wyjątki. Niema prawa bez wyjątków, a wyjątki nietylko

potwierdzają regułę, jak mówią ogólnie, ale dają ją poznać, udowadniają ją i dopełniają. Wyjątek jest uwieńczeniem prawa. Prawo, które nie miałoby wyjątków, byłoby zgola niedostrzegalne dla umysłu ludzkiego. Wyjątek jest duchem prawa wi działnym jeszcze, gdy prawo się schowa. Jest on podobny do prawa, jak milczenie uroczyste podobne jest do słowa.

Patrzcie teraz na różne warstwy społeczne, patrzcie na rządzących i rządzonych. Czyż nie są to zapaśnicy, którzy dążą do zdobycia lub do utrzymania władzy, jedni wbrew i przeciw drugim? Byłoby niesłusznem czynić zarzut rządzącym z powodu tej dążności. Nakazana jest im przez naturę rzeczy i przez niesforność rządzonych. Wysilek ludów, który powinien wspierać usiłowania zwierzchności, zmierzające do fizycznego, umysłowego i moralnego zdobycia wszystkich rzeczy dobrych i pięknych, zwraca się przeciwko samej zwierzchności. Lud napada na zwierzchność, czy ona się zowie monarchią czy republiką, nietylko wtedy, gdy jest niezadowolony z jej działań, ale dlatego że jest zwierzchnością, czyli zawsze i wszędzie.

Słynne hasło: „ustap się i zrób mi miejsce“ — stało się historią świata i prawem jego ruchu. A skoro ten, który chciał zdobyć miejsce, zdobył je istotnie, inni zazdroszczą mu tak samo, jak on zazdrościł innym, i tak bezustanku.

Wysilek zwierzchności, która powinna mieć

swobodę użycia całej swej potęgi, aby kierować wojną człowieka przeciwko złu, aby umacniać, ochraniać i oświecać omdlewający wciąż postęp człowieczeństwa, ten wysiłek nieskończenie drogocenny, nieskończenie potrzebny, zwraca się całkowicie ku walce zarazem obowiązkowej i małosłownej — ku walce o zachowanie władzy.

Ta walka wewnętrzna, niedorzeczna, bratobójcza i ojcobójcza, jest fatalna zarówno dla wszystkich. Nie pozwala ona ludom dojść do wielkości; nie dopuszcza powstawania wielkich mężów stanu. Otwiera ona drzwi nieszczęściom, które na nią tylko czekają, aby wejść, i które zastają ludzi zmęczonych i rozbrojonych. Walczyli oni tyle między sobą, że nie stają im siły do walki przeciw wspólnemu wrogowi.

Zawiść odebrała im wszelką siłę, aby ich oddać ze związanymi rękami i nogami temu, który chce ich wziąć i pożreć, a ten zawsze jest w pobliżu. Zawiść przygotowuje ofiary dla czyhającego na nie potwora. Potwór krąży szukając, kogoby pożarł i rozważywszy, kogo ze swoich sług najlepiej posłać, aby mu przygotował łatwą zdobycz, posyła na zgubę innych tego, którego użył dla własnej swej zguby. Co uczynić, mówi on do siebie, aby ich zgubić? A skoro pamięć przyjdzie na pomoc jego złości: Co uczyniłem, mówi, aby zgubić samego siebie? Rzecz prosta, powiem innym to, co sam sobie powiedziałem.

Zamiar stania się podobnym Bogu daje się widzieć na wszystkich szczeblach drabiny, prowadzącej ku dołowi. Znajduje się on w miejscach najgłębszych, najskrytszych, najbardziej wewnętrznych. Znajduje się w rewolucjach domowych i społecznych, w otchłaniach i na szczytach tego świata. Narodził się (mówię o jego ludzkim narodzeniu) w ogrodzie rozkosznym, gdzie człowiek zdawał się od niego dostatecznie zabezpieczony. Ale przedtem gdzieś indziej on już istniał. Narodził się w niebie, przy upadku pysznego anioła i pierwsza jego ofiara, wierna wspomnieniu swego przeniewierstwa, nie zapomniała sposobu, przez który upadła. Wszelkie sposobności są dla niej dobre, gdy chodzi o szerzenie zła. Ten, który tak upadł, wie dobrze, jak się upada.

Są błędy, wobec których z łatwością budzi się uwaga człowieka, obdarzonego pewnym zmysłem moralnym. Są inne, które usypiają oko jego i wymykają mu się. Ten ostatni objaw ukazuje się szczególnie, jak rzekliśmy, przy Skąpstwie i Zawiści. Można by go jeszcze dostrzedz w dziełach niesprawiedliwości i niewdzięczności.

Wady, które sprzeciwiają się pewnym cnotom, np. cnocie łagodności, tak silnie wzrok nasz uderzają, że bardzo często widzi on je w powiększonych rozmiarach, a nawet dostrzega je tam, gdzie ich niema wcale.

Często gniew święty gorszy dusze słabe.

To zgorzenie okazuje, w jaki sposób, do jakiego stopnia, jak silnie i głęboko moralisci przejmują się cnotą łagodności. Są rzeczy, które budzą w duszach ludzkich nie tylko sumienie, lecz i skrupuły.

Ale, jak rzekłem, są inne (skąpstwo, zawiść, niesprawiedliwość, niewdzięczność), które otrzymują w duszach prawo obywatelstwa, nie budząc nawet żadnych przeciw sobie podejrzeń. Skąd ta różnica? Skąd ta bezkarność? Skąd to zaślepienie tak jaskrawo odbijające od owej baczności i przenikliwości, niekiedy przesadnej, w błąd swym nadmiarem wprowadzające?

To pytanie sięga daleko i nie wiem, wiele przepaści trzeba przebyć i na wiele szczytów się wdrzeć, aby je zadowalająco rozstrzygnąć.

Ale oto kilka uwag, nasuwających się tu mimowoli:

Przedewszystkiem błędy zakryte dla samego popełniającego je człowieka mają wspólną cechę: dają zawsze poznać charakter niski. Wady, nacechowane gwałtownością, bywają często zboczeniami natur wielkich. Niema prawie natury wielkiej, która by nie była skłonna do gniewu. Oto dlaczego człowiek przyznaje się chętnie do tej wady i dlaczego jest ona tak widoczna.

Człowiek powiada bez przykrości: Jestem skłonny do uniesień i gdybym nie panował nad sobą, stałbym się strasznym. Na szczęście wasze wola moja

silniejsza jest jeszcze od mego oburzenia; jestem dosyć panem siebie, aby was oszczędzić.

Człowiek chętnie wyznaje, że bywa porwany przez miłość lub nienawiść, i że potrzebuje całej swej siły, aby przewyciężyć w sobie te namiętności. Ale bo potok, którego istnienie uznaje, spada niekiedy z wyżyn. Ale człowiek nie mówi nigdy, albo prawie nigdy: „Jestem zawistny“.

Zawiść świadczy tak dalece o niższości, że cofa się przed przyznaniem własnego istnienia. Niższość, stwierdzona przez Zawiść, jest nie tylko wadą, jest to niższość natury. Zawiść jest występkiem tego, który znajduje się w dole i spogląda ku górze okiem zabójcy. Owóż człowiek przyznaje się o wiele łatwiej do niższości swej woli, aniżeli do niższości swej natury. Wyzna on chętnie, że zgrzeszył, byle tylko grzech popełniony był na wyżynie. Ale starannie ukrywa grzechy, popełnione na nizinach. Zawiść, mówi Bossuet, jest wysiłkiem pychy bezsilnej; ten ostatni wyraz powstrzymuje wyznanie na ustach człowieka zawistnego. Człowiek przyznaje się łatwo do pychy, niekiedy nawet wyznanie to głaszcze go przyjemnie; ale nigdy nie powie, że ta duma jest bezsilna i że niski poziom, po którym pęza, czyni ją podobną do zawiści. A ponieważ człowiek nie umie nigdy dochować ściśle swych tajemnic, ma on skłonność nie wyznawać sam przed sobą tego, co pragnie ukryć przed innymi.

Kto ośmieliłby się powiedzieć najbliższemu choćby przyjacielowi: „Jestem niewdzięcznikiem?”

Wyznanie to przyniosłoby hańbę człowiekowi, wskazywałoby ono bowiem nie na poszczególny tylko akt woli, lecz na stały i zasadniczy rys charakteru, na coś, czego się nie wyznaje ani przed sobą samym, ani przed innymi.

Człowiek przyznaje się z łatwością do wszelkich występków, mogących mu zjednać rozgłos, gdyż te są zawsze zwyrodnieniem czegoś wielkiego; wypiera się zaś wszelkich występków, z natury swej żyjących w ukryciu, wypiera się ich przed sobą samym i przed innymi. Pogardę ludzką budzi nizkość; owej to nizkości, nie zaś winy, człowiek nie chce dostrzedz w sobie.

Wielkie namiętności, choćby zbrodnicze, podobają mu się tak dalece, że gotów niekiedy przyjąć w oczach ludzi najwystępniesze ich następstwa, nawet będąc niewinnym.

Namiętności drobne i poniżające tak dalece mu się nie podobają, że nie chce ich widzieć, choćby same rzuciły mu się w oczy.

Należy zaznaczyć tu mimochodem pewną szczególnie dodatnią właściwość spowiedzi sakramentalnej: daje ona człowiekowi mówiącemu siłę do wyznania tego, czego się nie wyznaje zazwyczaj, a człowiekowi słuchającemu siłę nie pogardzania tym, który wyznaje się godnym pogardy. Sprawy natury ludzkiej są tu owładnięte przez coś silniej-

szego od nich, na mocy czego to, co niemożliwe, staje się możliwym. Ci, co odrzucają spowiedź sakramentalną, zastępują ją dość często, osobiście w czasach obecnych, przez spowiedzi ludzkie i publiczne, które rozpościerają się pod odkrytem niebem, z wyzywającą okazałością. Atoli łaska szczególna spowiedzi sakramentalnej zastąpiona jest w tym razie przez pewną odrazę do siebie samego i do innych, przez pełną próżności pogardę i pogardliwą próżność i przez wstyd osobliwego rodzaju. Rzekłbyś, że ta spowiedź bez skruchy, odbyta zdala od Boga i nie sięgająca do dna duszy, zamiast zmazać winy, uświęca je. Były wypisane na piasku, teraz wypisane są na murze.

Uczucia, które nazywam nieświadomemi, między którymi Zawieść zajmuje miejsce wybitne, są nieświadome może wskutek swej głębokości i pozornego spokoju. Namiętność, która się głośno oznajmia, a raczej wystawia się na pokaz, czyni wiele hałasu, a człowiek lubi wszelki hałas.

Namiętności, mogące doprowadzić człowieka bądź do tronu, bądź do szubienicy, mają rozgłos zewnętrzny i publiczny, który schlebia tryumfatorowi osiagającemu zwycięstwo i schlebia ofierze, upadającej w dążeniu do celu.

Namiętności, które są lub chcą być nadmiarem bogatej natury, żadnej wylania się, miłości lub zemsty, zdradzają się przez objawy zewnętrzne.

Wskutek tego nie mogą się one ukryć przed okiem samego działającego lub okiem widza. Człowiek jest tu zmuszony wyznać przed sobą swój czyn wewnętrzny, ujawniony w zewnętrznym swym czynie.

Wyznaje go też chętnie przed innymi, gdyż jest on objawem ukrytej wewnątrz siły i wywołuje rozgłos. Rozgłos! oto hasło tego wieku! Oto jego tajemnica! Rozgłos jest najwyższem pragnieniem człowieka nowożytnego! Herostrates wyprzedził swą epokę, gdy spalił świątynię, a Alcybiades, gdy uciał ogon psu swojemu. Prawda, że Ateny były już rodzajem Paryża. Jakkolwiek bądź, rozgłos, będący przeciwieństwem spowiedzi sakramentalnej, zastępuje ją człowiekowi nowożytnemu. Można by sądzić, że w jego mniemaniu rozgłos zmazuje winy, podając je do wiadomości publicznej. Największy zbrodniarz dzisiejszy, dzięki gazetom, doznaje nie raz może w swem więzieniu uniesień pychy. Pogardza on wtedy zapewne mniej szczęśliwym i zbrodniarzami, którzy nie zdołali zwrócić na siebie uwagi ogółu. Rozgłos jest parodią wyznania, a staje się wysławianiem zbrodni. Otacza on aureolą głowę, która ma paść pod toporem. Owóz rozgłos, ta kłamliwa pociecha występnych, nigdy nie jest udziałem zbrodni niższego rzędu. Te ostatnie nie mogą się spodziewać, że ściągną na siebie uwagę Europy i z tego powodu nie zadawałają swych sprawców.

Kiedyż człowiek wsławił się przez Zawisę? O sprawkach skąpca opowiadają sobie tylko po cichu jego sąsiedzi. Skąpiec i zawistnik ukrywają sami przed sobą występki, które nie mogą być ściśle udowodnione i nie mają rozgłosu zewnętrznego, a przez to nigdy tłumu około nich nie zgromadzą. Skąpiec mówi: „Jestem oszczędny“. Zazdrośnik mówi: „Jestem ambitny“. Ambicya wzmaga się wraz z pochopnością do szukania rozgłosu. Człowiek ambitny sądzi, że żądza wywyższenia się świadczy o wielkości natury, czującej się jakby w więzieniu w swej sferze. Wszelkie występki, do których ambicya go nakłania, stają się w jego oczach dowodami szlachectwa duszy, a ponieważ wybiera on zawsze jak najpochlebniejsze porównania, więc poczytuje się za wielką osobistość historyczną, której wszystko jest dozwolone, gdyż wszystko się jej należy.

Ambicya i Zawisę wcale nie są do siebie podobne.

Ambicya może być wynikiem pewnej siły, — Zawisę wynika zawsze ze słabości. Ale niemniej przeto mogą one złać się ze sobą. Kiedy ambicya nie powstaje w ukrytych głębiach duszy, lecz rodzi się tylko ze złego spojrzenia, rzuconego na głowy wzniesione wyżej, wtedy zowie się zawiścią. Ale nawet w tym wypadku, w tym wypadku najbar dziej, odtrąca ona ze zgрозą to imię, które mo-

głoby stać się światłem dla niej; odtrąca je, gdyż to jest imię, nadane jej przez katechizm.

Zawiść i ambicya wyobrażają dosyć dobrze dwa rodzaje usposobienia ludzkiego, objawiające się u natur niskich przez pierwszą, u natur wyższych przez drugą. Niebezpieczeństwo jest w obu wypadkach, tylko że ambicya, wybuchając gwałtownie, łatwiej spotkać może ostrzeżenie o swem własnem istnieniu w nieszczęściach, które zazwyczaj sprowadza, ruinach, które czyni, wylewie krwi i lez, który powoduje.

Zawiść właściwa, zawiść utrzymująca się w ciąsnem kole nędzy życia powszedniego, łatwiej może się ukryć sama przed sobą, gdyż nie roztacza swych działań dokoła siebie i bystry tylko wzrok spostrzegacza może ją wysledzić. Zawistnik w życiu potocznem nie czyni nic szczególnie uderzającego. Może się on ukrywać w najrozmaitszych przebraaniach, przystających doń zarówno dobrze. Tkwiący w nim jad tak jest subtelny, że nie odczuwa on go we własnych ustach; jest on tak doskonałym oszustem, że oszukuje samego siebie.

Ludzie zawistni nie zawsze walczą obelgą. Nie jeden zawistnik nie używa jej nawet nigdy, lecz tylko poniża to, co wznosi się wysoko; poniża w sposób umiarkowany i to umiarkowanie nadaje jego opiniom cechę prawdopodobieństwa. Poniża bez gwałtowności, o tyle tylko, ile potrzeba dla przytłumienia zachwyty, dla zdławienia go, jeśliby

miał się zbudzić; nigdy zaś nie zapędza się na tyle, by ściągnąć na siebie podejrzenie, mogące osłabić skutek jego słów.

Zawistnik nie chce wyglądać na zawziętego wroga, pragnącego szarpać; cel jego byłby wtedy chybiony. Chce wyglądać na człowieka oświeconego, który zapobiega wszelkiej przesadzie i przywraca rzeczom właściwe ich rozmiary. Oczernia tedy ostrożnie, poniża w miarę. Wobec uderzającej wyższości nie odmówi jej wszelkiej zasługi, przyzna jej owszem chętnie te przymioty, których przyznanie nie przyniesie jej żadnego pożytku; odmówi jej zaś wszelkich przymiotów, mogących wzbudzić podziw, gdyż podziw to jego wróg osobisty. Są wszakże okoliczności, w których powodowany właśnie nienawiścią, udaje on zachwyconego. Zdarza się to wtedy, gdy chcąc stłumić podziw dla zasługi rzeczywistej, potrzebuje on skierować go tam, gdzie zasługi nie ma. Zawistnik, jak wszystkie istoty żyjące, ma instynkt zachowawczy; wie on, skąd mu zagraża niebezpieczeństwo. Zagraża mu ono od strony, gdzie jest coś wyższego, coś godnego czci. Skoro zawistnik rozpozna niebezpieczeństwo i zwietrzy swego wroga, usiłować będzie odwrócić od niego hołdy i skierować je w inną stronę. Będzie usiłował zmylić im drogę i wskazać cel błędny, aby je odwieść od celów prawdziwych. Wielbić będzie bez miary niegodnych, aby okazać się zdolnym do uwielbienia. W ten sposób chce

on korzystać z pozorów uczucia szlachetnego, którego nie doznaje i odsunąć od siebie podejrzenie o uczucie nikczemne, które żywi istotnie. Osiąga więc korzyść podwójną, ale też kłamie podwójnie i podwójnie sprzeniewierza się sprawiedliwości. Odmawia uwielbienia tam, gdzie ono jest słuszne, a usiłuje je zwrócić tam, gdzie się nie należy. Drugie kłamstwo daje pozór uprawnienia pierwszemu. Zawistnik przybiera chętnie miny entuzjastyczne tam, gdzie entuzjazm zupełnie jest niemożliwy, aby się uwolnić od niego tam, gdzie byłby zupełnie prawowity. Zdaje się on mówić: „Jeżeli nie podziwiam tego, co wy podziwiacie, to nie dlatego, żebym był zawistny, lecz dlatego, że zachowuję swój podziw dla czegoś godniejszego“.

Jeżeli zawistnik wynosi kogoś, czyni to nie w celu wyniesienia go na prawdę, lecz w celu poniżenia innego.

Zawiść ze wszystkich występków na świecie najbardziej krzywemi chodzi drogami. Dałbym jej nawet pod tym względem pierwszeństwo przed skapstwem, które jednakowoż zna się dobrze na wykrętach.

Wobec tego, który nie zasługuje na podziw, zawistnik przybiera pozory wspaniałomyślności i życzliwości. Wie, że w tym razie nie będzie schwytany za słowo i że nie stąd grozi niebezpieczeństwo. Wobec tego, który na podziw zasługuje, przybiera pozory rozważnej powściągliwości.

W pierwszym wypadku, tam, gdzie niema niebezpieczeństwa, zdaje się on mówić: Patrzcie, jaką szlachetną mam naturę, jak nie mogę zapanować nad sobą, jak skłonny jestem do wszelkich ofiar! Tę mam tylko wadę, że sam o sobie zapominam. Myślcie więc o mnie, bo ja o sobie nie myślę.

W drugim wypadku, tam, gdzie zachodzi niebezpieczeństwo, gdzie podziw mógłby się stać zażliwym, przemawia mniej więcej w ten sposób:

„Zapewne, X. jest moim przyjacielem, ale nie daję się zaślepić przyjaźni. Chętnie uznaję jego zalety, lecz chcę też zaznaczyć i te, których mu braknie. Nie myślę stać się fanatykiem przyjaźni nie pragnę wcale zostać sługą czyimś, jego rzeczą, jego narzędziem; chcę zachować wobec niego i wobec wszystkich prawo sądu i swobodę działania zupełną i całkowitą. Chcę go zachować szczególniej wobec tych, którzy może nie byłiby od tego, aby mi ją zabrać“.

I tutaj zawistnik delikatnie daje do zrozumienia, iż człowiek, któremu zazdrości, jest pewnym rodzajem Mahometa, który chciałby z niego uczynić swego seida! Nie zaniedba on jednak domieszać pewnej liczby nic nie znaczących pochwał do ciężkich oskarżeń. Pochwały owe pokrywają nienawiść, nic jej nie ujmując. Ciężkie oskarżenia przechodzą pod zasłoną nic nie znaczących pochwał. Zawistnik skłonny byłby nawet głosić się zobowiązanym względem tego, którego chce poniżyć, gdyż dobro-

dziejstwa, które mógł od niego otrzymać, odejmują jego nieprzyjaźni dalekie nawet podobieństwo do zemsty. Wygłasza wtedy opinie, pełne zastrzeżeń i napomnień, w których wypowiada lub nasuwa słuchaczom następujące słowa:

„Patrzenie, do jakiego stopnia człowiek ten jest przewrotny, skoro ja, który mu jestem zobowiązany, zwyciężony siłą prawdy, takie rzeczy muszę o nim wyznać“.

Nadaje on bowiem swoim oskarżeniom pozór wyznań, które dobroć dotąd wstrzymywała, a które teraz wyrwała mu z ust otwartość.

W potrzebie zawistnik gotów rozpylić się w uniesieniach wdzięczności, gdy mówi o swym dobroczyńcy, ale dodaje:

„Z tem wszystkiem nie zgodzę się nigdy, aby mnie zaślepiały doznane dobrodziejstwa. Sprawiedliwość nadewszystko. Ponieważ ten człowiek jest niebezpieczny i szkodliwy, muszę was o tem ostrzedz, usuwając na bok wszelkie osobiste względy“.

Zawistnik podnosi niewdzięczność do wysokości zasady; bo każdy zawistnik jest niewdzięczny, a każdy niewdzięcznik zawistny.

Zawistnik posługuje się niewdzięcznością, aby stwierdzić swą nienawiść, tymczasem własna nienickczemność skazuje go na wieczną niewolę. Podłość wodzi go na stryczku.

Podnosi on niewdzięczność do wysokości ofiary. Posługuje się niewdzięcznością, aby wzbudzić po-

dziw dla ofiarności, z jaką poświęca najdroższe swe uczucia, gdy trzeba oświecić innych.

Działając tak, mówiąc tak i czując tak, nie zawsze wie z jasną i dokładną samowiedzą swej nienickczemności, że istotnie tak mówi i tak czuje. Niekiedy wydziela on swój jad, jak kwiat wydziela woń swoją, bez określonego zamiaru. A im bardziej typowym jest zawistnikiem, tem mniej świadomym jest swych działań. Jest on zarazem oszustem i oszukanym. Prawdziwy zawistnik oszukuje samego siebie, oszukawszy wprzód innych co do natury uczuć, które nim powodują. A jednak pełen on jest chytrłości, pełen wybiegów i wykrętów; ale wszystkie te chytrłości, wybiegi i wykręty wprowadzają często w błąd jego samego narówni z innymi ludźmi. Instynkt działa w zawistniku silniej, aniżeli cokolwiek innego; instynkt popycha go do poniżania wszystkiego, co wielkie; instynkt podaje mu najlepsze potemu środki; instynkt wskazuje mu tych, których trzeba poniżyć i tych, których trzeba wywyższać bez miary.

Instynkt mówi mu: „Tu jest niebezpieczeństwo, poniżaj! Tam niema niebezpieczeństwa, wywyższaj!“

Dla zawistnika życie jest labiryntem, ale instynkt służy mu za nitkę Aryadny. Zawistnik posiada w wyższym stopniu, aniżeli inne występki, zmysł zachowawczy.

Wzywa ona na pomoc wszelkie pozory, a tem płodniejsza jest w wybiegi, iż nie przewodniczy jej

świadome rozumowanie. Jest ona przebiegła, a nie wydaje się taką; często nawet nie wie o tem. Chwilami odgrywa ona rolę naiwnej szczerości. Ośmiela się w swem zuchwalstwie przybierać maskę dobroduszości. Nic na świecie nie jest tak różne od niej, jak niewinność, a przecież udaje ona niekiedy niewinną prostotę. Bywa prostą, serdeczną, szczera. Zawistnik prawie zawsze jest t. zw. „dobrym kolegą“. „Dobry koleżka“ jest to człowiek lekkomyślny. Skoro człowiek jakiś jest lekkomyślny, inni ludzie, błędząc przytem głęboko, nie poczytują go za złego. Tymczasem lekkomyślność, to brak serca. Lekkomyślność bywa towarzyszką wszystkich występków i wszystkich zbrodni. Wielcy zbrodniarze bywają ludźmi lekkimi.

Zawistnik jest więc często człowiekiem lekkim. Ta lekkomyślność pomaga mu w kłamstwach. W oczach ludzi pozbawionych inteligencji, człowiek tak lekki, taki miły, taki „dobry koleżka“ nie może być głęboko zepsuty. W błąd ich tu wprowadza wyraz „głęboko“. Być głęboko zepsutym, nie jest to być głębokim umysłem; dosyć być lotrem lekkomyślnym i zawistnym. Potwarca nie potrzebuje być wielkim człowiekiem, aby być wielkim nikczemnikiem. Nie geniusz jego jest głęboki, lecz głębokie jest błoto, w którym tkwi pogrążony.

Ale niefrasobliwość jego i wesoła dobroduszość, śmiech swobodny, koleżeńskość i wszystkie podobne przymioty codziennego mieszczańskiego żywota,

któremi zaprawia on truciznę, każą wierzyć ludziom nieopatrzny, że ta trucizna jest nieszkodliwa. Taki wesoły! taki zabawny! opowiada anegdotki! W potrzebie załatwi ci sprawunki! Człowiek uprzejmy! usłużny!

Zawistnik z melodramatu, zawinięty w czarny płaszcz, jest osobistością czysto fantastyczną: jest to zdrajca na obstalunek, który żyje i umiera tylko na scenach teatrów.

Prawdziwy zawistnik uprzejmy jest, jego towarzysze mówią o nim, że niezdolny jest pomyśleć o czemkolwiek złem. Mówi on wszystko, co mu przejdzie przez głowę i czyni wszystko, czego od niego żądają. I oto posłuchajcie, jak sądzą o nim towarzysze:

To taki dobry chłopiec! lekkomyślny — tak, być może! Ale zły? nigdy w życiu! On — zły? Gdzież znowu!

Duch sprzeciwieństwa.¹⁾

Odkąd żyję na świecie, widzę — jak również i ty zapewne czytelniku — ludzi, kłócących się między sobą. Sprzeciwieństwo powszechne jest faktem powszechnym. „Widziałem w mieście sprzeciwieństwo i niesprawiedliwość“, mówi Pismo św. Zestawienie tych dwóch wyrazów głęboką zawiera naukę. Niesprawiedliwość jest córką ducha sprzeciwieństwa.

Niezgoda pokrywa ziemię. Nie wrogowie najbardziej są niezgodni, ale przyjaciele. Tam, gdzie zdaje się napozór panować jedność, tem głębszy i tem bardziej zasadniczy zachodzi rozdział.

Nie podejmuję wyjaśnienia tego faktu; zaznaczam go tylko. Stan umysłowy rodzaju ludzkiego jest stanem powszechnego rozerwania.

Czy to znaczy, że ludzie nie zgadzają się ze sobą wcale w żadnym przedmiocie?

¹⁾ *Les plateaux de la balance.*

Nie, tak źle nie jest.

Gdy biorę ludzi samych w sobie i wnikać do głębi ich dusz, nie okazują się oni tak niegodnymi, jak w swem życiu zewnętrznym i w tem, co mówią.

Gdybym mógł przejrzeć ich do dna, w ich samotności i skupieniu, ujrzałbym może, że nie są tak oddaleni jedni od drugich, tak rozdzieleni i tak niezgodni między sobą, jak mi się to wydaje, gdy patrzę na nich w zamęcie życia.

Dlaczego okazują się bardziej nieprzyjawnymi sobie, niż są istotnie?

Stworzeni zostali do życia w zjednoczeniu, niezgoda jest ich nieszczęściem.

Dlaczego dobrowolnie powiększają to swoje nieszczęście?

Pytanie to posiada doniosłość olbrzymią i powszechną: bo na świecie całym panuje potwór, zwany duchem sprzeciwieństwa.

Gdy rozważam osoby i rzeczy tego świata, spostrzegam, że można je rozpatrywać z wielu stron i każdy zapewne to samo uczynił spostrzeżenie.

Paweł widzi pewną rzecz z jednej strony i widzi ją białą.

Piotr widzi tę samą rzecz z innej strony i widzi ją czarną.

Obaj mają słuszość i obaj błędzą, bo rzecz widziana przez nich biała jest z jednej strony, a czarna z drugiej.

„Ta rzecz jest biała!” woła Paweł.

„Nieprawda, jest czarna!” woła Piotr.

I oto macie dwóch wrogów.

Zamiast porozumieć się i uzupełnić nawzajem swe spostrzeżenia, Piotr i Paweł z zawziętością przeczą każdy temu, czego sam nie widzi.

Duch sprzeciwienia zamyka im oczy, napęnia goryczą ich serca, zaślepia i rozdziela ich dusze.

Im bielszą jest dana rzecz w oczach Pawła, tem czarniejszą staje się w oczach Piotra.

Piotr uważa ją za straszliwie czarną, ponieważ Paweł uznał ją za nadzwyczajnie białą.

Przedtem byli to dwaj ludzie rozsądni, zdolni porozumieć się wzajemnie. Teraz są to dwaj nieprzyjaciele, nierozsądnie uparci i nierozsądnie zaślepieni, albowiem hydra sprzeciwienia podniosła między nimi głowę.

Rzecz to tak prosta, że prostota jej zasłania nam jej doniosłość.

Ażebym Piotr mógł ukazać Pawłowi z prawdziwym dla niego pożytkiem widzianą przez siebie czarną stronę rzeczy, trzeba przede wszystkim, aby poznał równie dokładnie białą jej stronę, którą widzi Paweł, i żeby mu o tem wyraźnie powiedział.

Jeśli mu tego nie powie, każdy z nich uprze się niezachwianie przy swym odrębnym sposobie widzenia.

Oto dlaczego dobroć serca mogłaby odegrać niezmierną rolę w sprawie pogodzenia umysłów ludzkich.

Jeśli będziesz unosił się gniewem przeciw swemu przeciwnikowi, który może jest twoim przyjacielem, nie przekonasz go nigdy.

Nie zapominajmy nauki głębszej, zawartej w języku ludzkim w pochodzeniu i budowie słów: Nienawidzieć, po łacinie: *invidere*, in-videre, nie-widzieć.

Żadna może prawda nie znajduje ogólniejszego zastosowania od tej tak prostej prawdy: Jeżeli chcecie pokazać człowiekowi to, czego nie widzi, postarajcie się widzieć to, co dla niego jest widoczne i uznajcie to głośno.

A jednak zazwyczaj dzieje się wprost przeciwnie.

Ludzie zaczynają od wzajemnego zaprzeczania sobie i dochodzą stopniowo do tego straszego zamętu, który panuje w ich życiu umysłowem.

Zło, które tu stwierdzam, straszliwe jest i powszechne; jest ono źródłem cierpień całej ludzkości.

Piotr wyobraża sobie, że gdyby przyznał Pawłowi wszystko, co może mu przyznać bez kłamstwa, Paweł skorzystałby z tego przeciwko niemu.

Jest to wręcz przeciwne prawdziwie.

Paweł spostrzeże to, co widzi Piotr, skoro Piotr zobaczy to, co widział Paweł i oznajmi mu to.

Przypominam sobie, że za czasów dzieciństwa dano mi sposobność wpadnięcia w wielkie błędy tem, że bardzo mi się sprzeciwiano. Od tego czasu przekonałem się, że duch sprzeciwienia to szatan we własnej osobie, ojciec wszelkiego kłamstwa.

Ojciec Faber, oratoryanin, mówi, że nigdy nie zdołamy przekonać człowieka, jeżeli mu nie udowodnimy, że doskonale pojęliśmy wszystkie jego zarzuty i jeśli nie wnikniemy głęboko w jego stan duchowy.

Jest to wielka prawda.

O. Faber utrzymuje też, że jest rzecz na ziemi, która nigdy i w żadnym razie nic dobrego nie sprawia.

Tą rzeczą jedyną jest: ironia.

Masz przeciwnika: wyśmiej jego sposób widzenia w danej sprawie. Nigdy nie wniknie on już w twój pogląd na tę sprawę. Nigdy. I oto zamknąłeś przed tym człowiekiem źródło życia.

O. Faber mówi także, że gdyby nagle człowiek spojrzał z przyjaźnią na innych ludzi i rozważył ich postępowanie w świetle interpretacji korzystnej, człowiek ten zmieniłby sposób istnienia tak zupełnie i stanowczo, jak gdyby został przeniesiony na nową planetę. Osiągnąłby od razu siłę przekonywującą, która wzbudziłaby zdumienie w nim samym i w innych ludziach, gdyż wtedy posiadałby ducha przeciwnego duchowi sprzeciwienia.

Duch sprzeciwienia może być instynktem, albo systemem. W obu razach zarówno śmierć zadaje.

Udzielasz napomnień młodzieńcowi, który przez szlachetne, ale źle skierowane porywy, wpaść może w wielkie niebezpieczeństwa. Obraż tylko wrodzoną mu szlachetność duszy, okaż lekceważenie: młodzieniec nie będzie słuchał twego głosu; utracisz jego zaufanie, traktować cię pocznie jak nieprzyjaciela i być może, zdala od ciebie, rzuci się w otchłań zguby. Jak ty, zdawałeś się okazywać wzdargę jego dążeniom, podobnie on wzgardził twemi ostrzeżeniami. Ty potrzebowałeś jego zaufania, on potrzebował twego doświadczenia.

Duch sprzeciwienia zgubił was obu.

Gdybyś go był wysłuchał z dobrocią, on wysłuchałby cię nawzajem z wdzięcznością. Ty odniósłbyś korzyść z jego młodości, jemu twoja mądrość przyniosłaby pożytek.

Bo każdy człowiek potrzebuje wszystkich ludzi i, być może, iż dla otrzymania pomocy ogromnych wystarczyłaby gotowość udzielania ich zawsze innym.

W wychowaniu, w rozstrząsaniu spraw i zdań, w nauce, w krytyce, w życiu publicznem i prywatnem, wszędzie, wszędzie to samo widzimy:

Ziemia pokryta jest gruzami, a duch sprzeciwienia jest ich sprawcą.

Duch sprzeciwieństwa uzbraja syna przeciwko ojcu, przyjaciela przeciw przyjacielowi.

Św. Magdalena z Pazzi przyjęła za regułę życia: nigdy niczego nie odmawiać, skoro nie zachodzi bezwzględne niepodobieństwo uczynienia zadość żądaniu.

Oto duch przeciwny duchowi sprzeciwieństwa.

Doświadczenie wieków poucza, że człowiek potrzebuje naprzód pociechy, a potem dopiero nauki.

I nie zdolny on jest przyjąć nauki, jeżeli przedtem nie otrzymał pociechy.

Duch sprzeciwieństwa gwałci to prawo.

Porusza on naprzód drażliwą stronę przedmiotu, wysuwa naprzód przeszkodę. Rozpoczyna od wymówek. Drażni zanim zacznie uspakajać. Oto dlaczego jego nauka jest bezpłodna i szkodliwa, choćby nawet setną słuszość miał za sobą.

Ów drugi duch, duch światła, naucza i pociesza. A skoro pociecha otworzy drzwi, nauka przez nie wchodzi. Wchodzi i życzliwie jest przyjęta. Nie spory są zasadą działalności ludzkiej, lecz miłość.

Rozpocznijcie od sporów, wszystko pozostanie jałowe.

Rozpocznijcie od miłości, wszystko stanie się płodne.

Trzeba utworzyć jedność, zanim zajmimy się szczegółami, ażeby następnie wprowadzić szczegóły do owej jedności, która je objąć gotowa jest wtedy.

Wszystko, co się zaczyna od zgody, kończy się zgodą.

Wszystko, co się zaczyna od niezgody, kończy się niezgodą.

Duch sprzeciwieństwa stwarza olbrzymie nieporozumienie, które powiększa się z dnia na dzień przez oddziaływanie własnych następstw.

Niezgoda, pozostawiona sama sobie, w licznych bardzo wypadkach łatwo mogłaby być usunięta.

Ale duch sprzeciwieństwa zatruł wszystko i po pewnym przeciągu czasu zapomniany bywa nawet przedmiot sporu.

Duch sprzeciwieństwa pozostaje i wtedy, gdy drobne i nieznaczące powody, które go pobudziły, dawno już nie istnieją.

Duch sprzeciwieństwa przenika duszę ludzką i nadaje pewien szczególny ton temu, który mówi. Jeżeli ton tak jest ważny w słowie to dlatego, że przezeń duch się odzywa. Ton jest ważniejszy od słowa.

Szatan znaczy przeciwnik.

Przypuśćmy, że przypuszczenie O. Fabera urzeczywistni się.

Przypuśćmy, że ludzie przyjmą od dzisiaj życliwość za podstawę swej działalności.

W takim razie jutro zamieszkiwać będziemy inną planetę.

Ale, powiecie, różnice zapatrywań umysłowych pozostaną przecież.

Nie twierdzą, aby wszystkie one miały zniknąć, ale bylibyśmy zdumieni na widok, w jakiej mierze by stopniały.

Gdyby olbrzymie nieporozumienie, które wytworzył duch sprzeciwienia, miało zniknąć, osłupielibyśmy widząc, do jakiego stopnia zjednoczenie umysłów zależne jest od zjednoczenia serc.

Kochać — to zgadywać; nienawidzić — to niewiedzieć.

Honor.

Co znaczy ten wyraz? Nie rozumiejąc go, przez długi czas skłonny byłem mniemać, że nic nie znaczy. Mówilem sobie: Jest dobro i zło, będące jego zaprzeczeniem, ale honor to puste słowo; wszelkie dobro godne jest czci, wszelkie zło przynosi hańbę, lecz honor nie zawiera nic odrębnego; niema dla niego innych praw, prócz tych, które nakazują dobro, a zakazują zła. Honor tedy jest nazwą, którą przybiera moralność w ustach ludzi nieznających jej. Honor jest bożyszczem, Bogiem tych, którzy nie mają Boga.

W tem zapatrywaniu mojem było nieco podobieństwa do prawdy; sądę jednak, że samej prawdy w niem nie było. Wszystkie wyrazy mają swe znaczenie; zależy wielce na tem, aby je wyrozumieć dokładnie. Jeżeli wyraz jaki został zaciemniony przez fałsz, niełatwo potem rozjaśnić jego znaczenie; możnaby powiedzieć, że obrał sobie siedzibę wśród ciemności i że trzeba przemocy, żeby

go stamtąd wydobyć. Honor jest jednym z tych wyrazów. Kłamstwo ovladnęło nim jak swoją własnością. Kłamstwo chciało tak dalece zagarnąć do swej dziedziny imię honoru, iż nawet odjęło mu pozory imienia poważnego. Pomieszczono honor w sąsiedztwie pojedynku i maska ta tak ściśle zakryła jego oblicze, iż niekiedy zdaje się je zastępować.

Ale wyrazom powinna być wymierzona sprawiedliwość. Niesłusznem byłoby wymazywać ze słownika te, które zostały spotwarzane. Należy je przywrócić mowie ludzkiej i napowrót umieścić w świetle.

Ludzkość jest wielkim zbiornikiem grzeszników. Ktokolwiek przyjrzy się sobie, przerażony cofnie się przed obrazem, który zobaczy.

Im lepiej człowiek poznaje człowieka, tem bardziej przepaść rośnie w jego oczach. Gdziekolwiek rzucimy okiem, wszędzie ukazuje się nam jakiś widok przerażający, gdyż wszędzie, gdzie człowiek przeszedł, pozostawił swój ślad, a ślad ten jest straszliwy.

Jednakowoż ludzkość, pomimo swych błędów, zachowuje zawsze instynkt sprawiedliwości i daje mu wyraz w swej mowie. Przemawia ona do natury, przemawia sama do siebie, przemawia do Boga i trzeba zważać na jej słowa, choćby były wypowiedane w gorączce, gdyż instynkt sprawiedliwości zagrzebany jest pod ruiną człowieka i mo-

zna go tam dostrzedz nawet wpośród nocy. Przy bladym świetle księżyca dostrzedz można gniazdo orle pod zwaliskami starego pomnika.

Człowiek przemawia tedy z głębi swego upadku i jeżeli ma dobrą wiarę, uznaje swą winę. Czuje, że i współbracia jego są też winni, wszelako wpośród nich znajdują się tacy, których nie nazywa on ani winnymi, ani grzesznymi, lecz pozbawionymi honoru.

Ta ogromna różnica, jaką mowa ludzka ustanawia między jednymi ludźmi a drugimi, nazywając jednych grzesznikami, a drugich niehonorowymi, uznając, że wszyscy stracili niewinność, a tylko niektórzy — honor, ta ogromna różnica mowy musi mieć pewną podstawę, pewną rację bytu w jakiejś olbrzymiej różnicy, tkwiącej w istocie rzeczy. Gdyż mowa rzadko powoduje się kaprysami: stworzona do nazywania rzeczy, pamięta ona jeszcze o swem pochodzeniu. Poczęła się w cieniu drzew Edenu, w dniu, kiedy Adam, przenikając istotę rzeczy, sądził stworzenia i nadawał im imiona.

Ponieważ mowa ludzka tak wyraźnie odróżnia utratę czci czyli honoru od winy, musi tedy istnieć otchłań między temi dwiema otchłaniami. Człowiek upadający wzbudza litość w sercu tego, który patrzy na jego upadek; lecz jakie uczucie wzbudza człowiek, zatracający swą cześć w waszych oczach? Może wyraz, który byłby odpowiedzią

na to pytanie, nie istnieje, a może istnieje, lecz ja go nie znam. Jednakże, cóż czyni człowiek, który traci cześć i czem się on różni od upadającego w inny sposób? Bo utrata czci zawiera w sobie zawsze winę; ale nie każda wina pociąga za sobą utratę czci.

Nie wiem, czy odpowiedź, jaką tu dać zamierzam na to pytanie, wyda wam się opartą na naturze rzeczy, lub może uznacie ją za samowolną. Może pierwsze wrażenie czytelnika przechyli się do ostatniego z tych dwóch przypuszczeń, następnie zaś — do poprzedniego.

Co sprawia, że człowiek występny nietylko jest występny, ale i bezecny? Gdyby brak czci miał treść istotną, co byłoby tą treścią? Byłoby nią, jeśli się nie mylę:

Przyrzec i nie dotrzymać.

Hańba ma wiele form, wiele postaci. Są tysiączne sposoby utracenia czci. Lecz wszelka wielorakość daje się sprowadzić do jakiejś jedności. Grzech wydaje najrozmaitsze skutki, a jednak zasadą każdego grzechu jest zawsze ten sam potwór: pycha. Hańba przyodziewa różne stroje, zmienia je często, zależnie od okoliczności. Jej oblicze zmienia się wciąż; raz się śmieje, innym razem płacze. Ale gdybyśmy poszukali ze światłem w ręku wpośród tych wszystkich odmian szpetoty, jak wygląda typ, który je streszcza i jaka jest zasada, z której

się one poczęły, zobaczylibyśmy, że ten, co utracił cześć, przyrzekł i nie dotrzymał.

Gdyby zapytać pogardę o jej treść ukrytą, odpowiedziałaby: Znam kogoś, co przyrzeka, a nie dotrzymuje.

Jeśli powiesz człowiekowi: „popelniles wielki błąd, jesteś zbrodniarzem“, człowiek ten odczuje nagane, lecz może mimo to czuć się szanowanym i ponieważ nagana nie odbiera czci, może ci bez wysiłku podać rękę i podziękować bez bólu. Jeśli powiesz człowiekowi: „skłamales“, będzie się on czuł wzgardzonym, chociażby chodziło o drobnostkę. Dał słowo, a to, co powiedział, nie było prawdą. Dać słowo, znaczy przyrzec. Dwa te wyrażenia jedno mają znaczenie. Być może, istnieją przyrzeczenia niewypowiedziane. Czy człowiek przez to samo, że rodzi się człowiekiem, a nie psem, że otrzymuje dar mowy jako znamię swej natury, jako oznakę swej godności, czy nie przyrzeka przychodząc na świat, że nie będzie kłamał?

Dwóch ludzi się nienawidzi, prześladują się z nieubłaganą zaciętością. Mogą oni stać się bardzo występny, każdy z nich może siebie zgubić, chcąc zgubić przeciwnika; każdy może wpaść w sidła, które na swego wroga zastawił, co zdarza się częściej, niż się wydaje; jednakże ich stosunek wzajemny, składający się z całego szeregu win i krzywd, nie będzie pociągał za sobą jeszcze utraty czci.

Lecz oto widzicie człowieka, który porzucił przyjaciela: ten pije hańbę jak wodę. Przysiękł on bowiem w sposób określony lub nieokreślony, że będzie wierny, a honor wszelkich stosunków ludzkich polega na wierności.

Wierność i szczerść zamieszkują jedno miejsce, gdyż słowo i przyrzeczenie są jednoznaczne. Przyjaciół, który zdradza, skłamał wprawdzie nim zdradził.

Szawel stał się Pawłem. Szawel był wrogiem Chrystusa i Chrystus powiedział mu to, co można powiedzieć otwartemu wrogowi: Czemu mnie przesładujesz? Szawel stał się Pawłem. Nie złamał on danego słowa, on wyszedł tylko z błędu, w którym pozostawał.

Ale spojrzycie na Judasza! Pogarda, dochodząca aż do zgrozy, uczyniła jego imię krzykiem obrzydzenia. Bowiem obrzydzenie, gdy już mu słów nie staje, wydaje okrzyki. Judasz to już nie imię, to wykrzyknik, to nie wyraz, lecz gest zgrozy. Bo też zdradził on pocałunkiem. Usta jego skłamały w szczególny sposób. Popelniał on kłamstwo i poparł je jeszcze czemś bliższem sercu, niż słowo, gdyż pocałunek jest przyrzeczeniem, sięgającym poza obręb mowy ludzkiej. Nietylko przyrzeka on, nie zdradzać, przyrzeka wierność. Jest on właśnie znakiem wierności. Judasz wybrał go jako znak zdrady. „Dederat autem traditor ejus signum eis, dicens:

Quemcumque osculatus fuero, ipse est... tenete eum et ducite caute“.

Należy zauważyć, że najsmutniejsze nawet upadki moralne nie wykluczają na swych stopniach przedostatnich jakiegoś nieokreślonego poczucia honoru. Dopiero na samym dnie to uczucie gaśnie. Człowiek grzędnący w fałszu, na przedostatnim stopniu swego upadku mówi jeszcze, mówi nawet często o honorze i mówi o nim zawsze w znaczeniu słowa danego. Zgadza się on, by go uważano za zdolnego do wszelkich zbrodni, albo nawet za winnego tychże, lecz nie chce, by wątpiono o jego słowie. Zgodzi się, by go uważano za zbrodniarza, lecz nie chce, aby powiedziano: Ten zbrodniarz przyrzeka nadaremnie, słowo jego nic nie waży. Przegra on cały swój majątek i majątek cudzy, postawi na kartę więcej niż posiada; lecz dług, którego jedyną rękojmią jest jego słowo i który tyle tylko ma wartości, ile jej ma to słowo, dług taki uważa on za honorowy i nie chce, aby go posądzono o lekceważenie tego długu. Zgodzi się zadać śmierć komuś, otrzymać ją z czyichś rąk, lub nawet popełnić samobójstwo, lecz nie chce, żeby żona złamała dane mu słowo. Być może, że drwi sobie z małżeństwa, lecz nie chce, żeby żona go zdradzała. On, który nie wierzy w nic, wierzy jednak, że żona jego utraciłaby cześć, gdyby złamała dane słowo. On, który nie uznaje żadnego

prawa, chce koniecznie, aby żona jego była związana obietnicą, którą mu uczyniła. To jedno może wiąże go jeszcze ze społeczeństwem. Poszanowanie danego słowa bywa w nim o tyle żywsze, ile że jest ono może jedynym głosem, którym w jego duszy przemawia jeszcze godność jego natury. Gdy zagrzęcie głębiej, gdy dojdzie do ostatniego stopnia upodlenia, poczucie honoru zamrze w nim może, lecz prawdopodobnie zamrze na samym ostatku. A gdy go już nie stanie, gdy człowiek śmiać się będzie ze swego słowa, przestrzeń oddzielająca go od zwierzęcia niezmiernie się zmniejszy. Twarz jego przybierze wyraz zwierzęcy, a sam widok jego stanie się ludziom niemiły. Będzie to jeden więcej upadek natury ludzkiej, usiłującej dojść do zbydlęcenia. Słowa zwrócone do takiego człowieka napotkają próżnię. Mowa ludzka przestanie nań działać. Jeśli zamarło w nim poczucie danego słowa, nie znajdziecie w nim już ani jednej wrażliwej struny. Jeśli śmieje się z tego, że przyrzekł nadaremnie, nie można już będzie wzbudzić w nim płaczu.

Żołnierz na polu bitwy odgrywa również dramat honoru. W historii pełno jest ludzi, którzy ten rodzaj honoru przekładali nad życie. Gdyż w historii wiele zajmują miejsca pola bitwy i wojna wysławiana jest na świecie. Żołnierz zdaje się być świadom zwróconych nań spojrzeń; czuje

on, że cała Europa nań patrzy. Mówię Europa, gdyż reszta świata zdaje się być głową bez oczu. Żołnierz czuje tedy na sobie spojrzenia Europy i jak gdyby zapominał o tych, którzy czekają go może w wiosce rodzinnej, zelektryzowany w osobliwy sposób w kierunku nadzwyczajnej ofiary z siebie, której ani nie przygotowywała ani przeczuwała jego młodość, oddaje swe życie, byle się nie cofnąć. A jednak walczył bez nienawiści, nie przeciw osobistemu swemu wrogowi. Walczył za sprawę, której nie zna. Nie wie on, jaki jest jego stosunek do sprawy, za którą umiera, Jego dowódzca, żywy czy umarły, zdobędzie może to, co się tu na ziemi nazywa chwałą — jemu pozostanie tylko: honor. Jego poświęcenie nie otrzyma udziału w blasku zwycięstwa. Nikt się nie dowie, w jakiej mierze się doń przyczynił i historycy nie będą opowiadać o zabawach dziecinnych lat jego, spędzonych w wiosce, do której już nie wróci. Historycy wymienią tylko liczbę poległych w bitwie, i on będzie jednostką w tej liczbie. Jednak umiera on, ażeby nie utracić honoru. Umiera dlatego, że przyjawszy, może wbrew woli nawet, imię żołnierza, przyrzekł tem samem, że umrze, jeśli potrzeba będzie umrzeć, lecz nie odda sztandaru.

Powie kto może, że to strach, a nie złamanie obietnicy, plami cześć żołnierza? Ależ ten sam człowiek, gdy pasał bydło lub żął zboże swego ojca, mógł uciekać przed niebezpieczeństwem, nawet

przed niebezpieczeństwem urojonem. Dla zachowania życia mógł on posługiwać się niezliczonymi środkami ostrożności i nie potrzebował z nimi się ukrywać. Chociażby w nich nawet był przesadził, nie doznawał wstydu, gdy zasiadając do wspólnej wieczerzy prosił Boga o błogosławieństwo dla domowego ogniska. Wtedy bowiem nic jeszcze nie przyrzekał. Robotnik, wykonywujący jakąś niebezpieczną pracę, w kopalni na przykład, może uciekać, nie dał bowiem słowa, że będzie odważny. Ale żołnierz związany jest słowem i nawet gdyby w czasie bitwy ujrzał w duchu, podobnie jak Ulyseś w Odysei, dym wznoszący się wieczorem nad chatą, gdzie go oczekują, to jednak zagrany jakimś głosem, silniejszym od głosu natury, mężnie stawia czoło śmierci, choćby mógł jej uniknąć.

Był może trwożliwy, zanim przyjął zobowiązanie. Ale bo wtedy nie dał jeszcze swego imienia w zakład swej powinności żołnierskiej.

Wyrażenia potoczne dopomagają prawie zawsze w objaśnianiu tajników rzeczy. Mawia się często, że dany człowiek „uhonorował” swój podpis. Mowa potoczna zbliża co chwila wyrazy: honor i podpis.

Czemże jest podpis, jeżeli nie przyrzeczeniem.

Ten, co podpisuje, przyjmuje na siebie zobowiązanie wykonania.

I jakim znakiem je stwierdza? Stwierdza je

swem nazwiskiem. Podpisem człowieka jest jego nazwisko, nazwisko — słowem, słowo — czią i honorem. Dlatego mówi się też: zbecześcić swe nazwisko.

Ten, co nie dotrzymuje słowa, pozbawia czi swoje nazwisko. Nazwisko zaś w rzeczy samej — to sam człowiek. Dać swe nazwisko, znaczy to oddać w zastaw cześć swoją.

Nazwisko wyobraża człowieka — wyobraża go w tem, co w nim jest najistotniejsze. Jeśli kto rzuca obelgę na nazwisko jakiegoś człowieka, przynosi mu wtedy w pewnym względzie większą ujmę, niż gdyby jego samego zelżył w sposób bardziej bezpośredni, ale mniej uroczysty. Jeśli obraża go w jego nazwisku, obraża go w tem, co powinno być najbardziej szanowane.

Jeżeli policzek odbiera cześć w opinii ludzi, czy nie pochodzi to stąd, że nazwisko wypisane jest niejako na twarzy ludzkiej? Twarz jest, równie jak nazwisko, objawieniem istoty człowieczeństwa; po twarzy głównie ludzie poznają się, rysami swych twarzy różnią się jedni od drugich. Jest to jedna z tajemnic stworzenia, że jakkolwiek wszystkie twarze składają się z takich samych rysów zasadniczych, niema dwóch twarzy, które byłyby do siebie zupełnie podobne kształtem tych rysów. Jedność zasadnicza twarzy ludzkiej wskazuje, że jedna ogólna nazwa należy się wszystkim ludziom.

Różnice, zachodzące między twarzami, wskazują, że każdy człowiek ma własne swe imię.

Między małżonkami zachodzi wspólność czci, zależna od wspólności nazwiska. Żona, biorąc nazwisko męża, jednocześnie bierze na siebie i cześć jego. Jeżeli cześć kobieca szczególnie jest drażliwa, jeżeli najlżejsze nawet podejrzenie ujmę jej przynosi, czy nie pochodzi to stąd, że tajemnica imienia objawia się w niej w szczególnem znaczeniu? Gdyż od nazwiska, które otrzymała, zależy cześć powierzona kobiecie. Przeznaczenia jej uległy zmianie od chwili, gdy zmieniła nazwisko. Nazwisko kobiety, to historia własnego jej życia i życia jej męża.

Podpis człowieka jest jego znakiem, jego pieczęcią, jego wyobrażeniem, jego charakterem, obrazem jego istoty, przyłożonym do obietnicy dla jej stwierdzenia. Dać słowo i podpisać swe nazwisko, zarówno obowiązuje honor człowieka.

Dlaczego człowiek, który naruszył depozyt, uważany jest za bardziej zbezczeszczonego, aniżeli ten, który popełnił inny zamach na własność cudzą? Pochodzi to stąd, że całość depozytu poręczona była jego słowem. Czyn zły lub dobry, przez który depozyt został naruszony lub dochowany, należy całkowicie do dziedziny honoru.

Zdradzenie powierzonej tajemnicy jest wykro-

cenieniem tego samego rodzaju. Tajemnica powierzona jest honorowi przyjaciela. Ten, co przyjmuje cudzą tajemnicę, gdyby nawet wyraźnie nie przyrzekał jej dochowania, uczynił to domyślnie przez sam fakt przyjęcia depozytu, gdyż powierzona tajemnica jest depozytem. Honor tem bardziej w grę tu wchodzi, iż wykroczenie przeciwko niemu nie naraża na żadne niebezpieczeństwo.

Słowo dane przez człowieka, nie zaś jego interes, stanowiło w tym razie rękojmię jego wierności. Wogóle tem głębsza będzie pogarda, spadająca na człowieka, który na nią zasłużył, im mniej podlega on innym karom ludzkim. Pogarda jest karą szczególnego rodzaju, karą, spadającą na nazwisko.

Kto zdradza tajemnicę, popełnia jakby zamach w ciemnościach nocy, zdradza tego, który zaufał, który się oddał.

Do występków najbardziej bezecnych należy nadużycie snu czyjegoś; sen bowiem rozbija człowieka i bez obrony żadnej oddaje go pod straż honoru otaczających. Zdrada w tym wypadku jest szczególnie szpetną i porusza nas do głębi duszy. Owóż zaufanie jest rodzajem snu. Ten, co powierzył swą tajemnicę, zasypia niejako na łonie przyjaciela. Jakże straszne musi być jego oburzenie, jeśli się przebudzi wobec zdrady!

Imię, to cześć, a wznosząc się wyżej — imię, to sława. Sława to cześć wyolbrzymiona, to cześć

uwieńczona, strojna w purpurę. Bez czci nikt się obejść nie może; sława jest udziałem niewielu wybranych. Skoro cześć wstępuje w dziedzinę wzniosłości, przybiera imię sławy i okrywa się blaskiem wspaniałości. Cześć daje to, co jest przyrzeczone: to sprawiedliwość, Sława daje ponad to, co przyrzeczone: — to wspaniałomyślność. Cześć liczy się z tem, co daje i nie daje, nie więcej nad to, co winna. Sława nic nie liczy — daje ona na ślepo, daje wspaniałomyślnie. Skoro człowiek wznosił się ponad sferę czci, aby wstąpić w sferę sławy, imię jego staje się imieniem czegoś wielkiego. Nie jest ono tylko imieniem człowieka, lecz jest szczególnym sposobem określenia jakiejś wzniosłości. Wychodzi ono ze sfery powszednich szczegółów, aby stać się dziedzictwem ludzkości. Poezya bierze je w posiadanie, rytmika jej unosi się nad niem.

I kto wie, czy wielki człowiek, gdy spełnia czyn, okrywający go sławą, nie dopełnia jakiejś niewysłowionej obietnicy, obietnicy zadośćuczynienia potrzebie nader rzadko zaspakajanej, potrzebie podziwiania, błagającego na klęczkach o cośkolwiek wzniosłego? Podziw — to ubogi, który narówni z innymi ubogimi żebrze o chleb swój powszedni.

Jeżeli cześć daje to, co powinna, a sława coś ponad to, nietrudno będzie nam stąd zrozumieć, dlaczego sława z natury swojej pełna jest miłosierdzia. O. Faber powiedział gdzieś, że Bóg dumny

jest ze swego miłosierdzia. To wspaniałe orzeczenie nie powinno nas dziwić. Miłosierdzie, czyniąc więcej, niż każe sprawiedliwość, otwiera przed potęgą dziedzinę pobbłazania, a w dziedzinie owej oddycha ona nowem powietrzem, które zmienia jej oblicze.

Mowa ludzka posiada nader piękne wyrażenie. Okazać miłosierdzie człowiekowi, to przebaczyć mu, czyli darować jego winy, po francusku par-donner, dać ponad miarę, donner au-dela.

Być sprawiedliwym — już jest trudno. Ale człowiek musi być wielkim, skoro chwała przebaczenia tj. czynienia ponad sprawiedliwość, stała się dlań prawem. Zwierzę nie przebacza, lecz człowiek, jako stworzony na obraz Boga, wznosi się ponad srogość odwetu. Człowiek przebacza i w chwili tej okazuje na swem obliczu cielesnem, na swem obliczu stworzonem, obraz i podobieństwo Boga, który go uczynił zdolnym przebaczenia. Ponieważ przebaczący wznieść się musi ponad honor, ponad naturę, przebaczenie przez swą surową godność odpycha wszelką ograniczoność, wszelką małostkowość i wszelką oziębłość — gardzi ono wszelką oszczędnością, sypie pełną dlonią swe skarby, jako dziecię rozrzutne oddaje wszystko, co posiada. Daje to, na co nikt nie miał prawa liczyć. Wspaniałomyślna hojność jest cechą miłosierdzia.

Miłosierdzie? — Któż pomści je za to oblicze mazgajowate, jakie mu często bywa nadawane?

Kiedyż zrozumieją ludzie, że jest ono nieodłączne od nienawiści czynnej, gwałtownej, pożerającej, nieprzeblaganej, niszczącej i wiekuistej — nienawiści zła? Kiedyż zrozumieją ludzie, że aby być miłosiernym, trzeba być niewzruszonym; że aby być łagodnym względem człowieka, który błaga o przebaczenie, trzeba być okrutnym względem wroga ludzi, który ssał krew tego klęczącego, okrutnym względem błędu, grzechu i śmierci? Miłosierdzie straszliwe jest, jako wojsko w szyku bojowym. Niegdyś przybrało ono postać Judyty i woda przywrócona została umierającej z pragnienia Betulii.

Oddawna zła wola i głupota zmówiły się, aby nadać cnocie wygląd niedołęznego mazgajstwa i nużącej bezbarwności. Nikt nie domyśla się, jak daleko sięga niebezpieczeństwo takiego błędu. Nikt nie domyśla się, do jakiego stopnia ludzie spragnieni wielkości odstręczani bywają od Boga przez małe książki, które Go czynią małym.

Niektórzy sądzą, że honor polega na tem, aby nie przebaczać. Inni myślą, że przebaczenie jest ustępstwem, które honor powinien czynić na rzecz moralności. Kiedyż nareszcie zrozumieją ludzie, że w miłosierdziu objawia się wspaniałomyślność podniesionego do swoich szczytów honoru? Każda rzecz dąży do wzniesienia się ponad siebie samą. Każdą rzecz pociąga ku wyżynom piękność ekstazy (ἔκστασις). Skoro honor wznosi się na tę wyniosłość, na szczycie jej spotyka sławę. Wtedy lży

się pojawiają. Honor nadaje stanowczość obliczu, ale sława pobudza lży.

Kończę spojrzeniem, rzuconem do wnętrza pustyni, gdzie Mojżesz pasał swoje owce.

Po wszystkie czasy sądził człowiek, że tajemnicą potęgi jest imię Pana. W Piśmie św. widzimy wielokrotnie, jak człowiek, któremu Bóg powierzył jakąś tajemnicę, lub uczynił przyrzeczenie, zapytuje Boga:

Jakie jest two imię?

Samą głębią serca ludzkiego jest nadzieja, którą pokłada ono w imieniu Boga. A Bóg nazwał się Zazdrośnym, albowiem przywiązuje wagę do chwały swojej.

Kiedy Mojżesz usłyszał głos wychodzący z krzaka gorejącego, zapytał o imię Tego, który mówił. Odpowiedź, którą otrzymał, rozbrzmiewa od stulecia do stulecia i wieczność nie jest zbyt długa, aby przesyłabizować Tetragrammaton.

Jak wszystkie prawie imiona hebrajskie, imię J-E-H-O-W-A ma wielorakie znaczenie. Oznacza ono tego, który był, który jest i który będzie. Wskazuje tajemnicę trójcy osób i jedności istoty bożej. Jest alfą i omegą i nadzieja nawet, nieustraszona w pochodzie ku górze, nie sięga wyżyn tego, co ono zawiera.

Owóz imię Jehowa wedle Korneliusa à Lapide znaczy między innemi:

Ten, co dotrzymuje obietnice.

Adam słyszał kłamstwo węża; kusiciel nie dotrzymał obietnicy, uczynionej pierwszym naszym rodzicom. I zbezczeszczony jest!

Kiedy Bóg Zazdrosny, który nie oddaje innemu przynależnej sobie chwały, w osobie Mojżesza objawił się rodzajowi Adama, chcąc oddać sobie świadectwo, oznajmił w dźwiękach straszliwego swego imienia, iż się zowie:

Ten, który dotrzymuje swych obietnic.

Rozgłos i sława.¹⁾

Dwie drogi otwarte są przed człowiekiem, przemawiającym do innych ludzi. W razie powodzenia jedna z tych dróg prowadzi do rozgłosu, druga do sławy.

Co przedstawiają te dwa wyrazy? Jaka jest różnica między rozgłosem a sławą?

Najbardziej zaślepieni czują, że różnica ta jest wielka, ale nie wiedzą, na czym ona polega. Instynktownie człowiek ją uznaje; mowa sama nie dopuszcza nieporozumienia. Któż ośmieliłby się mówić o rozgłosie św. Augustyna, lub o sławie Helwecjusza?

Rozgłos więc nie jest sławą. Ludzie sądzą jednak powszechnie, że między temi dwoma pojęciami zachodzi tylko różnica stopnia i że rozgłos, skoro się wzmaga, staje się sławą. W tem jest błąd. Różnica, o której mowa, dotyczy nie stopnia, lecz samej istoty rzeczy.

¹⁾ *Les plateaux de la balance.*

Rozgłos jest parodią i przeciwieństwem sławy.

Sztuka jest wyrazem ideału, objawiającego się zapomocą znaków zmysłowych. Widocznem i przyrodzonem jej zadaniem jest podnosić do sfery ideału każdego, kto się do niej zbliży. Ale artysta, jak wszyscy ludzie, jest w stanie upadku; wskutek tego, pełen próżności i nędzy, zapominając, że powinien podnosić ludzi ku sobie, tj. ku ideałowi, który wyraża, godzi się na zstąpienie ku nim, nie dlatego, aby ich ze sobą pociągnąć na wyżyny, lecz raczej, aby razem z nimi na nizinach zamieszkać. Wtedy, zamiast szukać prawa sztuki w prawie wiecznem i w prawdzie bezwzględnej, szuka on swego prawa w kaprysie publiczności. Zamiast starać się o podniesienie ludzi, stara się im przypodobać. Artysta chcący się przypodobać! Jakie straszliwe poniżenie! Trzeba całego naszego przyzwyczajenia do rzeczy nadzwyczajnych, aby się temu nie dziwić.

Artysta, który pochlebia publiczności, dąży do rozgłosu.

Artysta, który podnosi publiczność, dąży do sławy.

Sława przychodzi z góry, rozgłos — z dołu.

Sława, to promienie, któremi prawda otacza głowę swego wybrańca.

Sława jest odbłaskiem Boga, któremu jedynie przynależy ona, jako własność istotna.

Rozgłos jest dziełem reklamy.

Światło nie przewodniczy jego narodzeniu.

Powstaje on i rośnie często przy pomocy intryg i knowań; drogi podziemne nie są mu obce.

Rozgłos płynie z prądem przyjętych mniemań — sława idzie przeciwko temu prądowi.

Rozgłos postępuje naprzód po linii spiralnej, ślizga się jak wąż, pełza, aby się precyzyjnie; sława leci na skrzydłach, a lot jej jest walką, bo ziemia nie lubi, aby się nad nią wznoszono: dostarcza ona ołowiu do zabijania ptaków.

Dziedzina sławy jest świat niewidzialny. Powodzenie nic nie ma z nią wspólnego.

Poczynający się rozgłos sprawia, że współzawodnicy mówią między sobą: miejmy się na baczności, oto przybywa nam jeszcze jeden!

Wobec poczynającej się sławy ci, którzy mają być przez nią przyćmieni, pozostają w najzupełniejszym spokoju zewnętrznym. Nikomu nie jest ona groźna, przynajmniej na pozór. Ponieważ wydaje się pozbawioną wszelkich środków, jej wrogowie sądzą, że musi umrzeć i że nie potrzebują sobie zadawać trudu zabijania jej; przeciwstawiają jej pewien szczególny rodzaj pogardy: pogardę bogatej mierności, która mówi spoglądając na geniusza: Jestem mocniejsza od ciebie i już zdobyłam sobie miejscę na świecie.

A przecież ziarno gorczycy kiełkuje i rośnie. Nieprzyjaciele jego zaczną się wkrótce niepokoić

i pierwsze błyski mającego wzejść słońca wstrząsają nimi we śnie; zmora poczyną ich dusić.

Powstający rozgłos budzi we współzawodnikach nowej znakomitości pewien zewnętrzny niepokój, marny i mierny jak sytuacja sama, — czują oni tylko współzawodnika. Rodząca się sława pozostawia tych, którzy na nią patrzą, w spokoju zewnętrznym, ale gdyby wniknęli w głębi swojej duszy, znaleźliby tam dziwną obawę, jedyną w swoim rodzaju, obawę, której nie umieliby nazwać i o której mówićby nie chcieli. Byłoby to jakby nieokreślone przecucie przyszłej klęski, które, gdyby mogło wydać głos, zawołałoby: Oto mój zwycięzca! To zachowanie się mierności wobec geniuszu jest jednym z najsmutniejszych widoków, jakie ziemia może nam ukazać.

Rozgłos opiera się na podstawach znanych; pochód jego może być wymierzony. Postępuje on ostrożnie, z wyrachowaniem, liczy wszystkie swe kroki, a gdy najlepiej je obliczy, spostrzega, że zupełnie źle obliczył. Chybia on prawie zawsze celu, do którego dążył i często na starość dochodzi do zapomnienia ludzkiego, które jest karą. Sława rodzi się w odmiennego rodzaju zapomnieniu, w ciemnościach wtajemniczenia. Wynurza się z nich, podobnie jak się w nich pogryzła, sama nie wiedząc dlaczego. Następnie rośnie ciągle i osiąga cel, chociaż doń nie mierzyła.

W życiu i w pochodzie rozgłosu wszystko jest

rachunkiem — w życiu i w pochodzie sławy wszystko jest tajemnicą. Sława prowadzi swych wybrańców na lewo, kiedy chce, aby poszli na prawo.

Ludzie mierni, którzy zdobyli sobie rozgłos, dla urządzenia spraw tego świata posługują się zazwyczaj sposobami o pozornej jasności podobnej bardzo do zdrowego rozsądku ludzi pospolitych, sposobami przystępnymi dla każdej inteligencji, łatwymi do uchwycenia i na pierwszy rzut oka uderzającymi swą oczywistością. Sposoby te mają tę jedną wadę, że nie liczą się z tajemnicą, spoczywającą na dnie wszystkiego; obliczenia ich nie przekraczają sfery prawdopodobieństwa. To też najczęściej zniweczone bywają przez nieprzewidziane zrządzenia boże, będące widomymi objawami tajemnicy.

Ludzie mogą obdarzyć człowieka rozgłosem; nie są zaś w stanie dać mu sławy. Rozgłos przygotowuje się, sława wybucha. Rozgłos zdobywa się przy pomocy tych lub owych środków — sława nie rozporządza żadnymi środkami; jest ona, lub jej niema, podobnie jak życie. Rozgłos błyszczy; sława jaśnieje. Zręczność może doprowadzić do rozgłosu; do sławy doprowadza tylko Ten, który ku słońcu zwraca spojrzenia swych orłów.

Gdy człowiek zdobył rozgłos, może odnaleźć na piasku ślady kroków, które go doń doprowadziły, a jego towarzysze mogą usiłować go doścignąć, krocząc temi śladami.

Gdy blask sławy oświeci człowieka, nikt na

żadnej karcie geograficznej nie odnajdzie drogi, po której szedł ten blask, aby spotkać się z jego czołem.

Dla zdobycia rozgłosu trzeba wielu rzeczy, wielu środków, wielu narzędzi.

Dla zdobycia sławy jest tylko jeden środek: narodzić się dla niej. W ogóle Bóg zamyka wszystkie drogi do rozgłosu tym, których przeznaczył dla sławy. Wznosi on jej drobną isierkę przez powietrze niewidzialnym szlakiem, a dopiero kiedy zbliży ją do stropu niebios, rozplomienia ją wśród ciemności, a głowy ludzkie zwracają się ku tej stronie, skąd jasność na nie spływa.

Rozgłos poczyną się wśród hałasu, sława — wśród milczenia. Rozgłosowi towarzyszy stale przyjemność, sława rozwija się wśród łez.

Wybrańcami sławy są może ci ludzie, którzy czując, że natura człowieka niższą jest od jego przeznaczeń, poddają się technieniu Ducha, w nim raczej, a nie w sobie, pokładając swą ufność. Są oni dość mądrzy, by wiedzieć, że mądrość ich przyrodzona nie może im wystarczyć i wzywają na pomoc mądrość niewidzialną, która współdziała z wielkimi ludźmi, aby przez nich dokonać wielkich rzeczy.

Gdy Bóg usypia, pozwala wielu ludziom zdobywać rozgłos. Gdy się budzi, na Jego rozkaz zjawia się sława na ziemi.

Przyrodzonym symbolem sławy jest słońce. A jednak w rozwoju swym podlega ona temu samemu prawu, co ziarno gorczycy.

Rozgłos przypomina bezmyślne krzyki, wydawane wpośród ciemności nocnych przez bijących się i nierozumiejących się nawzajem pijaków.

Sława nosi zamię jedności. Jest ona zawsze wyobrazicielką jakiejś idei. Rozgłos jest dziełem tłumu. Człowiek cieszący się rozgłosem, nie wyobraża żadnej idei, lecz interesy, najczęściej źle rozumiane. Zdobył on swoje stanowisko nie przez czyn, lecz przez mnóstwo zabiegów, które z pewnością nie zostawią w historii śladu promiennego.

Sława jest ojczyzną orłów. Dziedzina rozgłosu jest to pole pokryte nawozem, gdzie robactwo, symbol zgnilizny, tarza się, walczy ze sobą i pożera się nawzajem.

jest grzesznikiem, św. Marya Egipczyanka przed swoim nawróceniem była grzesznicą.

To są grzesznicy; nie są to ludzie światowi.

II.

W Ewangelii napotyka się słowa strachem przejmujące, a wpośród nich jedno z najstraszliwszych: *Non pro mundo rogo*.

Nie modłę się za świat. Ten, co tak mówi, przenika rzeczy do głębi i ma umrzeć za grzeszników. A jednak za świat się nie modli. Św. Jan nam to oznajmia. Podczas ostatniej wieczerzy, gdy spoczywał na łonie Chrystusa, w tej chwili uroczystej, gdy ramiona Boga miały być rozciągnięte na krzyżu, podczas owej wieczerzy, w owej chwili, św. Jan słyszał Prawdę odwieczną, mówiącą: „Nie modłę się za świat“. Wiecie także, co powiedziane jest gdzieindziej o ludziach letnich. Nie wnikam do głębi tych dwóch orzeczeń, ale patrząc na świat, jakim się on przedstawia, chciałbym wiedzieć, chociaż w przybliżeniu, o czem się mówi, gdy się go wymienia.

Grzech jest nieładem, nieładem widocznym, otwartym, gwałtownym, pełnym klęsk. Namiętności pozostawiają po sobie ruiny i nie kryją się z tem. Niekiedy nawet tem się szczycą. Ale wracam do pytania, co to jest świat?

S w i a t.

I.

Co to jest świat? Ten wyraz wstrętny zdaje się nic nie znaczyć, a jednak jest wstrętny.

Etymologia nie na wiele nam tu się przyda. *Mundus* po łacinie znaczy czysty, świat jest samą nieczystością. *κόσμος* po grecku znaczy zarazem świat i porządek.

Znaczenie obecne wyrażenia „człowiek światowy“ nie wiąże się więc, przynajmniej na pierwszy rzut oka, z łacińskim *mundus* ani z greckim *κόσμος*.

Jeżeli powrócimy do etymologii to tylko uboczną drogą.

Czy świat jest grzechem? Oczywiście nie. Zachodzi ogromna różnica. Zapewne świat jest w grzechu, ale posiada w nim własną swą dziedzinę; otóż chodzi, aby ją poznać, a przynajmniej bliżej oznaczyć.

Zabójca jest grzesznikiem, złodziej publiczny

Może świat jest grzechem, ochłodzonym przez przezorność?

Może świat jest dziedzina grzechu, zamkniętą w granicach letniej temperatury?

Świat tak daleko się rozciąga, jak daleko sięga letnie powietrze. Tam, gdzie powietrze staje się ciepłe lub zimne, świat cofa się zgorszony.

Może więc przez ową letniość stwarza on sobie pozorny ład w swym nieładzie i pozorną czystość w swej nieczystości i wskutek tego we własnych swych oczach uznaje zgodność swej treści z etymologicznym znaczeniem wyrazów *mundus* i *kosmos*.

Potrzeba jednak uciec się do ironii, ażeby tę zgodność dostrzedz.

III.

Granica letniości oddziela świat od grzechów, które doń nie należą. W kategorii temperatur letniość odpowiada mierności. Owóż mierność zakreśla przestrzeń świata. Grzesznik ma złe namiętności, a świat smakuje w złem, smakuje w niem spokojnie, bez gwałtownych porywów.

Świat ma upodobania, opinie; nie ma ani miłości, ani nienawiści.

Jego upodobania zwracają się ku rzeczom polowicznym; opinie unikają bezwzględności, aby nie mieć żadnego podobieństwa do przekonania. A szczególną ich cechą jest to, że nie wykluczają opinii

przeciwnych; mówię opinii, a nie przekonania. Opinie świata wchodzą w układy z innymi opiniami tegoż świata. Czy są zgodne z sobą, czy też sprzeczne, niemniej przeto żyją w dobrem porozumieniu, zawsze bowiem jest pewien łącznik między nimi: głęboka, choć umiarkowana letniością, nienawiść przeciw wspólnemu wrogowi — przeciw Prawdzie.

Opinie świata nawet wtedy, gdy walczą między sobą, związane są przymierzem przeciw Prawdzie. To przymierze jest parodią jedności.

Wszyscy bogowie znajdowali miejsce w Panteonie rzymskim, za wyjątkiem Jezusa Chrystusa; wszystkie opinie znajdują miejsce w Panteonie świata, tylko Prawda jest zeń wykluczona.

IV.

Świat podobny jest do gospody. Niechaj jakikolwiek błąd stanie u jej wejścia, zebrani w niej współbiedniacy ścisną się jak będą mogli, aby mu zrobić miejsca. Ale jeżeli prawda zapuka do drzwi, wszystkie miejsca są zajęte, a nawet niektórzy podróżni z pomiędzy najbardziej wyborowych zostają wypędzeni. *Quia non erat eis locus in diversorio.*

Świat tak ograniczony i zaślepiony, ma jednak cudowny instynkt, skoro chodzi o rozpoznanie i odrzucenie tego, co mu jest obce. Nie myli się on, mierzy trafnie; wymierza sam sobie sprawiedliwość,

skazuje się na wygnanie, gdyż podróżny, którego odtrącił, odchodząc unosi z sobą prawdziwą siedzibę ludzkości.

Świat wypędza siebie na pustynię. Mniejsza o to, że ta pustynia zowie się tłumem, niemniej przeto jest ona pustynią, to jest próżnią, to jest śmiercią.

Pustynia, próżnia i śmierć napelniały Rzym, gdy Jan był na Pathmos. Na Pathmos było życie, siedziba ludzkości. Oto dlaczego św. Dionizyusz podziwiał sprawiedliwość świata, który, jak on mówił, uchodzi z przed oblicza św. Jana.

Świat jest pustynią, po której przechadzają się tłumy. Są one gnane pośpiechem, rzekłbyś, wojsko w odwrocie. A przed czym wojsko to uchodzi? Pędzi ono od czasów Pathmos, pędzi dalej w ucieczce zadyszanej i uchodzi wciąż z przed oblicza św. Jana. Uchodzi w nieładzie, w zamęcie, uciekający zwracają się sami przeciw sobie i w obłędzie swym zabijają się nawzajem, bo walczą wpośród nocy. Trwoga ich zaślepia: uchodzą z przed oblicza św. Jana.

To wojsko w odwrocie traci nieraz drogę; błąka się wśród pustyni; widzi przed sobą błędne miraż, lub sny znikome, popychane jest we wszystkich kierunkach, unoszone przez kaprys wiatrów, które rzucają mu piasek w oczy; a jednakże ma ono zawsze stałą dążność: uchodzi z przed oblicza św. Jana. Beładny swój zamęt okrywa pozorami

ważnych zadań, ale najważniejsze jej zadanie: — uchodzić z przed oblicza św. Jana. Reszta jest mało znaczącym drobiazgiem.

Patrzcie na tych ludzi: biegają oni, krzątają się, sprzedają, kupują, rozmawiają, wiedzą spory, pozdrawiają się, witają, są grzeczni, uprzejmi, kłamią, podchlebiają, oczerniają się nawzajem, rozstają się, zabijają się, tępią, trują się nawzajem. Ale najważniejszą dla nich sprawą jest uchodzić z przed oblicza św. Jana.

Uchodzić z przed oblicza św. Jana, oto ich trud, ich życie wewnętrzne, szpik ich kości, esencja ich wyziewów. Reszta jest drobnostką, ozdobą, strojem, który ulega zmianie odpowiednio do mody dnia, lub do kaprysu osobistego.

V.

Grzech jest mniej obłudny od świata. Daje on widzieć otwarciej, czem jest i co czyni. Świat zawsze kłamie. Nie czyni nigdy tego, co zdaje się czynić.

Świat lubi przedrzeźniać. Jest on małpą mądrości; zrobił sobie mądrość na własny użytek; mądrość owa podobna jest do mądrości prawdziwej, jak orangutan podobny jest do człowieka.

Mądrość prawdziwa znajduje pokój na wyżynach, ponieważ panuje nad przeciwieństwami. Mądrość światowa znajduje pokój w dole, w który

wpadła, gdyż z dołu owego nie może dostrzedz różnicy między czarnem i białem.

Mądrość prawdziwa usiłuje wszystko jednoczyć. Mądrość światowa usiłuje mieszać pierwiastki, nie mogące się połączyć i gdy je pomieszała bezładnie, sądzi, że je spoiła. Sądzi ona, że współmieszkanie jest to samo, co zjednoczenie.

Człowiek światowy nie lęka się złe czynić, ale lęka się postępować niewłaściwie. Nie zna on harmonii, ale zna konwenanse.

Konwenans zastępuje w życiu światowem harmonię.

Świat lubuje się w nienawiści, ale trzeba żeby ta nienawiść miała letnią temperaturę salonów i unikała pewnych wybuchów. Musi ona posługiwać się pewnemi kłamstwami. Skoro kłamstwo przyjdzie jej z pomocą, nienawiść może występować w świecie z pewnością siebie osoby dobrze wychowanej.

Skoro nienawiść przywdzieje strój właściwy, jest wtedy w zgodzie ze światem; zastosowała się do jego przepisów i może wejść śmiało.

Prawem świata jest błahość. Jeżeli człowiek żyjący znajdzie się przypadkiem w świecie, musi się koniecznie uczynić blahym, bardziej nawet blahym od innych, inaczej staje się łatwo podejrzanym. Jeśli zdoła przytłumić w sobie wszelką prawdę i wszelkie światło, może być znoszony przez

chwilę. Ponieważ jednak istota rzeczy nie może przez dłuższy czas przენiewierzać się własnej swej naturze, nadejdzie chwila, gdy świat w swej przezorności odwróci się od niego, a w swej sprawiedliwości rozdzieli się z nim.

Błahość tak jest drogą światu i tak mu potrzebna, że nawet samo zło, chociaż z natury swej jest mu sympatyczne, traci jego sympatyę, skoro przymiesza się doń pierwiastek dobra i rozrywa ten krąg, który śmierć nakreśliła dokoła świata.

Jeżeli zło, zmodyfikowane przez jakieś szlachetniejsze poruszenie, unosi się i wybucha, wtedy może ono pozostawać w dziedzinie grzechu, ale wykracza już poza dziedzinę świata.

Świat lubi zło, ale lubi je osłodzone, uróżowane, wyczesane starannie, ubrane wedle ostatniej mody. Lubi on grzech, ale lubi go czyściutkim, grzecznutkim i wymuskany.

W dziedzinie grzechu kłamie się dla interesu, dla namiętności, przez wstyd, przez trwogę. W dziedzinie światowej kłamie się bez interesu, bez namiętności, bez wstydu i bez trwogi. Ludzie kłamią dlatego, że są ludźmi światowymi, kłamią przez miłość własną, przez próżność, kłamią przez oziębłość, a wreszcie, aby kłamać. Kłamstwo jest powietrzem, którem oddychają, gdyż w owej krainie jest ono nieodłączne od słowa.

Coby mówiono w świecie, gdyby nie kłamano?

Grzesznik, skłamawszy raz, może potem powiedzieć prawdę.

Ale świat, skłamawszy raz, kłamie dalej; kłamie nawet, gdy mówi prawdę. Prawda staje się kłamstwem, dotknąwszy jego ust. Kiedy bowiem świat mówi prawdę, sądzi, że wygłasza mniemanie podobne do innych mniemań, chcąc, aby ta prawda otoczona była kłamstwem i w dobrym żyła z niem porozumieniu. Pragnie ją zbeczczyć haniebnem sąsiedztwem, a skoro ją zbrukał tak, iż poznać jej nie można, wtedy ją toleruje, bo stała się ona kłamstwem; — a to kłamstwo tem jest cenniejsze, iż daje schronienie innym kłamstwom osłania je swoją powagą, sprawia, iż tracą one cechy zbyt wyraziste, ostre i gwałtowne. Ta prawda, stając się kłamstwem przez swój ton, przez swój akcent, przez swe otoczenie, przez zestawienie, dokonywa ostatecznego zmieszania dobra i zła, a ludzie światowi są wtedy zadowoleni.

Kiedy człowiek światowy mówi prawdę, przybiera względem niej ton protekcyjny. Rzekłbyś, iż czyni ustępstwo na rzecz prawdy, czyni je przez bezstronność. Rzekłbyś, iż przez litość udziela na chwilę prawdzie miejsca w swej mowie. Obdarza ją tym zaszczytem, ale natychmiast każe sobie zań zapłacić, upodabniając prawdę do kłamstwa, które wnet odzyskuje swe prawa.

Pozór bezstronności jest to najniebezpieczniejsze sidło, które oziębłość zastawia na ludzi, a świat

lubi bardzo posługiwać się tem sidłem. Nędznik! chce udawać sprawiedliwego. Nic nie oszukuje z groźniejszą siłą i powagą, jak prawda źle powiedziana. Nadaje ona wtedy otaczającym ją błędom wagę, której one same przez się nigdyby nie miały, nakazuje poszanowanie dla nich. Mieszanina prawdy i błędu w ustach świata wywołuje fatalne następstwa; daje prawdzie pozór błędu, a błędowi pozór prawdy; pozwala błędowi uczestniczyć w szacunku należnym prawdzie.

Prawda w ustach człowieka światowego jest tak ściśle zjednoczona z błędem, że nie można ich od siebie odróżnić. Ściska się z nim serdecznie, a krótkowidze biorą je za rodzeństwo.

VI.

Świat to starość. Trudno sobie wystawić, jak starzy są ludzie światowi; szczególnie młodzieńcy światowi uderzają swoją zgrzybiałością, gdyż jest ona w nich potworniejszą i wyrazistszą. Wszyscy ci starcy dwudziestoletni, bez entuzjazmu i bez wyższych pragnień, uciekają z przed oblicza św. Jana, ucieczką ociężałą, powolną, smutną i nędzną. Wloką się w tej ucieczce po drogach, gdzie niema swobodnego oddechu, ani powietrza, ani widnokręgu. Aby ująć z przed oblicza św. Jana, odwracają się od Boga, załatwiają swe sprawy bez przejęcia i nudzą się wiekuiście.

Niewątpliwie istnieje tajemnica odmładzania; ta tajemnica należy do Boga, który rozwesela młodość. Bóg jest władcą czasu; czas zatrzymuje się, gdy On przemawia, jak woły stają skamieniałe w chwili uderzenia piorunu. Bóg, władca ognia, jest stróżem młodości. W swej młodości wiekuiestej Panna święta, umiłowana od Boga, nie zaznała nigdy umniejszenia; wyszła z dzieciństwa, nie wyszła nigdy z młodości. Młodość jest jako skarb, który Bogu tylko może być powierzony, gdyż żadna inna ręka nie ma dość siły do utrzymania go. To też nieprzyjaciele Boga nie cierpią młodości, jak gdyby widzieli w niej odblask Tego, który jest im najbardziej nienawistny. Nie cierpią młodości i zamiast ją utrzymywać, przez moc Przedwiecznego, kiedy czas usiłuje ją porwać, oni błagają go owszem o przyspieszenie kroku, o jak najprędze zabranie jej. Świat nienawidzi młodości, prawdziwej młodości. Lubi wydawać się starym i być starym; nawet dzieci czyni starcami.

VII.

Nie sądźcie, aby duch światowy zamykał się wyłącznie w salonach i w innych miejscach, które w mniemaniu ogółu są jego dziedziną. Salony, jeśli jest w nich życie, mogą być zupełnie próżne świata, a pełne prawdy, podczas gdy świat może zapełniać i zapełnia swoim nieprzebranem bezecnictwem

domy odosobnione, opustoszałe, niegościnne, ogniska wygasłe, gdzie niechętnie widzą obcego przybysza, siedziby wstrętne, które pozbawiają ludzkość komunii miłości.

Na wybrzeżu bretońskim, gdzie podczas lata zbiera się drobna garstka gości kąpielowych, a w zimie zupełna prawie panuje pustka (kilka zaledwie rodzin rybackich zamieszkuje tę pustynię, gdzie pożywienie trudne jest i rzadkie) na tem wybrzeżu rozmawiałem pewnego dnia z wieśniaczką, która powierzyła mi chęć swoją opuszczenia świata. Podziwiałem głębokość jej słów, znajomość świata we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Świat mógł się znajdować w jej chacie tem wstrętniejszy, że tuż obok niego roztaczał się przestwór Oceanu. Być może, iż brzęczenie roju ludzkiego wydało jej się bardziej jeszcze odrażającym w porównaniu z uroczystym szumem fal.

VIII.

Prawem świata jest niwelacja ogólna. On, co nie nie lubi, lubi jednak równy poziom, pragnie on wszystkie głowy zrównać w swoim jarzmie, a jego sympatya zwraca się przedewszystkiem ku ludziom z natury niskim. Wszelka wielkość jest mu nienawistna, jakiegokolwiek byłaby rodzaju i w jakimkolwiek objawia się miejscu. Mierność ma dla niego szczególny urok. Świat otwiera jej niezwłocznie

wszystkie drzwi, do których klucz posiada i wchodzi ona przez nie z pewnością siebie, jaką daje poczucie praw przynależnych. Jest ona u siebie, gdy jest w świecie i zachowuje się względem innych z nadętością, stanowiącą jej znamię charakterystyczne, a z zaślepieniem, będącem cechą świata. Mierność z natury jest nadęta, jak świat z natury jest zaślepiiony. Jeśli cokolwiek dzieje się w ich sąsiedztwie, mierność rzuca obelgi, a świat zamyka oczy.

Upodobanie świata w niwelacji tak jest wielkie, że aby pozyskać jego względy, nawet w tym kierunku nie trzeba iść za daleko. Nie trzeba zbyt ściśle wstępować w jego ślady. A przede wszystkim nie należy go prześcigać w jakimkolwiek względzie; nawet na jego własną korzyść nie należy wykraczać poza obręb jego obyczajów. Letnia oziębłość jest jego żywiołem; a ktokolwiekby wyszedł z tej dziedziny, ściągnąłby na siebie jego nienaszkę. Nie należy o jego dobro dbać więcej, aniżeli on sam dba o nie; miałoby się wtenczas pozór, że się jest czemśkolwiek, a trzeba mieć koniecznie pozór, że się jest niczem. Można by się wyróżnić wtedy od swego sąsiada, a trzeba być doń najzupełniej podobnym.

Ponieważ charakter ludzi światowych polega na braku wszelkiego charakteru, bezbarwna mnogość jest ich żywiołem. Zajmują się oni mnóstwem różnych rzeczy: kupują, sprzedają, rozmawiają,

czytają, piszą itd. itd. Jakiż związek jest między czynami człowieka światowego? Można by sądzić, że go nie ma zupełnie: czyny jego następują po sobie, nie tworząc jednego łańcucha. Jakiż związek łączy ludzi światowych? Można by sądzić, że nie ma żadnego. Ocierają się oni o siebie, a nie zbliżają się ze sobą. Jest jednak jeden punkt styczny, jest hasło łączności. Rzekliśmy wyżej, że sprzymierzenie jest parodią jedności. Ludzie światowi nie są przyjaciółmi; są sprzymierzeńcami. Jedność żyje miłością; sprzymierzenie żyje nienawiścią. Sprzymierzeńcy są to nieprzyjaciele prywatni, łączący się przeciw nieprzyjacielowi publicznemu. Ludzie światowi żywią wspólną nienawiść, która zakreśla im wspólne zadanie i oznacza punkt środkowy ich działalności.

Świat miał tysiące zajęć, podczas gdy orzeł na Pathmos pisał swą Apokalipsę. Ale pomimo tych tysiącznych zajęć miał właściwie jedno tylko zajęcie: unikać i zapomnieć Pathmos. Ludzie światowi mają tysiące interesów, ale właściwie mają jeden tylko interes, bo mają jedną wspólną dążność i wspólną troskę: — uchodzić z przed oblicza św. Jana.

Miasto, gdzie nie mają czasu.¹⁾

Ja nie mam czasu.

On nie ma czasu.

My nie mamy czasu.

Wy nie macie czasu.

Oto głos powszechny Paryża!

Odmienia on słowo: nie mieć czasu.

Małe słówko, krótkie i prędko dające się wymówić. Ale ileż rzeczy to małe słówko kryje w sobie! A ilu nie dopuszcza!

Paryż jest środkiem świata. Mówić o nim go dzi się. Aby jednak o nim mówić, trzeba go znać. Aby go dobrze poznać, trzeba go widzieć z odległości.

Czasem widzę go zbliska.

Czasem widzę go zdaleka.

Widzę go dobrze wtedy tylko, gdy patrzę nań zdaleka. O prawdo paradoksu, prawdo zapoznana, jak wszelkie prawdy!

¹⁾ *Le siècle.*

Za moich młodych lat dysputy literackie, dysputy naukowe, poruszały i zapalały umysły. Myśli nasze były pełne ognia, słowa płonęły nam w ustach.

Namawiają mnie, abym rzucił na papier swoje wspomnienia; być może, iż nie zdołam oprzeć się tym niebezpiecznym namowom. Co idei, co myśli, co uczuć, co namiętności! Jaką natężoną pracę ducha widziałem i odczuwałem wtedy!

Gdzie podział się ten entuzjazm? Dzisiaj ludzie oddali się przeważnie interesom.

A co to jest człowiek oddany interesom? Jest to człowiek, który nie ma czasu.

Zanim potępicie tę definicję, zastanówcie się nad nią przez chwilę.

Niegdyś Paryżanin był pracownikiem umysłowym, literatem, obecnie często, nawet najczęściej oddaje się interesom. Nie mówię: zawsze. Nie chcę nie przesadzać, bo nie chcę kłamać, a przesada, według Józefa de Maistre, jest kłamstwem uczciwych ludzi. Z góry zaliczam do wyjątków wszystkich protestujących, gdyż protesty owe same przez się zasługują, aby im wymierzono sprawiedliwość. Z tem wszystkiem Paryżanin często oddaje się interesom, a człowiek oddany interesom jest to człowiek nie mający nigdy czasu.

Paryż przedstawia obraz mrowiska, gdzie każda mrówka dźwiga swój ciężar. Ludzie się popychają,

rozpychają, biegają, mówią jedni przez drugich, a nie widzą się nawzajem.

Jest się pogrążonym w mnóstwie stosunków, w mnóstwie osób, rzeczy, sprzeczności, trudności, niezadowoleń, a także w mnóstwie względów i względzików. Co za płatanina, jaki zamęt! Tłumy co chwila zmieniają strój i formę. Ale zawsze są to tłumy, pomnożone przez tłumy.

Spotykasz człowieka, towarzysza, przyjaciela, współbrata.

Pelen jesteś myśli, uczuć, któremi radbyś się z nim podzielić dla dobra sprawy wspólnej.

On potrzebuje twoich myśli, jego myśli potrzebne są tobie. Zamiana przyniosłaby pożytek wam obydwom. Ale cóż! przyjaciel nie ma czasu.

Interesy go wzywają, czatują na niego, porywają go, zakuwają w więzy i wloką go ze związanymi rękami i nogami do ciemnicy, gdzie pochłaniają swoje ofiary.

I czujesz jak zamierają w tobie słowa, które miały się narodzić, zamierają nie tylko na ustach, ale i w duszy twojej, bo człowiek, dla którego one były przeznaczone, nie ma czasu, aby cię wysłuchać.

Nie ma czasu. Okropne słowo! Słowo, które należałoby zbadać w bezlitosnej jego głębokości.

Nie ma czasu pracować. Nie ma czasu kochać. Jeśli ktoś nieznany, na którego poznaniu wiele zależy, przejdzie koło niego, nie będzie miał czasu dostrzedz go. Nie ma czasu na działanie. Bo dzia-

łać i biedz nie są to słowa jednoznaczne. A on biegnie, biegnie, biegnie; rzuca na prawo i na lewo to słowo, to uścisk ręki, a jego spojrzenie roztargnione w pośpiechu na nikim i na niczem się nie zatrzymuje.

Owóż czy wiecie, co uchodzi jego uwadze? co mu jest obce? co on zapoznaje i o czym zapomina? Między innemi i nadewszystko: Paryż.

Paryż w swej istocie, w swej rzeczywistości pozostaje mu nieznany. Widzi on bruki bulwarów, nie widzi Paryża.

Nie sądzicie, że oko wystarcza, aby widzieć; aby widzieć, trzeba uważać, a uwaga wymaga czasu. Kto nie ma wiele czasu, nic nie widzi. Oko nie widzi przedmiotu, którego dotyka. Kiedy przez pewien czas stykam się z Paryżem, przestaję go widzieć.

Zdaleka widzę go wybornie. Prawda, że mam pod ręką jego dzienniki, jego książki, odgłosy różnych o nim wieści publicznych i prywatnych.

Wywołuję go i staje przedemną. Mam przed oczami cały obraz Paryża.

Zbliża zapominać o nim, widzę części, z których się składa, jego samego nie widzę.

Czy nie doświadczyłeś nigdy czytelnika takiego zjawiska:

Wspominasz pewną osobę, rozmyślasz o niej, uprzątniasz ją sobie, badasz ją. Piórem lub

pędzłem chcesz nakreślić jej portret. Jeżeli portret jest już zrobiony przez ciebie, albo przez kogo innego, jeśli masz go przed oczyma, uzupełniasz go spojrzeniem, którym go obejmujesz.

Patrzysz na tę osobę, jesteś jej bliski, co tylko o niej mówiłeś, lub zamierzasz o niej mówić, wymowa drży na twoich wargach.

Wtem ktoś wchodzi. To osoba, której portret miałeś przed oczyma.

Tak, tak, to ta sama osoba, ta, którą przed chwilą tak dobrze znałeś, którą ogarniałeś wzrokiem zewnętrznym i wewnętrznym, która pochłaniała całą twoją uwagę.

Osoba ta wchodzi, ale nie ma czasu. Pochłonięta jest przez interesy, zdradza niecierpliwość ludzi bardzo zajętych, którym coś zawadza, których coś drażni. Píše lub otrzymuje telegramy, zaprzątnięta jest jakimś drobnym szczegółem.

Owóż, co się staje? — tracisz ją z oczu. Zetknięcie z nią pospieszne, nic nie znaczące, sprawiło, że utraciłeś jasne o niej pojęcie, jakie przed chwilą miałeś.

Gdy była daleko, widziałeś ją; gdy jest tuż przy tobie, zapominasz o niej.

Otóż osoba owa, to miasto Paryż.

Rozsyła ono na świat cały swoje wypływy, dobre i złe; świat cały jest pełen jego woni i odorów. Gadatliwe miasto bezmiernie; każdego dnia

koleje żelazne po całej ziemi zamieszkałej roznoszą niezliczone jego słowa. Potop jego książek i dzienników zalewa góry i doliny. Góry i doliny nasiąknięte są wodami tego potopu. Wody te płodne w życie i w śmierć, zawierają i roznoszą po całym świecie żywioły źródeł, z których się poczęły.

Świat cały jest kliszą fotograficzną, która odtworza rysy Paryża.

Na tej kliszy widzimy Paryż, ale w samym Paryżu nie widzimy go; nie ma czasu nam się pokazać, nie ma czasu dać się nam słyszeć.

Na tej scenie, jaką jest Paryż, aktorzy mówią zbyt szybko. Swym widzom nie zostawia on czasu na widzenie go.

P o d r ó ż e.

I.

Porównywano nieraz życie do podróży; porównanie stare, ale zawsze trafne.

Uluda naszych pragnień podczas podróży wyraźniej, aniżeli kiedykolwiek, daje się widzieć. Człowiek podróżujący, jeśli uczuwa pragnienia i zdaje sobie sprawę ze swych uczuć, co chwila chwytą się na gorącym uczynku uludy.

Wyjeżdżając z domu, nie chciałby, gdyby nawet mógł, oszczędzić sobie drogi i dobieć do celu podróży bez odbycia podróży. Pragnie on, jak ów gołąb La Fontaine'a widzieć...

Widzieć? Ale co widzieć?

Ja nie wiem, ani ty nie wiesz, czytelniku.

Gdyby na tym padole była choć jedna rzecz godna, abyśmy jej poszukiwali dla niej samej, odebrałaby nam chęć szukania wszelkich innych rzeczy i położyłaby kres wszystkim naszym podróżom. Ale taka rzecz ani mnie, ani tobie, czytelniku, nie jest wiadoma.

Wyruszając tedy w drogę nasz podróżny, cieszy się myślą o niej. W drodze spodziewa się on widzieć.

Gdy podróżuje koleją, zazwyczaj wspomina z żalem dawne dyliżanse, widok koni, trąbkę pocztyliona. Skoro opuści drogę żelazną i jedzie dalej końmi, z utęsknieniem myśli o wygodnym wagonie. Podróż końmi wydaje mu się tak powolną; to też z upragnieniem oczekuje wciąż następnego przeprzęgu. Komuż nie zdarzało się doznawać owego naiwnego złudzenia, z jakim wyglądamy różnych miejsc i punktów naszej drogi, jakby na każdym jej zakręcie szczęście na nas czekało?

Po przeprzęgu, ponieważ spodziewane spotkanie ze szczęściem nie nastąpiło, uczuwamy pragnienie jak najprędzszego osiągnięcia celu podróży, a gdy w końcu stajemy u celu, gdy się przyjechało i wysiadło z powozu, jakieś nieokreślone wrażenie smutku zarysowuje się w duszy.

Bo wszelkie oczekiwanie, jakiekolwiek ono będzie, zawsze jest zawiedzione.

Zawiedzione jest wtedy nawet, gdy zostanie prześcignięte. Bo jeśli świetność i wspaniałość ukazującego się nam widoku przewyższy nasze oczekiwanie, to doznajemy zawodu w innym ważniejszym względzie, przez niedopisanie spodziewanej pełni zadowolenia.

Brzegi Renu, góry Szwajcaryi mogą być pięk-

niejsze, niż sądziliśmy, ale nie mogą nam dostarczyć upragnionych wrażeń, jeśli szukamy pełni zadowolenia.

Życie człowieka upływa na doświadczaniu podobnych uczuć, a on nie zdaje sobie z nich sprawy.

Żadna podróż nie daje mu poznania rzeczywistości zjawisk. Gdy ogląda wspaniałości obcej przyrody, zwraca się myślą do domu opuszczonego, do domu pracy i obowiązku, gdzie tak często w godzinach utrudzenia, lub nudy, gorąco pragnął wyjazdu, a dokąd teraz, gdy w drodze się znajduje, często czuje ochotę powracać.

A skoro powróci, jeśli w swej podróży widział tylko rzeczy widzialne, nie ręczę, czy nie dozna wrażenia smutku. Nie będzie to ów smutek, który się pojawił przy wstąpieniu na ziemię obcą; teraz będzie inny. Nie będzie to już smutek podróży, lecz smutek powrotu.

I nie ręczę, czy wkrótce nie zechce mu się nowego wyjazdu, aby inne rzeczy oglądać — a gdy wyjedzie, kto wie, czy nie zapragnie wracać nibawem, aby we własnym znaleźć się domu.

II.

Niewątpliwie człowiek błądzi w tem wszystkim, ponieważ szuka zawsze czegoś, czego nie znajduje, ale na dnie tego błędu, jak na dnie wszelkich błędów wielka kryje się prawda. Prawdą

ową jest podwójna potrzeba, wynikająca z ogólnego prawa bytu: potrzeba rozszerzania się i skupiania, przypływu i odpływu.

Jest to potrzeba krwi i serca człowieka; potrzeba dnia i nocy; potrzeba wszelkich harmonii, spragnionych, aby wśród słów zjawiało się czasem milczenie; potrzeba oceanu, utrzymującego ruchem nieustannym swych fal burzliwych życie świata, życie tej ziemi, którą oblewa i skrapia, którą pieści, wstrząsa i pochłania. Ten wiekuisty ruch potężnego żywiołu, czyż to nie wierny obraz ruchu, dokonywującego się wciąż w naszym jestestwie — nieustannego skupiania i rozszerzania się, przypływu i odpływu naszej duszy?

III.

Jeśli więc zmienne upodobania człowieka wynikają z zasadniczej właściwości jego natury i są prawdziwą potrzebą jego życia duchowego — dlaczego człowiek bywa przez nie w błąd wprowadzony? Dlaczego nie znajduje w nich spodziewanego zadowolenia? Oto dlatego, że zamiast szukać go w świecie niewidzialnym, szuka go w świecie widzialnym. Dlatego, że zamiast go szukać w niewidzialnym a żywym prawie, którego świat stworzony jest tylko symbolem zewnętrznym, poszukuje go w samem stworzeniu, które symbolizuje prawo, lecz nie stanowi jego istoty.

Tym, którego wciąż bezwiednie szukamy, jest Ten, Który Jest.

On jest jedyną potrzebą, — a niepokojące uczucie niezadowolenia, które popycha nas w różnych zmiennych kierunkach, nie jest czem innym, jeno bolesnem odczuciem Jego nieobecności.

Lecz, choćbyśmy dosignęli najwyższe szczyty alpejskie i wzbili się wyżej nawet, chciwe oko nie ujrzy Go w otwierających się przed nami nowych widnokręgach. Dziewicze śniegi Himalaju, nietknięte stopą ludzką, nie drażnięte nawet ludzkim spojrzeniem, i one nie oglądały Jego oblicza.

Bo gdyby Je raz ujrzały, zmieniłyby się w strumienie ognia i płomieni.

IV.

Jeśli podróż sprawia nam zwykle zawód i zdaje się być nawet streszczeniem wszelkich zawodów życia, gdy od niej wymagamy tego, czego dać nie może, tj. celu i szczęścia stałego, — to przeciwnie może ona w zupełności odpowiedzieć naszym oczekiwaniom, skoro zażądamy od niej tego, co leży w jej mocy, to jest nie celu, lecz symbolów i środków do celu wiodących. Podróże w tym względzie cenną przynoszą nam korzyść, że dostarczają bogatego i różnorodnego materiału, ukazują życie w odmiennem świetle, przerywają codzienne nasze

przyzwyczajenia, odnawiają w nas niejako soki żywotne i pomnażają wewnętrzne nasze zasoby.

Albowiem tak ubodzy jesteśmy, iż ciągle musimy żebrac: żebrzemy chleba dla ciała i chleba dla umysłu naszego.

I gdy kraj jakiś w przeciągu dłuższego czasu dawał nam codziennie swe wytwory różnorodne, swe zwyczaje, idee, swe życie i swoją mowę, jeśli dostarczał nam codziennie powietrza i chleba, kraj ten wyczerpuje się dla nas i uczuwamy potrzebę udać się gdzieindziej na żebranie.

A skoro pobędziemy dłużej w nowej okolicy, do której się udamy, z kolei i ta okaże się wyczerpaną. Jesteśmy tak wielcy, że nic nie starczy do nasycenia nas, a tak nędzni, że musimy wciąż się uciekać do owych rzeczy niewystarczających i wciąż odnawiać zasoby, które wyczerpują się, ledwo zostały nagromadzone.

Mówią często, że podróż kształci. W znaczeniu, jakie bywa zazwyczaj nadawane temu słowu, wyraża ono bardzo wielkie głupstwo. Zwyczajnie bowiem pod wykształceniem rozumie się bezładny i jałowy zbiór wiadomości o faktach licznych, niczem między sobą nie powiązanych.

Tak pojęte wykształcenie dostarczone przez podróż służy tylko do ożywienia rozmowy głupców, karmiącej się zawsze nieskończonemi opowieściami o faktach. Takie wykształcenie temu, który ma nie-
szczęście je posiadać, daje smutną władzę przy-

gniatania swych słuchaczy ciężarem wydarzeń, których on był bohaterem. Takie wykształcenie, gdy jest cokolwiek obfitsze, staje się strasznem i radę mieć się przed niem na ostrożności. Takie wykształcenie bywa nedorzecznie próżne, bo miłość własna wszędzie znajduje dla siebie odpowiedni pokarm, w najdrobniejszym nawet wypadku podróży. Jedni ludzie szczycą się nieszczęściem, które im się przydarzyło; inni dumni są z nieszczęścia, którego zdołali uniknąć. Są tacy, którzy pełni są dumy z oglądania pięknych widoków i którzy w końcu gotowiby mniemać, że cała natura jest ich dziełem i że chwała jej piękności im prawowicie przynależeć powinna.

Tego rodzaju wykształcenie nietylko bywa próżne, często staje się też okrutnem. Potrzebuje bowiem słuchaczy, czyli ofiar. Często jest to rzecz prawdziwie okropna mieć do czynienia z człowiekiem, który dużo podróżował!

Jeżeli wszakże podróże dają głupcom wykształcenie, powiększające jeszcze ich głupotę, na innych ludzi oddziaływać mogą w sposób wprost przeciwny. Każdy człowiek bowiem wyciąga z faktów i z rzeczy esencję, będącą wytworem nietylko samych faktów i rzeczy, ile własnej jego natury. Owóż różne natury ludzkie w rozmaity sposób ulegają oddziaływaniu wpływów wewnętrznych. To, co wzbogaca jednego, innego doprowadza do ruiny;

to, co jest ocaleniem Piotra, staje się zgubą Jana. Wszystko, co się zdarzy głupcowi, pomnaża jego głupotę; wszystko, co spotka człowieka próżnego, powiększa jego próżność.

Nadewszystko podróże, przez mnogość i różnorodność swych składowych żywiołów, dostarczają wrażeń, przystosowujących się ze szczególną giętkością do odrębnej natury każdej jednostki ludzkiej. Niechaj sto tysięcy ludzi wybierze się w tę samą podróż, żaden nie odbędzie podróży tej samej; żaden z nich nie będzie mógł za powrotem powiedzieć, że widział, czynił, czuł, rozumiał, badał, znalazł, ukochał, znienawidził, podziwiał to samo, co inni.

Jeśli razem przybędą na brzeg morza, niektórzy z nich spuszcza odrazu oczy ku ziemi i zwrócą ku poszukiwaniu muszelek wzrok swój niezdolny mierzyć się z ogromem oceanu. Są oczy i są umysły, które instynktownie odwracają się od oblicza wszelkiej wielkości i znajdują otuchę jedynie w rozpatrywaniu malej strony krajobrazu, w widoku rzeczy drobnych, uważanych w odosobnieniu od całości.

Są ludzie, którzy żdźbło trawy wzywają na pomoc przeciwko cedrowi Libanu i u kamyka nadbrzeżnego szukają pociechy wobec bezmiarów morza, zamiast te rzeczy wielkie i małe jednym rzutem oka ogarnąć.

Pierwsze spojrzenie tych ludzi poświęcone jest

zawsze szczegółom. Pójdźcie za tym wzrokiem, który unika przestworów nieba i morza, a szuka mikroskopu, aby badać mech, wyrastający w załomie skały. Taki wzrok, gdy spotka genialnego człowieka, będzie badał kształt jego kapelusza, a w dziełach geniuszu będzie liczył przecinki w nadziei, że przynajmniej jednego braknąć będzie.

Pewną jest rzeczą, że wielkość widzialnej przestrzeni stanowi symboliczne wyobrażenie innego rodzaju Wielkości. Widnokrag rozległy, który ogarniamy okiem ze szczytu wyniosłej góry, mówi nam o wyzwoleniu. Stąd nasze wzruszenie. Byłoby ono niedorzecznem, gdyby wzbudzone było tylko przez szeroki obszar widzianej ziemi. Nie jest takim, bo wraz z rozszerzającym się przed nami widnokragiem rozszerzają się mury naszego więzienia. Radosny nastrój duszy na widok rozległych obszarów ma zasadę głęboką. Jest on głęboki, bo jest symboliczny. Stworzeni jesteśmy do bezmiaru, to też dusza nasza rośnie w miarę zwiększania się przestworów nieba i morza naokoło nas. Ich wielkość sama przez się byłaby niczem, ale mówi nam o innej Wielkości — i oto zasługa przestrzeni.

Podobnie wiekowe ruiny mówią nam o wieczności — i oto zasługa czasu.

Widnokrag mówi nam o tem, co nie ma granic — i oto zasługa widnokragu.

Podróż jest wędrówką poprzez liczne widnokragi — i oto znaczenie podróży.

V.

Widnokrag rzuca na głupotę ludzką wyrok potępienia, który pragnąłbym tu wyjaśnić.

Głupcy unikają rzeczy poważnych z obawy, aby ich nie zmęczyły, tymczasem męczą się okropnie staraniami o błahostki. Zdobywają się chętnie na nieustanne a całkiem bezpłodne wysiłki dlatego tylko, że mają one na celu rzeczy błahe i nie znaczące. Gdyby te same wysiłki miały cel wielki, ludzie, których mam na myśli, odwróciliby się od nich z niechęcią, mówiąc: „Co nas to obchodzi?” Poddają się dobrowolnie cierpieniom i przykrościom okrutnym, pod warunkiem, żeby były zarazem bezcelowe i głupie, żeby dotyczyły spraw jak najpospolitszych i jak najbanalniejszych: domowych kłótni i swarów, kłótni sąsiedzkich, kwestyi mieszkania, godzin obiadowych, — żeby, jednym słowem, obracały się w dziedzinie nicości. Zwykły filister gotów trudzić się bez miary, byle tylko t. zw. własny kąt był polem jego walki bez chwały; gotów się na śmierć zameczyć, byle ów własny kąt był sceną jego konania.

A nie chciałby uczynić dwudziestu kroków, aby cośkolwiek uczynić dla jakiejś wielkiej sprawy. Lękałby się utrudzenia, on który dzień i noc dźwiga

najcięższe jarzmo, jarzmo własnych przyzwyczajen i nałogów.

Owóż, posłuchajmy, co nam mówi widnokrąg:

Oko ludzkie stworzone jest do przestworzy. Umieśmy tuż przed nim jakiś przedmiot, nie zobaczy go wcale, nie rozróżni i nie rozpozna. Jeśli przed oknami na kilka kroków wznosi się mur jednostajny, oko nasze go dostrzega, ale nuży się prędko; wzrok jest powstrzymany; widok jest zbyt zacieśniony; organ wzroku nie dosyć ma przestworu.

Jedź na wieś; oko twe odpoczywa, bo widnokrąg się rozszerza i urozmaica mozaiką barw. rozlicznych. Wchodź na górę wyniosłą; oko twe tem więcej doznaje spoczynku, im rozleglejszy krajobraz przed niem się roztacza. Spójrzaj wreszcie na morze: mimowoli oko twoje ostatecznie się uspokaja i jakby oczyszczone, napawa się zniesieniem bliższych granic; niebo i morze nakazują mu spokój.

Oto, co mówi widnokrąg.

Przedmiot tuż przed okiem położony — oślepia je; zbyt bliski — męczy oko; daleki — daje mu spoczynek; bezgraniczny — zachwyca je.

Wzrok fizyczny jest symbolem innego wzroku.

Rozległość objętych przestrzeni daje spojrzeniu piękność, spokój, siłę i czystość.

Kojarzenie się pojęć.

Są kłamstwa wyrażone, zupełne wedle swej formuły, które świat obiegają; ale są też kłamstwa nieokreślone, poniekąd dwuznaczne, które prześlizgują się po świecie w rozmowach, w książkach, w zwyczajach tego wszystkiego, co nazywają życiem, a co w rzeczywistości jest śmiercią. Te ostatnie kłamstwa panują na świecie; a polegają one na fałszywym kojarzeniu pojęć.

Człowiek rzadko kiedy powoduje się świadomem rozumowaniem, dobrem czy złem; takie rozumowanie tkwi zazwyczaj w jego umyśle w postaci martwej formuły; ale siła żywa, przez którą człowiek działa, jest to kojarzenie się pojęć, rozumowanie bezwiedne a przemożne, na mocy którego dane pojęcie wywołuje w naszym umyśle inne pokrewne sobie pojęcie.

Kojarzenie się pojęć (mam tu na myśli kojarzenie mimowolne, nagłe, bezwiedne, nieuniknione) wywiera swe panowanie nie nad tem, co nazy-

wamy czystym rozumem, lecz nad wyobraźnią, władzą potężną, która wywiera swe działanie w dziedzinie życia, albo w dziedzinie śmierci.

Przywołajcie na pamięć znane wam osoby i rzeczy; zobaczycie, że postacie, w jakich się one wam przedstawiają, zarysowane są nie przez rozumowanie, lecz przez wyobraźnię. Zapytajcie waszych wspomnień. Będą musiały wyznać, że sprawiedliwość nie warunkuje ich trwałości; pewien człowiek mógł postąpić źle, a pozostawił po sobie korzystne wyobrażenie; inny człowiek postępował dobrze, a zapomnieliście o nim.

Siedlisko tych zbroczeń jest w wyobraźni. Przyzwyczailiście się wierzyć, że zbrodnia może mieć znamię wielkości, że są kłamstwa wzniosłe i że praktyka uczciwości jest rzeczą pospolitą.

Takich rzeczy nie uczą was wprawdzie, lecz wam je zaszczeplają powoli; nie udawadniają ich rozumowi, lecz je przedstawiają w romansach i dramatach waszej wyobraźni, która je przyjmuje.

Władza wywierana na nas przez wyobraźnię przechodzi wszystko, co o tem można pomyśleć i powiedzieć. Niejeden człowiek, porwany przez namiętność gwałtowną i na pozór głęboką, trwałą, nieśmiertelną, będzie głuchy na rady przyjaciół, na prośby rodziny, na wszelkie zaklęcia, lzy i groźby; a z odurzenia tego zbudzi go może najdrobniejsza okoliczność, jedno słowo, jeden gest, pewne skojarzenie pojęć, jakieś wspomnienie, żart jakiś lub

poczucie śmieszności. Oto wyobraźnia rozplamiona przez walki stoczone w jego duszy, została nagle zgaszona przez powiew lekki, który niewiedzieć skąd zawiał i kędy uleciał.

Jeśli będziecie wmawiali młodzieńcowi doktrynę, że pięknie jest popełnić zbrodnię — nie uwierzy wam. Ale jeśli przedstawicie mu w różnych utworach literackich wzniosłych zbrodniarzy i pospolitych poczciwców, młodzieniec przyzwyczai się do myśli, że chcąc być wielkim trzeba popełnić wiele złego w życiu.

Mowa ludzka, będąca uczestniczką wszelkich spraw ludzkich, zawiera wyrażenia, świadczące przeciw człowiekowi w sposób straszliwy. Kiedy młodzieniec popełnił na drodze swego życia mnóstwo głupstw, gdy utracił wiele czasu, gdy narobił długów, gdy jest głupi, niedoważony, nieużyteczny i znudzony, wtedy mówią o nim, że żył wiele.

Należałoby raczej powiedzieć, że wiele marł. To, co robił, jest niczem, a więc nic nie robił. Życie jego było fermentowaniem nicości; a nicość wydać mogła tylko nicość; potem nadeszła nuda i oto wszystko.

Z korzenia nicości wyrasta kwiat nudy i owoc rozpacz.

Rozpacz to nuda, dochodząca do swej dojrzałości: to też ci, którzy żyli wiele, w końcu częstokroć się wieszają i znajdują nierzadko naśla-

dowców. Samobójstwo wchodzi w zwyczaj, staje się zarazą; nic w tem niema dziwnego: to nicość, która postępuje swoją koleją.

Skąd więc pochodzi to wyrażenie: dużo żył? pochodzi z fałszywego skojarzenia pojęć. Zrodziło się z ukrytego kłamstwa. Zrodziło się nie w rozumie, lecz w wyobraźni, która przyzwyczaiła się kojarzyć obraz życia z obrazem nierządu.

Wyobraźnia odwykła od łączenia idei piękna z ideą dobra.

Pragnąłbym na ten fakt zwrócić uwagę czytelnika. Posiada on doniosłość niezmierną, jest prawie powszechny, bijący w oczy, a zarazem ukryty. Wyobraźnia odwykła od łączenia idei piękna z ideą dobra. Skoro do tego doszło, zdarza się to, na co patrzymy. Skoro te dwie idee przestaną się łączyć, ludzie stają się skłonni mniemać, że świetny blask życia i czystość jego nie spotykają się razem i że trzeba wybierać między niemi.

Wyobraźnia pociąga oszukanego w kierunku fałszywych blasków i na dnie przepaści znajduje on obrzydzenie, które go tam oczekiwało.

Świat wewnętrzny wyobraźni znajduje swe odzicie w świecie zewnętrznym sztuki. Sztuka jest jedną z sił, które przyczyniły się do zepsucia wyobraźni ludzkiej, bo sztuka wyrzekła, że zło jest pięknem.

Sztuka powinna stać się jedną z sił leczniczych wyobraźni; powinna wyrzec, że zło jest brzydota.

Sztuka straciła zupełnie głowę. Poszukiwała swych typów w dziedzinie mroków, zapominając, że słońce jest prawdziwą jej ojczyzną, kusiła się o apoteozę zła, wysławiała swym głosem shańbionym samobójstwo i cudzołóstwo, oddzieliła wreszcie piękno od prawdy, a w końcu zwróciła się przeciw samemu pięknu. Po odrzuceniu prawdy, będącej jej korzeniem, uderzyła na piękno. Nosząc śmiertelne rany we własnem sercu, sama zapragnęła się dobić. Wytłomaczywszy ludziom, że nierząd, czyli fałsz, stanowi piękno, zawołała w konsekwencyi swego szaleństwa: Piękno jest w brzydocie.

Trzeba nam ją rozważyć, tę logikę szaleństwa. Idźmy za niem krok w krok. Gdyby człowiek łączył zawsze w swym umyśle piękno z dobrem, piękno pozostałoby pięknem, dobro pozostałoby dobrem: człowiek, będąc wierny jednemu, czułby, że jest zarazem wierny drugiemu. Ale skoro człowiek sam powiedział i pozwolił mówić sobie, że piękno musi się znajdować tam, gdzie niema dobra, w śmiałych zbrodniach i efektownych skandalach, że nierząd i geniusz są jednym i temsamem, — wtedy człowiek, sądząc, że idea piękna i idea dobra są sprzeczne ze sobą, doszedł w końcu do wniosku, że piękno jest w sprzeczności samo z sobą i powiedział: Piękno jest w brzydocie! Wspaniały hold,

oddany jedności przez tych, którzy ztratili o niej pojęcie! Dowiedli nam, że idea piękna, gdy nie jest skojarzona z ideą ładu, prawdy i dobra, zaprzecza sama sobie i siebie samej nie rozpoznaje. Dowiedli nam, że gdy człowiek pragnie uchwycić piękno odłączone od ładu, skojarzone z nierzędem, piękno ucieka w nieskończoną dal i mroźne widmo brzydoty pozostaje w ręku zawiedzionego człowieka.

Zło i brzydota tak są z istoty swej identyczne, że wszędzie szukają się nawzajem, dążą do zjednoczenia i człowiek, który zaczyna od przekonania, że piękno jest w złem, powie w końcu: piękno jest w brzydocie! Pociągnięta siłą rzeczy mowa jego zmuszona jest, zastępując jedno słowo przez drugie, uznać synonim, którego on nie dostrzegał, identyczność, która uszła jego bacności.

Przez pewien czas fałszywe skojarzenia pojęć wytwarzają sprzeczności, które nie śmia się dać poznać. Następnie, w danej chwili, gdy błąd dojrzeje zupełnie, słowo wybucha i niedorzeczność zdradza swe imię.

Czyż nie wmawiano nam, że pokój i pogoda przypominają śmierć, a zamęt burzliwy jest cechą życia? Jest to głos słabości, chcącej nas przekonać, że pełna jest siły żywotnej. Nie mogąc uleczyć się ze swej gorączki słabość poczęła ją uwielbiać i pokazała ją światu, mówiąc: Oto życie! — i świat to słyszał i ci, co nie mieli gorączki, po-

częli udawać gorączkę, mniemając, że udają zapal. Zapomnieli o tem, jak zimne są dreszcze.

Sztuka grecka nie знаła rodzaju szaleństwa. Cała jej piękność jest w spokoju. Ale jej spokój nie jest spokojem zakończenia, spokojem ostatecznym, spokojem rozwiązania. Nie jest to spokój istoty, która doznawała gniewu i która go się wyrzekła: jest to spokój tego, który nie był jeszcze w gniewie.

Zadaniem sztuki jest przygotowywać harmonię, która jeszcze nie istnieje, przez zwierciadlane jej odbicie. Łączy ona żywioły, będące jeszcze w walce wśród życia, lecz dążące już do połączenia. Podczas gdy życie błądzące i zadyszane z trudem wytwarza piękno, za którym zazwyczaj goni, nigdy go nie dościgając, sztuka, by mu dać kierunek i podporę, wydobywa zeń zawarte w niem pierwiastki zaziemskich blasków i ukazuje mu jego przyszłość, jego ideał. Stąd wynika oczywiście, że istotne znamię sztuki, to pogoda, to spokój, zdobycz osiągnięta, bitwa wygrana, pokój przeczuty i głoszony podczas wojny.

Tymczasem głosy fałszywe i zwodnicze nie przestają powtarzać, że artysta jest i powinien być igraszką wszelkich niepokojów, szaleństw i błędów. Ten mały człowieczek, zwany Horacyuszem, a poczytywany za poetę pełnego życia, zapewne dlatego, że poezya i życie zarówno były mu obce, czyż nie powiedział gdzieś: *Genus irritabile vatum?*

Żart niedorzeczny, który właściwie tak powinien być przetłomaczony: gniewliwy ród proroków.

Aby znaleźć spokój, sztuka powinna odnaleźć wzniosłość i głębokość. Piana zawsze miota się we wściekłych podrzutach, ale piana nie jest oceanem. Morze jest głębokie: oto tajemnica jego majestatu. Jakąkolwiek posiadałoby rozciągłość, gdyby nie miało głębi nie byłoby wzniosłe. Jeśli spojrzenie nasze długo bez zmęczenia może ogarniać jego powierzchnię, pochodzi to stąd, że pod falami, które widzi, odgaduje fale, których nie dostrzega; odgaduje, że ocean posiada głębokość, godną swej wielkości. Dzięki temu wzrok nasz odpoczywa. Sama powierzchnia morza niepokoiłaby go. Wszelkie powierzchnie są burzliwe; tylko głębie zawierają w sobie i dać nam mogą prawdziwy pokój.

Święta mocy zbłąkana, córko marnotrawna wielkiego rodu, któraś szukała szczęścia zdala od Ojca rodziny i nie znalazłaś go, ty, któraś dzieliła też pożywienie wieprzy, ty, o której mienota z lekceważeniem śmie się odzywać, a która nosisz jednak nazwę Sztuki, niewierna, kiedyż nawrócisz się wreszcie?

Wspomnij, że Luter zamknął drzwi przed tobą i że Ojciec rodziny dał ci schronienie u stóp swych ołtarzy. Bóg przyjął cię do swej świątyni; dozwolono ci jest modły w niej zanosić.

Protestantyzm wziął rozbrat z wyobraźnią ludzką; nie pozwolił Bogu Zbawcy ovladnąć nią; zapomniał,

że Bóg stwórca uczynił promienne zachody słońca i polecił nocy gwiazdzistej, aby do człowieka mówiła o Jego chwale.

Wiek kłamstwa, wiek osiemnasty, ponieważ trzeba go nazwać jego imieniem, wywarł na świat wpływ trudny do wytłomaczenia. Dzieła, które dał nam do czytania, są istnymi cudami głupstwa. Wobec tej zimnej gorączki, która stała się krwawą, wobec tego letniego i nudnego szaleństwa trzeba zadać sobie pytanie, jakim sposobem rzeczy te mogły się stać zaraźliwymi?

Oto stały się zaraźliwymi, ponieważ wywołały pewne skojarzenia pojęć. Wiek osiemnasty zdołał przekonać ludzi nie przez rozumowanie, lecz przez fałszywe kojarzenie pojęć, że wiedza i religia są sobie wrogie, że dla zachowania wiary konieczne jest nieuctwo. Ta rzecz, której imienia nie znam, która nawet nie ma i nie może mieć imienia, to nie-pojęcie, ta ilość ujemna dostała się do dziedziny wyobraźni i zatrula ją. Wtedy, jako pan położenia, wiek osiemnasty rozkazał wierzyć, że Bóg nie jest ojcem wszelkiego stworzenia, że jego przykazania dobre są może, ale nudne i zimne, że skoro się ma zapal, trzeba koniecznie służyć złemu. Jednym słowem, człowiek, a przynajmniej wyobraźnia ludzka doszła do przekonania, że Szatan jest Czynem doskonałym.

Powiedziałem już to, ale powtarzam i powtarzać będę.

Mówiąc, że wiek osiemnasty fałszywie kojarzył pojęcia, czynię mu, jak sędzę, zbyt wiele zaszczytu. Prawdę mówiąc, wcale on ich nie kojarzył. Utracił on wszelkie nawet pojęcie jedności. Uczynił pustką zupełną w świecie umysłowym. Uznał, że oddychanie było niewolą i przesądem, nakrył przeto świat maszyną pneumatyczną i podusił ptaki u w o l n i o n e od powietrza. Ale próżnia nie może trwać długo. Pustynie się zaludniają w końcu i zaludniają się potworami. Gdy wiek osiemnasty skonał zaduszony w próżni, we krwi i w błocie, możnaby powiedzieć, że zanieczyszczone przezeń powietrze świata umysłowego potrzebowało odświeżenia, aby po jakimś czasie stać się znów przydatnem do oddychania. W ciągu długiego czasu idee, które on przemocą rozdzielił, nie mogły złączyć się napowrót. Wiek dziewiętnasty rzucał niemi na wszystkie strony, nie poznając ich. Głosy, które poprzednio wyły podczas orgii, wykrzykiwały imiona wiedzy i religii, nie wiedząc nawet, co one oznaczają, a wykrzykiwały je jako nazwy wrogich sobie potęg. Wiek dziewiętnasty musi przez czas pewien oddychać w świetle dnia, zanim zapomni tych dzikich wrzasków.

Wiek osiemnasty umierając przekazał nam testamentem zwyczaj kojarzenia pojęcia marzyciela z pojęciem człowieka, który wierzy w świat niewidzialny i pokłada w nim swe nadzieje.

Nie spostrzegł tego, że pojęcie marzycielstwa

kojarzy się naturalnie z pojęciem złudzenia, a złudzenie jest udziałem człowieka, który zaprzecza istnieniu świata niewidzialnego. Wierzyć w to tylko, co się widzi, to najniedorzeczniejsze ze złudzeń. Polega ono na tem, że się bierze widma za rzeczywistość, a rzeczywistość za widma.

Marzycielem jest ten, kto nigdy się nie budzi, nigdy nie zwraca wzroku ku światłu niestworzonemu, a przebywa zawsze i wyłącznie w krainie cieniów. A jednak język ludzki, sam oszukany i oszukujący innych, nazywa marzycielem, szczególnie od stu lat, człowieka czuwającego, który wie i który widzi.

Jeśli wiek dziewiętnasty zbudzi się wreszcie, jeśli idee z natury sobie pokrewne, pogodzą się ze sobą w jego umyśle i w jego mowie — czyż nie można mieć nadziei, że człowiek, zbliżywszy się do jedności, zbliży się do siebie samego, i że życie ludzkie, podobnie jak wiedza ludzka, uczyni kilka kroków ku prawdziwemu pokojowi?

Pisma codzienne.¹⁾

Głównymi rysami dzisiejszego społeczeństwa są ciekawość i pośpiech. Pragnie ono wiedzieć, ale poznawać nie ma czasu.

Nie jest ono chciwe wiedzy, ale faktów. Pragnie wiedzieć, co się dzieje, jest ciekawe wypadków, ponieważ zaś o tyle się śpieszy, o ile jest ciekawe, nie ma więc czasu zastanawiać się nad wypadkami codziennymi, pochłaniającymi całą uwagę, a nie dającymi światła.

Co wynika z tych dwóch przymiotów składowych: ciekawości i pośpiechu? Chęć czytania — niechęć do dłuższych studyów.

Dawniej mało czytano, ale kto czytał — czytał i studyował. Czytano, aby się nauczyć i nauczyć innych. Dziś cały świat czyta, żeby podążać za biegiem ludzi, rzeczy i wypadków codziennych. W tem

¹⁾ Artykuł ten przełożony został przez ś. p. Bronisława Römera, zm. w Mentonie w marcu 1898.

leży główna, nowa i niezmierna doniosłość pisma codziennego.

Gazeta jest wytworem charakterystycznym współczesnego społeczeństwa. Ciekawość popycha do czytania. Pośpiech wyklucza czytanie dłuższe. To też książka literacka i naukowa traci z dniem każdym dawną popularność. Im więcej tłumów, tem więcej czytających, im więcej czytających, tem mniej czytających książki — tem więcej czytelników gazet.

Zwrot ten sprowadza następstwa, nie dające się obliczyć. Pismo codzienne istotnie odpowiada dwóm potrzebom tłumów, które chcą wiedzieć i wiedzieć prędko. Ono zawiadamia o tem co się dzieje i czyni zadość ciekawości, informuje w kilku słowach i zaspakaja wymagania pośpiechu.

Dziennik powraca często, a to jest potrzebne dla ludzi chwili obecnej. Chcą oni mieć wiadomości często powtarzane i postępować za biegiem wypadków. Żądają oni najnowszych wiadomości i pragną otrzymać je bez znużenia, chcą, żeby przybywały one do nich w formie łatwej, lekkiej, materyalnie i umysłowo dostępnej.

Pismo codzienne odpowiada doskonale tym licznym wymaganiom; jest częste, prędkie i lekkie. Krąży samo, jakby miało nogi lub skrzydła; szuka ludzi po mieszkaniach, poucza ich dobrze lub źle, ale zawsze poucza. Powiadamia, a powiadamiając przemawia siłą rzeczywistości, wymowniejszej zawsze od idei bez faktów. Do pism przedostają się

myśli pod osłoną faktów i wskutek tego wnikają głębiej do umysłu czytelnika.

Pismo staje się towarzyszem domu, do którego wchodzi, przyjacielem pufnym, doradcą praktycznym i codziennym, a wnoszona przez nie teoria prawdziwa lub błędna zdobywa sobie serdecznych zwolenników.

Książka przemawia do ludzi z oddali jak profesor z katedry, pismo codzienne mówi zblizka jak przyjaciel, który przyszedł na obiad, którego rozmowa przenika tem głębiej, im mniej jest przygotowana.

Tem się wyjaśnia powodzenie gazety, z niego zaś wypływają dwa wielkie obowiązki: jeden dla samego pisma, drugi dla czytelników.

Wielkim obowiązkiem dziennika jest stać się rzeczywistym i oświeconym przyjacielem czytelników. Takimż obowiązkiem czytelników: kochać tego przyjaciela. Bo — proszę to zauważyć — zawsze się chce być kochanym przez przyjaciół, ale nie zawsze się myśli o tem, żeby ich kochać.

Każdy bowiem, jak powiedział dość dowcipnie Alfons Karr, pragnie mieć przyjaciela, nikt prawie nie myśli jak być przyjacielem.

Pismo codzienne, aby być przyjacielem czytelnika, musi mu przynosić wraz ze wszystkimi innemi wiadomościami światło, by go oświecić. Oświata płynąca z pisma mniej jest podejrzaną od tej, którą daje książka. Książka zdaje się narzucać

system autora; pismo zdaje się tylko chcieć wprowadzić w umysł czytającego, to o czem pouczają fakta z życia powszedniego.

Pismo w zażyłości czerpie moc swoją. Ale im jest mocniejszym, tem więcej winno służyć ideom wielkim i prawdziwym. Trzeba, aby umiało rozwijać idee równoległe z faktami, żeby wspierało wszystkie wysokie aspiracye czytelników i piszących, żeby było otwarte dla wszystkiego, co wielkie, a zamykało się dla wszystkiego, co małe i niskie. Ale też koniecznie potrzeba, żeby czytelnicy uważali swe obowiązki względem niego za święte.

W tem miejscu wezwałbym zachowawców do głębszego rozważenia słów Ewangelii, odnoszących się do synów ciemności, mędrszych w prowadzeniu spraw swoich od synów światłości.

Jeżeli zachowawcy zechcą zbadać swoje sumienie, ciekawych może się rzeczy dowiedzą. Nie jestem upoważniony do przemawiania w imieniu sumienia, nie przesądzam wyników badania. Dotyczą one czytelnika, nie zaś piszącego. Nie mogę się jednak wstrzymać od stwierdzenia, że istnieją w społeczeństwie cywilizowanym obowiązki różnego rodzaju prywatne i publiczne. Ludzie sumienni zajmują się żywo obowiązkami prywatnemi, usiłują przede wszystkim nie naruszać praw i nie popełniać rzeczy wzbronionych. Czy w równej mierze jednak i z równem zaufaniem pracują nad spełnieniem obowiązków publicznych? Ograniczam się

do postawienia im tego pytania. Odpowiedź może tylko przez nich być dana.

Około dwustu lat temu mało ludzi brało udział w życiu publicznem. Ogromna większość żyła wśród spraw prywatnych i poufnych, nie pisała i czytała mało. Stosunki osobiste były poufne i ograniczone. Wojska militarne ukonstytuowane były nieliczne, również jak i obywatelskie zastępy bojowe.

Wojska wojujące nauką, armie myśli i pióra liczyły tylko po kilku wojowników. Ludzkość przypatrywała się i słuchała.

Dziś cały świat znajduje się na placu boju. Armie wielkich państw, a nawet niektórych mniejszych, zawierają w swoich szeregach całą młodzież. Wszyscy młodzieńcy, niemal we wszystkich narodach, są żołnierzami. To samo zjawisko w porządku cywilnym i moralnym. Bardzo liczny zastęp ludzi wojuje piórem. Inni czytają.

Owóż ci co czytali, uczyli się. Obecnie wszyscy czytają z zawziętością, żeby sądzić.

Walka jest ogólna i niema już widzów. Są tylko walczący. Każdy ma swe stanowisko. Wszyscy artylerzyści stoją przy swych działach.

Nowy stan rzeczy nowe nakazuje obowiązki. Społeczność, wśród której żyjemy, zobowiązuje każdego do wyrażenia swej opinii, do zarysowania się w swym charakterze.

Każdy jest mimowoli żołnierzem. Otóż zdaje

mi się, iż wobec prasy mają wszyscy wielki i święty obowiązek do spełnienia.

Liczne pisma dzisiejsze mają smak ponętny przez to samo, że schlebiają namiętnościom. Pociągają oko roztaczaniem jaskrawych barw, wzniecają tysiące żądz. Tym sposobem trzymają uwagę czytelników w ciągłym rozbudzeniu.

Dobra prasa wstrzemięźliwa i surowa z natury swojej, nie pozwala sobie na środki sromotne, które w naszych czasach są środkami powodzenia. Nie pozwala sobie na tysiące obrazów i niepowściągliwości, porywających ludzi pospolitych. Pozostają jej tylko umysły podniosłe, kochające prawdę i dobro, tylko te, które zachowały upodobanie do rzeczy pięknych. A często rzeczy piękne bywają jakby jakąś tajemniczością otoczone, wymagają skupionej uwagi.

Trzeba więc żeby publiczność inteligentna rozumiała i czuła, że na niej ciąży obowiązek kochania, podtrzymywania, zachęcania prasy zdrowej, silnej i surowej.

Każdy człowiek inteligentny czuć powinien, że bierze udział w wielkiej bitwie. Chodzi o to, aby nikt nie tracił zapалу i ognia w walce moralnej, wśród której żyjemy, przez fakt niezależny od woli naszej, przez urodzenie, którego chwili samiśmy nie wybierali. Przez to samo, że żyjemy i że musimy czytać, wchodzimy w zakres pola walki prasy codziennej.

Obojętność nie jest dozwolona, nie jest możliwa. Każdy z konieczności sam czyni wybór tego, co czyta. Jeżeli wybór ten nie zmierza ku prawdzie, to przeciwko niej grzeszy.

Pisarze, którzy poświęcili swe pióro na usługi prawdy, mają ciężkie i trudne zadanie na tym świecie.

Wielkie jest ich poświęcenie i wielka powinna być zachęta im udzielona.

Czytający rzecz lekką, może czytać lekko, czytelnik dzieła lub pisma poważnego musi czytać poważnie. Ludzie światli winni ubiegać się o zaszczyt podtrzymywania tych, którzy podtrzymują prawdę, bronienia tych, którzy jej bronią, walczenia za tych, którzy o nią walczą.

Owóż, jeżeli rola pisma jest trudna, jeżeli wymaga męstwa czynnego, codziennego, rola czytelnika jest prosta i wygodna, jakkolwiek nie przestaje być ważną.

Czytelnik winien dawać znaki życia piszącemu, ożywiać go ruchem i głosem. Winien rozszerzać sferę działalności, w której piszący pracuje, powiększać pole, zarysowane przez niego, powinien uczynić donośnem środowisko dla słów pisarza, mnożyć owoce tych słów, powiększając liczbę słuchaczy.

Napisaną została piękna karta. Komuż należy zawdzięczać natchnienie? Wam może, czytelnicy, którzy tego nie przypuszczacie! Może kiedy w chwili

szczęśliwej zachęciliście człowieka, który się stał tłumaczem waszych myśli, który mówił za was i za prawdę.

Zachęta wraca dziś do was pod postacią wzniosłego natchnienia, którego sami byliście podniętą. Płomień przez was rozpalony, wraca wspanialszy i silniej gorejący.

Gdybyście w owej chwili byli zaniedbali szlachetnego i wielkiego obowiązku dostarczenia palnego materiału płomieniowi, którego zadaniem oświecać, płomień zgasłby bezsilny i nie wrócił do was dzisiaj, dumny i gorejący, aby wam oddać z lichwą to coście mu niegdyś dali.

Wszelkie życie jest wymianą. Życie we wszechświecie jest wszechświatową wymianą. Świat roślinny i świat zwierzęcy wymieniają pomiędzy sobą materiały pożywne i oddechowe i to stanowi ich życie.

Trzeba aby każdy coś dawał i coś otrzymywał, aby się czuł odpowiedzialnym za wszystkich innych. Trzeba aby namiętności wyzyskiwane przez ludzi niegodnych zostały u nas zastąpione przez żarliwość ku prawdzie, przez poszanowanie dla sprawiedliwości, przez bogactwo i hojność, płynące z łączności duchowej.

Liberalizm.¹⁾

I.

Są ludzie zdający się mniemać, że zło jest rzeczą, której można używać, byle jej nie nadużyć; że dobro zupełne byłoby zbyt jednostajne; że zło brane w małych dozach i przymieszane do dobra ręką delikatną i dyskretną, dostarcza pewnych korzyści i przyjemności.

W porządku religijnym przekonanie takie prowadzi do protestantyzmu, — w porządku politycznym do liberalizmu.

Liberalizm sądzi, iż Władza i Rewolucya są to dwie siły zarówno prawowite i że, aby jedną i drugą opanować, każdą z nich należy do pewnego stopnia uwzględnić. Nie lubi on ani władzy ani rewolucyi, lubi tylko złagodzenie, które sam wnosi do jednej lub drugiej; spodziewa się rozbroić Boga i szatana, nawiązując kompromis między nimi.

¹⁾ *Le siècle.*

Liberalizm sądzi, że zło posiada własną swą sferę, jak się posiada przynależne sobie dziedzictwo, że w tej sferze zło posiada prawo rzeczywiste, że zabierać mu tę sferę znaczy gwałcić jego prawa, że należy tylko zakreszyć jej granice, aby nie ogarnęło całkiem sfery dobra.

Każdy błąd opiera się na prawdzie nadużytej. Liberalizm sfalszował, wynaturzył, zepsuł pojęcie równowagi.

Są dwa sposoby pojmowania równowagi: pierwszy może być nazwany stanem wojny, drugi stanem pokoju. Wszystkie idee i wszystkie fakty przedstawiają badawczemu spojrzeniu pewną ilość różnorodnych pierwiastków; jeżeli jeden z nich pochłonie inne, następuje ruina i śmierć, gdyż równowaga znikła, a bez równowagi nie istnieć nie może. Równowaga dobra lub zła określa dobry lub zły układ stosunków; ale pewna równowaga w każdym razie jest konieczna. Bez niej nie ma bytu.

Ale, jak rzekłem, istnieją dwa rodzaje równowagi i oto, jak je pojmuję i nazywam: równowaga pokoju t. j. harmonia, równowaga wojny t. j. symetria.

Pewien ojciec ma trzech synów, którzy zazdroszą sobie i nienawidzą się nawzajem. Jeden z nich rujnuje swych braci lub ich zabija; równowaga jest zupełnie zniweczona; rodzina dąży do upadku.

Pewien ojciec ma trzech synów, którzy zazdroszą sobie i nienawidzą się nawzajem. Ojciec nie stara się ich pogodzić, lecz usiłuje ich uspokoić. Nie kusi się o przytłumienie ich gniewu, pragnąc tylko pohamować jego wybuchy i zakresić mu pewne granice. Urządza rzeczy w ten sposób, aby interes samolubny powstrzymywał jego synów od wzajemnej na siebie napaści. Każdy z nich będzie sądził na przykład, że powinien się połączyć, a raczej sprzymierzyć w pewnych granicach z jednym ze swych dwóch braci, aby w tem przymierzu znaleźć pomoc przeciw trzeciemu. W ten sposób każdy z nich potrzebować musi drugiego, aby się zabezpieczyć przeciw trzeciemu i rodzina będzie żyła, — jeśli to można nazwać życiem, — mając się ciągle na baczności, co zapobiegnie pewnym nieporządkom, bez zapewnienia trwałego ładu. Oto równowaga wojny; oto co na ziemi zowią często mądrością. Mądrość owa, parodia mądrości rzeczywistej, żyje rachunkiem i obywa się bez miłości. Ale też nie żyje ona naprawdę; to, co ona nazywa życiem, jest tylko wysiłkiem, odwlekającym chwilę śmierci. Mądrość, mająca za podstawę nie miłość, lecz zręczną przezorność, pragnąca utrwalić nie istotną zgodę, lecz rozdział dość roztropny, aby mógł długo się godzić ze spokojem, taka mądrość jest ideałem, do którego zazwyczaj dąży błąd. Dzięki tej przezorności błąd, który coś zawsze przedrzeźnia, w tym razie przedrzeźnia harmonię, któ-

rej warunkiem jest zawsze siła i inteligencya. Siła prawdziwa nagina ciało i krew do pełnego chwały posłuszeństwa duchowi; poddaje je pod władzę wolności. Siła fałszywa nie zwycięża ciała i krwi, lecz je nakłania do snu w chwilach, gdy interes ich tego wymaga. Wyzwala je z niewoli szaleństwa, aby je oddać w niewolę wyrachowania. Oto jest liberalizm.

Pewien ojciec rodziny ma trzech synów, którzy nienawidzą się i zazdroszą sobie nawzajem. Pewnego dnia daje im poznać w imię Boga żywego wzniosłość miłości; mówi im o górze Tabor, głosi im prawdę i synowie rzucają się sobie nawzajem w objęcia. Oto ludzie wyzwoleni, oto równowaga pokoju, oto harmonia i mądrość.

Równowaga wojny polega na ustępstwach, równowaga pokoju jest radością, jest pełnią.

Pierwsza jest pewnego rodzaju układem zawartym ze śmiercią.

Druga jest wstąpieniem w życie.

Równowaga pokoju żyje wzniosłą wiarą, że wszystko łączy się nawzajem; stwierdza ona jedność rodzaju ludzkiego, stwierdza że to, co jest ważne dla każdego, ważne jest dla wszystkich, że ten, który zadaje ranę bratu swojemu, rani sam siebie; stwierdza jedność i solidarność członków żyjących z pomocy wzajemnej, nawzajem oddając życie dla dobra organizmu jednolitego, w skład którego

wchodzą; stwierdza, że aby dobrze kochać siebie, trzeba kochać innych jak samego siebie, a kochać wszystkich w Bogu, bo w Nim *omnia constant*, bo równowaga pokoju — to katechizm.

Równowaga wojny jest oparta na tem nizkiem przypuszczeniu, że członki żyć mogą tylko jeden na koszt drugiego i że ich prawem nieprzyjaźń wzajemna. Każdy zatem musi koldrę ku sobie ciągnąć (umyślnie użyłem tych słów pospolitych dla nazwania rzeczy nikczemnej) i wysysać swoich sąsiadów, nie przyprawiając ich jednak o śmierć natychmiastową, aby sądy kompetentne zachowały milczenie i gra mogła być dalej prowadzoną.

II.

Podniosłem z naciskiem odrębną naturę tej dwoistej równowagi, gdyż w religii, w społeczeństwie, w wiedzy, w sztuce, w polityce, ten prosty podział pozwala ściśle określać granicę prawdy i błędu.

Ateizm, którego Proudhon jest najwierniejszym wyrazem, mniema, że Bóg jest wrogiem człowieka i że obecnie nadeszła chwila, w której człowiek zabić może swego wroga.

Panteizm, znajdujący w filozofii indyjskiej najpełniejszy swój wyraz, mniema, że stworzenie jest bezwzględny i nieprzeblagany wrogiem Boga i że powinno być zaprzeczone na rzecz Boga, gdyż,

jeżeli te dwa pojęcia krańcowo sobie są przeciwstawione, im więcej stwierdzamy jedno z nich, tem więcej zaprzeczamy drugie.

Chrześcijaństwo ustanawia i stwierdza jedność między Bogiem i człowiekiem. Nie obawia się zmniejszenia nieskończoności przez wielkie przeznaczenie, jakie istotom skończonym wyznacza.

Błąd sądzi zawsze, że prawdy muszą się zaprzeczać nawzajem, podobnie jak on sam wpada z natury swej w przeciwieństwa.

Prawda roztacza szeroko swoje twierdzenia, gdyż ona sama stanowi ich harmonię i pewną jest sama siebie.

W filozofii równowaga fałszywa nosi bardzo powabne miano, zowie się eklektyzmem. Eklektyzm jest to system, który wszystkim systemom przyznaje tyle ustępstw, ile trzeba, żeby żaden z jego mistrzów się nie rozgniewał.

W filozofii równowaga prawdziwa zowie się filozofią powszechną tj. katolicką.

W sztuce prawda i błąd wystąpiły pod tą samą postacią. Czy pamiętacie spory klasyków z romantykami? Jedni roznamiętniali się dla zdrowego rozsądku, drudzy dla wyobraźni.

Wszyscy oni sądzili, że te dwie władze są sobie wrogie. Człowiek zazwyczaj z trudnością uznaje rzecz całkowitą, lubi uciekać się do rozdziału, gdyż

ten podobny jest do grzechu, który człowiek w sobie nosi. Schizma jest jego schronieniem przed jednością, która wkracza uroczyście i wśród otaczających nas uroków nieustannie głos podnosi.

Admonet et magna testatur voce per umbram.

W owej epoce sztuki fałszywa równowaga znalazła doskonałego przedstawiciela; zwał się on Kazimierz Delavigne. Usiłował on pogodzić obie walczące szkoły przez pewną ilość ustępstw. Jak każdy prawowity filister tego rodzaju, sądził on, że półśrodki mogą zadowolnić kogokolwiek. Nie wiedział, że one tylko rozdrażniają wszystkich, a nikt ich nie uznaje za sprawiedliwe; półśrodek jest parodią zgody. Zgoda przypuszcza jedność dusz; półśrodek przypuszcza rozdział dwóch dusz, które usiłują każda zaprzeczyć samej sobie częściowo, aby się trochę zbliżyć pozornie. Gdyż półśrodek pozostaje w zewnętrznej dziedzinie faktów; nie zbliża on serc i ztąd jego słabość.

Równowaga prawdziwa uznaje wszystkie pierwiastki prawdy i uznaje je w całej ich pełni; mniema ona, że skoro są pierwiastkami jednej i tej samej prawdy, będą się wspierać a nie zwalczać wzajemnie, — i że każdy dowód poszczególny, wzmacniając jedną cegiełkę gmachu, całości jego mocy doda.

Równowaga fałszywa sądzi, że pierwiastki danego zagadnienia (dla niej niema prawd, są tylko zagadnienia) zazdroszczą sobie nawzajem i aby

osiągnąć połączenie ich mechaniczne, aby skłonić je do sąsiadowania z sobą, trzeba zaprzeczyć po trosze każdemu z nich na korzyść pozostałych; że wzrost jednych jest umniejszeniem drugich.

Św. Paweł wyraził prawo, będące podwaliną równowagi prawdziwej, gdy wyrzekł: *Omnia in ipso constant*. Ale równowaga fałszywa bierze różnorodność za szereg sprzeczności. Zapoznaje ona prawo, mocą którego wszechświat jest jednolity, a różnorodny zarazem, — zapomina, że planety odbierają światło od słońca, a słońce je daje, nie szkodząc sobie nawzajem.

III.

W którąkolwiek stronę się zwrócę, ku filozofii, ku wiedzy, ku sztuce, ku polityce, ku życiu, widzę zawsze przed sobą ów błąd dziwaczny, który usiłuje zaspokoić jedną prawdę przez poświęcenie innej. Czyż na przykład nie zdarzają się ludzie przekonani, że geniusze nie mają zdrowego sądu o rzeczach? Wysysają oni z mlekiem to pojęcie, godne zaiste ich ciasnych umysłów, gdyż geniusz, który jest nie czem innem, jak wyższą formą harmonii i który pod karą śmierci musi mieć za podstawę zdrowy rozum, geniusz wydaje się im potworem zdolnym pochłonąć wszystkie przymioty, które cenia. Jeśli ci ludzie mają dzieci, w których spostrzegą żywą wyobraźnię, pocieszają się myślą, iż

wypali się ona w ogniach nieopatrznej młodości. Jest to pewnego rodzaju ofiara, którą poświęcają bogom piekielnym; a skoro zaspokojone zostanie bóstwo nieprzyjazne, spodziewają się, że syn ich powróci do rozsądku, który wydaje się im siłą martwą, niedającą się pogodzić z życiem żywym, ale praktyczniejszą w wyrachowaniach codziennych.

Mądrość tych ludzi wyraża dość dobrze ulubione ich przysłowie: wino należy wodą rozrzedzać.

Co znaczy to wyrażenie: trzeba, żeby młodość wyszumiała?

Znaczy ono, że młodość posłuszna jest pewnym prawom, przeciwnym prawu powszechnemu, i że w danej epoce życia należy stawiać na przeciwieństwie z wiecznością, ze względu na wiek, który się ma w czasie. A wiecie co mówi prawda? Mówi ona: trzeba, żeby młodość trwała. Nakazuje ona, żeby młodość była wieczną, a wieczność młodą. Kładzie ona w usta ośmdziesięcioletniemu kapłanowi, Mszę odprawiającemu, słowo młodość do niego samego zastosowane. Z nakazu Kościoła kapłan sędziwy mówi Bogu w swej „młodości rozradowany“.¹⁾

¹⁾ *Introibo ad Altare Dei, ad Deum, qui laetificat juventutem meam.*

W polityce równowaga fałszywa zowie się liberalizmem. Liberalizm jest półśrodkiem, który chciałby powoli usunąć władzę, zmniejszając trochę wynikające ztąd ujemne następstwa. Stara się on załatwiać rzeczy środkami tymczasowymi, a nie na tym padole tak załatwić się nie da. Liberalizm jest eklektyzmem politycznym. Nie cierpi on zarówno młodości i wieczności. Cechą jego zasadniczą jest niemoc. Nie oczekuje on nic wielkiego, ani od swych przyjaciół ani od nieprzyjaciół. Mówi on jak Atalia:

„Służę swojemu Bogu; wy służcie swojemu“. Lecz Atalia dodaje:

„Są to dwa bóstwa jednakowo potężne“. Liberalizm rzekłby to samo, z taką odmianą:

„Służę swojemu Bogu, wy służcie swojemu. Są to dwa bóstwa jednakowo bezsilne“.

Liberalizm nie ma aspiracyj. Gdyby je miał, zwróciłby je w kierunku niemocy, gdyż chce on być mądrym, a nie chce być boskim.

Owóż niemoc jest ostatniem słowem wszelkiej mądrości, która nie jest mądrością Bożą.

Wszystko to nie jest odstępniem od rzeczy; nie opuściłem wcale rozbioru liberalizmu.

Liberalizm jest formułą równowagi fałszywej w zakresie polityki.

Liberalizm jest eklektyzmem polityki.

Chce on uczynić pewne ustępstwa Rewolucyi,

podobnie jak filister zgadza się milcząco na wybryki swego syna przez wzgląd na „ogień“ młodości. Ale ogień zazdrosny jest. Ogień, który oświeca i ogień, który niszczy, oba zarówno są bezwzględne; ani jeden ani drugi nie chce dopuszczać podziału swej ofiary.

Jeden jest tylko problemat na tym padole i został on już dawno rozwinięty na górze Synai — problemat uwielbienia.

Religia wielbi Boga; Rewolucya wielbi człowieka.

Rewolucya wielbi wścieklą namiętność człowieka.

Liberalizm uwielbia umiarkowanie człowieka.

Burzliwy i hulaszczy młodzieniec uwielbia sam siebie w swoich namiętnościach, jeżeli następnie uspokoi się nie nawróciwszy się, wielbi dalej sam siebie w swych przyzwyczajeniach egoistycznych, które są trupami skamieniałych jego namiętności.

Owóż liberalizm podobny jest do Rewolucyi, jak nałogi podobne są do namiętności.

Od lat wielu świat ma przed sobą problemat socyalny.

Rewolucyoniści usiłują go rozwiązać środkami ludzkimi. Chcą zbawić człowieka przez człowieka. Można by sądzić, że Bóg pozostawia im swobodę działania i pozwala im czynić długie doświadczenia. Eljasz mówił do proroków Baala: Wzywajcie waszych bogów, zobaczymy czy ogień niebieski zstąpi na wasze ofiary; potem ja będę mówił

i wezwę mego Boga. Ale uczyńcie wpierw swoją próbę. *Facite primi.*

Od stu lat wielbiciele człowieka próbują sił swego boga. Od stu lat wzywają go; od stu lat Eljasz szydzi z nich, jak szydził ongi z proroków Baala i mówi do nich: *Clamate voce majore: Deus enim est, et forsitan loquitur, aut in diversario est, aut in itinere, aut certa dormit, ut excitatur.*

Istotnie śpi ów bóg Rewolucyi, śpi ów bóg, co się nazywa człowiekiem, i podczas gdy Rewolucya go wielbi, on sobie gawędzi, podróżuje, śpi. Czyni zupełnie to samo, co czynili bogowie fałszywych proroków, i słowa Eljasza stosują się do niego z godną podziwu ścisłością. Tymczasem wielbiciele jego, jakby posłuszni ironicznemu wezwaniu proroka, wołają, coraz głośniej wołają. Chcieliby obudzić owego boga zaspanego, bezsilnego; a nie mogą.

Doświadczenie to trwa już od lat wielu, jest już spełnione, dokonane. Każdy z proroków Rewolucyi głos już zabierał. A głosy ich zamarły w próżni; bóg ich nie obudził się; problemat nie został rozwiązany. Oto jest fakt historyczny, który streszcza całe dzieje. Człowiek nie zdołał zbawić sam siebie. Doświadczenie jest dokonane.

Czas już, żeby Bóg okazał się Bogiem (*Ostende hodie quia tu es Deus*) i zbawiając nas, dał nam poznać, z której strony przybywa zbawienie.

Sprawiedliwość.

Obrona społeczna znajduje się od pewnego czasu w położeniu wyjątkowem, które należy bliżej określić. Po wszystkie czasy Obrona społeczeństwa jest tylko dalszym ciągiem i uzupełnieniem Obrony Religii.

Ale dzisiaj prawda ta występuje jaśniej niż kiedykolwiek. To co kiedyś mogło być przedmiotem dowodzeń filozoficznych, obecnie jest faktem doświadczalnym. To co niegdyś należało do dziedziny Teoryi i było dostrzegane tylko przez Myślicieli, obecnie jest faktem rzeczywistym, którego nikomu nie wolno zapoznawać.

Wszystko się obraca dokoła Religii. *Omnia in Religione moventur.*

Zagadnienia literackie, polityczne, społeczne, które niegdyś zdawały się mieć swój byt odrębny, wyznają obecnie, że go nie mają. Każde z nich posiada właściwą sobie indywidualność. Ale wszystkie wyznać muszą, że życie, rzeczywistość i zna-

czenie czerpią ze stosunku swego do zagadnienia religijnego, które świat przenika i nad nim panuje.

Zagadnienia społeczne i polityczne nie mogą już być brane w odosobnieniu. Doświadczenie zostało spełnione. Historia wyrzekła. Zależą one najwidoczniej od wiary, która jest, albo od wiary, której nie ma.

Wrogowie jej widzą to, i tutaj odnajdujemy znowu dzieci ciemności, zbrojne całą swą przeźornością. Wiedzą to: nie zatrzymują się w walkach miejscowych. Nie tracą czasu uderzając z osobna na ten lub ów punkt, na ten lub ów szczegół. Nie! nie mierzą oni w serca, mierzą w punkt środkowy, uderzając na religię w jej całokształcie, w jej życiu powszechnem. Czynią znowu milczenie przeciw pisarzom religijnym. A wy zachowawcy co czynicie? Pomagacie im! Oziębłością waszą wspieracie ich zamiary i ich rachuby.

Wasi pisarze poświęcili swe życie niezmiernie ciężkiemu zadaniu. Żeglują przeciw wiatrom i przeciw przypiłom. Pracują do wyczerpania, bez zachęty, bez zwycięstwa. Częstokroć sił im nie starczy, brak im należytego powodzenia. Walczą przeciwko światu, przeciwko epoce, przeciwko swym wrogom, którzy są waszymi wrogami, przeciwko zapalowi swych wrogów i przeciwko zawziętej obojętności swych przyjaciół.

O Obojętności! zbrodnio nad zbrodniami! Potworna, zamaskowana forma zabójstwa!

Wasi wrogowie, dokoła waszych pisarzy i obrońców, czynią znowę milczenia. A wy, których najświętszym obowiązkiem jest rozgłaszać na wszystkie strony słowa zbawienia, wy je tłumicie waszą obojętnością, podobnie jak wrogowie wasi tłumią je swoim milczeniem.

Wygląda to, jak gdybyście się obawiali, że wrogowie nie starczą dla zgnębienia waszych obrońców; łączycie się z przeciwnikami. Ci, co za was przemawiają, dźwigają już na swych barkach ciężar nieprzyjaźni świata. Obawiacie się, że ten ciężar nie wystarczy do zgnębienia ich; dodajecie doń ciężar waszej obojętności, który sam jeden zaważy za świat cały. Bo obojętność, to próżnia, a próżnia cięższa jest od wszystkiego.

Wasza obojętność zmroziła krew w żyłach ludzi genialnych. Ona to osłabiła ich geniusz i zmniejszyła dziedzictwo ludzkości, osłabiając wielkich pisarzy.

Milton powiedział: „Ten, co zabija człowieka, zabija tylko człowieka. Ten, co zabija książkę, zabija ideę, a ludzkość potrzebuje wieków, aby tę zbrodnię naprawić”.

Milton nie dość daleko się posuwa. Wieki nie tu nie naprawią. Człowiek, który zginął zabity przez obojętność, uniósł ze sobą do grobu swą tajemnicę, gdyż jego tajemnica, aby mogła być wypowiedziana, potrzebowała jego geniuszu. Tylko on mógł ją

wypowiedzieć, nikt inny. Pisarz może mieć następców, nie może mieć zastępców.

Dodaję, że zabójstwo popełnione przez obojętność, popełnione przez niedbalstwo tych, którzy nie udzielają należnego poparcia, dodaję, że to zabójstwo jest zupełne. Gdy zabijacie pisarza, skoro ten pisarz jest poważny, wiedźcie, że zabijacie człowieka. Zabijacie go fizycznie, jak gdybyście pograżali mu nóż w serce. Skracacie dni jego, za które odpowiecie przed Bogiem. Zabijacie go tak rzeczywiście i tak zupełnie, jakbyście się posługiwali sztyletem. Nie widzicie krwi płynącej, ale ona płynie. Płynie, mówię wam, i to jest krew Abła. Z łona ziemi krew ta wołać będzie. Nic nie stłumi strasznego jej głosu.

* * *

Patrzcie na wrogów Kościoła! jakie osiągają tryumfy!

Jak niegdyś Wolter i Rousseau, za dni naszych Wiktor Hugo wyniesiony został przez swoich wielbicieli, dzięki czemu mógł rozwinąć pełnię tkwiących w swej naturze zasobów. Podziw pomnożył go. Wyrozumienie, jakie miano dla jego wad, dozwoliło mu rzucać się śmiało we wszelkich kierunkach, w których wiatry przychylne go popychały; dzięki temu nie utracił żadnej z sił, jakimi był obdarzony.

A Renan! Niesłychany zapal jego wielbicieli przewyższył niewątpliwie jego nadzieje. Jego lekki talent, złożony z subtelności i odcieni, nie zdawał się stworzony do tak wielkich powodzeń. Ale walczył z Kościołem, a więc został wyniesiony pod obłoki. Dziwił się sam zapewne wielkości swoich tryumfów i porównywał może nieraz los, który stał się jego udziałem, z tym, którego mógł być doznać, gdyby wytrwał w wierze. Porównanie to straszliwe!

Czytelnicy-zachowawcy, czytelnicy-katolicy, zaprawdę mówię wam: Macie pośród siebie pisarzy wyższej aniżeli Renan miary, macie takich, którzy by potrafili go zwyciężyć, zdemaskować, unicestwić. Mogliście go upokorzyć, a nie upokorzyliście go! Zapomnieliście o waszych przyjaciółach i waszych obrońcach. Ci, co zwyciężyli Renana w zasadzie i słuszności, nie zdołali go zwyciężyć faktycznie, boście ich opuścili! Starszych rodu swego nie umieściliście na świeczniku. Zwyciężony w teorii, Renan pozostał zwycięzcą w życiu. I winał sobie zapewne, że wybrał za przyjaciół tych, co rozdają tryumfy.

Jestem przekonany, że większość ludzi wyższych w porządku zła, wydała z siebie wszystko, co mogła wydać, dzięki poparciu, zachęcie i podbudzaniu swych przyjaciół.

Jestem przekonany, że większość ludzi, w po-

rządku dobra, zginęła marnie w zgryzocie, zabita obojętnością swych przyjaciół.

I ta niezmierna zbrodnia ma za karę osłabienie prawdy między ludźmi, obalenie społeczeństw ludzkich, rewolucye, wojny, ruiny, rozpacz, tryumf niesprawiedliwości i wszystkie inne zbrodnie i nieszczęścia.

Wszystkie zbrodnie, nieszczęścia, plagi znane, są następstwem i karą tej zbrodni niezmierniej a niedostrzeżonej.

Chciałbym mieć głos, jakiego niema na ziemi, aby głosić tę prawdę od jednego końca świata do drugiego, aby dusze w głębiach swych ją usłyszały! Chciałbym uchylić zasłonę świata niewidzialnego i okazać wszystkim ludziom i wszystkim ludom i narodom, tajemnicę przyczyn i skutków! Chciałbym okazać, co to jest człowiek, który miał posłannictwo mówić prawdę i którego słowo zamarło w zniechęceniu! Chciałbym otworzyć serce Historii i wydrzeć jej sekret niewyjaśnionych katastrof! Są zaiste katastrofy tak dziwne, iż podobne są do okropnego milczenia. Rzekłbyś, milczenie Słowa Wiekuistego, odmawiającego życia stworzeniom. Rzekłbyś, cofanie się słońca, odmawiającego światu swego światła. Jest to tryumf ciemności, jest to potęga uroków, o której Pismo mówi.

Kto wie, czy te katastrofy niewyjaśnione, czy

te przerwy światła dziejowego, kto wie, czy te groźne milczenia, zawierające w sobie potopy krwi i ognia, nie są odgłosem, skutkiem, analogią, kazią tego milczenia, na które skazani bywają niekiedy ci, co tu na ziemi mają posłannictwo głoszenia ludziom prawdy. Prawda ciąży na nich ciężarem strasliwym; ale oni ciążą na całym rodzaju ludzkim, a rodzaj ludzki, który ich opuszcza, sam na sobie mści się za nich, zapadając się w przepaść, od której oni mogli go uchronić.

I wszystko to przechodzi niepostrzeżenie!

Jak opętani, rzucający się to w wodę, to w ogień, rodzaj ludzki, skoro popełnił jedną z owych zbrodni, skoro przytłumił głos prawdy, porwany szaleństwem, rozdziera własne swe wnętrzności. Oszałały, w odurzeniu szuka przepaści, żądny kary i zemsty za swą ofiarę. Otwiera żyły własne, otwiera potoki ognia, by się w nich pogrążyć. Wyśmiał jednego ze swych ojców i za tę winę, według słów Pisma, kruki wydziobują mu oczy i rzuca się we wszystkie ciemności, we wszystkie otchłanie, w śmierć i męczarnie. Można by rzec, że spragniony jest ognia piekielnego.

I to przechodzi niepostrzeżenie.

* * *

Gniewaj się i nie grzesz, mówi Pismo.

O! świętości zapoznana, o świętości oburzenia!

Czy nie ty trzymasz pochodnię wśród nocy żalobnej, wśród której miota się historia świata! O świętości gniewów wielkich, jesteś najbardziej zapomniana ze wszystkich świętości, i ludzie najwolniejsi od ludzkich ułomności ciebie nie dosięgają! Czy nie ty dziewico otchłani posiadasz tajemnicę trzęsień ziemi! ty wiesz, dlaczego piorun uderza i dlaczego ziemia otwiera się pod nogami ludzkiemi. Ty znałaś wielkość Mojżesza wprzód, nim ją brat i siostra jego poznali.

Ty wiesz także, że ten, co przyjmuje Proroka w charakterze proroka, otrzymuje nagrodę proroka. Ale wszystko to przechodzi niepostrzeżenie.

Niepostrzeżenie! wyraz strasliwy, zawierający wyjaśnienie najstrasliwszego ze słów:

„Byłem głodny, a nie nakarmiliście mnie, byłem spragniony, a nie napoiliście mnie“.

A potępieni zapytają:

„Panie, kiedyż widzieliśmy Cię głodnym? Kiedyż widzieliśmy Cię spragnionym?“

Nie powiedzą: „kiedy byłeś głodny? kiedy byłeś spragniony?“ — lecz: „kiedy widzieliśmy Cię głodnym i spragnionym?“

Widzieli! A więc widzieli oni sami głód i pragnienie Chrystusa. Nie będą to fakty im znane tylko z wieści. Będzie to widowisko, które na własne oczy widzieli.

Na własne oczy widzieli ten głód i pragnienie, tylko nie poznali ich.

Owóz do głodów i pragnień Chrystusa należy głód i pragnienie Mówcy, Myśliciela, Pisarza, który łaknie i pragnie podawać prawdę, który umiera, gdy jej nie podaje. A trzeba tu także zaliczyć głód i pragnienie ludu, lub tej części ludu, która łaknie i pragnie otrzymać prawdę i która umiera, gdy jej nie otrzymuje.

Tak więc rozgłos prawowity, sprawiedliwie udzielony, zaspakaja w górze i w dole głód i pragnienie Chrystusa.

A obojętność, która tamuje w dole źródła życia, zapyta w dniu ostatecznym:

Panie, kiedyż widzieliśmy Cię głodnym i spragnionym? Obojętność, która tamuje źródła, przechodzi obok spragnienia Chrystusa, nie dostrzegając go.

Widzi, słyszy, a nie poznaje go, ponieważ nie ma miłości — bo:

Miłować, to zgadywać.

Ironie Boże.¹⁾

Napoleon.

Czem jest wiek XIX? Zdaje się, że jakaś szczególniejsza ironia władała nad jego kolebką.

Zazwyczaj historia w porządku nieustannego swego pochodzenia, zapisuje fakty przygotowane, sprowadzone i ziszczone przez rozliczne uczucia, marzenia, pragnienia, myśli i czyny przygotowawcze.

W wieku obecnym dzieje się wprost przeciwnie. Wiek ten, skoro tylko pragnie jakiejś rzeczy, z pewnością sięgnie po inną, będącą zaprzeczeniem tamtej.

Skoro tylko oznajmi jakiś czyn zamierzony, spełni niechybnie inny, zupełnie z tamtym sprzeczny.

Skoro tylko czegoś pragnie, rzuca się z całym zapalem w kierunku przeciwnym swemu upodobaniu.

¹⁾ *Le siècle.*

Skoro żywi jakiś zamiar, urzeczywistni niezawodnie zamiar wprost przeciwny.

Od stu lat ludzkość przedstawia to widowisko, a nikt nie zwrócił dotychczas na nie należytej uwagi.

Filozofia zeszłego wieku do najwyższego stopnia była sentymentalna. Istna pasterka w stylu Watteau, lubowała się w polach, łąkach, gajkach cienistych, rzeczułkach przezroczych. Cichy szmer strumyka kołysał rozkosznie jej duszę młodą i naiwną. W jej ustach brzmiały tylko słowa miłości; często też słodki wyraz niewinności dawał się słyszeć w jej wdzięcznym szczebiotaniu. Marzyła o braterstwie ludów. O, jakżeż ona kochała wszystkie ludy ta słodka filozofia! Jej miłość rozlewała się na całą naturę. Życie najdrobniejszej muszki niewymownie było jej drogą. Owad cierpiący do płaczu ją poruszał. Całe potoki łez gotowa była wylewać nad nieszczęściem motyla.

Wszystkie te czułości i słodczy nie przeszkodziły wcale pojawieniu się roku 1793. Owszem, ze wszystkich tych czułości i słodczy wykwitnął rok 93, jak róża ze swego pączka wykwiła.

Weźmy literaturę weźmy poezję, weźmy marlarstwo ze schyłku zeszłego wieku. Istna idylla, niewinna zabawa sielska. Jan Jakób Rousseau ze łzami w oczach prowadzi farandolę. Rousseau, który rozczulał się wciąż nad własną dobrocią, niekiedy nawet uwielbiał własną swą niewinność.

Plakał z miłości, skoro o sobie myślał, a ponieważ zawsze myślał o sobie, więc łzy nie osychały nigdy z jego oczu. Za nim pływają długim szeregiem pasterze i pasterki z roztkliwionymi twarzami. Tańczą i płaczą zarazem.

Niestety, cały ten niewinny korowód sielankowy w fatalnym rozpędzie podążył wprost do stóp rusztowania, gdzie oczekiwał nań Robespierre.

A co jest najciekawsze, to że w chwilach najokropniejszych owe słodkawe czułości wciąż jeszcze zalewały literaturę.

Marat napisał książkę. Zgadnijcie tytuł tego wdzięcznego utworu. Zapewne oczekujecie czegoś strasznie krwawego, okładka książki zawierać musi jakąś groźbę przerażającą.

Próżna obawa! Pozostawiony przez Marata pomnik literacki posiada na swej karcie tytułowej te dwa wyrazy: „Romans serca“.

Precz z Bogiem! Precz z władzą wszelką! Człowiek jest wyzwolony, tylko od siebie samego zależy. Ludzie są braćmi. Niema już wojen, nie słyszać szczęku oręża, ani śladu złych tyranów. Filozofowie, zażawieni z rozczulenia, święcą święto wolności, braterstwa, pokoju powszechnego. Ludzie aż duszą się od serdecznych uścisków. Odtąd echa ziemskie rozbrzmiewać tylko będą odgłosem pocałunków, jakimi obdarzą się nawzajem rozmiłowane w sobie narody.

O, pasterze! o, pasterki! o, Pawle! o, Wirginio!

Nagle młody, milczący artylerzysta zdobywa Tulon, potem Włochy, potem Francję, potem Europę. Wolność i braterstwo nie protestują wcale; nie śmia nawet głosu podnieść. Cały świat staje się lęklwym. Przyodziany w purpurę cesarską młody artylerzysta nie zasypia na laurach zdobytych; niczem nie daje się ani ukołysać, ani uspokoić, ani powstrzymać, ani zadowolić. Rzekłbyś, że poziom jego pragnień przeznaczenie osiągnąć nie jest zdolne.

Zdaje się być zawsze niezadowolony ze swej wielkości, niby z ciasnej sukni, krępującej swobodę jego ruchów. Ziemia cała zamilkła przed jego obliczem, jak niegdyś przed obliczem Aleksandra; a wśród tej ciszy rozlega się tylko głos dobitny, wymawiający krótkie zdania:

„Żołnierze, jestem z was zadowolony“.

Ci, którzy w Napoleonie widzą tylko genialnego wojownika i zwycięskiego wodza, nie patrzą zbyt daleko. Inny wódz mógłby mu wyrównać ilością zdobytych krajów i wygranych bitew, a jednak nie osiągnąć jeszcze przez to jego imienia i jego uroku.

Wiek osiemnasty przepojony był formami i teoryami.

Napoleon zjawił się na ziemi jako rzeczywistość, jako realna potęga. Mówił niewiele, ale działał bez miary. Czasami ludzie czynu okazują się ludźmi małego ducha, praktycznymi działaczami, niższymi od ideału. Napoleon połączył w swej na-

turze charakter ścisłości i ogromu. Dokładność i wzniosłość spotkały się w nim. Nie myślę tu wydawać sądu o jego czynach, to zaprowadziłoby nas za daleko; zaznaczam tylko wrażenie, jakie uczynił na ludziach współczesnych i potomnych. Dał im widzieć to, co tak rzadko widzą ich oczy: postawę olbrzyma.

Gdy rozważę porywający urok tego imienia dziwnego, dochodzę do przekonania, że tkwi on nie w sile ramienia Napoleona, bo siła jest objawem brutalnym, lecz w tem jakimś bezmiernem pragnieniu, które, nienasycone przez żadne tryumfy, zaciemnia wciąż czoło tryumfatora.

Napoleon nigdy nie wydaje się zadowolonym. Gdyby był promieniejącym i szczęśliwym, zdalby się mniejszym od swych zwycięstw; jego troska czyni go od nich większym. Nigdy nie wygląda on równie zadowolony ze swych przeznaczeń, jak ze swych wiernych żołnierzy.

Surowy wyraz jego twarzy przepysznej zawiera jakąś skargę niewiedzieć przeciw komu zwróconą. Niewątpliwie jest żal do kogoś na tem obliczu. Jest na niem też niepokój, jest pragnienie niczem nienasycone.

„Nudzi mię ta stara Europa“, wyrzekł niegdyś pono, i w stronę Wschodu zwracał wzrok swój szczególny, rozdrażniony być może tem, że coś znajdowało się tam poza obrębem jego potęgi. Wyprawę do Egiptu poczytywał za najpiękniejszą

chwile swego życia. Obcy zawsze w salonach Tuileries, zdawał się być bliższym swej istotnej ojczyzny wśród grobowców Faraonów.

Mawiał, że u murów Akry zminął się ze swem przeznaczeniem. Chciał sobie otworzyć drogę do Azji i ztamtąd na wspak zagarnąć Europę. Gdy Azja z rąk mu się wyrwała, żałował jej jak prawowity monarcha żałuje straconego państwa. Może ta nostalgia za Wschodem utraconym rzuciła na czoło Napoleona ów mroczny i posępny cień zagadkowego niezadowolenia.

Jego niezadowolenie bardziej jest niepokonalne, aniżeli oręż jego. Ono jest zwycięzcą jego zwycięstw. Możnaby sądzić, że Napoleonowi brak powietrza na wszystkich jego tronach. Wygląda jak orzeł w klatce. Imperator europejski miał wszystko czego pragnął, ale w duszy Napoleona władca azyatycki czuł się wciąż niezadowolonym.

Żołnierze wielbili w nim zwyciężkiego wodza. Być może wszakże, iż byli oni owładnięci przez wyższe, bezwiedne uwielbienie, z natury swej niezrozumiałe dla tych, którzy sami je odczuwali. Być może, iż ulegali urokowi człowieka, który, gdyby był wierny samemu sobie, swemu idealnemu typowi, byłby podźwignął w swych ramionach ciężar dwóch berel — berla Wschodu i berla Zachodu.

Może ich wzruszenie, przewyższające o wiele ich zrozumienie, było pozdrowieniem tajemniczej, niepojętej przyszłości. Może to pełne troski czoło

zwycięzcy, gdyby miało więcej pokory i więcej boskości, przeznaczone było nosić koronę, której nie tknęła ręka ludzka, dziewiczą koronę Azji. Może niejasno odczute i nieuświadomione przeczucie tych wielkich zadań wstrząsało świat cały takim szczególnem wstrząśnieniem. Może ono to wyciskało lzy starym żołnierzom na widok legendowego munduru, błyszczącego w słońcu austerlickiem.

Gdyby urok tego nadzwyczajnego człowieka pochodził li tylko od jego zwycięstw, pod Waterloo zgasłaby aureola. A jednak Waterloo skruszyło zwycięzką potęgę, nie zrywając z czoła aureoli. Na wyspie św. Heleny rozplomieniały ją ognie podzwrotnikowe. Wierzba płacząca, samotność i majestat pustyni, blaski słońca afrykańskiego, zapadające w afrykańskie morze, stały się ramami okalającymi portret człowieka.

Czy może zamierzam tu głosić jego apologię? Bynajmniej!

Lady Macbeth daremnie tarła ręce, chcąc zmyć z nich niewidzialną plamę krwi. I krew księcia d'Enghien również nie może być zmyta.

A jakie morze krwawe dodane do tej jednej krwawej kropli!

Wyrzuty spadają na pamięć bohatera gęsto i bezustannie, jak strugi deszczu listopadowego. Spadają sprawiedliwe, ogromne, niepokonalne, potworne, jak osobistość, na którą spadają.

Mógłbym powiedzieć wam o nim więcej złego,

niż sami myślicie i wszystko, cobym powiedział, słusznem byłoby niewątpliwie. Ekskomunika, która wraz z innymi piorunami spadła na głowę tego olbrzyma, tysiąckrotnie była usprawiedliwiona. A jednak Papież, który go potępił, kochał potępionego!

Gdyby czas i miejsce pozwoliły mi na spisanie okropnego aktu oskarżenia, wystawionego przez dzieje, jakież byłby mój wniosek?

Wniosek mój polegałby na wstrzymaniu się od wszelkiego wniosku.

Wspomniałbym słowa Lamartina: „Bóg go osądził! milczenie!” I wspomniałbym słowa Wiktora Hugo:

„Ten człowiek nadzwyczajny, zda się, upoił historię. Jej zimnooka sprawiedliwość znikła w blasku jego chwały.” (Ostatni wiersz jest nieprawdziwy, oko sprawiedliwości nie jest zimne).

Wspomniałbym też głębokie słowa krytyka niemieckiego o Hamlecie: „Jest to zrównanie nieracjonalne”.

Są ludzie, którzy zdają się być przeznaczeni na to, aby wzbudzać zdumienie i zamieszanie, i znakiem zapytania kończyć wszelki sąd, jaki o nich możemy sobie wytworzyć.

Jedno wszakże jest widoczne: potworna ironia, rzucona przez Napoleona w twarz XVIII wieku.

CZĘŚĆ II.

S Z T U K A

S z t u k a.

I.

Stając wobec myśli, które życie moje wypełniły i doszły we mnie do zlania się, do zestrzeleń w jedno, do jedności, pragnąłbym móżdżek wszystko wypowiedzieć w jednym słowie. Jednakże Sztuka, zstępując między nas, poddaje się prawu następstwa w czasie i przestrzeni; rozdziela się na składniki; dopuszcza pojęcia: *prze d t e m*, *p o t e m*; obleka różne kształty. Mówiąc zatem o niej, musimy uleść tej samej konieczności, wejść w tę samą harmonię.

Sztuka jest wyrazem zmysłowym piękna. Jest ona w porządku przyrodzonym objawem ideału.

Jakim sposobem zdoła ona go urzeczywistnić na tej naszej ziemi wygnania?

Czas i przestrzeń strzegą granic tego świata i opanowują wszystko, co chce przeniknąć do jego dziedziny. Nic im nie ujdzie. To też Sztuka musi

bez pogwałcenia swej jedności przygasić nieskończone promienie swych blasków, aby je przystosować do szczególnych warunków bytu ludzkiego.

Pierwszym jej czynem będzie ustępstwo i ofiara. Widzieliśmy gdzieindziej, że ofiara stanowi istotę słowa; dźwięk rodzi się, aby umierać; posiada się na to tylko, aby się oddawać. Sztuka poddaje się podziałowi, aby się objawić.

Zmuszona uznać władzę czasu i przestrzeni, ucieka się do ich pomocy, by wśród nich zachować swe piękno. Czas użycza jej słowa, przestrzeń użycza jej światła.

Światło i słowo pozostają na usługach Sztuki.

Arytmetyka wyraża prawa czasu, geometrya prawa przestrzeni.

Arytmetyka w świecie sztuki wydaje poezję i muzykę, służy idei w dziedzinie czasu. Czas określa im miarę, a miarą tą jest rytm.

Geometrya rzuca w świat idealny budownictwo, rzeźbę i malarstwo: służy idei w dziedzinie przestrzeni; przestrzeń określa ich proporcje.

II.

Rzekliśmy wyżej, że formy Sztuki które uprzedmiotowiają myśl w zjawiskach czasu, mają na usługi słowo.

Formy Sztuki, które uprzedmiotowiają myśl w zjawiskach przestrzeni, mają na usługi światło.

Słowo i światło uderzają mię ukrytem swem podobieństwem.

Słowo jest odbłaskiem świata niewidzialnego, światło jest odbłaskiem świata widzialnego. Przez słowo stworzenie całe staje się światłem dla naszego ducha, ukazuje swe wspaniałości naszej inteligencji. Przez światło stworzenie całe staje się słowem dla naszych oczu, opowiada im chwałę Stwórcy. Niebiosa pozbawione światła byłyby nieme, podobnie jak byłby niemy człowiek pozbawiony słowa. Słowo ludzkie daje poznać wspaniałość stworzenia, objawionego przez światło; przez słowo i przez światło świat widzialny i świat niewidzialny łączą się, wzajemnie sobie chwałę oddając. Przemawiają one i śpiewają hymn chwalebny, opiewają swą miłość w rozradowaniu swej piękności. Słowo i światło tych samych mają przyjaciół i tych samych wrogów.

Światło ukazuje świat widzialny podziwiającą go myśli ludzkiej, słowo oddaje świat niewidzialny na usługi myśli ludzkiej. Oba nieważkie są i tajemnicze. Oba należą do każdego i do wszystkich, bez podziału i ubytku. Oba dotyczą ciał najbardziej plugawych i przenikają je, zachowując czystość swych promieni. Oba odbijają się wedle tych samych praw: słowo powraca echem, światło odbija się w zwierciadle. Niechaj światło przeniknie kroplę wody, a uczyni z niej perłę. Niechaj słowo przeniknie martwą inteligencję, a Bóg wie, jakie

blaski w niej obudzi. Ciepło idzie w ślad za światłem, miłość idzie w ślad za słowem.

Słowo i Światło wypędzają upiory, oba odsłaniają istotę rzeczy. Chcecie poznać wartość jakiegoś przedmiotu? Rozjaśnijcie go nazwą. Chcecie dać poznać zbrodniarza? Nazwijcie go.

Zbrodnia ucieka tak przed słowem, jak i przed światłem. Kłamstwo jest ciemnością.

Imię wyraża istotę moralną, podobnie jak światło daje widzieć przedmiot materialny.

Słowo oświeśla to, co nazywa. Światło określa to, co ukazuje. Oba oznaczają i czynią rozróżnienia. Oba ulatują i znikają, wystrzelające, wybuchające z natury. Oba kryją się, by działać, jedno w głębi dusz, drugie w głębi ciał i dają poznać swą obecność, tylko o ile znajdują przedmiot działania. Oba przyswajają sobie to, co pochwyciły; opanowują wszystko, a niczem nie dają się opanować. Jak orzeł ze szczytów gór rozpoznają swą ofiarę, rzucają się na nią, pochłaniają ją i ulatują znów w górę, dzięki swej chyżości nie dają się ujarzmić, a jednak trwają w ciałach i zjawiskach przez blaski im udzielone. Gdy nakształt ziarna zostały rzucone gdziekolwiek, ich obecność, czynna a niedostrzegalna, potrzebuje wstrząśnienia, aby być zbudzona. Przez wstrząśnienie wybuchają, promieniają i udzielają się bez ubytku. Tego dnia, gdy człowiek, pochwytyując światło pracujące, wynalazł zwierciadło zdolne pamiętać, od-

krył przez fotografię prawo słowa. Niezmienne i wiecznie obecne wszędzie dokąd przeniknęło, ale tajemnicze w swem działaniu, słowo otrzymane pozostaje często ukryte w duszy, występując na jaw tylko przy pewnych warunkach.

III.

Człowiek, który otrzymał dar słowa, szczególnie jest wrażliwy na piękno światła. Światło jest symbolem tak wyraźnym, że nazwa jego stosowaną bywa równie często do światła widzialnego, jak i do światła niewidzialnego.

Gdy artysta tworzy, w chwili stanowczej, w chwili tej cudnej, kiedy wyraża pomyślaną przez siebie piękność, czuje się przenikniętym przez światło, niewidzialne światło, rozgrzewające i ożywcze, od którego otrzymuje dar słowa. Przepelniony swą myślą, owładnięty przez typ, który stwarza, czuje on, że coś w nim się porusza. To słowa, pełne światła i żaru, które rodzą się w jego duchu. Przybierają one kształt jego myśli, upiększają się jej pięknnością, stroją się w jej blaski.

Myśl jest tak piękną, gdy objawia się artyście w swej nieureczywistnionej jeszcze jedności i całości, gdy rąk jeszcze nie zbrukał różnorodną materią, by znaleźć ją zawsze niewystarczającą, niegodną, a jednak nieodzowną do spełnienia swych zamiarów! Pisarz, malarz, lub rzeźbiarz, skoro

ujmie drżącą dłonią narzędzie, mające urzeczywistnić myśl jego, wsluchuje się w nią, oddaje się jej na usługi, pracuje, ogląda swe dzieło i dostrzega jego niedoskonałość. Nie zdołał bowiem urzeczywistnić swego ideału. Ideał domaga się czegoś więcej, a artysta nie mając już nic do dania, z rękami próżnymi płacze i błaga o przebaczenie. Poniżył swą myśl, aby jej kształt nadać. Nakreślił jej granice. Wyrzekł się bezmiarów, wśród których ją oglądał. Uczynił zamach na swój ideał.

IV.

Wschodzące słońce jest tryumfem światła. Stworzenie całe ukazuje się. Pozwólcie światłu działać i patrzcie! Ta wspaniałość jest tajemniczym, symbolicznym odbłyskiem jakiejś harmonii niewidzialnej i duchownej, która barwom pozwala się odtworzyć symbolicznie.

Wschód słońca podobny jest do stworzenia świata, jest niejako jego obrazem! Czyż nie przypomina on cudownie wschodu słońca w duszy artysty? Czasem północ panuje w duszy; o tej godzinie człowiek nic zdziałać nie może. Ale oto nagle myśl mu zabłyśnie: to słowo wschodzące. Myśl była dotąd utajona, teraz staje się świetlaną. Była ona, ale jakby nie istniała dla człowieka; teraz dochodzi do świadomości i do blasku swej prawdy; czuje, że żyje, bo przemówiła.

Słowo, jak światło słoneczne, wolno wstępuje na widnokrąg. Naprzód świta, potem jaśnieje blask dnia. Jak przy wschodzie słońca zwierzęta drapieżne chowają się w swych norach, podobnie namiętności kryją się zawstydzone, skoro słowo powstanie, rozjaśni i zaleje światłem duszę ludzką. Następnie chmurka przyćmiewa słowo w duszy, jak światło słoneczne na niebie, ale dla obu igraszką jest zwalczanie tej drobnej przeszkody. Wahają się i krążą w grze barw różnorodnych, które zdobią niebo i ziemię blaskami coraz bardziej urozmaiconemi, coraz obfitszemi, coraz bogatszemi. Wreszcie czyni się dzień i upał nastaje. Oracz plu-giem rozdziera łono ziemi, i ziemia wystawiona na działanie niebios wydaje swój owoc.

V.

Rozważmy wreszcie wspaniałość Harmonii. Mówimy: ta melodia jest piękna, a w owym znów obrazie ta figura jest piękna.

Harmonia, która jest pięknością słowa, ma swą podstawę w rytmie, to jest w liczbie.

Piękność, która jest harmonią Formy i blaskiem Sztuki, wystawionej na światło, podobnie jak harmonia dźwięków, ma w liczbie również swą zasadę. Siedliskiem Piękna tutaj jest istotnie Kąt, a wielkość Kąta mierzy się liczbą.

Artysta godny tego imienia dostarcza powie-

trza duszy ludzkiej. Sztuka w pewnej mierze i w pewnych chwilach jest siłą rozrywającą sklepienie podziemia, w którym się dusimy. Jakaż posługuje się ona dźwignią? Słowo, ton muzyczny: — jakże słabe środki! Trochę powietrza, wprawionego w ruch, przez nasze wargi cielesne.

O wy ulotne tony i zgłoski unoszone technieniem wiatru, potęgi niewidzialne, jakże wydajecie się bezsilne! A jednak poruszacie ziemię i niebiosasłuchają. W chwilach uroczystych, gdy się wami przejmujemy, dusza wchłania powietrze, oddycha całą swą istotą i osiąga świadomość siebie. I mówi: Tak, Boże mój, jestem wielka, a jednak zapomniałam o tem. Przez was dusza ludzka zaznaje przedsmaku swego wyzwolenia. Zdumiewa się nad swoim zwykłym zapomnieniem, zdumiewa się, że nie pamięta zawsze o tem, co jej w tej chwili przychodzi na pamięć. Światło chwilowe odkrywa jej głębie otaczających ją zazwyczaj ciemności. Zbudzona nagle pojmuje całą piękność swego przebudzenia, a jeżeli wspomina sen, w którym była pogrążona, to dlatego tylko, aby mu się dziwić. Dziwi się, iż mogła tak dalece zapomnieć o wiekuiście pięknych prototypach, aby się pogrążyć w szpetnej i przemijającej przypadkowości. Drzwi ciężkie i grube, drzwi naszego więzienia zasłaniają nam wielką miłość naszą; niekiedy tracimy nawet wspomnienie o niej. Ale oto nagle okazuje się widnokrąg, rozległy, głęboki, daleki, rozjaśniony

błyskawicami, płonący ogniem. Oto unoszona przez słowo i światło, unoszona na skrzyżowanych skrzydłach tych dwóch orłów, Sztuka tędy przeleciała i obaliła ściany naszego więzienia! Ściany rozwały się na chwilę rozerwane przez nieugiętą potęgę, przez dym kadzidla, jako chmura rozerwana piorunem.

K r y t y k a.

Krytyka! Słyszeliście nieraz zapewne ten wyraz. Ale czy człowiek co go wymawiał rozumiał jego znaczenie? Nie sędzę. Mało jest wyrazów bardziej zapoznanych. Gdyby prawdziwa krytyka literacka istniała dziś w Paryżu, oblicze świata zmieniłoby się w ciągu dni ośmiu.

Krytyka taka, jak zazwyczaj bywa uprawiana, gadatliwa jest, tchórzliwa i służalcza; nie umie ona mówić, nie może i nie śmie. Krytyk P. Paweł zna pisarza P. Piotra, musi go zatem oszczędzać cokolwiek by P. Piotr napisał. Zresztą P. Piotr podziwiany jest przez P. Jakóba, a zatem P. Paweł musi go także podziwiać. Zresztą P. Paweł nie ma do powiedzenia, nie ma ani idei, ani stylu, ani pragnień, ani żałów, ani widnokręgów żadnych. Uważa za słuszne, że P. Piotr jest do niego podobny i oklaskuje go. Albo też P. Paweł czytał w dzieciństwie książkę, podpisaną imieniem starem i znanem; od tego czasu P. Paweł podziwia tę

książkę i stawia ją za wzór pisarzom przyszłości. P. Paweł najsilniej jest przekonany, że wszystkie książki, jakie czytał za lat młodzieńczych, są świętością, ale że żaden wyższy talent nie może już przyjść na świat i że Stwórca już się wyczerpał. Po Buffonie i Monteskiuszu, wedle przekonania P. Pawła już nic nie zostaje do powiedzenia.

Patrzac na Paryż nieraz sobie mówiłem: Mój Boże! biedne miasto! Wieleż sił straconych porusza się w twem łonie! Podczas gdy oziębłe mierzności zdobywają wesoło łatwe powodzenie, wieleż inteligencji zabłąkanych lub uwięzionych nie może znaleźć drogi wyzwolenia z braku przewodnika lub poparcia!

Wieluż ludzi młodych, którzy może życie w sobie nosili, odtrąconych zostało chłodnie przez niechęć, lub jeszcze sroższą obojętność — tę straszną obojętność, która nie znosi zamachów przeciwko sobie — i skazanych bez apelacyi za to, że pozostali wierni sobie, mimo nakazu pedantów, pragnących, aby każdy podobny był do wszystkich i aby nikt nie wznosił się ponad poziom znany? Jakież zadanie miałby krytyk, który jak Herkules chciałby przebiegać świat, aby czynić sprawiedliwość?

Zastanówmy się na chwilę, coby się stało w Europie i w całym świecie, gdyby sprawiedliwość w rzeczach sztuki zapanowała w Paryżu ponad żywymi i zmarłymi. Przypuście na chwilę (nie lę-

kajcie stę, wszak to marzenie tylko), przypuście na chwilę, że ta sprawiedliwość intelektualna wszędzie dzisiaj wraz ze słońcem bożem, ponad miastem uśpionem! Przypuście, że dano będzie ludziom uczuć choć przez jedną sekundę bicie serc, uderzających w jedną miarę z prawdą; zrzucić tę zasłonę ołowianą, która mrozi, przygniata ich ramiona i zasłania ich oczy; zbudzić się w świetle żywym, wobec prawdziwego piękna, wolnymi od starych błędów, powtarzanych od dzieciństwa, pełnymi świeżej miłości, któraby i ich odmłodziła, pełnymi miłości tego, co się nie starzeje; — przypuście, że słońce dzisiejsze oświeci ten widok i zgadnijcie, co oświecać będzie na powierzchni ziemi słońce jutrzejsze!

Ale zniechęcenie, ten straszliwy podstęp piekła, znajduje się zawsze, aby zmrozić duszę i zatrzymać ramię. „Nie zdołasz dokonać wszystkiego“, mówi ono, „więc nie rób nic“. Ale naprawdę, czyż jest w tem słuszność?

Czyż, aby mówić, trzeba czekać, aż cały świat będzie z góry przekonany? ponieważ są głusi, czyż słowo straciło swe prawa?

Nie sądzę tego. Mówmy więc pomimo głuchych.

Mówmy więc o krytyce, jaką ona jest, i o krytyce, jaką być powinna.

Jeżeli powiem małej krytyce, że jest mierna i małostkowa, nie zdziwię jej tem bardzo. Ludzie

dość łatwo godzą się ze swą miernością, żyjąc w przekonaniu, że nie można od niej się uwolnić, jeżeli się nie chce wpaść w przesadę.

Ale jeżeli jej powiem, że jest okrutną, zadziwi się, gdyż nie biorąc się na seryo, nie bierze też na seryo ran, które zadaje swą ręką chłodną, opiętą w rękawiczkę. Jeżeli jej powiem, że nie zdolna zbudować cokolwiek, może jednak wiele zniszczyć; że nie mając dość siły, aby dać życie, przy całej swej słabości posiada zdolność zadawania śmierci, i że chcąc nie być okrutną, powinna stać się rozumną, wtedy niezdolna dobrze zrozumieć, co chce powiedzieć, odpowie, że idę nieco za daleko. Zapewni mnie, że nie ma zamiaru zadawać śmierci. E! ja też nie mówię o waszych zamiarach! Wiem dobrze, że nie macie żadnych zamiarów, ale właśnie z tego wam zarzut czynię: powinniście je mieć.

Temu, który ma sądzić, trzeba powiedzieć, że podniosłość, szerokość i głębokość nie są dla niego przedmiotem zbytku, lecz obowiązującym prawem.

Daj krytykowi pospolitemu nieznane arcydzieło. Zanim wypowie swój pogląd, zechce wprzód poznać twoje zdanie. Zanim poweźmie jakąkolwiek opinię, przejdzie myślą wszystkie względy na korzyść osobistą, a okiem twarze wszystkich swych przyjaciół. Wyczerpawszy swoje zachwyty dla sta-
rożytnych, ma on tylko sztywną obojętność dla

tych, którzy walczą, którzy cierpią i którzy potrzebują odwagi.

Zmieńcie podpis jakiegoś dzieła; stronnice, które poczytywał za szalone, uzna teraz za wzniosłe i odwrotnie.

Pochlebia on, krępuje, prześladowuje.

Wogóle mała krytyka ma wszystko za niemożliwe; uznaje, że to tylko może istnieć, co zawiera się w obrębie jej zwyczajów. Owóż geniusz nie należy do tego obrębu; to też zapatruje się nań, jak swego czasu zapatrywała się na lokomotywy i telegrafy elektryczne. Co do ludzi znanych dawno zmarłych, ogłasza ich genialność słusznie czy niesłusznie, nie wiedząc dobrze, co mówi, ponieważ przyzwyczaiła się poczytywać ich za genialnych i ponieważ przez pół tylko wierzy w ich istnienie. Rzuca tedy na wszystkie strony osobistościom, które ma za abstrakcyjne, wieńce chwały, które nic ją nie kosztują, gdyż nie istnieją wcale. Że przeszłość ma swoje chwały, godzi się na to łatwo, bo nie wierzy ani w przeszłość, ani w chwałę, ale teraźniejszość, ale przyszłość? gdzież znowu!

To też owa krytyka grzeczna, poprawna, miódopłynna i mierna, żywi tylko przekonania umówione, podziwy przezorne i zachwyty urzędowe. Przebaczy ci nowoczesność, jeżeli zarazem jesteś mierny; ma ona bowiem dla mierności jakąś szczególnie serdeczną względność; poznaje w niej sama siebie i lubuje się w niej. Wtedy nawet, gdy ją nie

uważa za wolną od wad, przebacza jej i wyrozumiewa wszystko.

Człowiek mierny to pieszczone dziecko, to benjaminek ciasnej krytyki. Ma ona dlań wyraźną słabość. Dość, żeby mierność była miernością, aby miała prawo do względów owej krytyki, gdyż wady mierności same są mierne, a przeto sympatyczne krytyce, o której tu mówię. Nie razi one oczu, a wszystko, co nie razi, podoba się jej. Wady człowieka wyższego dają poznać osobistość, która żyje i rozwija się; mała krytyka nie cierpi ich, nie dlatego, że są wadami, lecz dlatego, że mają w sobie siłę.

Sama miękka i martwa, lubi ona wszystko, co miękkie i martwe. Lękając się, aby człowiek zbrojny ideą, nie wydał krzyku, do którego ucho jej nie nawykło, przekłada ona o wiele tych, którzy piszą, aby nic nie powiedzieć; ci są jej uleglejsi, lubuje się ona i rozpoznaje w nich. Wzbrania ona człowiekowi być sobą samym i nakazuje mu być podobnym do każdego innego; zowie się to u niej: być surową. Zanim zacznie się zachwycać, szuka w swych zwyczajach, czy przyjętym było zachwycać się rzeczą daną lub rzeczami jej podobnymi, i w imię dobrego smaku, wzbrania ukazania się pięknu, którego rysopis nie jest jej z góry znany. Nie sądzi ona, aby sądzić, sądzi, aby się podobać własnym swym sędziom; to też lubi ona szczególnie tych, co powtarzają ukute oddawna frazesy, bo

ci nie kompromitują w żadnym razie; wie ona, że taka moneta jest w obiegu; dawno ukute frazesy są to starzy znajomi, którzy nie budzą w niej żadnej obawy. Człowiek mówiący własnym swym językiem jest młodym dla współczesnych, nim stanie się wielkim dla potomności. Mała krytyka przekonana, że wielcy ludzie nie byli nigdy młodymi, ani żywymi, że po wszystkie czasy byli oni starożytnymi, zmarłymi od czterech tysięcy lat, naigrawa się i odwraca się, gdy się znajdzie wobec wielkości współczesnej i żywej. Jej wstręt do geniuszu zmieszany jest ze wstydem. Wobec tego obcego dla niej zjawiska rumieni się ona sama za siebie. Wobec geniuszu wielkość prawdziwa polegałaby na schyleniu głowy, ale mała krytyka stoi zawsze wyprostowana i sztywna. Aby się zemścić wykazuje ona w dziełach genialnych brak przecinka, a mierność klaszcze w dłonie.

Z jakichkolwiek przyczyn pochodzi ten fakt zadziwiający, pewnem jest, że mierność nigdy nie traci głowy. Chce ona, by świat się stał jej łupem, domaga się tego z przeświadczeniem o swoim słusznym prawie, jakby świat osobistą był jej własnością. Przed ludźmi miernymi wszystkie drzwi stoją otworem, przed człowiekiem wyższym instynktownie się zamykają.

Wspomnijcie na wielką ilość ludzi miernych. Entuzjazm jest nagrodą prostoty, a dusze zawile nie są zdolne czuć ani rozumieć. Nie spodziewajcie

się, abyście wzruszyli mierność odwagą, wysiłkami. Oto jej charakter istotny: Jest ona z natury nielitościwa! Gdyby raz dała się porwać i wzruszyć, nie byłaby sobą.

W jej wszystkich poruszeniach nie ma nieprzewidzianego.

Ma ona tylko jedno oblicze: usiłuje zachować uroczystą powagę. Jednocześnie jest ona swarliwa, małostkowa, zrędną, ciasną i zawistną. Lubi rzeczy małe, rozmiary małe, zamiary drobne, fraszki zwyczajowe, lekkie niedorzeczności, napotymane w życiu codziennem. Sądzi ona człowieka wedle wieku, powodzenia, stanowiska i fortuny. Sądzi go wedle jego przeszłości i pozorów, nie wierząc ani w rzeczywistość istoty ludzkiej, ani w jej przyszłość. Ma ona najgłębszy szacunek dla tych, którzy już drukowali. Bierze ona wszystko na wagę, nie na miarę. Nie ośmieli się ona powiedzieć wobec dzieła człowieka nieznanego: Oto chwała i geniusz. Jeżeli widzi człowieka tryskającego życiem i miłością, otacza go cmentarzem.

Jeżeli nastaje na okrucieństwo bezwiedne głupoty, czynię to ze względu, iż okrucieństwo zazwyczaj jest niedostrzeżone przez tego, który je popełnia, ani przez tego, który patrzy na nie zdaleka. Geniusz, to cierpienie nieznajdujące nigdy litości, nawet u kobiet. Kobiety, które wzruszają się tak chętnie nad fałszywymi wielkościami, są często

bez miłosierdzia dla wielkości prawdziwych. Lubią one to, co błyszczy, nie lubią tego, co jaśnieje.

Wspomnijcie imiona tych wszystkich, którzy osiągnęli nie rozgłos, lecz chwałę; czytajcie ich dzieje. Wypytajcie ich; odpowiedzą, że zużyć musieli więcej sił na rozsunięcie tłumu i zdobycie miejsca, niż ich potrzeba, aby stworzyć tysiące arcydzieł. Liczne godziny, które mogły być piękne i płodne, przepędzili na znoszeniu męki niesprawiedliwości odczuwanej, zużyli najczystsą krew swoją w walce zewnętrznej i bezpłodnej, która powstrzymała płodnorodną pracę sztuki; zniechęcenie po tysiąc razy skradło im i światu najpiękniejsze ich uniesienia, najbardziej młodzieńcze ich zapaly; wiele godzin, które mogły być godzinami genialnych natchnień, godzinami światła, które mogły promieniować w czasie i w przestrzeni i tworzyć rzeczy nieśmiertelne, stały się bezpłodnymi godzinami smutku i przygnębienia! Owóż, było to może dziełem małej krytyki, która pozostała obojętną. Wzięła ona sobie za zadanie przytłumić święty ogień, który miała obowiązek podtrzymać.

Bodajby ją żywcem pogrzebano!

Czy chcecie wiedzieć, jak wysoko wznieść się może krytyka? patrzcie, jak nisko spaść może. Mierzcie jej dobrodziejstwa możliwe według spustoszeń, które sprawia.

Sztuka miewa różne okresy i fazy; nadchodzi w swoim czasie w jej życiu dzień, w którym osiąga pełną świadomość siebie. Czy każdy z nas nie przechodził tych wspaniałych godzin światła wewnętrznego, gdy wydaje się, że człowiek, w pełnym posiadaniu swej własnej istoty, dostrzega ją i rozpoznaje po raz pierwszy? Rzekłbyś, że uwolniony od przeszkód wszelkich i wyzwolony z ciemności, poza którymi ukryty był sam dla siebie, wkracza nakoniec w dziedzinę wolności i radości istnienia swego. Jest to rzut oka na sfery, które zdawały się stracone! jest to zbudzenie spojrzenia ludzkiego. Chwile te rzadkie są i prędko mijają.

Najczęściej jesteśmy niewidzialni dla siebie samych, wyzuci z siebie samych. Człowiek rozpoznaje się tylko przy świetle błyskawicy. Błyskawica przerwywa ciemności nocy, jaśnieje przez chwilę i gaśnie, a człowiek żyje wspomnieniem, oczekując przyszłej błyskawicy.

Gdy błyskawica zabłyśnie nad Sztuką, to krytyka budzi się, powstaje. Trzeba oczyścić tę nazwę krytyki od znaczenia rzeczy z natury ujemnej, żyjącej zarzutem, jakie jej bywa nadawane. Słowo to oznacza rozróżnienie. Owóż rozróżnienie jest to dzieło światła.

Krytyka jest sumieniem Sztuki.

Kiedy Sztuka dostrzega i odczuwa się; kiedy powiada: istnieję, oto jestem; jej okrzyk radosny,

to wznoszący się w górę polot krytyki. To też żyje ona entuzjazmem, nie przeczeniem. Wystawiają ją sobie zazwyczaj zwróconą ku nicości; ja ją widzę zwróconą ku istnieniu. Czas już, aby nauczyła się uwielbiać.

Jedna z prerogatyw geniuszu polega na tem, że entuzjazm, który jedynie może go odczuć, ma wyłączne prawo do sądzenia o nim. Mierność, pozbawiona tego odczucia, dostrzega w geniuszu tylko ujemną jego stronę, braki jego; sądzi go, jak urzędnik sądowy winowajcę. W oczach mierności geniusz zawsze jest winowajcą, a jeżeli nie znajduje ona w lekcyach, które umie na pamięć, tekstu mogącego go potępić, nie wiele się o to troszczy; jest on potępiony z góry w imię prawa bez określonej formuły, umyślnie stworzonego. Wielka krytyka żyje uwielbieniem, mała drobnymi szykanami. Entuzjazm w świecie obecnym jest rzadkością; niechże krytyka wyteży wszystkie swe siły dla pobudzenia go, a stanie się żywą. Niechaj przyniesie swą cegielkę do budowli nowej młodości, młodości oczekiwanej przez świat cały, bo brak młodości wielce czuć się daje na ziemi. Trupy wyziębione zaludniają pracownie i siedziby artystów.

Rozpusła przeszła tędy. Ona to włóczy po ulicach Paryża, w promieniach zawsze młodego słońca, owych starców dwudziestoletnich. Owóż, krytyka ma wzniosłe posłannictwo odświeżyć krew pracowników i przywrócić im młodość. Aby dokonać

tego zadania musi ona mieć przedewszystkiem duszę, wiele duszy.

Czy nie wiecie, że artysta, który chce tworzyć, cierpi zawsze straszliwie? Czy nie pomyśleliście, że nie urzeczywistnia on nigdy tego, co chce urzeczywistnić? Czy pomyśleliście, że każde arcydzieło musi być nieodzownie ofiarą? Czy pomyśleliście, że wielki artysta wydaje bitwę mając pewność przegrania jej, że jest skazany na wieczne chybienie swego celu, ponieważ celem jego jest piękno doskonałe, do którego z wyższego rozkazu musi dążyć, a z zakazu wyższego nigdy dotrzeć nie zdoła? — Zużywać swe życie i zapytywać siebie, czy go się nie zużywa daremnie; zaczynać swe dzieło i powątpiewać o niem; wszystkiego się lękać, a postępować wciąż naprzód, jakby się nie miało żadnej obawy — oto jego los! Natchnienie potrzebuje szczęścia, a jednak tyle jest ludzi pracujących w ciemności, w cierpieniu, którzy stłumili krzyk swego serca, którzy zapomnieli o swych bólach, aby nie stać się bezpłodnymi, którzy tworzyli, ponieważ chcieli tworzyć wtedy nawet, gdy już nie pragnęli tworzyć.

Napróżno zresztą wielki artysta próbowałby wypowiedzieć się szczerze przed swem otoczeniem. Jemu podobni nie z tego są świata. Musi on przechodzić mroźne przestwory samotności.

Skoro go ujrzy zdaleka, mała krytyka (przypuszczam, że sama nie wie, co czyni) kole go tysią-

cem szpilek i bawi się patrząc, ile kropel krwi pozostało mu jeszcze do wylania.

Czy pojmujecie wzniosłe zadanie, jakie staje wówczas przed krytyką prawdziwą? Powinna ona wznieść się dość wysoko, aby stać się pocieszycielką. Powinna wkroczyć śmiało na pole życia, jedną ręką ująć zimną dłoń tego, który idzie samotny, a drugą wskazać go oczom ludzkim. Powinna być dość odważną, aby wielbić i piętnować otwarcie. Powinna dać poznać jego hańbę stadu ludzkiemu tak głupio uległemu ślepcom, którzy mu przewodniczą, a tak głupio opornemu wobec tych, którzy widzą światło dzienne. Tam, gdzie nie ma miejsca dla miłości, nie znajdziecie nic pięknego, prawdziwego, ani płodnego; charakterem zaś krytyki ujemnej jest brak miłości. Niechaj w krytyce zbudzi się miłość nieskończoności, a oblicze sztuki ulegnie zmianie. Jeżeli krytyka umiłuje nieskończoność, zdobędzie się na spojrzenie ogarniające ogół zjawisk.

Pierwsze słowo człowieka miernego, gdy sąd wydaje, dotyczy zawsze jakiegoś szczegółu, i to pierwsze słowo jest zawsze fałszywe, choćby zawierało prawdę. Fałszywe jest miejscem, które zajmuje, fałszywe znaczeniem, które mu nadano, fałszywe odosobnieniem, w którym pozostaje. Zdaje się ono wykluczać wszystko, co nie jest w niem

zawarte, zdaje się poczytywać za wszystko, to co jest niczem, a wszystko inne za nic.

Wielki krytyk zajmuje stanowisko dość wyniosłe, aby jednym rzutem oka objąć całość i wszystkie jej części. Nikt nie może sądzić tego, nad czym nie panuje. Uprzedzenia pospólstwa powodują stronnicość. Entuzjazm natur wyższych powoduje bezstronność, która jest chwałą sądu. Entuzjazm daje odwagę, a odwaga ma dwa główne tony: podziwia to, co piękne, piętnuje to, co szpetne.

Czego więc potrzeba? Potrzeba śmiałości. Oto warunek zasadniczy.

Jeżeli jesteś wielkim, krytyka powinna to wyrzec śmiało, choćbyś sam o tem nie wiedział i choćbyś się tem zadziwił. Powinna ona obchodzić się z tobą, jakiegokolwiek jest twoje miano i wiek twój, jak gdyby cztery tysiące lat przeszły ponad twym grobem. Taki jest jej obowiązek pod karą hańby. Jeżeli skradłeś imię, które nosisz, powinna głośno to oznajmić, kimkolwiek jesteś.

Cóż więc przeszkadza nam śmierć? i czegoż się lękamy? Zkąd ten bezrozumny szacunek, szacunek nicości? Czyż władztwo śmierci jest prawem nie-naruszalnem? Dlaczego pozostawiać przywilej słowa tym, którzy chcą powstrzymać obieg krwi i bicie serca? Czyż jest przepis nakazujący względy dla niedorzeczności i bezceństwa, gdy trwają przez czas dłuższy? Podnieście więc głos wy, którzy są-

dziecie! Wobec tej Sztuki, którą nam dziś dano, podnieście głos potępiający! Pocóż macie oręż w rękę, jeśli z zimną krwią patrzycie na poniżenie powszechne? jeśli znosicie ludzi, którzy zowią się artystami, a żywią obawę, żeby ziemia nie była dość przepełniona błotem? Pragną oni prześcignąć hańbę życia rzeczywistego hańbą życia urojonego, do którego nas wprowadzają.

Wzbudźcie więc w publiczności przytłumioną iskrę, pragnienie piękna! Krytycy, podnieście głos i powiedzcie tym ludziom: Wy artyści, wy ludzie obleczeni taką godnością i taką potęgą, iż myśl wasza staje się chlebem, który karmi innych ludzi, i krwią, która krąży w ich żyłach, wy stróże czystości języka, wyście splugawili język, wyście zarazili współczesnych swymi występami, aby następnie ciągnąć korzyści z ich upadku, będącego waszem dziełem! Wy którzy nosicie imię artystów i którzy za drogie pieniądze sprzedajecie hańbę ludziom, uprzytomnijcie sobie utraconą swą godność, ażeby zmierzyć, jeżeli to jest możliwe, całą głębię waszego upadku!

Wielki krytyk szuka wielkiego poety, jak żelazo szuka magnesu. Nie pytajcie mnie, który z nich wyższe zajmuje stanowisko, nie oznaczam im stopnia. Otaczam ich tym samym szacunkiem, tym samym podziwem. Krytyka jest jedną z najwyższych form Sztuki. Krytyk użyźnia grunt i głosi prawa. Odkrywa on poetę i wieńczy go.

Obaj oni wytrzymali próbę. Obaj byli odważni, walczyli i cierpieli. Obaj mieli zaszczyt pobudzić te same gniewy. Ci, którzy schylają czoła przed każdym powodzeniem, zarówno ich nienawidzili. Niechże więc będą złączeni w tej samej chwale. Pozwólmymy im więc spotkać się i uścisnąć się na wyżynach odwagi i na wyżynach radości. Ten, który może powiedzieć nieznanemu pracownikowi: jesteś człowiekiem genialnym! ten zasłużył na nieśmiertelność, którą przyobiecuje. Zrozumieć, to wyrównać — powiedział Rafael.

Pole krytyki rozleglejsze jest, niż sądzą ogólnie. Nie jest ona ograniczoną do uprawy tego lub owego drzewa. Cała przyroda jest jej dziedziną. Powinna ona być wszędzie obecną, gdzie jest wielkość zagrożona. Przebyła ona przylądek Dobrej Nadziei wraz z Vasco de Gama. Wszystkie tony, wszystkie harmonie powinny być dopuszczone w jej słowie, wolno jej miłować, wolno jej zachęcać. Miała ona swe miejsce przy Krzysztofie Kolumbie na pięć minut zanim okrzyk: Ziemia, ziemia! rozległ się na pokładzie szczęsnego okrętu. I to jest właściwe jej miejsce, jej trud, jej przeznaczenie, jej chwała. Wierność, wierność! oto tryumfalne jej hasło. Wierność, to trwałość zdobyta w końcu przez entuzyazm. Krytyka powinna być wierna jak potomność i głosić w chwale obecnej słowo przyszłości.

Krytyka w obliczu człowieka, który oczekuje

sądu, powinna rozpocząć rolę ludzkości i zagrać pobudkę hymnu, który potomność wygłosi nad jego grobem. Powinna ona tworzyć imiona, tworzyć sławy, pobudzać promienie do lotu. Czyż nie warto zrywać palmy takiej zasługi? Co do mnie, dobrem, zbawiennem znajduję, aby był zawsze wśród ludzi ów odważny i wytrwały, który po odkryciu Ameryki ma prawo spokojnie spojrzeć w oczy Kolumbowi, nie spotwarzywszy go i nie zdradziwszy.

Pogarda dla Sztuki.

I.

Są uczucia, dla których ludzie żyją i umierają, uczucia, które biorą zawsze poważnie. Do ich liczby należy na przykład uczucie rodzinne, godne szacunku, ale aż nadto często zepsute i w swem zepsuciu rodzące potwory, które roją się przed naszymi oczami.

Są inne uczucia, dla których ludzie zdają się żywić pogardę.

A oto co nazywam pogardzać uczuciem: jest to poddawać mu się, a nie brać go poważnie.

Wpółśród uczuć wzgardzonych przytoczę tu uczucie zachwyty.

Niektórzy ludzie nie znają wcale i nie doznają nigdy zachwyty. Nie można nawet powiedzieć, że się go wyrzekają; niesłusznie byłoby mówić, że umarli wyrzekają się życia. Życie jest im obce, jak i oni są obcymi życiu. Nie o tych tutaj chcę mó-

wić. Chcę mówić tu o tych, którzy umieją się zachwycać, lecz nie mają szacunku dla swego zachwyty.

Ci ostatni nie są pozbawieni wrażliwości na piękno, ale ich wrażliwość jest obelgą, ponieważ pozbawiona jest powagi. Powiedźcie im, przeczytajcie, pokażcie coś wzniosłego, będą wzruszeni; często, a nawet bardzo często wzruszenie ich będzie zapalczywe, wielomówne, hałaśliwe; będzie się wystawiało na pokaz, jak to jest we zwyczaju rzeczy niepewnych swej trwałości.

Ale nazajutrz znika ono bez śladu. Sprawy powszednie przeszły ponad niem. Zachwyt nie pozostawił nawet poza sobą ruiny, mogącej świadczyć o jego chwilowym istnieniu, nie pozostawił nawet po sobie czystej nicości, ani nawet prostego zapomnienia; pozostawił zapomnienie szczególnego rodzaju, które nie wyklucza pewnej pamięci i zwykle tłumaczy się w słowach: „Słyszałem tego artystę, sprawił mi wiele przyjemności“.

II.

Człowiek, który wczoraj pełen był zachwyty, mówi dziś, że mu zrobiono przyjemność. Czy wynika ztąd, że uczucia te były kłamliwe? Wcale nie; ale oto jaki jest stan rzeczy:

Człowiek ów przekonany jest, że prawda, piękno, harmonia, są to kaprysy, którym człowiek powa-

żny może się oddawać, gdy załatwił swoje interesy. Ale rzeczywistość dla niego, to jego zawód praktyczny. Wczoraj wieczór oddawał się uczuciom zachwyty, bo w danej chwili nie miał nic innego do roboty, codzienne jego zajęcia były zakończone. Uznał wtedy za słuszne poświęcić sprawom wiecznym kilka chwil zbywających; ale nie żądał, aby nazajutrz wprowadził w swe życie prawdy, które w przeddzień wstrząsnęły i odmłodziły jego duszę. Uznałby to żądanie za szaleństwo. Plakał może słuchając cię. Nie sądzę wszakże, aby to wpłynęło jakkolwiek na bieg jego życia. Plakał, ponieważ płacz do niczego nie zobowiązuje; człowiek ten gardzi łzami. Ale nie zmieni on ani na włos trybu swego życia, ponieważ szanuje swe zajęcia. Człowiek ten idzie na przedstawienie tragedii i lubi, aby jej bohaterka była bardzo nieszczęśliwą, gdyż dla wielu przyczyn nieszczęścia jej podobają mu się wielce. Ale gdyby nazajutrz spotkał się w rzeczywistości z nieszczęściem, któremu w przeddzień poświęcił swój wieczór, nie spojrzałby nawet na nie, bo to nie pora do śmiechu, ani do płaczu: to pora interesów.

III.

Owóż to przeciwieństwo zadziwiające między człowiekiem w teatrze a człowiekiem w życiu, rozciąga się dalej, aniżeli się to zrazu wydaje.

Za każdym razem gdy mu kto mówi o prawdzie, o piękności, za każdym razem, gdy mu kto mówi o rzeczach wiekuistych, sądzi, że się znajduje na widowisku. Za każdym razem, gdy mu kto mówi o rzeczach niewidzialnych, sądzi, że się znajduje na widowisku. Rzeczy niewidzialne albo-
wiem są dlań bez rzeczywistości, stanowią dekorację sceny, na którą wprowadza go czyjeś słowo. Ale nie dajcie się oszukać; ten sam człowiek, jeżeli mu nazajutrz będziecie mówili o czynach, których prawda wymaga, jeżeli mu powiecie, żeby stosownie do praw stworzenia, przemieniał na chleb promienie słoneczne, wyśmieje was, jakbyście go namawiali, aby niósł pomoc nieszczęściom przedstawianym w teatrze. Nieszczęście owo okłaskiwał on chętnie, bo wiadomo przecie, że nieszczęścia bywają zazwyczaj okłaskiwane, okłaskiwał tedy je chętnie, ale to go nie zobowiązuje do niesienia im pomocy.

IV.

Każdy człowiek nosi w sobie pewną ilość ludzi, a wszyscy ci ludzie różne mają przekonania. W jednym człowieku mogą się spotkać, artysta, uczony, filozof, ojciec rodziny, pracownik, a każda z tych osobistości ma właściwy sobie sposób zapatrywania się na rzeczy, przeciwny poglądom sąsiada; ponieważ zaś wszystkie te osobistości pełne są umiar-

kowania, więc żyją pod wspólnym dachem we względnej zgodzie. Niekiedy artysta wysuwa się naprzód, wtedy ojciec rodziny chowa się do kąta. Innym razem ojciec rodziny zajmuje naczelne miejsce, wtedy artysta ucieka. Jeżeli między ludźmi mieszkającymi w człowieku wielorakim, o którym mówiłem, znajduje się przypadkiem chrześcijanin i jeżeli ten chrześcijanin nie owdładnie swymi towarzyszami jako prawda najwyższa i pełna życia, wtedy mamy zjawisko potworne, śmieszne, niedorzeczne, które zapelnia jednak nasze ulice i nasze domy. Ów nieszczęśliwy chrześcijanin w swej własnej siedzibie oddany jest na pastwę dzikich zwierząt. Jeżeli nie nawróci on artysty, który przemieszkując razem z nim w tym samym człowieku, artysta i chrześcijanin w tem samym sercu ludzkim będą cichą toczyli walkę, tem głębszą, że podobna będzie do haniebnego pokoju. Kiedy chrześcijanin zabierze głos, powie że pewne rzeczy są prawdziwe. Kiedy artysta głos podniesie, powie, że pewne rzeczy są piękne, a te dwa rodzaje rzeczy będą pozostawały z sobą w przeciwieństwie. W tem sercu spustoszonem chrześcijanin burzyć będzie pewne bożyszcza, które wielbi artysta, a skoro chrześcijanin ustąpi na chwilę i artysta natomiast zapamięta, wzniesie napowrót zburzone bożyszcza i znów wielbić je będzie przez czas pewien. Chrześcijanin potępi artystę, jako wroga prawdy, którą człowiek wyznaje; artysta pogardzi chrześcijaninem jako

wrogiem piękności, którą człowiek wielbi, i walka między temi dwoma osobistościami będzie tem dłuższa, tem bezużyteczniejsza i tem bezpłodniejsza, iż między niemi dwoma w tem samym sercu mieszka człowiek światowy. Ów człowiek światowy postara się doprowadzić do zgody artystę z owym panem chrześcijaninem. Obydwom doradzać będzie ustępstwa, każdemu naznaczy jego wydział; ustanowi się sędzią między nimi i wyroki jego nie dopuszczą do wyjaśnienia sprawy, dopóki wyższa potęga nie wkroczy, by ją wziąć w swe ręce.

V.

Z powodu obrazu św. Sebastjana, przebitego strzałami, pewien dziennik pomieścił następujące sprawozdanie:

„Zapewne, obraz pana Ribota jest pozbawiony stylu, ale wobec tematu danego, trywialność ta mniej jest rażąca. Św. Sebastjan w Sztuce nie ma żadnych pretensyi mistycznych. Malarstwo zapatrywało się zawsze na jego męczeństwo z czystego punktu widzenia malowniczości. Czyniło go naprzemian, bądź to Męczennikiem swoim, bądź to swym Apollonem religijnym. Czasem jest to piękny młodzian z wdziękiem przywiązany do drzewa i wystawiający na strzały oprawców swą pierś Niobida, jakby ją miał wystawiać na strzały Amora. Czasem zaś jest to przedmiot

amfiteatru anatomicznego, rozcinany pędzlem niby skalpelem*.

Wyrazy te zostały napisane. Nie wymyśliłem ich, tylko je przepisałem; nie zostały one napisane umyślnie, aby mi służyć za cytate. Owszem napisane zostały zupełnie poważnie przez człowieka, który w ten sposób zapatruje się na męczeństwo św. Sebastjana, który temu zapatrywaniu wcale się nie dziwi i który wcale nie myśli na ten przedmiot zapatrywać się inaczej. Wyobraźcie sobie teraz malarza religijnego, odtwarzającego ten sam temat pod natchnieniem wyobrażeń, które podyktowały dziennikarzowi przytoczony wyżej pogląd.

Malarz ma brać się do pędzla w przekonaniu, że uprawiana przezeń sztuka zapatruje się na męczeństwo św. Sebastjana z punktu widzenia li tylko malowniczości. Czyniła ona tak z a w s z e, nie więc jej nie pozostaje, jak czynić tak i nadal. Nigdy nie zadała ona sobie pytania, kto jest w rzeczywistości św. Sebastjan i czym jest jego męczeństwo, nigdy do głowy nie przychodziłoby jej takie pytanie, przed odtworzeniem tego przedmiotu na płótnie. Ale obchodząc się tak ze św. Sebastjanem, nie miała wcale zamiaru czynienia mu obelgi. Postępowała raczej jak dziecko, biorące zabawkę do rąk. I krytyk nie dziwi się temu zjawisku, owszem podnosi je z miną poważną. Przyzwyczajono się do tego.

Wobec św. Sebastjana, ani na chwilę sztuka

malarska nie zastanawiała się nad tem, czem był w istocie rzeczy przedmiot, który podjąć zamierzała. Nigdy w świecie. Miała przecie farby na swoje rozporządzenie. Co ją obchodzić może św. Sebastian? Poszukuje ona przecież tylko efektów malarskich.

Że Apollo jest demonem, a św. Sebastian jest świętym, ten szczegół jej nie zajmuje. Wszakże ma ona farbę niebieską, czerwoną, żółtą, na usługi obu. A zresztą w Sztuce św. Sebastian nie jest przecie mistyczny.

W Sztuce! Trzeba się dobrze zastanowić nad głębokością tego wyrazu. Św. Sebastian gdziekolwiek, św. Sebastian w rzeczywistości, św. Sebastian w historii, św. Sebastian na ziemi, św. Sebastian w niebie, może sobie być czem mu się podoba, sztuce malarskiej nic do tego. Wszakże to jasne. Jej potrzebny jest pewien szczególny św. Sebastian, taki, jaki bywa w Sztuce. A jakiż on bywa w Sztuce? Powiedziano nam to łaskawie: bywa on malowniczy. Niech was to zatem nie dziwi, jeżeli obraz pozbawiony jest stylu. Wobec danego tematu trywialność ta nie jest rażąca. W istocie, co może być bardziej trywialnego jak męczeństwo św. Sebastiana? Malarstwo wobec tak pospolitego przedmiotu i wobec tak malowniczej osobistości, waha się jedynie między Apollonem i preparatem anatomicznym. Skoro znajdzie się ono wobec podobnej trywialności, skoro

znajdzie się wobec Świętego, na pociechę swoją potrzebuje mieć demona, albo trupa.

Artysta, który w sposób tak malowniczy odtworzył tego demona, lub owego trupa, dał nam obraz religijny, ponieważ w katalogu galeryi obraz ten nosi imię św. Sebastiana.

Jaki jest sam obraz, nie wiem; ale oto, jak został oceniony, czy na to zasługiwał, czy nie. I takie rzeczy drukują się w lat przeszło 1800 po Chrystusie!

VI.

Jednem z najwykleszych uczuć u artystów jest pogarda dla Sztuki; jednem z najwykleszych uczuć u krytyków jest pogarda dla Sztuki.

Nazywam pogardą dla Sztuki przyzwalanie jej, aby kłamała.

Artysta pogardza Sztuką, gdy dąży do czego innego, niż do urzeczywistnienia prawdy. Krytyk pogardza Sztuką, gdy przebacza jej dążenie do ideału nie mającego w sobie prawdy.

Słyszmyy codziennie to niedorzeczne zdanie, stosowane do pierwszego lepszego błędu, skoro ten błąd wyrażony jest w języku mniej lub więcej świetnym: To jest poezya.

Skoro człowiek przeciętny, mówiąc o kłamstwie, wyrzekł te słowa: To jest poezya, sądzi, że tem samem rozgrzeszył kłamcę. Rzecz ma się

wprost przeciwnie: wyrzekł on nowe oskarżenie, gdyż jeśli kłamca kłamie poetycznie, każe on kłamać słowu w jego najwyższej postaci.

Poezja znaczy twórczość.

Kłamstwo, które dosięga poezji, profanuje świątynię.

Człowiek przeciętny, skoro chce usprawiedliwiać wybryki nierządne innego człowieka, mówi o nim: „To jest artysta“. Jeżeli zaś naprawdę mowa jest o artyście, nierząd staje się potwornością.

Muzyka ma za istotę swoją prawa matematyczne, rytmika wiersza osiąga swą harmonię przez ścisłość określającego je prawa. Artysta żyć powinien w całej surowości ładu duchowego; podziw nie powinien się doń zbliżać inaczej jak z szacunkiem, a zachwyt pozbawiony surowej powagi naj-sroższą jest obelgą.

Konwenans. Fantazja. Ład.

I.

Dzieło sztuki utworzone przez artystę drugorzędnego wypowiada, jaką była myśl jego. Genialne dzieło Sztuki oznajmia nam również, jaką była myśl artysty; ale z punktu widzenia znacznie wyższego, odsłania nam, jaką myśl ta nie była. Bo z natury rzeczy myśl ta, wyższa od wszelkiego wykonania, nie daje się nigdy zupełnie wypowiedzieć.

Artysta opracował bryłę marmuru i osiągnął w niej urzeczywistnienie pewnego piękna. Wydobył on piękno ukryte przez ociosanie materii bezkształtnej, przez zniszczenie bryły, przez wydobyć formy wewnętrznej i niewidzialnej, która zawierała w sobie piękno ukryte poza materią, jak iskra kryje się we wnętrzu krzemienia.

Skoro uzna, że praca jego jest doskonała, to jest bez wady, artysta mierny zatrzymuje się zadowolony.

Człowiek genialny skoro uzna, że praca jego pulsuje życiem, że pełna jest jego myśli, nasycona i tryskająca ogniem jego duszy, zatrzymuje się także, ale zatrzymuje się mimowoli, smutny, zwalczony własnym swym tryumfem.

Przez ociosanie materyi, będącej dlań zarazem przeszkodą i środkiem, zbliżył on dzieło do ideału, ale w chwili, gdy miał już osiągnąć szczytów myśli, musi się zatrzymać, gdyż przy następnej uderzeniu dłuta zepsułby swe dzieło, zniszczyłby je może.

Materia odmawia posłuszeństwa dalszym ciosom dłuta; jeżeli artysta chce jeszcze je ponowić, zamiast życia może śmierć dać swojemu dziełu.

Pragnąc, aby to dzieło było czemkolwiek, musi on je pozostawić niedokończone; musi pozostawić do odgadnięcia z tego co uczynił, rozmiary i doniosłość tego, czego uczynić nie zdołał.

Każde arcydzieło jest szkicem. Niedokończenie jego jest znamieniem geniuszu, który wielkimi rysami rzuca swe pomysły, nie licząc na możność wykonczenia ich. To jest jego znamię, jego przywilej, jego potępienie i jego wielkość.

A im więcej wykonanie zbliża się do ideału, tem głębszą i szerszą wydaje się artyście rozdziałająca je przepaść; im bardziej wzrasta ilość boków wpisanego wielokąta, tem silniej daje się uczuć niemożność zlania go z okręgiem koła.

Dla zwykłego artysty, czy wie o tem, czy nie wie, prawo jest formułą. Oto dlaczego może on łatwo znaleźć zadowolenie; program jego może być wypelniony.

Dla człowieka genialnego prawo jest życiem, życiem i światłem. To też ocean jego jest bezbrzeżny. Wie on, że formuła, płodna, a przynajmniej pożyteczna niekiedy w nauce, absolutnie jawowa jest w Sztuce. Trzeba, aby pot spływał z czoła, jeżeli pole życia ma być uprawione. Żadna formuła niezdolna jest tworzyć, ani zapładniać, żadna formuła nie zawiesi grona winnego na gałązkach winnej latorośli. Obyczajem jest geniuszu zastępować wszędzie formułę życiem.

Ztąd wynika wzbudzony przezeń podziw. Ci, co są świadkami jego pochod, sądzą bezwiednie, że prawo to formuła, a teraz spostrzegają, że prawo, to życie i światło.

Tutaj zjawia się nam naznaczona w rysach ognistych linia graniczna między jednymi i drugimi. Wśród tych co wyrrywają sobie cześć świata i dzielą się nią, lub się nią nie dzielą, jedni byli ludźmi formuły, drudzy ludźmi życia.

Artyści, dla których prawo jest formułą, mogą, jak wyżej rzekłem, być sami zadowoleni z siebie, dodam, iż zdolni są zadowolić przez chwilę i publiczność.

Formuła jest receptą, którą trzeba tylko zastoso-

sować. Jest pewna ilość reguł dla napisania dobrej tragedyi; skoro te reguły ściśle będą przestrzegane, tragedia będzie dobrze napisana. Tam, gdzie reguła zastępuje prawo, rzemiosło zastępuje sztukę, mechanizm zajmuje miejsce organizmu, sztuczna gra sposobów miejsce życia. Owóż wszelkie sztuczne sposoby łatwiejsze są do opanowania, aniżeli życie. Przy pewnej cierpliwości można je sobie przyswoić. Życie zaś wtedy tylko może być uchwycone, gdy samo daje się uchwycić.

Prawo wynika z natury rzeczy.

Prawo sztuki jest wyrazem ładu w dziedzinie sztuki.

Reguła wypływa z umowy dowolnej.

Jest ona wyrazem zwyczaju podstawionego w miejsce życia, mody, podstawionej w miejsce prawa.

Jest w duchu ludzkim ciasna dążność, która skłania go do zrzucenia z siebie jarzma prawa, łączącego go z powszechnością wszechrzeczy, aby natomiast zamknąć się w regule, będącej jego własnym dziełem i odosobniającej go od powszechności rzeczy. Zamknięty w regule człowiek, chroni się za formułę. Zastępując życie mechanizmem, zastępuje miłość programem. Życie nigdy nie ma dosyć własnej obfitości — mechanizm jest zadowolony, gdy mu nie brakuje żadnej z jego części składowych. Miłość czuje się zawsze niedoskonałą, po-

nieważ porównywa się do nieskończoności, o której marzy nawet wtedy, gdy jest uspioła. Program nie żąda nic więcej, jak tylko, by wypełnione zostały postawione przezeń warunki.

Ztąd łatwe powodzenie ludzi mechanicznych: ich talent dostępny jest wszystkim. Aby go ocenić, dosyć znać warunki programu przez nich wypełnionego. Sami wolni od wszelkiej myśli o nieskończoności, uwalniają od niej chętnie swych zwolenników, a uznanie tych ostatnich jest dla nich nagrodą zupełnie zasłużoną.

Aby ocenić jedności mechaniczne Boileau, wystarczy liczyć do trzech. Aby odczuć jedność żywą i organiczną, przez nie sparodyowaną, nie ma na to żadnego przepisu; trzeba ją odczuć, a liczyć nie potrzeba ponad Jedność. Wogóle reguły mechaniczne pociągają pospólstwo grubym powabem przewziętej trudności. Człowiek mierny lubi liczne reguły, jak lubi widzieć płot na drodze rozpędzonego konia. Nie cieszy on się koniem, ale cieszy go śmieszne i szpetne zakłopotanie, w które głupota ludzka wprawia szlachetne zwierzę: — lubi on nade wszystko sztuki i sztuczki.

Owóż im liczniejsze są reguły, tem więcej załugi przypisuje sobie człowiek mierny ze ścisłego ich zachowania. Nie spostrzega, że owe reguły są to wybiegi, za pomocą których artysta niezdolny tworzyć wyzwala się od jedynej trudności, wartej zwycięstwa, od walki istotnej, poważnej i pełnej

chwaly, w której, chwytając za bary materję i narzucając jej działanie formy, wydobywa z niej i tworzy piękno.

Człowiek genialny nie zadaje sobie trudu gwałcenia sztucznych reguł; zapomina o nich poprostu; a wskutek tego człowiek mierny znajduje go bezładnym, gdyż jego wzrok krótki nie sięga wyżyn prawa, którego władzy poddał się człowiek genialny.

Jeżeli człowiek genialny przeniewierza się prawdzie, nie parodjuje jej zapomocą reguł dziecinnych, lecz odwraca wprost przyrodzony porządek prawa przeciwko prawu samemu i rzuca się na oślep w otchłań, świadcząc głębokością swego upadku o możliwej wysokości swych wzlotów.

II.

Umysł ludzki ulega łatwo działaniu konwencyonalnych formuł; z natury swojej spragniony prawa, skoro zapomni o prawie powszechnem, usiłuje je zastąpić przez prawa poszczególne. Każdy nieład dąży do wytworzenia w swem własnem łonie względnego ładu, bez pewnego ładu bowiem sam nieład musiałby przestać istnieć i ustąpiłby miejsca nicestwu. Nieład, który nie chce uleść sile ładu prawdziwego, ludzi się wytwarzając sobie ład pozorny; — gorączka nakłada sama sobie reguły.

Masz naznaczone spotkanie o godzinie szóstej

pod pewnym zegarem; przybywasz o wpół do siódmej, ale zegar późni się o pół godziny; ludzie znajdują, że przybyłeś na czas. Przybywasz o wpół do siódmej, ale zegar spieszy się o pół godziny, ludzie uważają, żeś się spóźnił o całą godzinę. Formuła konwencyonalna to zegar, który wskazuje inną godzinę, aniżeli słońce, i któremu ludzie przeciwko słońcu słuszność przyznają.

Wiersz, to zdumiewające zjawisko, zrodzone z połączenia słowa i muzyki, służy nam za doskonały a pełen tajemnic przykład zastosowania prawa i reguły.

Słowo potrzebuje harmonii; wskutek tego chce przeniknąć w dziedzinę muzyki, nie mieszając się z nią jednak. Rozważmy przez chwilę wiersz, wedle tkwiącego w nim prawa i wedle narzuconej mu reguły.

Wpółśród ludzi, zwanych nie bez ironii może wykształconymi, mało jest takich, którym poezya nie przypomina najwznioślejszych radości, najjaśniejszych uniesień i zachwytów, a jednocześnie też śmiesznych wysiłków i niewdzięcznych trudów, poniesionych dla niej w młodości.

Są tedy dwa rodzaje poezyi. Jedna objawia się nam w szczęśliwych godzinach wyzwolenia duchowego, druga, w godzinach trudu i oglupienia bierze nas za swych niewolników. A właściwie

jedna jest tylko poezya, tylko bywa ona często parodiyowana.

Wielki poeta nie jest li tylko wielkim pisarzem. Jest czemś więcej: jest władcą tajemnicy, którą zamierzam nieco bliżej wyjaśnić.

Gdyby wam powiedziano, że istnieje szczególna forma mowy, przystosowana do poezyi, z natury swej żyjącej entuzjazmem, odpowiedzielibyście zapewne: Ta forma musi być najswobodniejszą ze wszystkich, musi być wyzwoloną z wszelkich więzów, poeta powinien zależeć tylko od swego natchnienia.

Owóż rzecz ma się wprost przeciwnie. Zdawaby się mogło, że człowiek wziął sobie za zadanie gromadzić jak najwięcej trudności i wynajdywać dla umysłu, pragnącego ulecieć na wyżyny, jak najcięższe łańcuchy. Wiersz jest tworem tajemniczym, który tylko dzięki przyzwyczajeniu nie budzi w nas podziwu.

Co to jest rytm? Na pozór to przypadkowy zbieg końcówek. Gdybyś nie złożył nigdy dwóch wierszy i gdyby ci powiedziano ni ztąd ni zowąd: „Zaczynaj” — zapewne, sądząc rozumowo, przypuszczałbyś, że to nietylko trudne, ale wprost niemożliwe. Jak można się spodziewać, że bez pogwałcenia myśli, na końcu każdego wiersza znajdują się w sposób naturalny współbrzmiające rymy, że każdy wiersz będzie miał oznaczoną ilość zgłosek, że rymy męzkie i żeńskie następować będą na-

przemian i że te wszystkie niesłychane wymagania formy, które powinnyby gwałcić sens mowy, uczynić zeń pustą zabawkę, lub co najmniej zrodzić szereg zdań pozbawionych związku, przyodzieją myśl królewskim płaszczem, za którym tęskniłby musiała, gdyby go jej zabrakło.

W tem czarodziejstwie wiersza słyhać jakby skargę materyi, która zmuszona jest ciągnąć rydwan Harmonii, zwalczona i ujarzmiona przez nią, ale zarazem uczestnicząca w jej chwale i potędze. Dlaczego w świetlanych godzinach natchnienia, gdy artysta nie szuka, lecz widzi, rym przychodzi doń sam przez się, ażeby przyodziać myśl wspaniałością i blaskiem?

Czyż rym nie przypomina tych przypadkowych spotkań dwóch istot dla siebie stworzonych? Ta zgodność osób i rzeczy, które napozór nie zdały się być przeznaczone do wspólnego działania, czyż niepodobna jest do tej uległości słów i zgłosek, które nie śmia zwlekać swojego przyjścia, skoro myśl wzywa je na swoje usługi? Czyż naprawdę niema istot ludzkich, których imiona zdają się rymować ze sobą i które spotykają się pomimo tyśiąca przeszkód, aby kiedyś stać się epizodem wielkiego poematu świata, gdyż tkwiące w nich typy ukrywały w sobie zaród tego powinowactwa, które może gdzieś poza światem nosi miano Harmonii.

Tak więc, chociaż ujęta w ścisłe formy panującego nad nią prawa, poezya rozwija się z nie-

przebranej swej obfitości; jest ona rozpostarciem najgłębszych i najgorętszych naszych pragnień. Czyżby słowo także w poświęceniu miało czerpać zasoby swej siły i wzniosłości? Tak to przyćmiona napozór, poezja staje się blaskiem słowa ludzkiego, zamknięta w granicach ogarnia wszystko, ujęta w więzy prawa jest śpiewem wolności.

Wiersz poetycki skazany jest na rytm, będący dlań niewolą czasu i przestrzeni. A tymczasem dzięki temu niewolnictwu, poezja wybucha w całej swej swobodzie, panuje nad czasem i przestrzenią i sprawia, że odczuwamy z drżeniem sąsiedztwo rzeczywiste wieczności, wieczności, o której aż nadto często zapominamy. Oto dlaczego poeta nazwany został tem samem mianem co prorok. Oto dlaczego wielcy ludzie unieśmiertelnieni zostali przez poezję, która rozporządza przyszłością i miesza ją dowolnie z przeszłością, odnosząc obie do rzeczy niezniszczalnych. Jedną ręką dotyka ona świata widzialnego, drugą świata niewidzialnego i skoro poruszy na tym padole strunę wszechświatowej harfy, wprawia zarazem w drżenie inną strunę: odpowiadającą jej strunę świata niewidzialnego.

Oto jedna z form prawa.

III.

Co się tyczy reguł, czytajcie korespondencję Boileau i Racine'a. Pochwycicie w niej reguły na gorącym uczynku. Oto przykład:

Chodzi o to, czy Homer używał, albo nie używał wyrazów pospolitych. Boileau utrzymuje, że nigdy poeta grecki nie popełnił tego występku i że użyty przezeń wyraz „osioł“, w greckim języku jest bardzo szlachetny.

„Dobrze zważywszy, odpowiada na to Racine, sądząc, iż zamiast nazwać wyraz osioł w greckim języku bardzo szlachetnym, należałoby powiedzieć raczej, iż nie ma on w sobie nic poniżającego i że stoi on na równi z takimi wyrazami jak jelen, koń, owca. Epitet „bardzo szlachetny“ wydaje mi się tutaj za silny“.

Oto na jakim gruncie toczyła się rozprawa: do jakiego stopnia wyraz osioł może być nazwany szlachetnym? Czy trochę? Czy wiele? Czy wcale nie? Czy zupełnie nie?

Pewnego razu u pani de Broglie ktoś utrzymywał, że w Fedrze Pradona reguły ściślej zostały zachowane, niż w Fedrze Racina. Na to Boileau odpowiedział:

„Perypetya i agnicya powinny zawierać się jednocześnie w każdej tragedji, jakoż znajdujemy je u Racina, a nie znajdujemy wcale u Pradona“.

Na to przeciwnik przerwał, zapytując, co to znaczy perypetya i agnicya.

„Jakto, zawołał Boileau, chcesz Pan rozprawiać o regułach, a nie znasz nawet zasadniczej terminologii? pamiętaj nadal nie wdawać się w rozprawy o rzeczach, które ci są obce“.

Czy chcecie wiedzieć, czem były dla Boileau bóle porodu poetycznego? Przeczytajcie jego list do Racine'a, datowany z Auteuil i dołączony do rękopisu satyry o Kobietach:

„Ta praca zabija mnie, pisze tam, wskutek mnóstwa przejść i odcieni, które wedle mego zdania są najtrudniejszym arcydziełem w poezyi“.

Perrault napadał na Pindara; Boileau, zarzucając mu niepojmowanie greckiego pieśniarza „z powodu słabych wiadomości, taką przy tem czyni uwagę:

„Perrault, mówi on, poczytywał za śmieszne te godne podziwu ustępy, w których poeta nie posiadający się wśród unoszącego go natchnienia, by to zaznaczyć, z umysłu przerywa jednolity ciąg swej mowy“.

Czy pojmujecie? Cóż to jest wielki poeta, jeżeli nie szarlatan, który z umysłu przerywa ciąg swej mowy, aby zaznaczyć, iż nie posiada się wśród unoszącego go natchnienia?

„Sądzę, ciągnie dalej Boileau, że nie mogłem lepiej usprawiedliwić Pindara, jak przez ułożenie ody francuzkiej wedle jego wzorów, pełnej ruchu i uniesień, w której duch zdaje się raczej unoszony przez demona poezyi, niż kierowany przez rozum“.

Postanowiwszy w ten sposób umyślnie być porwanym i wpadać w szal poetycki, Boileau dodaje jeszcze:

„Na wzór dawnych poetów dytyrambicznych starałem się używać w tej Odzie najsilniejszych przenośni tak, iż białe pióro, które król nosi zwykle przy kapeluszu, przyrównałem nawet do komety, fatalnej jego wrogom, którzy sądzą się zgubionymi, skoro ją tylko ujrzą“.

Trzebaby wszystko cytować, ale wstrzymuje mnie od tego pewien rodzaj wstydu; pozostało nam jeszcze dosyć wielkości w duszy, aby uczuwać wstręt do tego, co poniża naszą inteligencyę. Powiedziałem dosyć o regułach, aby dać o nich wyobrażenie tym, którzyby ich dotąd nie znali.

IV.

Przed kilkudziesięciu laty grano u nas osobliwą komedję.

Pewna ilość zbuntowanych pisarzy uwzięła się na reguły i konwenanse literackie. Mając dosyć energii, aby je nienawidzieć, ale nie mając dosyć siły, aby nad niemi zapanować, powzięli oni przeciw regułom gniew szalony, który im się wydawał święty, a który był prawdziwą wściekłością, wybuchającą w obelgach. Ci młodzi ludzie, między którymi najgłośniejszym stał się Wiktor Hugo, odegrali bardzo poważnie i uroczyste rolę, polegającą na tem, żeby brać po jednym zwyczaje swych poprzedników i sprzeciwiać się im zawzięcie. Gdy ci ostatni nazwali coś białem, tamci krzykali, że to czarne. A żaden z nich nie dostrzegł,

że wszyscy oni w odwrotnym kierunku ulegali przymusowi, z którego pragnęli się wyzwolić, gdyż obowiązek gwałcenia ciągle jakiejś reguły równoznaczny obowiązkowi ulegania jej zawsze i stanowi nową regułę, która jest odwrotną stroną poprzedzającej, często o wiele więcej jeszcze od niej krępującą. Byli to ludzie ducha stronniczego, nie mający dostępu do prawdy. Żaden z nich też nie wzniósł się do pojęcia Sztuki.

Żaden z nich nie był dość wielki, aby w obliczu Sztuki zapomnieć o sobie. I stało się, że wszyscy oni zostali zapomnieni z tego powodu właśnie, że chcieli błyszczeć i stać się głośnymi. Wszyscy szukali rozgłosu, to też żaden z nich nie okrył się chwałą. Jeżeli wielu z nich osiągnęło czasowe powodzenie, to pochodziło ono z tych samych przyczyn, co powodzenie zwalczonych przez nich poprzedników. Pisarze ci, których zwano, nie wiem dlaczego, romantykami, zadowolili siebie i publiczność, podobnie jak ich poprzednicy, zapomocą pewnej recepty artystycznej, odwrotnej, a zarazem identycznej ze sposobem poprzednim.

Był to ten sam mechanizm działający tylko w kierunku wprost przeciwnym, a ponieważ działał on wedle programu, którego ściśle określone warunki mogły być wypełnione od pierwszego do ostatniego, artyści i publiczność mogli być zadowolonymi ze siebie nawzajem, okłaskiwać się bez zastrzeżeń i powstawać prawidłowo przeciw wszel-

kim prawdom, nie wykluczając żadnego z nich. Tylko prawdziwa wielkość celów i zadań nie pozwalała artystcie doznawać zupełnego zadowolenia z siebie. Chcąc być sprawiedliwym, dodać trzeba, że ona jedna tylko może dać zupełną radość. Gdyby rozgniewani przeciwnicy Horacyusza i Boileau patrzeli z wysoka, zamiast gniewać się, śmialiby się raczej, a gdyby spojrzeli z jeszcze wyższej wzniosłości, musieliby zapłakać.

Śmieszna walka klasyków z romantykami był to zapas krótkowzrocznych karłów, walczących w ciemnościach, aby pochwycić nieznana zdobycz znajdującą się na wzgórzu, a niedostępną tak dla ich ramion jak i dla ich oczu — zdobycz przeznaczoną dla orłów. Skoro Boileau i Wiktor Hugo zostali zwyciężeni, nie jeden przez drugiego, ale każdy z nich sam przez siebie, walka ustała z powodu braku walczących: — obaj oni utonęli w niezdrowym potopie swych słów pustych, jak dwie muchy w szklance wody, a żaden z nich nie tylko nie rozwiązał, ale nawet nie postawił problemu. Zamiast zapomnieć poprostu o istnieniu Sztuki romantycznej, szkoła 1830 roku miała słabość nienawidzenia jej, wskutek tego zamiast dać światu wyzwolenie, ukazała współczesnej publice śmieszne widowisko odwetu.¹⁾

¹⁾ Nie myślę tutaj dawać wyczerpującej oceny autorów, których wyżej przytaczałem. Rozpatrywałem tu nie całkowitą

Charakterystyką każdego systemu jest stawianie ograniczeń. Owóż granice zarówno są bezwzględne w nowym, jak w starym systemie. Każdy system przez to samo, że jest systemem, sądzi, że nie dosyć jest mówić, jak się myśli. Kładzie na słowa inne obowiązki, niż te, które wynikają z właściwej ich natury, pragnie im nadać piękno, pochodzące z kądinąd, aniżeli z natury samych rzeczy. Największe nieszczęście, jakie może przydarzyć się stylowi, zachodzi wtedy, gdy jest on podziwiany niezależnie od wyrażonych w nim idei, a system skazuje go zawsze na to hańbiące nieszczęście. System każe mu być bądź to szlachetnym, bądź poufnym itd., a przez to odbiera mu jego chwałę, jego świetność, jego szlachectwo prawdziwe, polegające na niezłomnej wierności idei.

Nowi prawodawcy, którzy zasłużyli w zupełności na tę nazwę, zastąpili konwencyonalną formułę fantazyą, to znaczy inną konwencyonalnością, bo czemże jest wszelka konwencyonalność, jeżeli nie fantazyą pewnej liczby ludzi? I naodwrot fantazyą jest nie czem innem, jak konwencyą, którą człowiek sam z sobą zawiera.

Konwencyonalność i fantazyą, nie mając nic

ich działalność, lecz tylko błąd ich. Jest to strona, którą oni przynależą do dziedziny kaprysu i złudzenia. Nie może ona oczywiście starczyć dla całkowitej oceny ich indywidualności twórczych.

wspólnego z nieskończonością, zadowolone są zawsze same z siebie i podobają się zawsze ogółowi pozorami nowości, któremi fantazyą pyszni się zuchwale, a które konwencyonalność ukrywa pod fałszywą postacią dawności. Ale uludne zadowolenie wytwarzane w ten sposób, pozostawia poza sobą próżnię, która przez prawdę tylko może być zapełniona.

Człowiek jest tak mały, że lubuje się sam w sobie, ale też jest tak wielki, że tylko Bóg może go zadowolić. Przewódzca szkoły chce być panem, narzuca swój system. Uczeń prawdy chce być sługą; przyjmuje prawo nie przez siebie uczynione. Owóż ten, który chce być panem, zapoznaje swą własną wielkość i pozbawiony jest prawdziwej ambicyi, gdyż biorąc sam siebie za cel, zapomina o swym celu ostatecznym, którym jest jego chwała.

Tylko rola sługi jest dosyć wielką dla człowieka. Oby Bóg zesłał nam ludzi genialnych dosyć ambitnych, aby zapomnieć o sobie, dosyć wielkich, aby mieć pokorę, dosyć pokornych, aby stać się wielkimi, ludzi, którzyby przywrócili rzeczom ich majestat stracony.

V.

Wśród ludzi pospolitych jedni sądzą, że poezya jest to pewne ćwiczenie, które można wykonać przy pomocy formuły; inni biorą ją za waryatkę,

której zasadniczym warunkiem jest bezład, która z istoty swojej musi być wyuzdana.

Tymczasem oto jest prawda:

Poezya i muzyka żyją miłością, a mają swą zasadę w prawach matematycznych, niewzruszonych i bezwzględnie ścisłych; możnaby powiedzieć, że miłość i ład, które nam się czasem wydają wrogami, w tym razie z pewną lubością głoszą swe zjednoczenie w najwyższych swych objawach.

Piaski ruchome.¹⁾

Wszyscy zdumiewają się, nie wiedzieć dlaczego, nad niestałością ludzką. Byłoby owszem godne podziwu, gdyby człowiek po swym upadku mógł pozostać stałym. Uczynić go takim, to największy wysiłek Prawdy i Potęgi. Czyż można się dziwić, że poza obrębem Prawdy i Potęgi ruina wciąż się chwieje i zapada? Jesteśmy ruiną, która pragnie być odbudowana. Czasem wydaje się nam, że posiadamy tajemnicę mocy i rzucamy się do odbudowania siebie samych według planu, który nam przyszedł do głowy; to znów za pierwszym powiewem wiatru uczuwamy chwieianie się wątlej budowy i narzędzia z rąk nam wypadają, wyrzekamy się dalszej pracy i zalewamy się łzami; a najslabsi, po płaczu, niezdolni zność całej powagi boleści, zaczynają się śmiać. Ale cóż to za śmiech, śmiech człowieka, który wyrzekł się radości! Jest to jedna z najsmutniejszych postaci lkania ludzkiego.

¹⁾ *Les plateaux de la balance.*

Wsluchajcie się w chaotyczne odgłosy ostatnich stuleci: usłyszycie, jak śmiech miesza się z płaczem, jak są podobne do siebie, jak naprzemian po sobie następują, jak przerywają się wzajemnie i zlewają zarazem?

Człowiek stracił wiarę i płacze: oto Rousseau. Zbyt lekki, a zresztą zbyt nikczemny, by dźwigać uczucie swego nieszczęścia, człowiek śmieje się po stracie wiary: oto Wolter. Wolter i Rousseau, to dwa wykrzywienia oblicza rozpaczy.

Rousseau posiada niejaka świadomość swego nieszczęścia; nieszczęście Woltera jest nieświadome. Człowiek ten stoi tak nisko, że śmiech jego nie jest wymuszony. Wolter upadł tak dalece, że po zabiciu, w granicach swej możności, Boga, człowieka, społeczeństwa, sztuki, śmieje się z pełni serca i tańczy na trupach swych mniemanych ofiar.

Człowiek, który stracił wiarę, żałuje jej przez czas pewien, następnie, w miarę jak pograża się w otchłań, żal jego ustaje wraz z jego pragnieniami, skoro zaś zstąpi na samo dno otchłani, człowiek pogardza Nieskończonością. *Quum in profundum venerit, contemnit.*

Rysem charakterystycznym Woltera jest pogarda Nieskończoności. Śmiech jego pożąda krwi, gdyż nosi w sobie rozpacz niedostrzegalną, ale śmiertelną. Dusza ludzka zawsze upomina się o swoje. Część poważna naszej istoty domaga się

odwetu. Ironia oszukuje i nie zadawała. Są w naszym sercu otchłanie głębokie i uświęcone tajemnicą ducha, z których, gdy ich nie nie zapełnia, wydobywają się jęki niewysłowione. Próbujesz śmiać się spokojnie, jak człowiek dobrze wychowany, ale mówię ci, bluźnierstwo stoi przy tobie, gdyż poza człowiekiem dobrze wychowanym jest człowiek prawdziwy; pod twoją odzieżą światową bije serce.

Pod szyderstwem Woltera, bez wiedzy szydercy, kipiała krew ludzka i pragnęła wylać się na zewnątrz; rozkosz i wściekłość walczyły ze sobą i godziły się naprzemian. I było zgrzytanie zębów, jak w piekle. Wybuch śmiechu skończył się rokiem 1793, jako naturalnem swem rozwiązaniem. Aby zadowolić człowieka śmiejącego się bez radości, niedość krwi płynącej w żyłach całego człowieczeństwa. Nienawiść i śmierć wyrwały się nareszcie z serc ściśniętych, w których nazbierał się obfity ich zasób. Temu się tylko dziwić można, że wesołość Woltera tak małym się zadowoliła, że nie sprowadziła zagłady rodzaju ludzkiego i że historia mogła pójść dalej... Poszła dalej jednak, a ci, którzy przeżyli śmiech Encyklopedystów, zmuszeni do powagi widokiem mordów, naraz w inny ton uderzyli. Powstała nowa szkoła, która zamiast śmiać się ciągle, uwzięła się płakać bezustanku. Romantyzm (takie bowiem imię przybrała ta szkoła) dwojakie ma źródło: wskazane przezemnie gdzie-

indziej źródło literackie, tj. bunt umysłu ludzkiego przeciw mechanizmowi pedantów, a prócz tego źródło uczuciowe, będące nieuchronnym zwrotem duszy ludzkiej ku pragnieniom poważnym, które odłączone zostały od idei zdolnych je zadowolić, a przynajmniej niemi pokierować.

Każdy młodzieniec, który nie otrzymał zdrowego i gruntownego wychowania, przez czas dłuższy lub krótszy żywi pragnienia bezprzedmiotowe. Takim młodzieńcem była literatura romantyczna. Romantyzm, to nastrój duszy, zwróconej przez niedolę ku poważnym zadaniom, a zupełnie nieświadomej swego celu i drogi doń wiodącej. Odczuwa ona wtedy dotkliwie cierpienia, nie szukając lekarstwa na nie, i słowo ludzkie staje się jedną wielką skargą. Jest się wtedy zmęczonym dawnymi wybuchami śmiechu, bardzo dalekim od radości, człowiek skarży się, i wzywa rzeczy bezimiennej, która nie odpowiada na to wezwanie. To też pragnienie romantyczne wyrzeka się wszelkiego zadowolenia w czasie obecnym, a nawet przyszłym; jest ono muzykalnem poddaniem się rozpaczliwej zorganizowanej. Ludzie szukają i nie znajdują nic; nie dziwią się nawet temu bardzo, bo wiedzą, że to, czego szukają, nie istnieje; wiedzą, że nic nie znajdują, a jednak szukają wciąż, szukają i wołają, lecz nic się nie zjawia. Czują wstręt do tego, co mają przed oczyma, żądają czegoś innego, ale czego? sami nie wiedzą. I drapują się majestaty-

cznie w tę nieokreśloność namiętnych swych pragnień.

Romantyzm jest pożądaniem Nieskończoności, pozbawionem Tego, który jest Nieskończony.

Romantyzm jest namiętnością, która wychodzi z założenia, że przedmiot jej nie istnieje.

To też epoka romantyczna musiała się zaznaczyć licznymi próbami stworzenia nowych religii.

W epokach zniechęcenia człowiek skłania się ku ubóstwieniu przyrody. Spragniony uwielbienia, a nieświadomy świata niewidzialnego, rzuca się na świat widzialny i mówi mu: bądź Bogiem! Ponieważ jednak Bóg ten nie jest Bogiem, człowiek unosi się gniewem, wielbi i przeklina naprzemian przyrodę, która nie troszcząc się o jego uwielbienia i jego złości, idzie wciąż odwiecznym porządkiem od zimy do wiosny i od wiosny do lata.

Tak więc rok 1830 nastąpił po r. 93, podobnie jak r. 93 nastąpił po Wolterze. I nic nie posuwa się naprzód i otchłań ludzka pozostaje zawsze otwarta. W r. 1830 melodramaty wzbudzają podziw dla zbrodni poczytywanych za wzniosłe; młode panny szczykają się, gdy są suchotnicami i pogardliwie spoglądają na towarzyszek zdrowe; te zaś zazdroszczą im, kaszlą z zapalem, chudną z radością i, być może, niektórym z tych nieszczęśliwych posiadaczek zdrowych płuc, udało się w końcu przez naśladownictwo dostać suchot.

W r. 1830 cierpienia i śmierć są na porządku

dziennym. W w. XVIII obrzucono szyderstwem wszelką wielkość i człowiek od swojej małości zażądał obrony przeciw swej własnej ironii. Wiek XVIII poczytywał za śmieszne wszystko to, co było wzniosłe i boskie. W r. 1830 ludzie zakochali się w wielkości, a chcąc stać się interesującymi we własnych oczach, umyślnie doprowadzili się do stanu wzbudzającego litość. Męczennik swych przywiden, człowiek z r. 1830 uwielbiał kobiety, które skazywały go na ostatnie męczarnie. Dla ukochanej, „która igra z jego łzami“, gotów był „skonąć na torturach“ z rozkoszą. Konać w męczarniach — oto szczęście idealne dla prawdziwego romantyka. Człowiek z r. 1830 cenił i praktykował samobójstwo; dziwna rzecz, że nie przywrócił tortury. Gotów był kaleczyć się własną ręką z zapalem, aby tylko wzbudzić zachwyt w innych ludziach i w sobie samym. Uważał się za zbyt wielkiego, by działać. Oczy jego uległy dziwnej chorobie, wskutek której widział wszystko w rozmiarach olbrzymich. Wolter sądził, że człowiek jest karłem — człowiek z r. 1830 spotykał na ulicy samych olbrzymów. Pierwszy lepszy chłopiec, kończący szkoły i zbrojny kilkoma rymami, wydawał się sobie samemu spiorunowanym tytanem. A ponieważ na głos owego tytana komety nie myślały wstrząsać z trwogi swych warkoczy złocistych, więc wielki człowiek czuł się w obowiązku względem swej wielkości

przyłożyć sobie pistolet do czoła, aby się pomścić na gwiazdach.

Zakochany w gwiazdach, oczekiwał od nich jakiegoś nieokreślonego szczęścia, ale straszliwie niewdzięczne gwiazdy pozostawiały go bez pociechy. Ztąd pistolet lub szczyt wieży kościelnej. Było to w najlepszym tonie rzucać się z niej w przepaść. Człowiek, zawieszony u gzemu między niebem a ziemią, gotów w każdej chwili stoczyć się w przepaść, mógłby dać powód niesmialemu romantykowi z 1830 r. do popelnienia niesłychanego grzechu zawieści.

Bładzi zwolennicy rzeczy pogrzebowych przechodzili się długi czas nad brzegiem smutnych jezior, strojni w pretensjonalną swą żalobę. Następnie, gdy ze swemi długimi włosami i melancholijnemi twarzami zeszli się pod cieniem wierzb płaczących, poczęli naśladować augurów rzymskich i oto śmiech odzyskał swe prawa.

Niepodobna jest człowiekowi grać ciągle tę samą komedię — maska spada; niepodobna powstrzymać okrętu — liny pękają; niepodobna powiedzieć: „oto jaki jestem“ — wiatr się zmienił i człowiek jest już inny. Zanim zdąży odmalować swój portret — wyraz twarzy uległ już zmianie.

W r. 1850 dzieci w szkole poczęły wyśmiewać złudzenia, którym rzekomo ulegały. Rok 1830 miał zaledwie lat 20, gdy umarł ze starości.

Próbowano wtedy śmiać się, ale bez powodzenia; śmiech był tak samo zużyty, jak i łzy.

Synowie Woltera przez nienawiść dla swych ojców, wymyślali w 1830 nowe religie,

Wnukowie Woltera przez nienawiść dla naszych religii, usiłowali powrócić do Woltera.

Ale ateizm okazał się równie zużyтым, jak nowe religie, a nowe religie okazały się tak samo zużyte, jak ateizm.

Niezużyta pozostaje tylko — nuda.

Ona to po każdej klęsce zabiera do niewoli pozostałych przy życiu wojowników.

Ludzie nudzą się przy śmiechu, nudzą się płacząc.

Szydzą — i tej roli również długo utrzymać nie mogą. Człowiek jest istotą żyjącą: gdy nie miłuje, musi nienawidzić. Ogólna obojętność jest mu niedostępna. Człowiek, który mówi: „o nic się nie troszczę“ — kłamie. Ironia nigdy nie może mieć ostatniego słowa u człowieka.

Ironia za sobą prowadzi łzy. Nie bez słuszności mówią: „kto śmieje się w piątek, ten płacze w niedzielę“.

Ale łzy, to krzyk wołającego, a wołanie, na które niema odpowiedzi, męczy w końcu i ustaje. Po długim szukaniu człowiek, który nic nie znajduje, siada choćby na kamieniu, by spocząć.

Człowiek 1830 r., siadłszy na kamieniu, stał się człowiekiem r. 1850, tj. człowiekiem, powraca-

jącym do spokojniejszej postaci nudy. Wołanie jego nie zostało usłyszane. I oto widzimy go w rozczarowaniu. Od pewnego czasu u młodzieży naszej złudzenie przybiera postać rozczarowania. W tym stanie, godniejszym jeszcze śmiechu i pogardy, niżeli stan poprzedni, ludzie sądzą, że prawda jest oziębła i że entuzjazm należy do dziedziny błędu. Ale ponieważ ludzie mają upodobanie w błędzie, nadają mu więc nazwę, która im się ładną wydaje; zowią go „złudzeniem“. Człowiek 1830 r. poddawał się złudzeniom, ale lubił nadewszystko rozwichrzony ich rodzaj. Ten sam człowiek od r. 1850 wyrzekł się złudzeń, ale ich żałuje; ustatkował się i teraz się nudzi. Oto jak niektórzy ludzie pojmują nawrócenie. Sądzą oni, że nawrócenie jest oziębieniem duszy. Sądzą, że młodzież do pewnego czasu powinna szafować ogniem, jaki ma w sobie, ale w późniejszym wieku powinna się nawrócić, tj. począć się nudzić wedle pewnych reguł. Nie spostrzegają, że prawda znajduje się po stronie wprost przeciwnej. Nawrócić się, to znaczy zwrócić się ku Bogu, który jest płomieniem pochłaniającym. Nawrócić się, to znaczy przystać do tego, co daje uniesienia radości. Nawrócić się, to obrócić się ku miłości, to błagać Boga o część jego życia, byśmy mogli kochać po bożemu. Nawrócić się, to być ogarniętym bez miary i ograniczenia przez niegasnące nigdy płomienie miłości niezmierzonej. Ci, którzy biorą za nawrócenie spokojne znu-

dzenie zniechęconego romantyka, powinni zwrócić uwagę na pewien ciekawy objaw, dający się spostrzedz w obecnej chwili. Człowiek 1830 r., który pragnął jakiejś nowej religii, a nie znalazłszy jej, przez pewien czas przycichł, jeżeli się nie nawróci do pożerających ogni religii wiekuistej, będzie wołał raczej, zamiast spać ciągle, poddać się na nowo swoim dawnym złudzeniom i powrócić do swoich lat dwudziestu. Wiek młody oszukał go być może. Ale wiek dojrzały oszukiwać go będzie jeszcze bardziej. Woli on już biegać i nic nigdy nie schwytać, aniżeli nie biegając i nie chwytając nic, zanudzać się w nieruchomym spokoju. I oto patrzcie! ludzie powracają znów do odwiecznej starzyny: mury Paryża pokryte są starymi afiszami. Stary melodramat, który tak lubilem w epoce, gdy nie kochałem, stary melodramat, który oszukiwał moje pragnienie i z którego tak wyśmiewałem się następnie, ów stary melodramat powraca obecnie. Powraca z krzykami dzikimi, z szaleństwami i rozpaczami, które przed kilkunastu laty wstrząsały murami naszych teatrów. Cóż chcecie? człowiek woli to, aniżeli nic. Człowiek potrzebuje jakiegokolwiek pokarmu; gdy mu zbraknie chleba, chwyta za truciznę. Nienasycona natura ludzka potrzebuje zawsze czegoś i gdy się nie karmi ogniem bożym, który gasi pragnienie i orzeźwia, rzuca się na ogień, który pali i niszczy, aby tylko czuć cośkolwiek. Człowiek, który się oszukał, potrzebuje

chleba żywota, nie nicstwa. Człowiek, który błędził w swych pragnieniach, potrzebuje chrześcijaństwa. Człowiek, który błędził w swych pragnieniach, pragnął nie zawiele, lecz za mało. Nie sięgał dość wysoko swem spojrzeniem. Ogół pospolity sądzi, że błędzić w swych pragnieniach jest to być nadto ambitnym. Rzecz się ma wprost przeciwnie. Błędzić w swych pragnieniach znaczy to nie być dość ambitnym, znaczy to chcieć zadowolić się tem, co nie jest Nieskończone. Tylko Nieskończoność nasycić może człowieka. Temu, kto pragnął nowej religii, potrzeba słowa bożego, potrzeba mu chrześcijaństwa takiego, jakim ono jest w swej istocie, chrześcijaństwa płomiennego.

Prądy sztuki nowożytnej.

Sztuka i literatura dążyły dawniej do ideału. Mogły pojmować go niekiedy fałszywie, ale zawsze miały go przed oczyma. Weźcie poezję liryczną, poezję dramatyczną, poezję epiczną, wreszcie powieść: wszędzie napotkacie dążność do ideałów. Wieki dawne w swej twórczości artystycznej i literackiej powodowane były pragnieniem poezji. Poezja ta czasem była prawdziwa, czasem fałszywa; nieraz pisarze brali abstrakcję za ideał, a napuszystość za wzniosłość. Nieraz przejęci uwielbieniem dla bohatera zapominali o człowieku; w upodobaniu do wykwintu zapominali o prostocie; w zamiłowaniu wytwornej formy zapominali o treści realnej. Ale zawsze, jakiegokolwiek były skutki ich usiłowań, usiłowania te miały na widoku jakieś pojęcie piękna i poezji.

Co uczynił wiek dziewiętnasty? Porzucił on tę dążność odwieczną, która wynikała z samej natury Sztuki, stanowiła jej życie, jej istotę. Po raz pierw-

szy od początku świata ośmielono się powiedzieć: „brzydota jest pięknem“ i poczęto szukać pierwotnych wzorów poza obrębem piękna.

Rewolucya, która dokonała się przed kilkudziesięciu laty i nosi miano romantyzmu, zniweczyła formuły, które zwano regułami i które trzymały w niewoli Sztukę; w tym względzie zupełną miała słusność. Ale jednocześnie zniweczyła życie Sztuki, którego istotą jest nieśmiertelna dążność do piękna, i w tym względzie zasadniczo złądziła. Po zniesieniu prawideł dowolnych zniosła prawa istotne. Usiłując zgwałcić prawidła, poczęła gwałcić je prawidłowo i ustanowiła nowe prawidła, będące pogwałceniem poprzednich. Onga literatura nie śmiała nazywać rzeczy po imieniu, w obawie, że imiona ich mogą być czasem niedość szlachetne, ale po dokonanych przewrocie literatura umyślnie nazywała rzeczy najmniej szlachetnymi imionami, aby okazać zdobytą świeżo wolność.

Onga literatura mówiła często o jałowicach, ale nie ośmieliła się wymówić wyrazu: krowa. Literatura rewolucyjna wspominała ciągle krowy, a nie śmiała wspomnieć jałowicy.

Takim sposobem stała się ona niewolnicą swej wolności. Usiłowania, które czyniła dla wyzwolenia się, zbudowały mury jej więzienia. Ale ponieważ to więzienie było dziełem jej rąk, brała je czasem za teatr, czasem za pałac, czasem nawet za świątynię.

Romantyzm przekształcił ideał, ale nie zniósł go. Ideałem jego stała się fantazyja, która zastąpiła mu dawne konwenanse Sztuki.

Fantazyja polega na nieobecności praw. W istocie swej jest samą niewiernością; romantyzm został wierny niewierności, którą uwielbiał.

Natura uległa upadkowi. Sztuka powinna się nią posługiwać, aby ją podnieść i z nią wspólnie iść na zdobycz piękna.

Romantyzm, zapomniawszy o upadku, wziął naturę za wzór, zamiast ją wziąć za narzędzie.

Zapomniał o ideale prawdziwym, ale wynalazł sobie inny ideał, uwielbił swój kaprys. Wyobraźnia stała się ulubionym jego konikiem, a w usiłowaniach skierowanych do rzeczywistości, dotarł tylko do własnej swej fantazyi. Chciał odtworzyć przyrodę, ale przyroda, którą zresztą mało badał, wysunęła mu się z rąk i w rezultacie odmalował sam siebie. Wyobraźnia uwielbiająca sama siebie zastąpiła rzeczywistość, jak przedtem zastąpiła ideał. Uwielbiała się w formach cudacznych. Wiktor Hugo wziął cudactwo na seryo i wysławiał je z zapalem. Nigdy ono nie było jeszcze tak czczone i samo dziwić się musiało owacyom, które mu czyniono; ale niebawem skołań odurzone swoim tryumfem i po romantyzmie nastąpił naturalizm.

Podziwiajcie logikę rzeczy! Zdetronizowano ideał; rewolucya literacka chciała uwielbić naturę i uwielbiła sama siebie. Włożyła koronę na swą

własną głowę i fantazyja, jako niewolnik podskakujący, by nadawać sobie pozór wolności, puściła się w płasy.

Ale oto natura dopomina się o przyobiecana sobie koronę; mówi do romantyzmu: nie mnie, ale siebie samego uwielbiasz, chcę, aby mi składano hołdy naprawdę, osobiście. I oto naturalizm następuje po romantyzmie. Zola mówi do Wiktora Hugo: Ustąp i zrób mi miejsce.

Ludzie nie zawsze są logiczni, ale posłuszni są zawsze logice, która ich prowadzi bez ich wiedzy.

Wiktor Hugo, nawskróś poeta, pomimo swej woli prześladowany był przez ideał. Ideałem jego było jego ja, to ja gigantyczne olśniewało go; cała przyroda rozplywała się w złocistym marzeniu, w którym dzień i noc jaśniało owo promieniste ja Wiktora Hugo.

Zola, nawskróś prozaik, nie jest dręczony przez żadną wizję. Nie poszukuje ani ideału ani samego siebie; maluje tylko to, co widzi.

Piękno w domu Sztuki stało się czemś obcem. Sztuka dziwi się, że nic o niem nie słyszy.

W dawniejszem pojęciu Sztuka wznosiła oczy ku górze.

Za czasów romantyzmu Sztuka patrzyła przed siebie. Co widziała przed sobą? Naturę może? Nigdy w świecie. Widziała siebie samą uzewnętrznąoną. Widziała pole swego własnego rozpędu.

Zatapiała się sama w sobie. Wielbiła się we

własnem swem odbiciu. Człowiek widzi naturę przez pryzmat swej myśli. Bardzo rzadko maluje ją jaką ona jest. Zazwyczaj maluje ją taką, jakim on jest. Otóż romantyzm, jako system, widział naturę przez pryzmat reguł, lub jeżeli chcecie, kaprysów nietolerancyjnego systemu.

Geniusz mistrza nie stał na przeszkodzie tej nietolerancyi i sam nie doznał przeszkód z jej strony. Wiktor Hugo, będąc sam olbrzymem, widział wszystkie rzeczy w powiększeniu. Olbrzymiść była prawem jego spojrzenia na świat, gdyż była cechą charakterystyczną jego osobistości.

Sztuka zatem w swej właściwej naturze wznosiła oczy ku górze. W romantyzmie spojrzała przed siebie i zobaczyła się w zwierciadle, które przed sobą postawiła.

Gdy nastąpiło pojęcie naturalistyczne, Sztuka spuściła oczy ku ziemi.

Romantyzm ogłosił prawa natury, ale ograniczył się na słowach.

W naturalizmie natura dopomina się panowania prawdziwego i rzeczywistego.

Zola dotrzymał słowa danego przez Wiktora Hugo. I gdy krytyka poczęła się wznosić do sfer ducha, Sztuka pochyliła się ku dziedzinie materii.

Ongi romans zapelniony był wypadkami nadzwyczajnymi, nieprawdopodobnymi, od których pochodzi przymiotnik romantyczny. Od czasów Balzaca postaci romansu podobne są do tych,

które spotykamy codziennie na ulicy. Rycerze, którzy niegdyś wyzwalali uwięzione księżniczki, zastąpieni zostali przez aferzystów. Namiętności są wyrachowane, a romanse unikają przede wszystkim romantyczności.

Co do postaci z romansów Zola nie można ich nawet spotkać na ulicy, trzeba ich szukać w norach miejskich.

Urzeczywistnienie ideału i idealizacja rzeczywistości, takie jest zadanie Sztuki.

Nie powinna ona nigdy tracić z oczu żadnego z tych elementów, bez których istnieć nie może.

Czuwać nad posłannictwem tej wielkiej służebnicy, pobudzać Sztukę i drogi jej prostować, wskazywać ludziom jej wyniosłości i jej upadki, takie jest zadanie krytyki. Krytyka mimo wszystkich swych wahań i wszystkich swych błędów, zdaje się osiągać teraz samopoznanie.

W tej samej epoce Sztuka, jeżeli weźmiemy pod uwagę większość jej objawów, zdaje się tracić samopoznanie.

Są to zjawiska dziwne i uderzające.

Ludzie walczą w ciemnościach nocy. Często Sztuka i krytyka potracają się, nie widząc się nawzajem. Pragnąłbym, aby pogląd powyższy, obejmujący obie, zdołał rozjaśnić pole walki.

Rozmawiałem pewnego dnia z malarzem naturalistycznym w miejscu, gdzie wszystkie jego dzieła były zebrane i wystawione. Z powodu jednej po-

staci szczególnie szpetnej, nacechowanej wielkimi przymiotami realistycznego wykonania, rzekłem do artysty:

„Jak mogłeś wybrać sobie taki model, czyż uważasz to za piękne?”

„Piękne?” odpowiedział mi malarz, „co to ma znaczyć? czy widziałeś kiedy piękno? to tak, jakbyś mi mówił o Bogu”.

Oto jest ostatnie słowo w tej sprawie.

Powieść.

I.

Powieść jest nam współczesna; urodziła się w dziewiętnastym wieku. Sądzę przeto, że byłoby interesującym uchwycić istotę tej osobistości, należącej ściśle do zajmujących nas zjawisk życia współczesnego.

Ale może powiecie: Powieść stara jest jak świat. Od pasterzy greckich do rycerstwa średnio-wiecznego, od *Dafnisa i Chloe* aż do *Adeli i Teodora*, powieści — zapełniały wszystkie biblioteki, wszystkie pamięci ludzkie, wszystkie literatury.

Uwaga ta nie pozostaje w sprzeczności z tem, co wyżej powiedziałem. Powieść istniała od dawna, ale nie taka, jaka istnieje dzisiaj. Nazwa była ta sama, ale rzecz zupełnie różna i właśnie ta różnica nadaje powieści dzisiejszej charakter szczególnie ujemny, który należy nam uwydatnić.

Powieść w starożytności była zabawką wyobraźni. Nietylko nie chciała uchodzić za odbicie życia

rzeczywistego, lecz uciekała odeń jak najdalej. Za przedmiot obierała zawsze przygody dziwaczne, cudowne i nieprawdopodobne. Stykała się z dziedziną baśni, a niekiedy nawet całkiem ją ogarniała. Wpadała bądź to w ton liryczny, bądź w ton epiczny, bądź w tragiczny. Poczytywała rzeczywistość życia za skałę, o którą mogłaby się rozbić i której zatem pod grozą śmierci należy unikać.

Ficker w *Historii literatury starożytnej*, pod nazwą *Powieści* pojmuje: opis krasomówczy szeregu zdarzeń i przygód cudownych. Do tego rodzaju, mówi on, zbliżają się też opowiadania podróży, zawdzięczające swe powodzenie zamilowaniu odległych i nadzwyczajnych przygód, wzbudzonemu przez wyprawy Aleksandra W.

Antoniusz Diogenes napisał jedną z takich opowieści i oto przedmiot tego dzieła zachowanego w streszczeniu przez Focysza. Rzeczy cudowne, które można widzieć poza wyspą Thule. (Tłomaczenie francuzkie p. Chardon de la Bochette, *Mélanges de crit. et de philos.* t. I).

Ten tytuł pouczający określa dobrze naturę prac tego rodzaju. Aby znaleźć przedmioty dla *Powieści*, literatura starożytna wędrowała poza wyspę Thule. Z podróży to, z podróży dalekiej i nadzwyczajnej, powieść wysnuwała swą treść. Czytelnik byłby strapiony, gdyby akcja rozwijała się w jego otoczeniu i gdyby bohatera książki

mógł spotykać w sąsiedztwie, na ulicy, lub ujrzyć go w swoim mieszkaniu.

W starożytności bohater był zajmującym wtedy tylko, gdy był bajecznym.

Achilles Tattius był jednym z przedstawicieli greckich tej literatury. Napisał on *Historię Olitophona i Sencippy*. „Praca ta, mówi Ficker, pełna jest dziwacznych przygód, nieprawdopodobieństw, i przeładowana faktami zbytecznymi, powstrzymującymi akcję i nie złączonymi zeń ściśle. Autor nie opuścił żadnej sposobności rozwodzenia się w opisach napuszystych, w kwiecistych opowieściach, w rozprawach, sentencyach sofistycznych i wymuszonych, przesiąkniętych nawskróś ogólnikami“.

Xenofon z Efezu, Chariton, Eumathes Teodor Prodróm, najbardziej się odznaczyli w tej gałęzi literatury greckiej.

Ze wszystkich szczegółów, które wiedza nowożytna o nich posiada, wynika, że powieść poczęła się w Grecji przy schyłku literatury, a raczej po jej upadku. Możliwe, jak sądzę, nie przynosząc jej ujmę, określić ją jak następuje:

Powieść grecka jest zwyrodniałą postacią poezji epickiej, po której odziedziczyła ton, uroczysty, zatraciwszy żywą jej barwę.

Powieść wschodnią wyobraża zbiór *Tysiąca*

i jednej nocy. Jest to marzenie, wędrówka wyobraźni uciekającej przed rzeczywistością. Dążności moralne dobre lub złe rzadkie są w tej książce. Wyobraźnia pędzi przed siebie, jak koń rozkielzany. Chodzi tu po prostu, aby opowiedzieć jak najwięcej rzeczy zadziwiających i nagromadzić przed oczyma czytelnika jak największą ilość złota i klejnotów.

Rycerstwo średniowieczne przez długi czas stanowiło w Europie przedmiot powieści. Ale czy nie odnajdujemy tu kierunku Tysiąca i jednej nocy, mniej tylko bogatego w fantazyę? Jest to fantazyja zachodnia zamiast wschodniej, ale zawsze fantazyja. Mało nauczania, mało dążności do moralizowania, lub choćby demoralizowania, mało poglądów filozoficznych; jest tylko przygoda właściwa, lubiona, poszukiwana i wymyślana dla siebie samej, przygoda, która stała się celem Sztuki i celem życia, jeżeli w ogóle można tutaj użyć imion Sztuki i życia.

Gdy się zbliżymy do epoki obecnej, nie wkraczając w nią jednak, odnajdziemy w romansie nowoczesnym, ale nie współczesnym, charakter powieści greckiej. Charakter ten uległ zmianie co do formy, gdyż cywilizacja zmieniała się, ale pozostał on tym samym w gruncie rzeczy, bo przez podobnego rodzaju ludzi był pisany. Wiek osiemnasty, który jest najwięcej służalczy ze wszystkich wieków

i który zawsze z godnym podziwu instynktem naśladowuje zło, ciągnął dalej dzieło epoki upadku greckiego. Florian naśladowuje Longusa. Co jest bardzo szczególne i bardzo charakterystyczne, to że ów biedny Longus, autor *Dafnisa i Chloe*, był sofistą greckim. Jako sofista i powieściopisarz sentymentalny w jednej osobie, zdawał się on przeznaczony na ojca osiemnastego wieku we Francji. Głupowata idylliczność i sofistyka subtelna miłują się bardzo nawzajem, a okrucieństwo towarzyszy im zazwyczaj. Pasterze z romansów i sofisci są to dwa potworne rodzaje ludzi, którzy swym słodkim głosem wywołują w historii oprawców — i zazwyczaj oprawcy zjawiają się na ich wezwanie.

To społeczeństwo wyrafinowane i zepsute, zrodzone w salonach i w buduarach, poszukiwało w swoich romansach wsi, a przynajmniej tej rzeczy nie dającej się nazwać, która w osiemnastym wieku przywłaszczyła sobie nazwę wsi. Oto macie znów stały objaw, który zaznaczyłem w powieści dawniejszej, ucieczka przed rzeczywistością. Dość pomyśleć o scenie, na której rozgrywała się komedia życiowa osiemnastego wieku, dość uprzytomnić sobie w myśli owe salony pełne błota, krwi i łez, aby zrozumieć, iż wieś jest krainą najodleglejszą, jaką mogła naśladować w swoich marzeniach owa wyobraźnia zarazem nieruchoma i złąkana. Gdy osiemnasty wiek chciał iść bardzo daleko, w jakieś kraje nieznane, szedł na wieś. Wieś

wyobrażała dlań owe rzeczy nadzwyczajne, które widzieć można poza wyspą Thule.

Wiek osiemnasty próbował tedy czynić wybieczki na wieś, jak przeżyty schyłkowiec chciałby udać się na księżyc, aby zapomnieć o ziemi. Ale wieś jest niejako naturalnym przybytkiem bożym, a ten przybytek nie otwiera się przed pierwszym lepszym. Wiek osiemnasty wyobrażał sobie, że wieś jest podobna do jego parawanów, ekranów kominowych, ponieważ nie miał ani wzroku dość czystego, aby ją dojrzeć, ani umysłu dość otwartego, aby ją zrozumieć. I stało się, że mówił o przyrodzie, jak ślepy o kolorach.

Jeżeli streścimy rysy dostrzeżone w tym rzucie oka poza siebie, zaznamy w powieści od najdawniejszej starożytności aż do Pani de Genlis pewien charakter ogólny. Wyobraża on usiłowania człowieka, zmierzające do wyzwolenia się z życia powszedniego. Jest to upadek poezji epickiej. Poematy epickie opowiadały o podróżach ludów wstrząsanych wojnami. Powieść opowiada w tym samym tonie o podróżach jednostek, urozmaiconych przygodami. Ludy domagały się niegdyś od poezji epickiej uwiecznienia potężnych ruchów przez nich dokonanych; jednostki zażądały od powieści zastąpienia czemś wielkich ruchów, których nie dokonały. Zażądały, aby zaspokoili jakkolwiek nieokreślone pragnienia heroizmu, który żyje w ich

wyobraźni, a którego serca ich nie są zdolne urzeczywistnić.

II.

W wieku dziewiętnastym Powieść odmienną zupełnie poszła drogą: chce malować życie potoczne. Zapomniała zupełnie o wyspie Thule, zapomniała o Tysiącu i jednej nocy, zatraciła wszelkie wspomnienie krajów dalekich; odrzuciła precz trąbę epicką; przemawia tonem zwykłej rozmowy, lubuje się szczególnie w opowiadaniu o rzeczach pospolitych; wchodzi do miast naszych, do naszych domów, do naszych mieszkań. Stając się nam bliską, staje się nowoczesną. Żąda poufałości od czasu i przestrzeni, podczas gdy powieść starożytna pragnęła jak największego oddalenia od nich. Lubi ona poznać dokładnie, pokazać, opisać drobniaczko miejsce akcji i ubiór osób w niej działających; chce, żeby to miejsce było miejscem naszych przechadzek i naszych interesów, a ów ubiór był codziennym naszym ubiorem. Czyni tyle wysiłków, aby się wmieszać między nas, ile ich czyniła powieść starożytna, aby się od nas oddalić.

Nowy ten zwrot zapoczątkował Balzac. Poczęta w ten sposób powieść wywarła na obyczaje i cywilizację wpływ potężniejszy i istotniejszy, aniżeli go wywierała niegdyś.

Ongi była ona deklamatorska i rozlazła, obecnie stała się krzykliwa i ostra.

Powieść starożytna sfalszowała znaczenie życia idealnego, powieść nowoczesna sfalszowała znaczenie życia realnego. Powieść starożytna prowadziła na manowce wyobraźnię, Powieść nowoczesna, w tych objawach przynajmniej, które tu rozpatruję, serce prowadzi na manowce.

Powieść starożytna pobudzała ciekawość przez nadzwyczajność przygód awanturniczych i cudowność krajów odległych.

Czem zastąpiła powieść nowoczesna ów urok rzeczy nieznanych?

Oto jak sobie poradziła: Uciekła się do namiętności, zwróciła się do niej z żądaniem, aby jej zastąpiła wyspę Thule. Poczęła tedy wynajdywać uczucia gwałtowne, aby wybuchami ich wewnętrznymi zastąpić wyczerpane i zużyte przygody i wycieczki zewnętrzne. Następnie przymieszała namiętność do życia codziennego tak, aby mężczyznom i kobietom wrazić przekonanie, że namiętność jest solą życia. A ponieważ wycieczka do dziedziny namiętności łatwiejsza jest, aniżeli wycieczka na wyspę Thule, czytelnik uczuł, iż zdoła osiągnąć ten cel wyciągając rękę, i żądza naśladownictwa wzbudziła się w jego sercu.

W istocie rzeczy, jeżeli chodzi o określenie dążności romansu nowoczesnego i o szczere jej wypowiedzenie, oto mniej więcej nauka, jaką on daje.

„Młodzieńcze, życie nie ma sensu, ciężkie jest, trudne, nudne, głupie i ogłupiające. Przychodzimy

niewiedzieć zkąd i idziemy niewiedzieć dokąd, po drogach złych i przykrych, na których krok każdy jest nedorzecznoscą. Jeżeli jesteś człowiekiem popolitym, zanudź się na drogach utartych, kroczone po nich z uległością. Jeżeli zaś jesteś człowiekiem niezwykłym, powstań przeciw temu porządkowi rzeczy. Prawda, że rozbijesz sobie o nie głowę; ale cóż to szkodzi? Będiesz niezwykłym, wielkim, a ja, Romans, wystawię twoje znamienite czyny, co będzie niemalą dla ciebie pociechą.

Rzucaj się tedy na drogę namiętności. Prawda, że spotkasz się tam z okropnymi katastrofami i że namiętności nic dać nie mogą tym, którzy się im poświęcają. Ale będziesz przynajmniej uznany przezemnie za wielkiego. Nie ocale cię wprawdzie, bo nie mam po temu ani siły ani chęci, ale z przyjemnością przyglądać się będę twojemu zgonowi. Będę badał konwulsje twego konania, będę miał za punkt honoru jak najwierniej je odmalować, a ty osiągniesz tę chwałę, iż znajdą się tacy, co pójdą za tobą po drodze, która cię doprowadziła do zguby. A zresztą katastrofy podobają mi się bardzo. Wszak każdy ma prawo chwycić przyjemności tam, gdzie je znajduje? Twoje nieszczęścia bawią mnie, choć, co prawda, zbyt wiele to zaszczytu dla głupców, którzy mię słuchają, że mogą mnie zabawić choćby przez chwilę swem konaniem. A więc dalej dzielni młodzieńcze! Kroczcie śmiało za mną, gdyż postępuję w ciemnościach, rzucajcie się jeden

przez drugiego na drogi zgubne i bezcelowe: będziecie mieli umierając kilka pięknych spasmów, które dostarczą zabawy próżniakom. Pozwoli mi to zabić przyjemnie jedną i drugą godzinę, a gdybyście wiedzieli, jak okropnie się nudzę!”

Takby mówił Romans, gdyby przestał na chwilę kłamać i oszukiwać. Próbuje on wmówić ludziom, że namiętność jest smaczną przyprawą życia, a ponieważ kłamstwo wywołuje nie jakąkolwiek katastrofę, lecz katastrofę wprost przeciwną przyobiecанemu przez nie dobrodziejstwu, więc niesmak życia opanował ludzi współczesnych.

Błąd w końcu zawsze zostaje wyszydzony, trzeba tylko zrozumieć ironię. Wiek dziewiętnasty nudził się bardzo, co bardzo jest naturalne, ponieważ żył bez Boga. Wtedy Romans powstał i rzekł mu: będę cię bawił. Środek, który nie pomaga, czyni zazwyczaj wiele złego. Dawać wiekowi dziewiętnastemu romans do zabawy, znaczyło to samo, co drażnić otwartą ranę hakiem żelaznym.

Nuda wieku dziewiętnastego nie była powierzchowna, owszem, głęboka była, jak otchłań.

Znaleźli się ludzie, co powiedzieli mu: Wyrzecz się wszelkich pragnień, zajmij się interesami, niech młodzi ludzie będą ludźmi praktycznymi, pozytywnymi. Środek na nudy, to zdrowy rozsądek.

Ci, którzy tak mówili, rzucali zasłonę na otchłań. Wiek dziewiętnasty nie usłuchał ich, gdyż nie mógł żyć samym chlebem; potrzebował innego jeszcze

pokarmu. Ludzie, którzy poczytują się za pozytywnych, a nie mają Boga w duszy, są najbardziej negatywnymi ze wszystkich ludzi. Jakiegoż zadowolenia dostarczyć mogą oni, którzy postradali nawet pragnienie? Jakież mogą zaspokoić potrzeby, skoro nawet zatracili ich poczucie? Jakież mają znaleźć słowo życia, skoro zapomnieli już języka, którego to słowo jest wyrazem? Jakże mają znaleźć ci, co utracili nawet pochopność do szukania?

Zdrowy rozsądek zawsze godzien jest szacunku. Daje się on pogodzić z wszelką wielkością, nie wyklucza żadnej wspaniałości, znajdować się może na wszelkich stopniach i wznieść się może na najwznioślejsze szczyty; ale oziębłość przywłaszcza sobie niekiedy jego imię i nadużywa jego powagi. Kiedy oziębłość chce przytłumić pragnienie człowieka, przebiera się wtedy i każe się nazywać zdrowym rozsądkiem. Mówi ona wtedy człowiekowi: zadowolnij się niczem.

Ponieważ otchłań została tylko zasłonięta, nie zaś wypełniona przez oziębłość ludzką, przyszła tedy powieść i aby tę otchłań wypełnić i nasycić rzuciła w nią namiętność.

Tym razem otchłań nie została zasłonięta zupełnie, ale też nie została wypełniona; została raczej pogłębiona.

Namiętność wypróżnia serce ludzkie.

Zabiera mu to, co posiadało, i nie w zamian nie daje.

Ziejącą otchłań Bóg tylko Sobą może wypełnić. Bóg tylko starczy na to, by człowiek się nie nudził.

Owóż powieść, jaką tu w tej chwili rozważam, jest usiłowaniem człowieka, żeby dostarczyć światu soli życia bez Boga, uczynić życie pełnem smaku, pociągającym i płomiennem poza obrębem Tego, który Jest.

Usiłowania te spotkał los zasłużony. Ironia, która od początku nad niemi wisiała, spadła na nie ze straszliwym łoskotem. Powieść powiększyła jeszcze nudy człowieka. Płaskość jej dziwacznych wymysłów stała się nudniejszą od samej oziębłości nawet.

Sądziła ona, że zabawi człowieka kombinacjami różnemi. Człowiek, który świadomie lub bezwiednie pragnie i łaknie jedności, skoro w ten sposób zaczyna go pocieszać, nabija pistolet, aby w łeb sobie pałać. Namietność wstrząsnęła duszą ludzką, wstrząsnęła nią bezładnie; pobudziła w niej potrzeby, których zaspokoić nie mogła. Nudę jego przedtem głuchą, uczyniła ona krzyczącą. Uwydatniła próżnię i, zamiast ją zmniejszyć, powiększyła ją jeszcze tem uwydatnieniem. Nuda drżemąca pozostawia jeszcze choremu pewnego rodzaju apetyt i pewnego rodzaju sen. Ale nuda rozbudzona nie przestająca być nudą, spogląda w stronę śmierci. Jeżeli Werther nie miał więcej naśladowców, trzeba podziękować za to Bogu, który ochrania człowieka

przed logiką zła. Werther bowiem jest typem książek wiodących człowieka do grobu.

Cóż to więc jest Powieść? (Nie potrzebuję powtarzać, że biorę zawsze tę nazwę w znaczeniu wskazanem wzmianką o Wertherze). Cóż to więc jest Powieść?

Powieść jest książką w najwyższym stopniu nudną.

Sądzę, że byłoby dobrem i pożytecznem dać poznać dokładnie tę tak prostą prawdę.

Niektóre osoby z bardzo dobrymi chęciami, ale z bardzo słabą inteligencją, sądzą, że powieści są to książki często złe, ale ubolewają nad tem w głębi serca i zachowują zamilowanie do tych złych książek, które według ich mniemania mogą być bardzo zajmujące.

Ten błąd fatalny, mogący zupełnie zepsuć duszę ludzką, należałoby raz na zawsze porzucić.

Serce ludzkie stworzone jest do szczęścia i do pełni życia i nie ma prawa wzdychać za nieszczęściem i próżnią. Serce człowieka stworzone jest do miłości, a oto charakter zasadniczy złych romanów: zupełnie brak miłości.

Osoby, o których co tylko mówiłem, sądzą, że romans przedstawia życie, szczęście, zapal, ale że należy wyrzec się szczęścia przez rozum, gdyż jest ono niebezpieczne.

Prawda leży po stronie wprost przeciwnej. Ro-

mans jest najozięblejszą z książek. Nadto żywi on pewną namiętność bardzo dziwną, którą zaznaczyć tu należy, mianowicie namiętność nieszczęścia, a nieszczęścia należy się wyrzekać, gdyż jest ono niebezpieczne.

Powieść żywi namiętność nieszczęścia.

Jak upiór lubi ona pić krew, krew płynącą bezużytecznie. Jest łakoma na istotę ludzką. Ma ona szczególną przyjemność patrzeć na płynące łzy, byleby płynęły na próżno. Czy wiecie czem się szczyci? Szczyci się szczególnie wtedy, gdy nagromadziła pewną ilość okropności i przyprawiła wam je do gustu. Pełna jest dumy, gdy ukaże waszym oczom ofiary ślepej fatalności wijące się w konwulsjach konania; fatalność bowiem jest potęgą, która kieruje jej wymysłami. Istotą złej Powieści jest fatalizm. Powieść zła z rozkoszą poi się łzami człowieka, który ginie w chwili, gdy sądził się ocalony, łzami człowieka zgubionego bez ratunku.

Zła Powieść nie cierpi miłosierdzia, które mogłoby przytępić ostrze jej sztyletu. Lubi wszelkie rozdarcie, lubi sama się poić i poić innych krwią serca. A ponieważ krew w ten sposób przelana pragnienia nie gasi, więc czytelnik znudzony coraz bardziej, biorąc ciągle narzędzie swego cierpienia za odpowiednie lekarstwo, woła wciąż: jeszcze! jeszcze! I Powieść leje dalej krew, a przepaść coraz

się powiększa i nuda wzrasta, jak rana, którąby rozdrapywano umyślnie.

Ostatecznie zawrót głowy chwyta czytelnika, szal nudy go porywa i nie wiedząc już co czynić, poczyną doznawać niewytłomaczonych ale rzeczywistych pragnień podzielenia losu bohatera. Wrodzony zawsze człowiekowi duch naśladownictwa, może zbudzić się nawet wobec cierpienia. Jest to dziwne, ale tak jest. Niektórzy ludzie bardzo znudzeni mówią sobie na widok cierpienia, A gdyby też spróbować?

Starożytni przedstawiali zawrót głowy pod postacią potwora, który przebywając w głębi przepaści wzywa spoglądających nań. Trzeba tu dobrze się zastanowić. Wszystko zależy od ducha, w jakim człowiek przemawia, i od zamiaru czystego lub nieczystego, który mu słowa dyktuje. Jest pewien sposób unaocznienia ludziom namiętności i wynikających z nich katastrof, który na wielu czytelnikach próżnych doświadczenia a pełnych nudy, czyni to samo wrażenie, co spojrzenie węża na ptaki.

Ta trudna do pojęcia pokusa wyjaśnia powodzenie pewnych romansów. Są one często tak nudne, że wydają się wprost niemożliwe do czytania; ale miłość własna czytelnika przybywa tu z pomocą. Zapytacie, co tu ma do czynienia miłość własna? Czy nie wiecie, że miłość własna znajdzie się wszędzie tam, gdzie jest jakieś głupstwo do zrobienia? A więc tak; rzecz jest dziwna, ale rze-

czywista i musimy w nią uwierzyć, ponieważ ją widzimy. Człowiek, który z upodobaniem czytał o różnych nieszczęściach, jakie się przytrafiły różnym bohaterom, może zapragnąć w końcu sam stać się nieszczęśliwym, aby się wydać heroicznym. Sądzi, że nieszczęście okryje go heroizmem, a przynajmniej pozorami heroizmu. Tymczasem heroizm nie zjawia się wcale, nawet pozorny; nieszczęście zaś zjawia się często, nawet rzeczywiste.

Należałoby wyśmiewać Renego i Werthera, wyśmiewać, na śmierć ich wyśmiać!

Należałoby wobec bohaterów romantycznych wybuchać śmiechem zdolnym wstrząsnąć posadami świata. Byłby to może jedyny sposób zbudzenia ich ze snu.

Charakterystycznym znamię zlej powieści jest pogarda pokoju.

Poczytuje ona zazwyczaj pokój jako rzecz ujemną, przeznaczoną dla ludzi pospolitych, a burzliwe niepokoje jako przywilej wzniosły natur wyższych. Zdaje się ona dążyć do wmówienia, że Bóg pozbawiony jest życia, a że w szatanie leży istota czynu.

Tymczasem pokój, który jest ogniem pożerającym, płonie wiekiście w radości i chwale, kadzidłem uwielbienia na wysokościach, gdzie oko Boga spoczywa. Nosi on w swem łonie bezmiernem zachwyty miłości i twórczość uwielbienia.

Niepokój wodzi bezcelowo i bezużytecznie swoje

znudzone ofiary po brudnych strugach wody zimnej i kałużach błota.

W dzień, w którymby człowiek doszedł do przekonania, że namiętność nosi z sobą nudę, a radość jest w działaniu, że błąd jest oziębły, ponieważ jest poruszany niepokojem, a prawda płonie ogniem, ponieważ jest spokojną, w tym dniu człowiek ze zdumieniem spójrzalby na historię swoją.

Opowieść wszelka, podobnie jak Historia, aby uniknąć nudy a wzniecać światło, powinna dać odczuć w zdarzeniach obecność Boga. Obecność Boga jest wonnością, która chroni życie ludzkie od wpadnięcia w zgniliznę. Zła Powieść była w najwyższej mierze zaprzeczeniem obecności Boga. Stopniowo przedmiot tych dzieł, tj. zdarzenia przezeń opowiadane, uległ zgniliznie i od czasu do czasu powstają książki, które nie są nawet trupami, gdyż utraciły już kształt trupa. Jest to owo coś, co nie ma nazwy w żadnym języku ludzkim.

Należy przywrócić życiu właściwą mu postać. Trzeba, żeby wszystkie gałęzie opowiadania, wszystkie kreacje sztuki były odbudowane na nowo przez obecność Bożą. Fatalności, która jest władczynią śmierci, przeciwstawia się Opatrzność, będąca władczynią życia.

Fatalność jest nielitościwa, a przyjaciele śmierci zwrócili się do niej z żądaniem, aby im dostarczyła jak najwięcej okropności zawitych i bezpło-

dnych. Miłosierdzie jest przeciwieństwem fatalności. Czyż przyjaciele życia nie mogliby otrzymać odeń prawa sztuki? czyż nie mogliby zaczerpnąć w tem źródle żywem i płomiennem czystej wody, wody zdrowia, i zastąpić bezpłodne, potworne i jednostajne zawikłania ciemności, swobodną, wspaniałą, urozmaiconą i płodnorodną grą światła? Czy nie sądzicie, że dramat prawdziwy, taki, któryby zasługiwał na to miano, któryby chciał być czynem i dokonać czynu, powinien mieć za klucz sklepienia swego miłosierdzie? Miłosierdzie szerokie jest wspaniałomyślne, płodne, czynne i śmiałe. Nie lęka się niczego, a zło jak mgła rozwiewa się w jego promieniach. Fatalność jest ciasna, lękliwa, oschła i bierna.

Zła Powieść wskazuje nam palcem upadek jako kres nieunikniony wszelkich usiłowań. Zniechęca ona i poniża człowieka; każe mu wybierać między życiem płaskim, do niczego nie wiodącym, i heroizmem fałszywym, który prowadzi wprost do otchłani. Zapomina ona i każe zapominać o prawdziwej wielkości wiodącej do nieba. Wzbudza ona niepokój, trwogę, obrzydzenie i litość pustą. Zapomina o uwielbieniu, tym akcie wzniosłym, a tak rzadkim, który otwiera źródło łez.

Nie można przez poniżenie naprawić fałszywego wyniesienia; wszelkie poniżenie jest o tyle bezsilne, o ile szpetne; wzniosłość fałszywa powinna być zastąpiona przez wzniosłość wyższą od niej i pra-

wdziwszą. Aby znaleźć życie, zawsze w górę i w górę patrzeć trzeba. Człowiek prawdziwie pozytywny, to ten, któremu Bóg dał siłę wznoszenia wciąż oczu ku górze. Nie samobójstwo naprawi fałszywe porywy serca, lecz inne porywy, pełne zapалу i prawdy. Nie byłoby to pięknem, wielkiem, wspaniałem a możliwem, piorunami miłosierdzia wzbudzić zdumienie tych, którzy duszą się własnowolnie w sidłach fatalności? Czyż nie nadszedł czas, by prawo Boże ukazało się jako prawo prawdy i prawo piękna, i aby wszystkie rzeczy oszpecone przez jednostajne sprzeciwianie się błędowi, zjawyły się nam przekształcone w jedności prawdy, która ogarnia wszystko, za wyjątkiem fałszu?

S t y l.

I.

Styl jest potęgą, która jak wszystkie potęgi winna być pomszczona. Nieszczęsny wyraz, który oznacza tę rzecz wielką, należy do wyrazów najbardziej zniesławionych na ziemi. Ów proces kojarzenia pojęć, o którym nieraz mówiłem, przyzwyczaił nas do uważania stylu za sztukę zestawiania wyrazów w prawidłowe szeregi, układania zdań z symetrią częścią, wykwiłtną i nic nie znaczącą. Dla retorów styl, jak prawie wszystkie przejawy piękna, jest rzeczą ujemną. Wedle ich przekonania, aby dobrze pisać należy unikać różnych usterek, zwrotów nie dość szlachetnych, wyrazów zbyt poufłych, słów twardobrzmiących, a skoro wypełnione zostaną te warunki mechaniczne, przypominające swoją wielością i małostkowością warunki pierwszej lepszej gry, znaczy to, że się umie pisać i zasługuje się na pierwszą nagrodę.

Ażeby sądzić pisarzy z tego stanowiska i wyznaczyć im miejsca właściwe, mielibyśmy bardzo prosty środek: liczyć omyłki jak w szkole. Ten, który najmniej ich popełnił, otrzymuje pierwsze miejsce. Sposób taki byłby przynajmniej szczerzy. Określałby szczerze naszą myśl ukrytą, świadczyłby, że poczytujemy absolutny brak inicjatywy za najwyższą doskonałość i że w mniemaniu naszym ten, co niczego nie dokonał, największym jest mistrzem.

Styl, który retorki szczególnie lubią i zalecają, uczyniony jest na obraz nicości. Jeżeli ktoś myśli, razi ich to bardzo, jeżeli ktoś mówi, razi ich to jeszcze bardziej. Nie wybaczą oni nigdy stylowi ścisłości twierdzenia. Najwięcej zachwyca ich w nim nieokreśloność i nieosobowość. Ich rady, albo jak oni sami mówią, ich prawidła dałyby się streścić jak następuje:

„Wogóle, aby być prawdziwie rozsądnym, nie trzeba ani myśleć, ani wierzyć, ani ufać, ani kochać, ani nienawidzić; ponieważ myśl, wiara, nadzieja i miłość mogą razić pewne osoby, które należy oszczędzać. Utrzymujcie waszego ducha w letniej atmosferze zwątpienia i nudy. Zanudzajcie waszych czytelników tyle przynajmniej, ile sami się nudzicie. Bądźcie nudni, bądźcie nudni! to najlepszy sposób, aby wydać się rozsądnymi. Wszystko, co nie jest nudne, wyda się im przesadzonym. A więc nie wiercie w nic; tylko wtedy możecie

mieć pewność, że nic kochać nie będziecie, bo jeśli pokochacie cokolwiek, powiedzą, że jesteście egzaltowani. Z tem wszystkiem, ponieważ nie trzeba nigdy posuwać się za daleko, nawet w nicości, chociaż to jest najlepsza droga, przypuszczam młodzieńcze, że przez niedoświadczenie i zapalczywość twego wieku będziesz się skłaniał ku pewnej opinii więcej nieco, aniżeli ku opinii przeciwnej. Mam nadzieję, że to nieszczęście rzadko cię spotka. Ale należy wszystko przewidzieć, nawet ten wypadek, że cię ogarnia pokusa wierzenia w cokolwiek. Jest to wypadek dziwny, ale człowiek jest słaby, nikt nie jest doskonały. Gdybyś tedy miał uwierzyć naprawdę w cokolwiek, jeśli jesteś dobrym pisarzem, winienesz tę wiarę o ile możności ukrywać. Dla uniknięcia twierdzenia, trzeba się uciekać do tych pożytecznych sposobów, które nam podaje retoryka; trzeba mówić: — być może, jak się wydaje, jeśli wolno tak się wyrazić itp.“

„Myśl już sama przez się dość jest godna potępienia. Jeżeli na nieszczęście zdarzy ci się myśleć, przytłumiaj myśl swoją, o ile zdołasz, za pomocą słowa, które właśnie w tym celu jest dane. Jeżeli masz myśl jakąś, przez to samo posądzony już jesteś o oryginalność; jeżeli posuniesz się nawet aż do wypowiedzenia owej myśli z siłą i z dzielnością, zostaniesz zaliczony do liczby szaleńców. O! jeśli masz myśl jakąś, rzuć przynajmniej zasłonę na tę hańbę, a zasłona owa, to słowo. Jeżeli

twój styl, martwy i bezbarwny, podobny się stanie do stylu ogółu, wybaczona może ci będzie wada posiadania idei. Zacieraj więc wszystko, co może wydać się wyższe, głębsze lub szersze, zacieraj wszystko, co w twem słowie mogłoby wyrażać jasno myśl twoją, duszę twoją, charakter twój i twoją osobistość. Układaj owe frazesy długie, wymierzone, nieosobiste, które się czytało wszędzie zanim się je napotka na stronicach twojej książki.“

„Bądź podobny do całego świata, a nawet jeśli masz nieszczęście wypowiadać cokolwiek, przybieraj pozór, jakbyś nic nie mówił, bo słowo dane zostało człowiekowi dla ukrycia myśli, dla ukrycia jej nie pod śmiałem przeczeniem nawet, lecz pod zasłoną długą, powłóczystą i ozdobną“.

Tak mówi retoryka fałszywa. Tak mówiłaby przynajmniej, gdyby ośmieliła się mówić szczerze. Ale nie ma ona nawet siły, aby przyznać się otwarcie do braku odwagi, nie ma dość siły, aby odczuć swą słabość, nie wnika dość głęboko w swą treść własną, aby dojrzeć swą nicość.

Praktykuje ona nicość, ale nie jest o tyle inteligentna, aby posiadać jej teorię. Nie pojmuje samej siebie, podobnie jak nie pojmuje żadnej rzeczy na świecie. Zapoznaje swą własną formę. Ukazałem jej wyżej tę formę, ale patrząc na nią, nie pozna jej z pewnością. Uzna ją za przesadzoną. Aby poprawić określenie tej formy ukryje ją pod

jakiemś — być może, mniej więcej lub t. p. Przez to samo udowodni słusność mego o niej sądu lepiej, aniżeli ja sam mógłbym to uczynić, gdyż ja dałem tylko formułę nicości, ona zaś da jej przykład i zastosowanie praktyczne. Łagodząc mnóstwem zastrzeżeń bezwzględność słów zbyt ścisłych, które jej przypisuję, udowodni właśnie przez to najlepiej ich prawdziwość i dokładność. Albowiem gdyby je wypowiadała jawnie i głośno, musiałyby je rozumieć, a tem samem dałyby ich zaprzeczenie, gdyż coś pojmowałyby i wypowiadałyby cokolwiek.

Zapomnijmy teraz o fałszywej retoryce. Może ona przydać się na chwilę, gdyż głosząc ciągle fałsz, wzbudza niekiedy wstręt do niego i dzięki temu wprowadzić może na drogę prawdy. Ale teraz zapomnijmy o niej.

Co to jest styl?

Styl to słowo ludzkie. Słowo ludzkie powinno być szczere i rozważne, czyli łącząc w jednym wyrazie dwa te wyrazy: — powinno być prawdziwe.

Prawda, która jest prawem myśli i prawem życia, jest także prawem słowa i zawsze tą samą jest prawdą.

Błąd, który wszystko rozrywa, zdołał dać odrębny kierunek myśli, odrębny życiu i odrębny słowu, i wynalazł dla tych trzech dziedzin reguły wyłączne i sprzeczne z sobą.

Zbudźmy się. Otwórzmy oczy. Zobaczmy prawdę najprostszą i najbardziej zapoznaną: — Jedność prawa.

Prawda jest życiem. Jasne jest, że człowiek powinien żyć w prawdzie.

Jasne jest, że myśl jego powinna odpowiadać tej samej prawdzie, co jego czyny, gdyż nie ma dwóch prawd sprzecznych z sobą.

Jasne też jest, że słowo ludzkie powinno odpowiadać tej samej prawdzie, co myśl i czyn człowieka, ponieważ nie ma trzech prawd sprzecznych ze sobą.

A zatem człowiek powinien:

Żyć w prawdzie;

Myśleć jak żyje;

Mówić tak, jak myśli.

Oto jest prawo stylu. Jest ono pełne prostoty, albowiem jesteśmy tu w dziedzinie prawdy.

Czy to znaczy, że styl wszystkich ludzi winien być jednaki?

Wcale nie; gdyż jeżeli prawda jest jednolitą, my różnimy się wielce jedni od drugich i różnorodne, choć nigdy nie sprzeczne między sobą, są wrażenia, które od niej odbieramy.

Pod temi samemi promieniami słońca zakwiatają lilie i róże. Lilie i róże w odmienny sposób przyswajają sobie ciepło i światło, ponieważ ich ustrój wewnętrzny, ich potrzeby, ich wrażliwość rozmaite są, choć sobie wzajemnie nie przeczą.

Błąd jednostajny jest, a pełen sprzeciwieństw. Prawda jest jednolita, a zawsze nowa. Pozostawia ona każdemu własny jego styl.

Idee, które dany człowiek wypowiada, są własnością ogółu. Ale styl tego człowieka jest wyłączną jego własnością.

Włóżcie te same słowa w usta dwóch ludzi; nie wydadzą one tych samych tonów.

Oto człowiek pewien mówi; sfera dźwięczna, która go otacza, szeroka jest, drgania jego głosu rozbrzmiewają w świecie, który go pojmuje; i oto słowem swoim otwiera wam on okno na nieskończoność.

A ówdzie mówi inny człowiek. Wymawia te same zgłoski, ale otaczająca go sfera dźwięczna zacieśniona jest, głos jego nie rozlega się. I oto nie dostrzeżliście nic poza bezpośredniem znaczeniem wyrazów, które wymówił.

Styl jest wykwitem naszej osobistości, jest naszym tworem.

Nie tworzymy idei, które wypowiadamy, ale tworzymy swój styl. Człowiek nie będąc geiuszem, może dojrzeć wielką prawdę. Ale aby ją wypowiedzieć w wyrazach ostatecznych, w języku nieśmiertelnym, by ją podpisać swoim imieniem, by ją w obliczu rodzaju ludzkiego zespolić z tym podpisem, na to trzeba być człowiekiem genialnym. Właściwe siedlisko geniuszu, to styl: Styl jest jego stolicą, jego znaczeniem, jego chwałą. Cokolwiek-

byście wypowiedzieli, jeśli nie macie stylu, nie będziecie mieli chwały.

Styl nie może być zastąpiony przez myśl, jakkolwiek by myśl była świetną lub wspaniałą. Nic go nie zastąpi. Jest on koniecznym warunkiem chwały: — jak ona musi być zasłużonym i jak ona musi być zdobytym.

Powiadamy o jakimś człowieku, że władza pewnym językiem, gdy mówi nim tak, jak chce mówić. Zaiste bowiem język nie oddaje się pierwszemu lepszemu; wymaga on walki i temu tylko się podda, który go zwycięża. Ludzkość, tak odporna dla myśliciela, wtedy dopiero zaczyna go podziwiać, gdy świetnością swego słowa wymusił na niej jej cześć powolną. Zgina ona się z musu pod uderzeniem słowa i zdaje się mówić mimowoli, stosując to do wielkiego pisarza, który walczył ze swemi ideami, aby niemi ovladnąć i z językiem aby go ujarzmić:

Niechaj panuje z chwałą nad własną zdobyczą,
I niechaj głowę swoją zwycięstwem uwieńczy!

Skoro człowiek zdobył styl własny, wtedy jak monarchowie nie może przejść niedostrzeżony. Poznają go, skoro się tylko odezwie. Skoro się tylko ukaze, zdradzi się.

Retoryka radzi wam naśladować wielkich pisarzy. Sądzi ona, że mają oni receptę i że należy tylko poznać ją dokładnie. Tymczasem recepta ich

polega na tem, że są sami sobą. Osobistość ich nie może być zgwałcona, nikt nie może jej sobie przywłaszczyć. Można tylko skraść jej odzież. Lecz oto kara zasłużona złodzieja: odzież skradziona nie leży na nim dobrze, za obszerna jest na niego.

Dajcie jednemu człowiekowi idee innego człowieka, dajcie mu wszystko: plan dzieła, całość i szczegóły, materiały, wszystko aż do słów, a nigdy oba dzieła nie będą do siebie podobne.

Wielki pisarz i ów drugi są na wieki rozdzielni przepaścią. Każdy z nich będzie miał swój styl.

Styl! oto wielkie słowo, oto imię tajemnicy. Ale jakie jest znaczenie tego słowa? Co to jest styl naprawdę?

Ta sama idea, gdy przeniknie tysiąc inteligencji, będzie przez nie oddana w tysiąc różnych sposobów. Owe sposoby wyrażenia będą rozmaite, jak rozmaita będzie praca tajemna, dokonana przez ideę w myśli każdego z nas. Nasz sposób wyrażenia myśli wpływać będzie z przeróbki, jakiej myśl ulegnie w naszej duszy. Myśl nada słowu postać, jaką sama w nas przybierze. Pochłonięta przez nas, wchodzi do naszej pracowni umysłowej, urabia się tam odpowiednio i objawiając się na zewnątrz, ukaże się w tem odzieniu, jakie jej nada odrębność naszej umysłowości. Stosunek wytworzony między nią a nami objawia się w słowie. Styl nasz to podpis osobisty położony na pewnej idei. Styl nasz, to nasz herb, nasze znamię, nasz

profil, nasza korona, która sama się odciska w gorącym, roztopionym jeszcze metalu.

To samo prawo działa wszędzie; jest to prawo wszechświata. Jedność tworzy piękno ciała; piękno wybijając monetę z materii, wyciska znamie królewskie na jej masie martwej i bezdusznej.

Styl wielkiego pisarza i retora będą się różniły jak różnią się kwiat róży jaśniejący na krzaku i jego naśladownictwo z papieru.

Pierwszy będzie tworem organicznym, drugi fabrykatem mechanicznym.

II.

Styl organiczny, to słowo żywe na usługach idei żywej. Styl mechaniczny, to układ słów, stworzony dla pewnych pojęć przyjętych. Styl organiczny trafia w sam rdzeń rzeczy, przenika w żywe ich ciało; styl mechaniczny ślizga się po ich powierzchni; rzekłbyś, iż lęka się mówić, gdyż ma nieczyste sumienie. Pierwszy jest wolny, szczery, dobitny, śmiały; jest bez trwogi, gdyż jest bez zarzutu; — drugi jest lękliwy, nieokreślony, wątpliwy, kłamliwy. Pierwszy jest nawskróś osobisty; wymaga aby człowiek myślał, i mówił, co myśli, aby wierzył szczerze, istotnie, żywo w to wszystko, co mówi. Drugi zbiera na wszystkie strony zwiedle kwiaty, które tysiącrotnie były już w użyciu; składa się całkowicie ze starych szmat. Pierwszy

chwytła myśl tak silnie, iż tworzy z nią jedno ciało. Nie można go od niej oderwać, nie można się zachwycać słowami odłączonemi od idei, ani pomyśleć idei bez użycia wyrazów, które ona sama, zda się, dla siebie wybrała. Drugi jest luźną draperią, która fałuje dokoła myśli, nie dotykając jej nigdy. Pierwszy jest walką — drugi fechtunkiem.

Nazywam pierwszy styl organicznym, ponieważ wyrasta on żywo z idei, jak kwiat ze swego pączka; piękność jego jest promieniowaniem na zewnątrz piękności wewnętrznej, którą nam objawia; umie on uwydatnić widocznie i dobitnie wszystkie postaci myśli; pozwala zabłysnąć ukrytym jej świetnościom i rozprowadza wszędzie światło słowa; oświeca ścieżki, podkłada ogień pod prochy, aby wybuch i płomień rozbudziły śpiących.

Nazywam drugi styl mechanicznym, ponieważ jest on sztucznym wytworem pierwiastków zewnętrznych i kawałków obok siebie położonych; jego bogactwo jest nędzą, gdyż jest zapożyczone, nie należy do niego; pochodzi z zewnątrz. Między obu tymi stylami zachodzi taka różnica, jak między człowiekiem żywym i automatem. Styl organiczny ma ruchy własne, nieprzewidziane, uniesienia serdeczności i zapалу samorodne, urozmaicone jak życie; zmienia on wyraz jak oblicze ludzkie, jest on żywy i przenikający, jak ogień i spojrzenie.

Styl mechaniczny ma ruchy wymierzone ma-

szyny. Nie ma on wdzięku, bo nie ma siły; jest nieruchomy, a jeżeli zda się poruszać, ruch jego chłodniejszy jest jeszcze, aniżeli nieruchomość. Czuje się zamiar mechanika, który chciałby niekiedy go ogrzać, lecz nie mając na swe rozporządzenie ciepła, porusza tylko sprężyny.

Styl mechaniczny jest niekiedy wykwinny w fałszywym znaczeniu tego słowa.

Styl organiczny jest zawsze prosty, ale jego prostocie wolno przypominać prostotę gromu, gdy dwie chmury naelektryzowane spotykają się w przestworzu podczas dnia burzliwego.

Styl mechaniczny jest sentymentalny, przesiąknięty tem fałszywym i głupowatym namaszczeniem, które zdaje się być przeznaczone do recytowania ogólników. Ten sentymentalny odkrywa grunt duszy mówiącego, a tym jest mianowicie: głęboka nieczułość.

Styl organiczny jest pełny, silny i czysty zarazem, skupiony w sobie i wylany na zewnątrz. Nosi w sobie tę wstydlivość wielkich myśli i wzruszeń głębokich, które, tem spokojniejsze im bardziej ogniste, okazują miarę nawet w rozwinięciu całej swej wspaniałości. Ma on nieskazitelnosć ciał twardych, które zawierają ogień ukryty w swych żyłach; ogień jest siłą oczyszczającą. Styl ten przeszedł przez ogień, jest on skałą, jest dyamentem.

Styl mechaniczny rozlaży jest i klejowaty.

Jeżeli rada retorów, rada naśladowania wielkich pisarzy, albo tych, których oni za takich poczytują, jest śmieszna, to rada przyswajania ich sobie może być radą poważną. W istocie, obcując z geniuszem wielkiego człowieka, możemy tak się nim przeniknąć i nasycić, że coś z niego przejdzie w nas; pod warunkiem wszelako, że na to zasłużymy i że przedstawimy jego promieniom podatną powierzchnię. Nie może to być osiągnięte przez kopię, przez zastosowanie pewnego sposobu, lecz tylko przez bezpośrednie udzielanie się ciepła i życia. Człowiek nie żywi się jak zwierzęta niższych gatunków przez wchłanianie, lecz przez przyswajanie. Otóż pisarz daje nam na pokarm duszy swój styl, słowo swoje, czyli siebie samego. Wolno nam żywić się nim.

Staralem się określić w sposób ogólny, co to jest styl.

Postaram się teraz przedstawić, jakim był styl różnych ludzi.

III.

Rzucmy okiem na ogół pisarzy; w samej naturze ich zawiera się podział na trzy klasy.

Jest naprzód między nimi klasa dzieci. Człowiek-dziecię spogląda na siebie i dokoła siebie; dziwi się i zachwyca, dziwi się wszystkiemu i wszystkim się zachwyca. Przygląda się własnej myśli

i działaniu z podziwem naiwnym i radością dziecięcą. Nie myśli jeszcze o tem, jakby można lepiej myśleć, lepiej działać. Cieszy się tem, co ma, jak dziecko, cieszące się swemi zabawkami. Spogląda dokoła siebie; widzi, że światło jest piękne i powiada to. Przygląda się materji, maluje ją słowami; maluje ją i na tem koniec. Nie zastanawia się wyraźnie nad stosunkiem, w jakim może do niej pozostawać; w rzeczach miłuje rzeczy same.

Typem poety-dziecka jest Homer. Homer daleki jest od ideału geniuszu ludzkiego. Jeżeli starożytność nie przewyższyła go, to dlatego, że naśladowała go zawsze, a naśladownictwo wyklucza wyższość. Żadna kopia nie przewyższa swego wzoru. Człowiek może przewyższyć Homera i przewyższyć go olbrzymio, ale Homer pozostanie na zawsze nieśmiertelnem dzieckiem. Epitety charakterystyczne, nazwane od jego imienia epitetami homerycznymi, tak rażące we wszelkim przekładzie, dają się objaśnić wiekiem poety, odpowiadają dziecinemu jego charakterowi. Homer patrzy wiele więcej, aniżeli myśli. Widzi swego Achilesa, a ponieważ lekkość nóg jest przymiotem widocznym, uderzającym oko dziecka, kojarzyć będzie dalej nierozłącznie ten przymiot z wyobrażeniem Achilesa i Achilles będzie zawsze u niego Achilesem lekkonogim. Gdyby go nam przedstawił ranionym, sparaliżowanym, zwałby go zawsze lekkonogim, podobnie jak zowie Jowisza mądrym, chociaż go

przedstawia oszukany, wyśmiany i bezrozumny. Epitet homeryczny wynika nie z uwagi uczynionej w odpowiedniej chwili, lecz z dokonanego raz na zawsze stwierdzenia faktu. Homer jest poetą stwierdzania. Zdumiewa się i nie rozstrząsa, sam usuwa się w cień wobec przedmiotów, by nam mówić, czem one są. Homer wchodząc w życie jest jak dziecko przybywające do wielkiego miasta. Rozgląda ono domy jedne po drugich, nie na to, aby sądzić o nich, lub je klasyfikować, lub wybrać jeden z nich, lecz aby je oglądać. Jeden jest biały, drugi szary, ten niski, tamten wysoki. Później dopiero wejdzie na szczyt wieży kościelnej i zobaczy miasto. Wtedy się zorientuje, wynajdzie drogę wiodącą do oznaczonego punktu. Tymczasem przechadza się tylko. Dziecko nie idzie nigdy z określonym celem. Sama droga jest dla niego celem. Oto dlaczego opowieści Homera są takie przedłużone. Sprawia mu taką przyjemność patrzeć na tarczę, iż zatrzymuje się przed tym ciekawym przedmiotem nie myśląc o czasie. Dziś możemy objaśniać Homera, wykazywać, że on był ojcem całej poezji greckiej; ale on siebie nie badał; patrzył tylko i malował.

Ale świat się starzeje i Homer nie może być wieczny. Dziecko zachwycalo się blaskiem złota, człowiek pragnie posiadać złoto. Przyjemność oczu nie wystarcza mu. Ludzkość musi zmienić styl. Dziecko widziało i oddawało tylko barwy, człowiek

zwraca się do badania zjawisk. Dziecko patrzyło na przedmioty, aby je widzieć, człowiek będzie na nie patrzył, aby ich użyć. Dziecko nie odnosiło ich do niczego, człowiek odnosi je do siebie samego. Ten zwrot na siebie samego zmieni głęboko jego sposób wyrażania się. Przed chwilą mówił, aby malować słowami, teraz mówi, aby mówić dobrze. Wsluchuje się w swe słowa. Jego mowa nie jest już samorodnym objawem radości lub smutków, nie jest krzykiem lub śpiewem, staje się utworem literackim. Przed chwilą natura była dlań tylko ciekawym widowiskiem, teraz poczyną rozważać ją jako pole do uprawy, a ponieważ myślał o sobie gdy badał, nie przestaje myśleć o sobie, gdy mówi. Na miejsce Homera występuje Wirgiliusz.

Na nieszczęście człowiek zachwycony pięknnością dziecka, stara się je naśladować. Oto dlaczego epitet homeryczny, dobry u Homera, śmieszny jest u Wirgiliusza. Bo Homer posługuje się nim nie postrzegając go prawie, podczas gdy Wirgiliusz słysząc i wymierzając z największą starannością wszystkie zgłoski, gdy wymawia wyraz, używa go z rozmysłem. Jeżeli tyle rzeczy wybaczymy Homerowi, to dlatego, że nie możemy liczyć się ściśle z dzieckiem. Jeżeli Wirgiliusz wywołuje u nas drażliwość, to dlatego, że jest człowiekiem światowym. Nie jest on dzieckiem, nie jest też przyjacielem; jest światowcem, który przywdział strój wykwinny, aby prowadzić z nami rozmowę, i który z upo-

dobaniem wsłuchuje się w dźwięk swych słów. Nie jest on tyle niedoświadczony, ani nie ma jeszcze dość doświadczenia, aby o sobie zapomnieć, gdy z nami mówi. Wyszedł już z dzieciństwa, a nie osiągnął jeszcze dojrzałości. Stracił swobodę, a nie odzyskał jej jeszcze.

Lubimy Achileśa lekkonogiego, nie lubimy pobożnego Eneasa: bo Achilles ma dobrą wiarę w swej chyżości: Eneasza nie ma jej w swej pobożności. Odyseusz poszukuje swej Itaki, aby raz jeszcze ujrzeć dym wznoszący się wieczorem ponad dachami chat; Eneasza wiedziony jest do Italii przez względy religijne i polityczne, których zdaje się nie pojmować. Nie jest on poważny, ani wzruszony; ma uroczystą minę głupca. Pobożność jego podobnie jak dzielność Giasa i Kloanta (*fortemque Giam—fortemque Cloanthum*) zjawia się w chwilach krytycznych, wymagana przez miarę wiersza, ale sam autor nie zdaje się przywiązywać do niej wielkiej wagi. Zauważmy, że epitet homeryczny odnosi się zawsze u Homera do przymiotu zewnętrznego znajdującego się naprawdę tam, gdzie został spostrzeżony. U Wirgiliusza odnosi się on do przymiotu moralnego, w który autor zdaje się sam nie wierzyć. Homer widział biegnącego Achileśa. Ale jeżeli Eneasza był pobożny, a Kloant dzielny, Wirgiliusz z pewnością nie o tem nie wiedział, a im więcej to powtarza, tem mniej zdaje się o tem wiedzieć.

Krytycy wynoszący Wirgiliusza przypisują, jakby się zdawało, upadek, który po nim nastąpił, nadmiarowi jego doskonałości. Skłonni są mniemać, iż po nim ludzkość upaść musiała, dlatego, że nie mogła się utrzymać długo na tak wyniosłej wyżynie. Jest to pogląd wcale nie głęboki. Jeżeli upadek nastąpił po Wirgiliuszu, sądzę, że stało się to nie pomimo niego, ale przez niego. Jeżeli rozwinął się po nim, to dlatego, że w nim tkwił jego zarodek.

Zarodek upadku w stylu to kult słowa dla samego słowa. Wirgiliusz był o tyle zręcznym, że umiał ukryć ten zarodek śmierci pod kwiatami, które miał na swoje rozporządzenie; ale tem ukryciem nie zdołał go stłumić. Poczucie natury, czułość i smętny nastrój utworzyły prawdziwą ozdobę Wirgiliuszowi. Nizus i Euryale, Mezencyus i jego koń wymownie o tem świadczą. Ale obok tego jest zawsze ozdoba fałszywa, kult frazesu. Owóż krytyka fałszywa wynosi zawsze wady pisarza, a zapomina o jego zaletach. Wady podaje za wzór naśladownictwa innym pisarzom, a ponieważ w istocie łatwiej je naśladować, aniżeli zalety, nie dziw, że nie te ostatnie, ale tamte znalazły chętnych naśladowców. Nie zapożyczyli oni od Wirgiliusza rzeźwonego i pełnego słodczy poczucia wsi, nie umieli tak jak on wsłuchiwać się w odgłosy ryczących trzód, ani zażywać słodkiego wczasu w cieniu

drzew, ale zdołali naśladować mechaniczną technikę wierszy wirgiliuszowskich. Ztąd upadek, t. j. ubóstwienie frazesu.

Owidyusz skarżył się na swoje osamotnienie w kraju barbarzyńców, gdyż żaden z nich nie rozumiał jego języka. Sądzę, że Owidyusz przechwalał się. Udawał niezrozumianego, ale jestem pewien, że w istocie rzeczy barbarzyńcy rozumieli i lubili go bardzo. Największem właśnie przeciwieństwem barbarzyństwa jest prostota. Najpodobniejsza zaś do niego jest wymuszonosc. Wymuszonosc musi podobać się barbarzyńcom, którzy są barbarzyńcami właśnie dlatego, że brak im prostoty. Owidyusz poniżył poezję aż do gry słów. W społeczeństwie rozumnem i wykształconem, czyli pełnem prostoty, byłby istotnie niezrozumiany i wyśmiany, wyproszonoby go za drzwi i zrobionoby słusznie. Wśród barbarzyńców miał publiczność godną siebie, oklasków więc nie brakło mu za pewne.

Widzieliśmy w Homerze człowieka-dziecko, miłującego naiwnie i radośnie wysławiającego rzeczy i słowa; widzieliśmy w Wirgiliuszu człowieka wyszłego z dzieciństwa, a dalekiego jeszcze od dojrzałości, który miłuje w sposób wymuszony, a wysławia napuszyście rzeczy i osoby, widząc w tem środek wiodący do fortuny i sławy.

Cóż będzie czynił człowiek dojrzały?

Dziecko odnosiło rzeczy i słowa do nich samych, młodzian wyzyskiwał rzeczy i słowa, odnosząc je do siebie samego.

Człowiek dojrzały odnosić będzie rzeczy i słowa do myśli, której powinny służyć, do myśli, którą mają wyrazić.

Wobec okrętu Homer podziwiał urządzenie jego zewnętrzne, Wirgiliusz myślał o Eneasz i politycznych następstwach jego żeglugi, ten trzeci myślałby o jedynej wielkiej podróży i o wielkim jej celu.

Pierwszy styl ma za charakter zasadniczy zachwyt nad samym sobą; drugi poszukiwanie siebie samego; trzeci zapomnienie o sobie. Udziałem tego ostatniego jest jaśnienie i oświecać.

Wielki styl, jedyny, jaki winien być dozwolony w przyszłości, zapomina o sobie, a wskutek tego odnajduje się i posiada się. Piękność najwyższa nie oddaje się temu, który z niej sobie robi zabawkę; oddaje się temu, który ją używa za oręż. Nie oddaje się temu, który chce się w nią stroić, oddaje się temu, który chce jej użyć poważnie.

Mówią, że jest ona kapryśną. Sądzę, że określiłem wyżej prawo jej kaprysów.

Słyszę zarzut, który mi czynią.

— A więc — mówią mi — nie uznajesz w literaturze jak tylko wielkich pisarzy? oni tylko dla ciebie istnieją? liczysz się z tem tylko, co jest wzniosłe?

Przepraszam. To tak proste prawo prostoty, ten obowiązek mówienia dlatego, aby coś powiedzieć, a nie dlatego, aby tylko mówić, wydaje mi się prawdziwym na wszystkich szczeblach drabiny umysłowej.

Platon znał je dobrze w pewnych chwilach. Skoro staje się sofistą, co zdarza mu się często, zapomina o niem całkowicie. Sofiści są retorami filozofii.

IV.

Tacyt mówi dla wyrażenia swej myśli. Słowo jego proste jest, silne i zwięzłe. Wszystko, co jest silne, jest zwięzłe. Tacyt nadał mowie łacińskiej moc, której bez niego nigdy by nie osiągnęła.

Dość pomyśleć o Ciceronie, który jest Owidyszem prozy i typem retora, aby ocenić Tacyta i zmierzyć okiem dzielącą ich odległość. U Cicerona wszystko jest abstrakcją. Rzym to republika, miasto, państwo. U Tacyta wszystko żyje, zowie on osoby po imieniu. Jest w nim prawie zawsze powściągana dzielność wielkich gniewów, a niekiedy pogodna dzielność wielkich wymiarów sprawiedliwości. Styl tego człowieka daje w nim poznać ową zdolność milczenia, właściwość szczególną ludzi czujących poza sobą potomność, która ich sprawę pomścić musi. W wielkim stylu milczenie poważny zawsze posiada udział. W stylu Tacyta jest milczenie. Gniew pospolity wybucha,

gniew małostkowy gadatliwy jest; ale bywają oburzenia, które zamykają się w milczeniu, jakby pozostawiając słowo samym rzeczom i faktom i licząc na sprawiedliwość przyszłości. Tacyt nie tylko jest największym pisarzem literatury łacińskiej; jest on największym pisarzem starożytności klasycznej.

Gdy mowa o stylu, niepodobna nie przytoczyć Bossneta. Właściwością szczególną jego słowa jest zdolność uobecniania faktów, które opowiada. W mowie pogrzebowej na śmierć księżnej Henryetty zachwycono się wielce słynnym wykrzyknikiem: „O nocy straszliwa itd. w której jako uderzenie gromu rozległa się ta wieść zdumiewająca: Księżna umiera! Księżna umarła!“

Nie sądzę wszakże, aby rozpoznano, w czym właściwie tkwi piękność tych słów; nie zawiera się ona w wykrzykniku, tkwi ona całkowicie w wyrazie zdumiewającego. Oto uderzenie gromu. Zmieńcie ten wyraz, a nic nie pozostanie. A dlaczego? Oto dlatego, że zdumienie Bossueta uobecnia nam katastrofę. Przenosi nas ona w ową noc straszliwą, w ową noc uderzenia gromu. Bossuet, przemawiający przy zwłokach wielkich umarłych, zdumiewa się z umyślną naiwnością nad trumną, która przed nim stoi. Rzekłbyś, że nie może on przywyknąć do myśli, którą wyraża. Wstępuje na mównicę, aby mówić o śmierci i nagle staje skamieniały, jakby ją widział po raz pierwszy.

Nie mogę też nie przytoczyć de Maistre'a. Są imiona, które same się narzucają. Nie mogąc tu powiedzieć wszystkiego. chcę tylko zaznaczyć między temi dwiema chwałami Francyi, Bossuetem i de Maistre'em pewien uderzający kontrast, który dotąd nikogo nie uderzył.

Bossuet rozciąga swą myśl powoli, poważnie, królewsko, jako płaszcz z purpury — de Maistre przeciwnie skupia się.

Bossuet wyraża na raz tylko jedną myśl i wie-dzie ją na wyżyny odosobnioną, wystawioną na spojrzenia ziemi. Bierze on w rękę nędzę rzeczy ludzkich, aby długo z niej czynić widowisko dla ludzi. Daje on nam wysączyć napój z kielicha aż do znajdującej się na dnie goryczy. Powtarza on ciągle, a nie powtarza się nigdy. Zawsze mówi to samo, a nigdy nie mówi za wiele. Uświęca on ogólniki i skoro powie po raz stotysięczny, że człowiek jest śmiertelny, jego głos potężny zdaje się nam oznajmiał nową prawdę.

De Maistre postępuje wprost przeciwnie, nie przez system, ale ze swej natury.

Skupia on pewną ilość myśli, które nie zawsze zdają się łączyć ze sobą i ściska je jedną przy drugiej w tem samym zdaniu. Zdumione niespodzianem zetknięciem spoglądają one na siebie okiem zdziwionem, co nadaje im w naszych oczach pozór nowości.

De Maistre zdaje się zawsze mówić paradoksy. Bossuet zdaje się zawsze mówić ogólniki.

De Maistre szuka bez afektacyi wielkich efektów stylu, albo, jeżeli chcecie, nie szukając znajduje je.

Bossuet pogardza bezwzględnie wszystkim, co się wydaje umyślnem, i gdy blask słowa się zjawia, zdaje się czynić łaskę, że mu wstępu udziela.

De Maistre ma rzuty myśli prawowite zazwyczaj. Bossuet nie ma żadnych rzutów. Peryod jest naturalną formą jego stylu, który jest zbyt dumny, aby mógł uleść pokawalkowaniu i zbyt szeroki, aby mógł się zaostrzać w aforyzmy.

Zwracam uwagę, że porównywan tutaj tych dwóch ludzi, tylko pod względem ich stylu. Nie mówię o ich poglądach.

De Maistre ma wzrok bardziej przenikliwy, odmładza on myśl, którą wyraża.

Bossuet nie stara się ją odmładzać, daje ją jaką jest, silną swą starożytnością, zdobną wiekami, które przeżyła, zanim dostała się aż do niego, aby raz jeszcze być wypowiedzianą.

V.

Prawo prostoty, jak wyżej rzekłem, obowiązuje na wszystkich stopniach drabiny umysłowej. Weźmy przykład.

Weźmy oto człowieka, któremu obcy jest zupełnie świat idei, który nie zna, co to piękno,

który nigdy nie wznosił głowy ku górze, który nie jest wcale poetą w wyższym znaczeniu tego słowa; który tylko opowiedział rzeczy drobne, opowiedziane już wielokrotnie przed nim, tak że nawet zasługa wynalazku nie może mu być przyznana, człowieka, który znalazł jednak czytelników i zdobył sobie niewygasłą pamięć.

Człowiek ten istnieje, zowie się La Fontaine.

Człowiek ten, który nie przypuszczał nawet czegoś wielkiego i nie wynalazł nawet powtarzanych przez siebie drobnostek, odznacza się tą szczególną i ciekawą właściwością, że posiada jedną tylko zaletę, jedną jedyną, i że zaświadcza osobliwie potęgę owej zalety, przez którą żyje, choć z tylu względów powinienby oddawna należeć do nieżyjących.

Tą potęgą, która unieśmiertelnia La Fontaine'a, jest styl.

Całkowita jego chwała zawiera się w tym jednym wyrazie i kto chce go wysławiać, nic tu dodać nie może.

Umiał opowiadać i umiał pisać. O mowo francuzka, jakąż posiadasz potęgę, skoro zdołałaś unieśmiertelić takiego La Fontaine'a.

Nie sędzę, żeby La Fontaine w swej wędrówce ziemskiej raz chociaż spojrział ku niebu; nie sędzę, żeby chwilę choćby sprawy wieczne stały się dlań powodem cierpienia lub radości. Nie sędzę, żeby było możliwe przy najtroskliwszem badaniu tego

serca dopatrzyć i odgadnąć, gdzie się w niem znajdowało miejsce dla Boga. Nie sędzę, żeby było możliwe, słuchając go, pochwycić krzyk jakiś, ani też, by zdolny był odczuć, przed swem nawróceniem, jakiś poryw wyższy ku czemukolwiek.

„Waga moja, to miłość moja“, powiedział pewien człowiek, którego imię zaledwie wymówić się ośmielałem przy tak błahej sposobności; jest to zbyt wiele zaszczytu dla La Fontaine'a, żeby wymienić z jego powodu św. Augustyna. Z tem wszystkiem prawda prawdziwą jest przy każdej sposobności — *maxima in minimis*. W czym jest waga La Fontaine'a? czy miłuje on piękno prawdziwe lub fałszywe, lub choćby tylko pozór piękna. Wcale nie.

Niektórzy mają pociąg ku wielkości, ale nie wiedzą, gdzie ona się znajduje; w ten sposób ukazują się ich wyższość wrodzona, choć błędząca. La Fontaine nie należy do ich liczby.

Nie pożąda on ani wielkości prawdziwej, ani wielkości fałszywej, nie wie o istnieniu wzniosłości. Zachowuje on (nie podziw swój, gdyż ludzie tego rodzaju nic nie zwykli podziwiać), lecz pochwały swoje dla zręcznej przebiegłości. Ma upodobanie do chytrłości. Rzecz okropna! Jego ideał, to lis.

Nie mówię o myślicielu, ani o poecie. Zawiera się on całkowicie w tych słowach: jego ideał, to lis. Mówmy o pisarzu.

Czy jest on pisarzem? Tak. Obowiązkiem krytyki liczyć się ze wszystkim. Musi ona pogodzić entuzjazm dla rzeczy wielkich z uwagą na rzeczy małe. Chwała jej miłować i wspierać tych, co ku górze wzlatują, ale ta miłość chwalebna nie przeszkadza jej liczyć kroki tych, co chodzą po ziemi. Miłość nie przeszkadza nigdy schylać się ku ziemi.

Człowiek nie zdolny czuć zachwyty nie może zachwyty budzić. Nie będziemy się więc zachwycali La Fontaine'em. Krytyka powinna zachować wyrazy uroczyste dla odpowiadających im ludzi i rzeczy. Są krytycy, którzy ośmielili się mówić o geniuszu La Fontaine'a.

Ta profanacja wielkich słów jest szkodliwsza, niżli można sądzić. Pozbawia ona szacunku ludzkiego rzeczy prawdziwie wielkie. Poniża prawdziwy majestat, nadając jego miano tym, co nie noszą korony. Nie, nie należy wynosić La Fontaine'a, ale trzeba go chwalić i oceniać w tej mierze, jak na to zasługuje.

Bez stylu, do kogo byłby podobny? Podobny byłby do Florianiana. Poznajmyż więc charakter stylu, który zdolny był przeprowadzić tu tak wyraźną linię graniczną.

Główny rys tego charakteru to szczerłość. Florian nie wierzy w osoby, które wprowadza na scenę. La Fontaine wierzy w swoje osoby. Florian usiłuje dać im mowę. La Fontaine wciela się w nie i mówi przez ich usta.

Czyni się królikiem, w dobrej wierze królikiem! Oto jego tajemnica. Jak na człowieka to za mało, ale zawsze znaczy to coś. A ponieważ ma dobrą wiarę, nie przesadza nigdy. Gdyby Peretka nie miała dobrej wiary, przesadziłaby z pewnością grubość wieprzaka, którego narodziny przewiduje. Ale i La Fontaine i Peretka są dobrej wiary:

„Il etait, quand je l'eus, de grosseur *raisonnable*“.

To *raisonnable* jest paradne! Peretka oczywiście ma wyraźne widzenie tego wieprzaka; ale samaby się zbudziła, gdyby marzenie posunęła za daleko. W sen swój wprowadza rozsądek, by weń wprowadzić prawdopodobieństwo.

La Fontaine wzniósł się pewnego dnia ponad siebie i zbliżył się do piękna. Było to wtedy, gdy napisał bajkę: Dąb i trzcina. Tutaj, i pono tylko tutaj, wzniósł się do pojęcia jednej z wielkich prawd porządku powszechnego: spostrzegł słabość silnych. Nie spojrzał na nią z wysoka, spostrzegł ją jednak.

Musimy przyznać mu w tym razie chwałę odzucia, że wszelka istota w chwili, gdy mówi o sobie: — jestem silna, musi być dotknięta śmiercią. A jak przemawia tutaj dąb! jak w jego mowie przebija głupota pychy! z jaką napuszystością głupią, a rozwlekłą, samochwalczej niemocy, ofiaruje on swą opiekę! Jak się tu żywo czuje, że nikomu on nie pomoże, że sam będzie potrzebował pomocy, i że nie pragnie pomódz nikomu, bo nie ma

dobroci, ani otrzymać pomocy, bo się czuje silnym! Jak daje się przewidzieć jego upadek! Jak on już jest zawarty w pierwszych wyrazach, którymi przemawia:

„Aż nadto słuszenie oskarżasz naturę!”

La Fontaine mówi nam tylko o sile dębu, a uprzytomnia nam tylko jego słabość; kładzie mu w usta słowa władcy, a tak dobrze odczuwamy ciążący na nim wyrok, że katastrofa już dokonana jest dla czytelnika, zanim autor zdaje się ją spostrzegać. Trzcina jest o tyle ścisła i zwięzła w swej odpowiedzi, o ile dąb jest rozwlekły i napuszysty:

Zginam się i nie łamię.

Lecz czekajmy końca.

Oto mowa godna tego, za kim jest słusność.

Wogóle La Fontaine jest suchy, to też objawy uczucia nabierają u niego szczególnej wartości, odznaczają się one zresztą delikatnością nieporównaną.

Kiedy dwa gołębie łączą się napowrót, La Fontaine każe nam wyobrażać sobie:

„Jak wielka radość wynadgradza ich cierpienia”.

Ich cierpienia! A jednak jeden z nich podróżował tylko! La Fontaine mniema z dobrą wiarą, że podzielały one te same niebezpieczeństwa. Nie umie on już rozróżnić tego, który kocha, od tego, który jest kochany.

Te słowa ujmujące tem szczególnie zachwycają, iż dają nam odczuć swe niedostrzegalne prawie działanie. La Fontaine sam zdaje się ich nie

dostrzegać i zniewala czytelnika, aby czynił tak jak on. Jego niedbałość literacka nadaje mu urok w naszych oczach. Nie ma on żadnych zamiarów, niczego nie szuka, nic nawet nie znajduje, tylko napotyka przypadkiem. I wdzięczni mu jesteśmy tem więcej za jego prostotę, gdy wspomnimy datę jego urodzenia. Widzimy go wśród wieku XVII. Najmniejszy objaw naiwności staje się wtedy zadziwiającą zasługą. Przenieśmy La Fontaine'a w inne stulecie, a nie będziemy już wobec niego zajmowali tego samego stanowiska, chociaż on wobec nas swego stanowiska nie zmieni.

Zasługa jego w naszych oczach polega głównie na tem, że oparł się on wpływowi atmosfery, którą oddychał i pozostał La Fontaine'em, chociaż Boileau żył współcześnie.

Dodam jeszcze na chwałę La Fontaine'a, że miał on poczucie sprawiedliwości. Nie mówię o sprawiedliwości wyższej, gdyż ta styka się z tajemnicą i aby ją odgadnąć, trzeba spojrzenie wnieść tam, dokąd nie sięgał nigdy wzrok naszego bajkopisarza. Mówię o sprawiedliwości dość pospolitej, nieco filisterskiej, ale rzeczywistej i godnej szacunku, którą zazwyczaj dostrzega pospolity rozum ludzki, — jednym słowem o sprawiedliwości widzialnej. Taka sprawiedliwość podyktowała bajkę o wilku i jagnięciu.

Na nieszczęście nie jest niepodobieństwem

schwycić La Fontaine'a na gorącym uczynku sprzeczności z sobą i napotkać go czasami wśród stronników wilka i zabójców jagnięcia. W gruncie rzeczy bogiem jego jest, nie powiem, siła (idea ta jest dlań zbyt wysoka), lecz umiejętność radzenia sobie w życiu.

Jest to tak dalece prawdziwe, że wracając do bajki o dębnie i o trzcinie, mimowoli dodać muszę następującą uwagę. Jeżeli La Fontaine potępia dęba, to nie dlatego, iż jest on pyszny i zły, lecz dlatego, że ma zginąć. Zamiast mówić: Jest winien, gdyż się pyszni, a więc musi zginąć, La Fontaine mówi: musi zginąć, a zatem jest winien.

Tak więc w całej pełni możemy w nim chwalić tylko styl jego. Wy, którzy miłujecie prawdę, i którzy rozmyślacie nad nią, zbróćcie się w styl, przyswajajcie sobie tę potęgę, a skoro na wzór La Fontaine'a, ołładnicie słowem, umiejcie go użyć tak, jak La Fontaine go nie użył.

* * *

Bajka, jeżeli się nie mylę, mogłaby mieć wielkie przeznaczenie. Jest chwała, po którą mogłaby sięgnąć, jest mowa, którą dla niej była stosowna. Trzeba by, żeby spytała rzeczy o ich treść istotną, żeby zrozumiała znaczenie wyrazu: symbolizm.

Ujrzałaby się wnet przyodzianą w godność, której jej nie dostaje. Z dziedziny zabawy wkroczyłaby w dziedzinę Sztuki.

La Fontaine'owi brak najzupełniej zmysłu dla symbolizmu. Wprowadza on w grę zwierzęta i rośliny, ale odczucia przyrody nigdzie w nim nie widzę. Wieś nieobecna jest w jego utworach, równie jak myśl, równie jak piękno.

Najwybitniejszą cechą bajkopisarza powinno być uszanowanie typów. Cechy tej w La Fontaine'ie nie znajdujemy ani śladu. Jakież to są lwy i orły, lwy i orły jego bajek! Jak się rzuca w oczy jego małość, gdy aktorowie jego dramatów wielkie noszą imiona! Mówiłem już, czuje się on swobodnym w towarzystwie lisów jedynie. Nie sądzę, by kiedykolwiek wywołał w czytelniku to poczucie wielkości ludzkiej, która jest chwałą i radością Sztuki.

Nie mogę pominąć tu jeszcze uwagi uderzającej i jasnej aż do banalności. La Fontaine wyprawia na scenę figury, które wszystkie ubiegają się o lepsze w przebiegłości — i są tacy, co mówią o nim, śmiały wymawiać imię Sztuki! I człowiek nie spostrzegł dotąd, że chytrość jest przeciwieństwem Sztuki?! Zaiste, jeżeli tego nie widzi, to jest jeszcze bardzo dawnym człowiekiem!

* * *

Taine ogłosił w *Journal des Débats* kilka artykułów o La Fontaine'ie. Chce on nas natchnąć najwyższym zachwytem dla bajkopisarza; dochodzi zaś do wzbudzenia dlań najwyższej pogardy. Ale

La Fontaine mu przebaczy, bo jeżeli Taine mu ujmę przyniósł, to zupełnie bezwiednie.

„Nasz Szampańczyk“, pisze on, „znosi to bez wstrętu, że barany bywają pożarte przez wilki i że głupiec bywa wyprowadzony w pole przez oszustą... To też jego nauki nie mają w sobie nic bohaterckiego; ...najszlachetniejsze z nich zalecają posłuszeństwo, poddanie się złemu dla siebie i innych, ponieważ zło leży w przeznaczeniu ludzkim. Doradza on dość cynicznie pochlebstwo, i to pochlebstwo niskie. Jeleń stawia w rzędzie bogów królowę, która mu przedtem zadusiła żonę i syna, i głosi jej chwałę nakształt nadwornego poety. La Fontaine uznaje wiarołomstwo, a gdy fortel jest korzystny a zręczny, zapomina on, że był zasadzką. Przedstawia on między innymi mędrca, który, ściągany przez waryata, ujmuje go sobie pochlebstwem i wśród słodkich słówek każe go związać i zabić. Znajduje pomysł ten dobrym i radzi nam iść za jego przykładem“.

Tenże sam Taine, w tej samej rozprawie, powiada o tym samym człowieku:

„Był on poetą. Zdaje mi się, że ze wszystkich Francuzów on był nim najprawdziwiej“.

Tak to się dokonywa u Taine'a kojarzenie się pojęć. On sam nie waha się nam odstąpić, co rozumie pod wyrazem: poeta. Mówi on dalej:

„Bardziej niż ktokolwiek inny posiadał on obie główne cechy poety, zdolność zapomnienia świata

rzeczywistego, oraz życia w świecie idealnym; dar niewidzenia rzeczy pozytywnych i pogoni wewnętrznej za snami swymi pięknymi“.

A więc La Fontaine przebywał w świecie idealnym, kiedy doradzał pochlebstwo niskie? Miał on widocznie o świecie idealnym pojęcie dość nowe. A w swych pięknych snach wiecie, o czym marzył? O zręcznych fortelach. Co za poeta!

Taine mówi też, że był „entuzjastą“, a potem:

„Nawet w swych ulicznikowskich conceptach wystrzegał się on wyrażen trywialnych; zachowywał zawsze styl dobrego towarzystwa“.

Widzicie, jaki to był entuzjizm!

Jemu to zapewne zawdzięczał La Fontaine, iż nie widział rzeczy pozytywnych. Wprawdzie ten sam krytyk, mówiąc o tym samym pisarzu, w chwilę potem wynosić zaczyna jego dar spostrzegawczy i długo się rozwodzi nad tą nową pochwałą. Zapomina, że La Fontaine nie widział rzeczy pozytywnych i ukazuje go nam jako „niby ciekawego i badawczego cudzoziemca, stojącego przed światem żywym, który się wokoło niego rogościł“.

Co chcecie? Entuzjizm Taine'a nie daje mu spostrzedz sprzeczności twierdzeń, wychodzących z pod jego pióra. Nie spostrzega jej, bo ona jest pozytywną, a on jest entuzjastą.

Taine uważa La Fontaine'a za znawcę czło-

wieka, uważa go za przedstawiciela Francji; chcąc poznać ducha Francji posłałby jego dzieła.

Sądzę, że w imię ludzkości i w imię Francji wolno jest każdemu człowiekowi i każdemu Francuzowi odpowiedzieć: Nie, człowiek odmalowany przez La Fontaine'a jest taki, jakim go chce mieć Taine, ale to nie jest człowiek prawdziwy. To nie jest człowiek stworzony na obraz Boży, odkupiony przez Syna Bożego. Nie jest to nawet człowiek upadły; La Fontaine nie widział głębokości otchłani, jeno skorupę zewnętrzną, niedoskonale narysowaną sylwetkę człowieka upadłego.

Owa Francja, którą ma przedstawiać La Fontaine, odpowiada widocznie pojęciu Taine'a, ale nie jest to Francja prawdziwa, nie jest to ta Francja, która kiedyś, zdając rachunki historii, otworzy księgę żywota swego i na pierwszej jej karcie wskaże słowa: *Gesta Dei per Francos*.

Ale to jeszcze nie wszystko. Taine zdradził się w ustępie, który zawiera jego ostatnie słowo w tej sprawie, słowo streszczające myśl całą; wydał swój sekret. Powiada on — ach! ledwo śniem to przytoczyć — powiada on, że La Fontaine odbiera prawdzie jej smutek.

Prawda w pojęciu Taine'a jest smutna, a La Fontaine ma tedy być wesoły.

Winienem Taine'owi podziękowanie: formuła jego jest mi pomocną do znalezienia formuły prawdziwej. Aby w jednym słowie zamknąć wszystko,

streścić cały mój akt oskarżenia przeciwko La Fontaine'owi, dosyć jest zmienić jeden wyraz w zdaniu Taine'a, dosyć jest powiedzieć:

La Fontaine odbiera prawdzie jej radość.

I wszystko o La Fontaine'ie będzie powiedziane.

Aby pokazać potęgę stylu wybrałem La Fontaine'a. Chciałem okazać tę potęgę, jak działa sama przez się (o ile to jest możliwe) w odosobnieniu zupełnem i na najniższych stopniach drabiny umysłowej.

Chciałem okazać, jak potomność ceni tych, którzy umieją pisać. Zkąd to pochodzi? Sądzę, że zamilowanie stylu łączy się w nas z miłością do życia. Jeżeli dusza wybucha na zewnątrz, daje się nam poznać, objawia nam coś ze swego życia wewnętrznego, przyjmujemy bez zastrzeżeń głos płynący z jej głębi, — a ten głos, to styl. Kiedy zaś przeciwnie człowiek oznajmia nam tylko swą myśl, lecz nie oddaje nam siebie samego, słuchamy go niechętnie, cokolwiekby nam mówił. Myśliciel, który nie umie pisać, zasłania przed nami to, co się w nim dzieje i daje nam tylko martwy wynik dokonywających się w nim działań. Wielki pisarz czyni nas świadkami poczęcia dzieła, które nam daje. W tem drzewie przejrzystym widzimy krążące soki żywotne. Geniusz i dzieciństwo uderzają godnem podziwu podobieństwem; wspólną ich cechą: naiwność. Z niej wynika ta przejrzystość,

która nam pozwala dostrzedz w duszy dziecka i geniuszu myśl pracującą i powstające z niej idee. Najpodobniejszym w mowie swej do człowieka genialnego jest dziecko, gdy jest proste.

VI.

Retoryka fałszywa tak dalece poniżyła wyrazy, któremi się posługuje, iż wynikająca ztąd śmieszność grozi ośmieszeniem samych rzeczy przez te wyrazy oznaczonych. Kiedy owa retoryka chwali kogoś za styl, zdaje się wychwalać wykwinność jego stroju.

Trzeba przywrócić godność słowom, aby przywrócić godność ideom.

Styl człowieka jest wyrazem jego działalności.

Wszystkie stworzenia postawione są w pewnym określonym stosunku do życia, do siebie samych i do innych stworzeń. Styl jest wyrazem działania wewnętrznego, które one wywierają, oraz które jest wywierane w nich i na nich.

Wszystkie rośliny otrzymują światło; każda otrzymuje je w sposób sobie właściwy. Wszystkie pożądają ciepła słonecznego, ale rozmaicie działa ono na nie. Każda przyswaja je sobie w sposób szczególny, odpowiedni do swoich potrzeb, swoich usposobień i swoich uzdolnień wewnętrznych.

Stylem róży jest jej zapach.

Styl, jako objaw życia, otwiera przed nami

rozległy widnokrąg. Powinniśmy badać go nie tylko na stronicach pisanych, winniśmy śledzić za nim wszędzie, gdzie się objawia, a niekiedy odgadnąć go tam, gdzie nie ma wyraźnych jego objawów. Styl występuje przedewszystkiem w słowach, ale widoczny jest także w ruchach, widoczny jest też w spojrzeniu, widoczny jest we wszystkich objawach, nie wyłączając milczenia. Milczenie może mieć styl wielki. Milczenie może być słowem; może być nawet szczytem słowa, jego punktem kulminacyjnym. Wogóle mowa, skoro jest w najwyższym stopniu wzniosła i uroczysta, zatrzymuje się na pewnej wysokości, brak jej wyrazów. Milczenie wtedy ją zastępuje i wyraża rzeczy niewysłowione. Pełne wzruszenia milczenie jest najwyższym rozkwitem słowa, jest to styl w najwznioślejszej swej postaci.

Co rozumie mowa ludzka pod wyrazem: wielki człowiek? czy jest to człowiek, który dokonał tego lub owego czynu? nie! gdyż wątpię, by określono mi dokładnie czyn, którego należy dopełnić, aby zostać wielkim człowiekiem.

Wielkość nie polega na tym lub owym czynie; tkwi ona w sposobie dokonania czynu. Ten sam czyn dokonany przez tysiąc ludzi, da nam poznać tysiąc różnych charakterów. Wielkość nie jest w fakcie, lecz w sprawie faktu.

Chcecie dobitnego przykładu? Oto człowiek się

topi. Rzucacie się do wody, aby go ratować, narażacie życie i ocalacie go, Ale oto waryat i małpa, którzy widzieli wasz czyn, naśladują was i każde z nich ocala też człowieka; naśladowali oni fakt przez was dopełniony, ale nie mogą naśladować czynu, nie mogą przyswoić sobie waszego stylu. Wszystko można skraść człowiekowi, za wyjątkiem jego stylu. Styl nie może być naruszony, podobnie jak charakter osobisty, którego jest wyrazem.

Wielkość nie może być określona przez żaden fakt zewnętrzny. Tryska ona z uświęconego źródła.

Czyżby jej charakter polegał na wytrwałości? cóż znowu! Buffon zdawał się to twierdzić. Sam nie wiedział, co mówił. Wielkość miałaby wtedy za symbol muchę brzęczącą długo i uparcie koło ucha.

Czy może wielkość jest to wielka miłość?

I to nie zupełnie.

Więc może wielka inteligencja?

I to nie zupełnie, a przynajmniej nie wyłącznie. Można pojmować najwyższe idee, a nie wyrażać ich w sposób wielki; słowo wtedy zdradza niższość natury.

Wymówilem mimowoli imię słowa; w niem leży tajemnica wielkości, którą miałem na ustach i której ująć nie mogłem.

Słowo jest wybuchem wewnętrznej natury danej istoty.

Lew, aby ukazać swą siłę, nie potrzebuje czy-

nić wielkich wysiłków; daje się ona widzieć w najdrobniejszych jego ruchach. Herkules zawsze prawie przedstawiony jest w spoczynku; rzekłbyś, że jego potężne ramiona nie mają do czynienia w danej chwili.

* * *

Niejeden człowiek poskramiał nieujeżdżonego rumaka; ale patrząc na dzielnego jeźdźcę, który poza tem może być najpospolitszym człowiekiem, nikt nie zawołał: „Oto przyszedł pan świata!“

Czy rzeczywiście nikt? Mylę się. Zdarzyło się to raz jeden. I to ojciec mówił tak o synu. Jakież to ojciec powiedział kiedy: Mój syn będzie panem świata? Sfera, w której ja żyłem, za ciasna jest dla niego. Niechże on ją rozsadzi i zdruzgoce, skoro jest na to dość silny!

Czy Filip wyrzekł to dlatego jedynie, że Aleksander poskromił Bucefała, zasłaniając przed nim cień, który go straszył?

Nie, zaiste — lecz raczej dlatego, że Aleksander dopełnił tego samo przez się mało znaczącego czynu, w sposób nadzwyczajny. Sposobem, w jaki ujarzmił rumaka, okazał, czym był, objawił się jako przyszedł pan świata.

Miedzy Aleksandrem poskramiającym Bucefała i zwyczajnym ujeżdżaczem, wykonującym swe rzemiosło, w czym leży różnica?

Różnica leży w stylu.

Ujeżdżacz ma prawo do wynagrodzenia pieniężnego. Lecz Aleksander, w dniu, gdy Filip rzekł do niego: Synu, idź, zdobywaj świat, Macedonia ci nie wystarczy! — gdy obrócił konia do światła, by mu zakryć cień jego, gdy słońca użył do poskromienia rumaka, w dniu owym Aleksander dał słyszeć słowo swoje, ukazał się światu. I stało się jasnym dla widzów, dla Filipa samego, że Aleksander wszedł w owej chwili w posiadanie władzy, że zdobył nie konia, lecz siebie samego, siebie i Wschód, Wschód chciwy słońca, Wschód bojący się cienia swego.

Dlatego Bucefał ma miejsce przynależne sobie w historii. Gdybym był malarzem, nie mógłbym przedstawić wielkiego zdobywcy bez Bucefała.

Bucefał jest symbolem tego, przed którym ziemia cała zamilkła.

Zdobycz ta była słowem Aleksandra.

Słowo orla możecie usłyszeć, gdy uwięziony wstrząsa szponami i skrzydły kraty swego więzienia, dzwoni niemi i niejako myślą swą je wyłamuje — lub gdy odwróciwszy głowę rzuca w przestrzeń spojrzenie zepchniętego z tronu władcy.

W dniu burzy możecie usłyszeć słowo Oceanu.

Rozdzierając mieczem mgłę, która jeszcze chciała mu zakryć ojczyznę (bo kraj upragniony jest ojczyzną), rozkazując w imię Słowa przedwiecznego światłu, by mu ukazało Amerykę, Krzysztof Kolumb

dał światu słowo swoje. Stwierdził w jego obliczu władzę swoją i gdy Królowa Hiszpańska mianowała go admirałem wielkich mórz, on był już nim od dawna. Władza jego istotna poprzedziła tytuł.

Spojrzenie sępów uwięzionych zdaje się bujać nad pustyniami wymarzonemi, nad pustyniami dalekimi, nad dziedzictwem utraconem i, rzekłbyś, ściga jeszcze zdala zastępy wojenne, za którymi ciągnąć lubią, gdy są wolne.

Czasami świętość zajaśnieje nad geniuszem, jak słońce nad Oceanem. Tak św. Paweł, który się cały oddawał wszystkim, we łzach czy w radości; który doskonałym dawał słowa mądrości, a innym pragnął być piorunem gromiącym; który taką troskliwością ogarniał wszystkie Kościoły; cały oddany walce zewnętrznej obok ciężkich rozterek wewnętrznych, uzupełniając Mękę Chrystusa tem, czego brak było jeszcze — okazał się władcą, bo dźwigał cały ciężar władzy.

* * *

Umysł ludzki sądził dotąd bardzo często, iż chcąc urzeczywistnić w sobie piękno, trzeba występować w przebraniu i to przebranie nazwano Sztuką. Sztuka była tą grą, której umysł się oddawał, gdy wedle pewnych prawideł przyjętych chciał z całą paradą występować sam przed sobą.

Trzeba, by powstał człowiek genialny, któryby począł mówić, był słuchany i powiedział:

Chcę, by nadal sztuka była szczerą.

Chcę, by sztuka przestała być przebraniem człowieka, a stała się jego wyrazem.

Chcę, by sztuka była wybuchem bezpośrednim, naiwnym i wzniosłym wewnętrznych blasków duszy. Aby sztuka była piękną i aby jej piękność była prawdziwą, chcę, by odtąd przedstawiała rzeczy tak, jak one są.

Bóg sprawi, jeżeli się nie mylę, że taki głos będzie usłyszany.

Retoryka dawna mówiła:

Jesteś szpetny, więc przebierz się, bo skoro okażesz się takim, jakim jesteś, przestraszysz wszystkich. Sztuka jest przebraniem, wybierz więc sobie jakiś jej typ konwencyonalny, przypadający ci do gustu; patrz dokoła siebie i szukaj, będziesz miał tylko trudność wyboru. Naśladuj! udawaj! odgrywaj rolę, która podoba się publiczności! Piękno jest fikcją. Prawa życia są szpetne; aby się podobać, Sztuka musi ułożyć sobie pewne reguły własne, niezależne od praw rzeczywistości.

Obecnie trzeba, aby ten, który ma położyć podwalinę Sztuki przyszłości, oczyścił atmosferę zbrukaną temi słowami i powiedział:

Brzydota istotnie ma miejsce swe w życiu ludzkim, bo ludzkość upadła; ale odrodzenie jest możliwe.

Piękno dozwolone jest jeszcze. Oto zbliża się ono do nas. Chwytajmy je, obleczmy się w nie, i wtedy będziemy mogli pokazać się światu.

Przywdziejmy je nie jako przebranie, lecz jako światłość prawdziwszą od nas samych, którą powinniśmy posiadać zawsze, nigdy jej nie tracając. Jesteśmy zbrukani, więc oczyśćmy się! Człowiek dawny wstydził się swej postaci, niechaj człowiek nowy powstanie i zjawi się, niech zajaśnieje przed oczyma ludzkimi, nie jako bohater teatralny, lecz jako prawda żywa, bardziej żywa, aniżeli dawny człowiek, którego miejsce zajęła. Niechaj się zjawi i niechaj działa, niechaj działa w blasku swej natury odrodzonej, niechaj objawia się typ w nim ukryty, niech wykwitnie zeń ideał, który w sobie nosi! Niechaj czyni prawdę! Piękno wtedy wytryśnie. Piękno nie jest fikcją, lecz jest odbłaskiem prawdy. Niechaj Sztuka, która była przebraniem człowieka kłamliwego, głosi w szczerości swego słowa chwałę człowieka szczerego!

Człowiek nie mogąc się obejść całkiem bez piękna, czyni usiłowania, aby się doń zbliżyć i czyni to dwojakim sposobem: albo próbuje kłamać sam przed sobą w imię piękności, albo mówi sobie prawdę również w imię piękności. Gdy chce sobie kłamać, wtedy próbuje upiększyć swój upadek i nadać wdzięk swoim grzechom. Gdy chce mówić prawdę, stara się przywdziać wewnętrzną i zewnętrzną

nie w blaski rzeczywiste, dla których został stworzony. Sztuka nie może wyrzec się zupełnie piękna, musi przybierać jego pozory sposobem sztucznym, albo też osiąść je istotnym wysiłkiem. Musi zeń uczynić parodyę albo zdobycz-swoją. Sztuka nie może nie odczuwać szpetoty wrodzonej człowieka dawnego.

Musi ją zatem albo ukrywać, albo gromić.

Jednem słowem, musi przebrać człowieka, patrzącego w dół, albo uznać, przyjąć i głosić światu człowieka patrzącego w górę.

Sztuka przywiązująca się do człowieka zwyrodniałego zmuszona jest ubarwić swój przedmiot, bo człowiek dawny jest szpetny, a sztuka, jakakolwiek jest, nie może się wyrzec piękna. Sztuka w ten sposób pojęta jest kłamstwem.

Sztuka przywiązująca się do człowieka odrodzonego może przedstawić swobodnie i otwarcie w czystości swego ducha tego, którego pragnie odmalować, bo człowiek odrodzony jest istotą wspaniałą, a sztuka oddając go spotyka wspaniałość, nie wykraczając poza obręb szczerości.

Bardzo często cechą osobistą, sztuką, stylem wielkich artystów bywał wysilek, polegający na upiększaniu człowieka kłamliwego pięknnością, która doń nie należy, pięknnością kradzioną, zwodniczą, pięknnością niemniej przeto istotną, a która umieszczona tutaj, jako aureola na czole zła, stawała się kłamstwem i kradzieżą.

Jednocześnie inni artyści, niższego rzędu, artyści-naśladowcy, nie ośmielając się wziąć odważnie piękności dobra, aby nią ozdobić czoło zła, wynaleźli na swój użytek piękność konwencyonalną, która nie należy ani do dziedziny dobra, ani do dziedziny zła, gdyż wogóle nie istnieje, lecz jest tylko po prostu pewną formą zwyczajową. Jest to jakieś przebranie, układ, zwyczaj, jakaś moda, na mocy której należy przybierać pewne postawy, a unikać innych, wymawiać pewne wyrazy, unikać innych, wygłaszać je w takim a nie innym tonie. W tym to duchu poczęte zostały liczne bardzo tragedye. W takim poniżeniu swoim sztuka zdaje się dążyć nie do piękności, lecz do decorum, będącego parodyą piękności, i bierze sobie za prawo nie życie, lecz przyzwyczajenie, bierze za cel nie prawdę, lecz to, co przyjęte. Idęł tragedyi klasycznej zbliża się w końcu do ryciny dziennika mód.

Czas już, by sztuka uznała piękno, by poczęła czerpać je tam, gdzie ono istotnie się znajduje i oznajmiła, gdzie je czerpie; aby w ten sposób stała się śmiałą, prostą, prawdziwą i potężną. Oby Bóg dał nam wielkiego artystę, którego styl jaśniałby żywą świetnością szczerości!

Byłoby to badanie wielkiej wagi i znaczenia odczytać Historję z punktu widzenia stylu, to jest zapytać każdego wielkiego człowieka o przyczynę

i naturę jego wielkości, czyli właściwy charakter i siłę jego stylu.

Aleksander Wielki odpowiedziałby nam, że styl jego, to geniusz zdobywczy, że stosunek jego do rzeczy polegał na opanowywaniu ich; tak dobitny był styl tego człowieka, że imię jego konia, uświęcone jego ustami, podniesione zostało do godności symbolu.

Cezar powiedziałby nam, że styl jego zaznaczony jest w słowach, które wyrzekł podczas burzy do przerażonego sternika: „Czego się lękasz? wiesz Cezara“. Jego słowem było stwierdzenie prawa swojego do oczekiwanego panowania nad światem. Jego słowo, to lzy, które wylewał w trzydziestym roku na wspomnienie Aleksandra zwyciężonego już w tym wieku.

Styl Homera, to pierwsze słowo proźby Priama:

Wspomnij Achillesie Ojca twego, jak ja słabego starca.

Słowa te zawierają całego Homera, bogów, ojcowstwo, starość, siłę, słabość itd.

Styl Bossueta to wykrzyknik: „Księżna umiera, księżna umarła!“ Wielkość światowa, a obok niej śmierć.

Styl Kolumba to znak krzyża, nakreślony w mgłę ostrzem jego miecza.

Sądzę, że w chwili uroczystej, którą przechodzimy, potrzeba nam wielkiego człowieka, a raczej

wielkich ludzi, którzy przemówiliby w imieniu ludzkości, przemówiliby stylem człowieczym, wyciskając na nim różne znamiona swoich charakterów, różne swe podpisy.

Sądzę, że modlitwa jest najpełniejszą formą stylu człowieczego, wyrazem człowieka.

Co to jest wyrazić człowieka? znaczy to wyrazić jego nędzę i jego wielkość.

Owóż modlitwa stwierdza nędzę człowieka; rzuca go na kolana jak żebraka z Ewangelii. Okazuje go biednym i ślepym, potrzebującym i błagającym.

Ale stwierdza ona bardziej jeszcze wielkość człowieka; pokazuje nam oddziaływanie tej wielkości na wyroki boże.

Przez nią wprowadza nas Bóg w tajniki swych rządów, a chwila, w której nas tak wprowadza do swej rady, jest chwilą, w której padamy twarzą do ziemi. Modlitwa jest zarazem krzykiem skargi i hymnem chwały. Owóż krzyk skargi i hymn chwały, czyż nie jest to wyraz całego człowieka? czyż nie jest to styl człowieczy? Styl człowieka, to odpowiedź człowieka, którą usłyszał Mojżesz:

Jam Jest, którym Jest.

O Ty, który Jesteś, usłysz więc — usłysz i wysłuchaj!

KONIEC.



SPIS RZECZY.

Przedmowa	Str. V
---------------------	-----------

Część I. Życie.

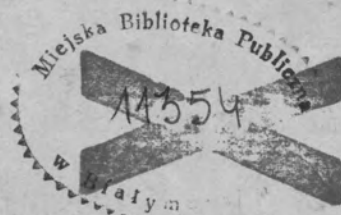
1. Jedyna rzecz potrzebna	3
2. Niewiadomość religijna	11
3. Jedność	24
4. Tajemnica	32
5. Obojętność	38
6. Słaba strona wiedzy współczesnej	45
7. Wieża Babel	50
8. Stan zagadnienia	62
9. Sfinks	80
10. Ludzie praktyczni	86
11. Wielcy ludzie	95
12. Człowiek mierny	101
13. List do Kolumba pewnego uczonego	105
14. Złoty cielec	119
15. Pozory i rzeczywistość	137
16. Zawieść	144
17. Duch sprzeciwienia	168
18. Honor	177
19. Rozgłos i sława	195



	Str.
20. Świat	202
21. Miasto, gdzie nie mają czasu	216
22. Podróże	222
23. Kojarzenie się pojęć	233
24. Pisma codzienne	244
25. Liberalizm	252
26. Sprawiedliwość	264
27. Ironie boże	273

Część II. Sztuka.

1. Sztuka	283
2. Krytyka	292
3. Pogarda sztuki	309
4. Konwenans, fantazja, ład	319
5. Piaski ruchome	337
6. Prądy sztuki nowożytnej	348
7. Powieść	355
8. Styl	374



11354

